

BESTSELLER „NEW YORK TIMESA”

# STRAŻNICZKA KRWI

TESSA GRATTON



**TESSA GRATTON**

**Strażniczka krwi**

*To list miłosny. I wyznanie.*

M A B

Wcześniej, zanim ciało Diakona przeistoczyło się w setki fioletowych kwiatów, on sam rzekł do mnie:

- Zniszcz róże.

Teraz stałam i przyglądałam się im. Wschodzące za moimi plecami słońce nadawało ich ciemnoróżowym płatkom barwę ognia. Po chwili uniosłam nóż.

Już od pięciu tygodni usiłowałam zniszczyć te róże. Atakowałam je saperką, próbowałam wykopać potężnym szpadlem razem z korzeniami. One jednak wściekle walczyły o życie, raniąc mi skórę, aż krew kapiała na ziemię.

Potem postanowiłam je spalić. Ruchem nadgarstka zaproszyłam ogień, ale płatanina gałązek uparcie nie chciała się zająć. Błękitno-pomarańczowe płomienie, które stworzyłam, tylko głąskaly liście i kolce, rozprzestrzeniając się na wietrze we wszystkie strony. Zaczęły już podchodzić pod las, musiałam więc ugasić ogień, zanim objąłby całe wzgórze.

Pewnego razu podczas pełni położyłam się obok róż i słuchałam, co mówią. Całą noc gwiazdy przesuwaly się po niebie, a ziemia pode mną trzeszczała i skrzypiała od ruchu.

Mab.

Mab, uwolnij nas, szeptały róże.

Przewróciłam się na brzuch i przycisnęłam policzek do ziemi. Złapałam jeden z pędów - jego kolce zraniły mnie w rękę. Magia połączona z bólem przebiegła z wnętrza moich dłoni do samych korzeni róż. Przypomniałam sobie słowa Arthura: „Krew należy teraz do ciebie, Mab. Krew i całe piękno tego świata. Są twoje”.

Zerwałam się na równe nogi i wycofałam na skraj ogrodu, aż obcasami stuknęłam w skrzynkę z sadzonkami pomidorów.

Następnego dnia zapytałam Donnę, czy wie coś na temat tych róż, ale była w stanie wyjaśnić jedynie, jak się je nawozi i przycina, żeby rosły. Zadzwoiłam do mieszkającej w miasteczku Faith. Powiedziała, że wyniosła się razem z rodziną z magicznej ziemi między innymi dlatego, że Hannah budziła się w nocy z płaczem, czemu - zdaniem Faith - winne były właśnie róże. Przypomniałam sobie, jak ich właścicielka - zmarła zeszłej jesieni babcia Lyn - zabraniała nam ich dotykać bez nadzoru.

Przez całe moje życie pod oknem mojej sypialni rosła tajemnica.

Wiedziałam, że powinnam się skoncentrować na szukaniu zaklęcia, które wypaliłoby klątwę i zamieniło ogródek różany w kupkę popiołu, bym mogła go następnie rozsypać na wietrze i wrzucić do rzeki.

To właśnie przykazał mi Arthur.

Ale ja postanowiłam postąpić inaczej.

O świcie stanęłam twarzą do ogrodu, a ostrze noża przyłożyłam do nadgarstka z tatuażem przedstawiającym ochronną siedmioramienną gwiazdę. Obok mnie leżała zrobiona z błota i gałęzi lalka wielkości człowieka. Zamierzałam zadać różom pewne pytanie.

Za moimi plecami coś zaskrobało w daszek nad oknem. Zauważyłam, że przycupnął tam sporych rozmiarów kruk.

- Dzień dobry - rzekłam półgłosem. - Donna ciągle śpi?

Kruk nastroszył pióra, jakby potwierdzając.

- Gdzie twoi bracia?

Kiwnął głową do tyłu i zaskrzeczał, na co z lasu na skraju ogrodu za domem wyleciało kolejnych jedenaście kruków. Machając skrzydłami równocześnie, zakołowały nisko nade mną, owiewając mnie mokrym, wiosennym powietrzem. Pod wpływem wilgoci zjeżyły mi się włoski na karku.

Stado kruków usiadło dookoła mnie w półkolu, zachowując bezpieczną odległość od poletka z różami. Wszystkie jednocześnie przechyliły łebki pod tym samym kątem, po czym jeden z nich wyskoczył do przodu i zastukał dziobem o słoik, który postawiłam na trawie.

W słoiku znajdowały się serce i wątroba jelenia. Dzięki nim moja lalka ożyje.

Dziewięć dni temu na uczęszczanej przez jelenie ścieżce rozstawiłam runiczną pułapkę. Wczoraj nareszcie coś się do niej złapało - młody jelonek. Nie potrafił wyswobodzić się ze wstęg magii oplecionych wokół drzew i gniewnie tupał delikatnymi kopytami. Obserwowałam go oparta o pobliski orzech; mimo że miałam na sobie koszulkę, chropowata kora odciskała mi się na ramieniu. Jelonkowi właśnie wyrzynały się rogi, tworząc na jego łbie dwie aksamitne wypukłości. Popatrzył na mnie czarnymi oczyma, prychnął i cofnął się nieco, jakby chciał przestraszyć mnie wspomnieniem swojego zeszłorocznego poroża.

- Dziękuję ci za ofiarę - powiedziałam do niego.

Drasnęłam się w palec i złączyłam dłonie. W tym samym momencie jeleni wyzionął ducha.

Teraz zaczynała się brudna część tej operacji. Za pomocą starego noża myśliwskiego Arthura rozciąłam jeleniowi brzuch i wyciągnęłam zakrwawione, śliskie niczym ryby wnętrzności, które rozlały się na trawę. Krew zwierzęcia zebrała się na zmarszczkach moich dłoni; wytarłam ręce o wciąż ciepłe futro na jego szyi.

Serce i wątrobę schowałam ostrożnie do starego czterolitrowego słoja. Zakręciłam wieczko i krwią jelenia namalowałam na nim runiczną gwiazdę. Potem zamknęłam zwierzęciu oczy i musnęłam palcem jego krótkie, czarne rzęsy.

- Obyś odnalazł spokój - wyszeptałam.

I zostawiłam go dla sępów i kojotów.

Od tamtej chwili krew zdążyła już odpłynąć z kawałków wnętrzości i w postaci kleistej mazi zebrała się na dnie słoja. Kruk dziobnął w szklaną ściankę pewnie dlatego, że był głodny. Psyknęłam na niego i obiecałam, że kiedy tylko skończę pracę, dam mu mrożonych owoców leśnych.

Machając zawzięcie skrzydłami, kruk wrócił do swoich braci, a ja końcem noża drasnęłam się w nadgarstek. Na trawę spadły trzy krople krwi.

- Karmię cię, Ziemio, żeby moja magia zatoczyła koło.

Następnie wbiłam nóż w ziemię i kucnęłam obok ulepionej przeze mnie na podobieństwo człowieka lalki. Kości zastępowały gałęzie, a objętości nadawały jej błoto i zbutwiałe liście. Woskiem wymodelowałam detale: dłonie, usta, oczy.

Z płatków róż, które zebrałam, ułożyłam pąsowe wargi. W ten sposób kwiaty przemówią. Gdyby moja lalka stanęła prosto, byłaby wysoka, wyższa niż ja, z szerokimi ramionami. W drewnianej klatce piersiowej znalazłoby się wystarczająco dużo miejsca na odwagę, uczucia, śmiech.

Ale na razie miałam tylko cienie, samą ziemię ukrytą za warstwą róż. Marionetka bez sznurków, za które można by pociągnąć.

Zignorowałam swoje łomoczące serce i uklękłam obok postaci z gliny. W powietrzu unosiła się woń mokrych piór i błota. Po nocnej mżawce na piersi lalki zebrała się woda i właśnie pojawiła się tam dżdżownica. Wzięłam ją w dwa palce i rzuciłam za siebie.

Jeden z kruków poderwał się i w mgnieniu oka capnął dżdżownicę. Potem nastroszył pióra dookoła głowy i wrócił na ziemię.

Spódnica na kolanach nasiąkała mi wodą. Odgarnęłam z twarzy wilgotne kosmyki i zanurzyłam ręce w gliniastym ciele lalki.

Rozsunęłam zebrałażki i, najdelikatniej jak potrafiłam, wybrałam stamtąd trochę błota, które przetrzymałam na kupkę obok. Odkręciłam wieczko słoja i wyjęłam ciężkie jelenie serce, brudząc sobie palce zimną, kleistą krwią. Ułożyłam je ostrożnie pośrodku klatki piersiowej lalki. Pachniało słodko, metalicznie.

- Żebyś miało uczucia.

Potem przyszła kolej na wątrobę. Umieściłam ją pod sercem.

- Żebyś miało odwagę.

Przykryłam narządy grudami czarnej ziemi i naprawiłam siatkę żeber. Uniosłam dłonie nad lalką. To moja ostatnia szansa, by zawrócić z tej drogi i postąpić tak, jak kazał mi

Arthur - zniszczyć róże. Wszystko byłoby łatwiejsze, gdybym tylko dopytała go wtedy o szczegóły, ale byłam przytłoczona świadomością, że odchodzi, i jego polecenie ledwo do mnie dotarło. Moje posłuszeństwo ścierało się z ciekawością, a poczucie winy z przeświadczeniem, że jeżeli mam być Diakonem naprawdę, a nie tylko w teorii, to zamiast ślepo wykonać polecenie, muszę zrozumieć problem, który odziedziczyłam po Arthurze. On sam nauczył mnie kwestionować porządek, myśleć samodzielnie i robić to, co uważam za słuszne. Nie mogłam podjąć właściwej decyzji, nie zbadawszy magii żyjącej w różach.

Kruki zatrzepotały skrzydłami, a na mnie i lalkę spadły krople wody.

Zgadzały się ze mną.

Pod rynną Różowego Domu stało metalowe wiadro na deszczówkę. Nabrałam trochę i oplukałam sobie ręce. Trzy kolejne kruki przycupnęły na krawędzi dachu. Przystępowały z nogi na nogę, szurając pazurami, a wiatr targał im pióra.

Czystymi już rękoma wzięłam pudełko z solą morską i cienką linią rozsypałam ją w okrąg dookoła mnie, lalki i poletka z różami. Na ziemi sól roz błysła fioletowawym blaskiem w skąpym świetle przedporannej godziny.

Uklękałam przy głowie lalki. Z torby z magicznymi przyborami wyjęłam stary, wyswiechtany od długoletniego użycia róg jelenia. Jego ostry jak igła koniec przytknęłam do nadgarstka, gdzie przed chwilą drasnęłam się nożem. Tatuaz przedstawiał spiralę i siedmioramienną gwiazdę - runę symbolizującą tworzenie. Z wprawą przycisnęłam końcówkę poroża do rwącej ranki na środku tatuazu. Początkowo zabolalo, ale ból zaraz przeszedł w mrowienie charakterystyczne dla magii. Na nadgarstek wystąpiła mi kropla gęstej krwi. Uniosłam rękę nad usypaną z soli linię.

- Błogosławię ten krąg krwią.

Powtórzyłam zawołanie trzy razy, aż w końcu kropla spadła na ziemię. Solny okrąg w mgnieniu oka szczelnie wypełniła energia.

Zabolały mnie bębenki w uszach.

Wszystkie kruki zaskrzeczały unisono. Miałam nadzieję, że nie obudzimy Donny. Sięgnęłam do torby po resztę potrzebnych składników.

Odkorkowałam fiolkę z pyłem kostnym. Nasypałam trochę na lewą dłoń, splunęłam na nią i wymieszałam wszystko palcem. Pochyliłam się nad twarzą lalki i w poprzek jej włosowego czoła narysowałam szarą mazią linię.

- Przyzywam cię mocą kości.

Następnie wzięłam cienki kosmyk własnych blond włosów, który przez ostatnie trzy dni dojrzewał w świetle słonecznym i szalwiowym dymie. Położyłam go prostopadłe do linii z pyłu kostnego.

- Przyzywam cię mocą włosów żyjącej czarownicy.

Z głębokim westchnieniem drasnęłam się ostrym końcem poroża we wszystkie dziesięć palców.

Płonące energią dłonie uniosłam ku siedzącemu na krawędzi dachu krukowi. Krew spływała mi cienkimi strużkami po palcach, zbierała się na dłoniach, a potem pełzła dalej przedramionami i ramionami. Kruk przechylił łebek i lustrował mnie z góry czarnym okiem.

- Chodź, przyjacielu. - Już od pięciu lat stado pomagało mi w magii, kierując i wzmacniając moją moc swoją własną.

Kruk rozpostarł skrzydła na całą szerokość. W pierwszych promieniach słońca tego dnia jego lotki zaiskrzyły się fioletowo i niebiesko.

- Reese, dziękuję za ofiarę.

Ptaka runął z dachu prosto w moje ramiona. Instynkt nadal nakazywał mu ucieczkę, więc trzepotał lekko skrzydłami. Jego pióra muskały mi twarz niczym pocałunki.

Trzymałam go mocno i czułam, jak w maleńkiej klatce piersiowej łomocze się serduszko, a żarząca się magia płynąca z moich zakrwawionych palców wsiąka w jego pióra. Po chwili się uspokoił. Przytuliłam go do siebie i spojrzałam w jego bliższe oko. Okalał je wachlarz drobnutkich, brązowych piórek. Sprawiały wrażenie niezwykle miękkich; miałam ochotę przesunąć po nich palcami.

Otworzył dziób i westchnął. Nie był to wcale kruczy odgłos.

- Przyzywam cię mocą własnej krwi i tej ofiary - powiedziałam głośno.

Szybkim ruchem przycisnęłam kruka do tułowia lalki i przeszyłam jego małe ciało ostrym rogiem, przygważdżając go do gliniastego manekina.

Wiatr dmuchnął, powietrze wystrzeliło do góry. Róże zatrzepotały, a jedenaście pozostałych kruków Reesea wydało z siebie jeden przeraźliwy krzyk.

Rozgorączkowana, zanurzyłam palec w świeżej krwi płynącej z ciała kruka. Dwoma pociągnięciami posmarowałam sobie nią usta i pochyliłam się nad twarzą lalki.

- Ożyj. Ożyj. - Ujęłam jej głowę w dłonie. - Ożyj!

Dotknęłam wargami jej warg i wdmuchnęłam jej w płuca własny oddech.

Zatrzęsła się ziemia. Lalka poruszyła różowymi ustami i bardzo mocno zassała mój oddech.



Odskoczyłam i stanęłam na równe nogi. Reszta kruków krążyła dookoła mojej głowy, tak blisko, że skrzydłami zahaczały o włosy.

Ptak przytwierdzony do tułowia lalki rozpostarł skrzydła na szerokość jej ramion. Wyciągnęłam ręce. Z ziemi wystrzeliła płatanina różanych pnączy i oplotła lalkę, zrastając się w grubą, ciemną skórę. Postać poruszyła palcami i wykrzywiła twarz w grymasie bólu.

Podniosła ciężkie powieki. Spod nich ukazały się kawałki turkusy, który wcisnęłam tam zamiast oczu.

- Witaj - odezwałam się. - Jestem Mab Prowd. Przyjmij ode mnie ten podarunek i powiedz, jak się nazywasz.

Postać usiadła. Krukowi przygwożdżonemu do jej tułowia opadły skrzydła, a sącząca się z niego krew zaczęła zbierać się na podołku lalki.

Błotnista istota wyciągnęła ku mnie rękę, więc pozwoliłam jej dotknąć brzegu mojej spódnicy. Nadal byłam nieco oszołomiona magią, jaka płynęła przez moje żyły i buzowała mi w opuszkach palców. Poczułam, że narasta we mnie śmiech zachwytu.

Moja lalka ugięła kolana i wstała. Z każdą chwilą jej skóra twardniała, jaśniała i wygładzała się. Popatrzyła ni mnie turkusowymi oczyma. Ugięła ręce. Pod skórą napięły się mięśnie. Usta i język lśniły czerwienią, a głowę niczym trawa porosły czarne włosy. Po bokach wykwitły uszy Uformowały się nozdrza, sutki. Wszystko rozwijało się dokładnie tak, jak powinno.

Przede mną stał prawdziwy, żywy człowiek, z moim przyjacielem krukiem przyszpilonym do serca.

- Powiedz, jak się nazywasz.

Lalka rozchyliła usta, ale wydobył się z nich tylko ochrypły grzechot.

Kruki znowu zaskrzeczały i z wściekłością zaatakowały błotną postać, która zamachała grubymi, nie do końca jeszcze uformowanymi ramionami i trafiła w jednego z ptaków. Całe stado podniosło wrzawę i odleciało z furkotem czarnych piór.

Odsunęłam się, by zrobić im miejsce.

Lalka znowu wyciągnęła rękę w moim kierunku. Na sztywnych, szczudlastych nogach zrobiła krok w moją stronę. Potem następny. I jeszcze jeden. Jej klatkę piersiową i ramiona uniósł oddech, równoczesny z moim. Otworzyła usta i westchnęła, a miękkie pióra martwego kruka zafalowały.

Potem powiedziała:

- Mab.

Uśmiechnęłam się i powitalnym gestem złapałam ją za nadgarstek, ale lalka z nieprawdopodobną szybkością dała susa do przodu. Uderzyła mnie ramieniem w mostek; oszołomiona przewróciłam się na plecy. Upadając poza solny krąg, przełamalam zakłęcie unieruchamiające.

Ziemia zawirowała. Wlepiłam zdezorientowane spojrzenie w poranne błękitne niebo wysoko w górze.

I usłyszałam dudniące kroki pędzącej na północ błotnistej postaci.

WILL

Pięć tygodni temu uratowałam życie Holly Georges, którą trzęsienie ziemi strąciło z drzewa prosto do jeziora.

Do tego jeziora.

Łomot radia dobiegający przez otwarte drzwi pikapa był na tyle głośny, że nie czułam się przytłoczony ogromnym, pustym niebem. Słońce weszło mniej więcej dwie godziny temu. Gdzieś widziałem chmury w kolorze sorbetu pomarańczowego. Było parno i o wiele za cicho.

Moje dwa owczarki niemieckie, Furia i Walkiria, hasały po wysokiej trawie rosnącej przy błotnistej plaży, bawiąc się i poszczekując, jak przystało na roczne szczeniaki. Im upał najwyraźniej nie przeszkadzał, ale ja byłem już cały spocony. Ściągnąłem koszulkę, przetarłem nią twarz i rzuciłem na ziemię. Potem zdjąłem adidasy i skarpetki - zostałem w samych spodniach od dresu. Byłem tylko ja i jezioro.

Nagle uderzenie wichury pomarszczyło powierzchnię wody i potargało mi włosy. Furia znieruchomiała z uniesionym nosem, a Walkiria jak szalona biegła w kółko z wywieszonym ozorem. Roześmiałem się i uderzyłem dłonią w udo.

- Do nogi! - zawołałem.

Psy przybiegły. Walkiria wyhamowała na mojej nodze, prawie mnie przewracając, a Furia wtuliła mi łeb w dłoń. Poskrobałem ją za uszami. Podmuch wiatru oddalił się na zachód, rozwiewając wysoką trawę na swojej drodze. Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie, że patrzę na pagórkowatą okolicę oczyma ptaka. Dokładnie namierzyłem miejsce, gdzie stoję, a potem zacząłem oddalać się coraz bardziej, aż w moim polu widzenia pojawiła się autostrada międzystanowa. I rozlewające się wokół przedmieścia. I rzeka Kansas wijąca się bez celu. I zielone drzewa w blasku letniego słońca.

Dzięki tej sztuczce nigdy się nie gubiłem.

Walkiria wparowała do jeziora, budząc mnie z zamyślenia zimnym prysznicem. Poczulem zapach błota, szlamu i spalonej słońcem trawy. Przez chwilę wydawało mi się, że

znowu tam jestem. Zaraz po trzęsieniu ziemi. Znowu nurkuję w mętłą wodę i pomimo rwania w płucach po omacku szukam Holly po oślizłym dnie.

Te okropne momenty wielokrotnie mi się śniły. Chwila, kiedy uświadomiłem sobie, że się nie wynurzyła. Niesamowita ulga, kiedy wreszcie złapałem ją za kostkę. Moje ręce ubrudzone mułem i jej krwią z rany na głowie. Ciągące się w nieskończoność minuty na brzegu, kiedy Shanti robiła jej resuscytację, a wszyscy znajomi tłoczyli się nad nami, szepcząc i uspokajająco poklepując się po plecach. Ich dławiący, ściągający mnie do dna oddech.

Budziłem się bez tchu.

Z Furią przy nodze wszedłem do tego samego jeziora, skąd brały się wszystkie moje koszmary. Zamierzałem zagrzebać strach w mule - tam, gdzie się narodził.

Zdawałem sobie sprawę, że to bez sensu, ale nie mogłem powiedzieć rodzicom, co się ze mną dzieje. Mama o wszystko by się obwiniała. Z kolei tata uznałby to za przejaw słabości. No i na pewno nie zamierzałem zwierzać się w szatni przed treningiem Mattowi albo Dylanowi. Tak więc wyszukałem w necie parę teorii na temat zwalczania koszmarów sennych. Większość nakazywała stanąć twarzą w twarz z przyczyną koszmaru. Tylko to dawało szansę na odzyskanie spokoju ducha.

No to przyszedłem. Nasiąknięte wodą spodnie od dresu stały się ciężkie. Zawiązałem mocniej troczek i wszedłem jeszcze trochę dalej. Stopy zapadały mi się w pokrywającym dno oślizłym mule. Słońce prażyło mi ramiona. Zatoczyłem barkami koła do tyłu, próbując się rozluźnić. I wpłynąłem na głęboką wodę. Furia została w tyle, tam, gdzie sięgała łapami dna. Na środku jeziora przewróciłem się na plecy i zamknąłem oczy.

O moje skronie i policzki chlupały drobne falki. Słońce przeświecało na czerwono przez zamknięte powieki. Rozcapierzyłem palce, ugiąłem kolana i uniosłem podbródek. Dryfowałem. Wyobrażałem sobie, że pod sobą nie mam wcale marnych dziesięciu metrów ciemnej toni. W jeziorze mieszkaly bassy. I chyba jakieś inne małe rybki. Parę tygodni później atakowałyby mnie chmury komarów.

Uszy miałem pod wodą. Słyszałem wysokie, przytłumione dzwonięcie tętniącej mi w ciele krwi i plaskanie fal o ręce. Mój oddech brzmiał jak zduszony pomruk.

Zgodnie z instrukcją z internetu powinienem przywołać jak najwięcej wspomnień z mojej tak zwanej traumy i odtworzyć ją jeszcze raz. Nietrudno było przypomnieć sobie tamto popołudnie. Przyszliśmy właśnie tu, bo ziemia należała do wujka Matta. Była to pierwsza sobota z pogodą na kostiumy kąpielowe. Głównie chłopaki z drużyny plus kilka lasek. Kiedy zaczęło się ściemniać, razem z Holly i dziewczyną Matta, Shanti, siedzieliśmy na pomoście i

mocowaliśmy się z dmuchanym materacem. Austin, który uwielbia być wredny, zwinął Shanti notes z plecaka, żeby sprawdzić, czy nie ma w nim jakichś wyznań miłosnych do Matta. Shanti wściekła się i zaczęła okładać Austina piankowym wałkiem do pływania, na co on rzucił jej notes najdalej, jak potrafił, aż zaczepił się na gałęzi rozłożystego drzewa nad wodą.

Holly spojrzała na mnie porozumiewawczo i przewróciła oczami. Roześmiałem się i zaproponowałem, że podsadzę ją na drzewo. Jej cienka letnia sukienka powiewała lekko na wietrze i co jakiś czas ukazywała skrawki uda, więc starałem się skupić wzrok raczej na jej chwytających drzewo dłoniach. Holly wspinała się coraz wyżej. Byłem pod wrażeniem jej siły.

- Will, nie trząś drzewem! - zawołała nagle.

Nie wiedziałem, o co chodzi. Wcale nie trząsałem. Oparłem się o pień i przyłożyłem dłoń płasko do kory. Wyczułem niewielkie drżenie, a sekundę później cała ziemia zafalowała, jakby była ręcznikiem plażowym, który ktoś wytrzepuje. Krzyk przerażonej Holly zginął wśród dobiegających z plaży pisków i śmiechu niedowierzania. Trzęsło coraz bardziej. Zachwiałem się i walnąłem o drzewo.

- Holly! - krzyknąłem.

Ona poślizgnęła się i spadła do wody, uderzając po drodze głową o gałąź.

Po chwili ziemia się uspokoiła. Wiał tylko mocny wiatr, a ptaki skrzeczały przeraźliwie.

- Cholera, Will, w porządku? - zawołał Matt.

Wszystko działo się w mgnieniu oka. Reszta drużyny piała z zachwytu, jakie niesamowite było trzęsienie ziemi. Śmiała się nawet Shanti, która wpadła do wody razem z Austinem. Rache rzuciła jej ręcznik.

Spojrzałem na powierzchnię jeziora.

- Holly?

Cisza.

Gapilem się na falki na wodzie w miejscu, gdzie zniknęła. Było płytko. Spokojnie by stanęła. Niewiele myśląc, wskoczyłem do zimnej wody.

Trzęsienie ziemi poruszyło muł na dnie. Piekły mnie od niego oczy. Widziałem tylko szlam. Wynurzyłem się i znów zanurkowałem. Przesuwając się po dnie jeziora, dłońmi badałem po omacku pokryte oślizłym osadem kamienie. Raz po raz wynurzałem się i znowu nurkowałem w ilastą ciemność. Za piątym razem złapałem ją za kostkę; tak mi ulżyło, że aż wypłułem ostatnie bąbelki powietrza. Pękały mi płuca. Wyciągnąłem Holly na powierzchnię i

z wielkim wysiłkiem ruszyłem w stronę brzegu. W końcu wyszliśmy z wody. Holly była nieprzytomna i bardzo przez to ciężka. Zanosłem się kaszlem. Shanti wrzasnęła i wybiegła mi na spotkanie. Pomogła mi nieść Holly, a potem ułożyć ją na trawie.- Wezwijcie pogotowie! - krzyknął ktoś.

Opadłem na kolana i dłonie. Cały się trząsałem. Shanti włożyła Holly palec do ust, a potem przystąpiła do resuscytacji, której nauczyła się, kiedy zaczęła pracę jako opiekunka do dzieci. Płakała. Zauważyłem, że z głowy Holly sączy się krew - moczy jej włosy i wsiąka w wilgotny piasek. Krew była różowa, rozwodniona. Miałem ją też na dłoniach. Zanurzyłem palce w błocie i...

Nagle spokojną toń wody przeszły szczekanie moich psów.

Niezdarnie obróciłem się do pionu, chlapiąc sobie w oczy. Przebierając nogami w wodzie, wytyczyłem wzrok, żeby zobaczyć, co obszczekują psy. Oba stały na plaży zwrócone ogonami do mnie. Zjeżyły sierść, położyły po sobie uszy i wpatrywały się w pobliski las.

Płynąc do brzegu, zawołałem:

- Hej, pieski, co jest?

Walkiria spojrzała na mnie, a Furia zawarczała. Niskim, głębokim warknięciem, które najpierw czuć, potem dopiero słychać.

Akurat kiedy dotknąłem stopami dna, spomiędzy drzew wynurzyło się t o coś.

Przerażenie odebrało mi dech.

Był to człowiek, a przynajmniej coś na kształt człowieka, ociekający błotem, pokryty liśćmi i gałązkami. Jego twarz wyglądała jak roztopiona świeca, a zamiast oczu miał błękitne kamyki. To niemożliwe.

Wybiegłem z wody i stanąłem przy psach.

- Dzień dobry - przywitałem się, bo tłumaczyłem sobie, że to po prostu jakiś facet w dziwnym przebraniu.

Głowa tego czegoś odwróciła się w moją stronę. Błękitne oczy z kamyków zauważyły mnie.

Furia rzuciła się w stronę dziwoląga, a Walkiria pobiegła za nią, lecz monstrum schyliło się i pacnęło Furię, jakby odbijało piłkę tenisową.

- Nie! - wrzasnąłem i puściłem się ku nim pędem.

Dziwadło wydało z siebie zduszony jęk i utkwilo we mnie spojrzenie. Potem uniosło słoniową nogę z zamiarem zmiżdżenia Wal.

Rzuciłem się na nie z rozpędu. Rymsnąłem z całej siły, a uderzenie niemal mnie ogłuszyło. W uścisku przewróciliśmy się na ziemię. Monstrum znalazło się na górze, a ja

poczułem, jak w mostek wbija mi się coś ostrego. Krzyknąłem. Nos i usta miałem pełne grudek błota. Splunąłem i usiłowałem zrzucić to coś z siebie, ale było cięższe niż dziesięciu futbolistów. Śmierdziało zgnilizną, krwią i mokrym psem. Poturlaliśmy się po ziemi. Krztusiłem się i walczyłem ze wszystkich sił. Dziwadło było śliskie, nie dawało się dobrze złapać. Wcisnęło mi paluchy do ust i niemal oderwało mi szczękę, ale ja zacisnąłem zęby i wyplułem kawał ziemi. Ono zamachało ramionami, a ja wbiłem mu łokieć w szyję. Nagle znalazłem się na górze. Próbowano się wyrwać, ale ja trzymałem je z całej siły. Patrzyłem na nie, ciężko dysząc. Z obu stron jazgotały psy.

Monstrum przypominało w dotyku człowieka, ale było bardziej miękkie. Miało twarz z wosku i dziurę w miejscu ust. Jego klatkę piersiową pokrywały czarne pióra, a z miejsca, gdzie powinno być serce, sterczało białe poroże jelenia. Odpadło mu ramię i podrygiwało teraz na ziemi nieopodal.

W dodatku to coś oddychało. Głęboko, spazmatycznie, błotniście. Przy którymś wydechu z ust wyfrunął mu płatek róży.

Nachyliłem się nad nim, plując błockiem. Z moich ust też wypadł płatek.

Palce miałem śliskie od ziemi, oczy zalewał mi pot. Bolało mnie w miejscu, gdzie ubódł róg. Walkiria zaskowyczała, ale Furia zawarczała. Czyli nic jej nie było. Z ulgi zakręciło mi się w głowie.

- Już dobrze - rzuciłem do niej.

Błotne monstrum szarpnęło się i prawie zrzuciło mnie z siebie. Chcąc przytrzymać je przy ziemi, nacisnąłem dłońmi na jego barki. Palce zapadły mi się na centymetr w miękkie ciało. Zrobiło mi się niedobrze.

Przełknąłem ślinę, żeby opanować mdłości. To nie może być prawdi. To tylko...

Co to właściwie było?

Jedyne, co wiedziałem na pewno, to to, że monstrum jest niesamowicie silne. Znowu spróbowało się spode mnie wyrwać. Chwyciłem za sterczące poroże, potwór zawył. Wyszarpnąłem róg, który wyskoczył z młasniciem. Mój przeciwnik zadygotał.

Odrzuciłem róg na bok.

To coś zastygło w stertę błota uformowaną na kształt człowieka i powoli zaczęło zapadać się w ziemię, zupełnie jakbyśmy mieli pod sobą bagno. Tyle że ja nie tonąłem.

Przez dłuższą chwilę po prostu klęczałem ze wzrokiem wbitym w ziemię. Zastanawiałem się, czy czasem nie oszalałem. A może po prostu mi się to wszystko przyśniło? Dyszałem ciężko, żebra miałem obolałe. Cały dygotałem od nadmiaru adrenaliny.

Najchętniej wyszedłbym ze skóry i gdzieś odleciał. Nagle poczułem, że mam ochotę na pomarańcze. Od dziecka jadłem je w przerwie podczas meczów piłkarskich.

Walkiria obwąchiwała resztki woskowej substancji, a Furia wtuliła głowę w moją dłoń. Na gołych plecach poczułem powiew wiatru. Wtedy usłyszałem dziewczęcy głos: - Zabiłeś go.

WILL

Moje psy ze szczekaniem wyrwały w stronę drzewa, z którego w zeszłym miesiącu spadła Holly. Tym razem poszczekiwały jednak radośnie, bez troski. Z trudem wstałem. Kiedy obejrzałem się na leżące na ziemi resztki błotnego monstrum, zabołały mnie łopatki.

Dziewczyna, której głos usłyszałem, siedziała okrakiem na najniższej gałęzi drzewa. Trudno ją było zauważyć, bo miała na sobie zlewający się z tłem strój: bojówki i zieloną podkoszulkę bez rękawów. Jej ramiona pokrywały zielonobłękitne esyflorety. Może były to tatuaże, a może rysunki flamastrem. Po obu stronach gałęzi niczym dwie kotwice zwieszały się czarne glany. W jednej ręce trzymała niewielką patchworkową torbę, a w drugiej - nóż myśliwski. Górną połowę jej twarzy zakrywały dziwaczne gogle.

Byłem zupełnie skołowany, ciągle też czułem niedawny przyływ adrenaliny. Miałem ochotę się roześmiać. Cała ta sytuacja była niewiarygodna. Błotne monstrum i dziewczyna w goglach siedząca na drzewie. Jasne.

Furia i Walkiria znowu zaszczekały.

Dziewczyna wbiła nóż w gałąź, odsunęła gogle na czoło i odgarnęła z twarzy plątanie jasnych włosów.

- Wszystko w porządku?

Przycisnąłem dłoń do brzucha, żeby wziąć się w garść. Uśmiechnąłem się szeroko, zastanawiając się, jak daleko zanurzyłem się w bajce.

- Chyba tak. Nazywam się Will.

Dziewczyna przymrużyła oczy. Powiew wiatru zdmuchnął jej jasne loki do tyłu. Drzewo, na którym siedziała, zatańczyło razem z nią, jak gdyby była jego częścią. Jakimś kolorowym grzybem wyrastającym z gałęzi.

Było w niej coś niesamowitego.

- A ja Mab Prowd - odpowiedziała w końcu.

Na ustach miała rozsmarowany ciemny płyn, jakby sok porzeczkowy. A z gęstwiny włosów wystawały małe patyki. Zanim zdążyłem zapytać, co się tutaj dzieje, na gałęzi tuż nad jej głową usiadł kruk. I jeszcze jeden. Oba miały rozłożone skrzydła.

Dziewczyna popatrzyła na nie i skinęła głową. Z lewej strony nadleciały kolejne trzy czarne ptaki i wylądowały na obalonym pniu. Dotarł do mnie ruch powietrza, które wzbudziły skrzydłami.

Poczułem się nieswojo. Jakby znowu zanosilo się na trzęsienie ziemi, tym razem z epicentrum w miejscu, gdzie siedziała Mab Prowd. Była w środku tego wszystkiego. Nie miałem pewności, czy to dobrze, czy źle. Czyżbym miał zemdleć? Tata byłby wniebowzięty.

Walkiria usiadła i wywalila język, bijąc ogonem o ziemię, a Furia oparła się całym ciężarem o moją nogę. Zanurzyłem palce w sierści na jej karku. Moje psy najwyraźniej zaakceptowały Mab; trochę mnie to uspokoiło.

- Ufają ci - zauważyła. Dla niej to najwyraźniej też był dobry znak.- Mhm. - Patrzyliśmy na siebie dłuższą chwilę. Znowu splunąłem, żeby pozbyć się z ust posmaku krwi i błota. - Wiesz... - Odwróciłem lekko głowę w kierunku resztek błotnistego monstrum. - Wiesz, co to było?

Dziewczyna przerzuciła nogę przez gałąź i zrzuciła torbę w krzaki. Powoli zsuwając się z drzewa, wyszarpnęła tkwiący w korze nóż. W końcu puściła gałąź i wylądowała na ugiętych nogach. Gogle i nóż schowała do torby.

Spodziewałem się, że wszystkiemu zaprzeczy.

- Śniłeś o różach - odparła jednak. Jakby to cokolwiek wyjaśniało. Opadła mi szczeka.

Mab przeszła obok mnie i kucnęła nad resztkami potwora. Na ustach miała krew, nie żaden sok porzeczkowy. W uszach dzwoniło mi coraz głośniejsze.

Odwróciłem się, żeby nie mieć jej za plecami. Mab przyglądała się monstrum z dzikim wyrazem twarzy. Dobrze, że na mnie nie patrzyła w ten sposób.

Z drzewa poderwało się kilka kruków i usiadło dookoła Mab, a potem z rozłożonymi skrzydłami podeszło jeszcze bliżej. Zauważyłem, że do mostka dziwoląga za pomocą poroża, które wyszarpnąłem, był przyszpilony martwy kruk.

Furia i Walkiria, obwąchując ziemię, zbliżyły się do Mab. Furia kłapnęła pyskiem w stronę jednego z kruków, a on w odpowiedzi zaklekotał i zatrzepotał skrzydłami. Patrzyłem na to wszystko z boku, jakbym oglądał film. Horror.

Mab zanurzyła dłonie w ciele potwora. Gałązki trzeszczały, a ona garść za garścią wygarniała błoto. Grudki spływające po jej przedramionach zostawiały jasnoczerwony ślad.

W końcu wyjęła lśniący kawałek mięsa. Było to serce. Serce.

Otworzyłem szeroko oczy. Nie byłem pewien, czy znowu nadchodzi trzęsienie ziemi, czy po prostu kręci mi się w głowie.



Mab coś wyszeptała, wstała i zaniósła serce w stronę torby, którą wcześniej zrzuciła z drzewa. Nie zwracając uwagi na swoje upaprane dłonie, wyjęła z torby pudełko soli i porządnie posypała nią serce. Część maleńkich kryształków przylepiła się do mięsa, a część spadła na ziemię.

Strach ścisnął mi żołądek. Zrobiłem krok do tyłu, w stronę jeziora. Potem kolejny. Moja stopa poślizgnęła się na mulistym brzegu. Musiałem puścić się pędem do samochodu, łapiąc po drodze buty i koszulkę. To wszystko kompletnie nie miało sensu. To nie mogła być prawda. Wcale nie przyszedłem tutaj, żeby uporać się z moimi koszmarami, tylko nadal tkwiłem wewnątrz jakiegoś koszmaru. Na pewno.

Ale nagle Mab coś szepnęła, a serce w jej dłoniach zwiędło i wyschło na wiórek. Resztki błotnego potwora też skurczyły się i pokruszyły w maleńkie kawałeczki. Mab poruszała ustami i bez śladu obrzydzenia czy strachu trzymała w dłoni serce. Było w tym obrazku coś nieznośnie rzeczywistego.

- Unieruchamiam cię. - Zacisnęła dłonie na spopielonym sercu, które przesypało jej się przez palce.

Poczułem, że muszę stąd spadać. Już otworzyłem usta, żeby się pożegnać i życzyć jej wszystkiego dobrego, ale Mab zamknęła nagle oczy i zachwiała się niepewnie. Jakby to ona miała lada moment zemdleć.

Przyskoczyłem do niej i złapałem ją w momencie, kiedy osuwała się na ziemię.

**MAB**

Przytłoczyła mnie fala nieznośnego zmęczenia. Nogi się pode mną ugięły, a głowa zachybotała pod ciężarem okularów niczym słonecznik na wietrze. Byłabym upadła, ale nieznajomy chłopak złapał mnie w swoje rozgrzane słońcem ramiona. Will. Tak się przedstawił.

Spojrzałam na niego, mrugając, i ścisnęłam jego nagie barki. Twarze mieliśmy tak blisko siebie, że widziałam, jak w reakcji na wynurzające się zza chmur słońce w magiczny nieomal sposób rozszerzają mu się źrenice.

Na jego skórę padły cętki światła.

Był mniej więcej w moim wieku. Nawet w całym tym zamieszaniu zachowywał się ze swobodą. Włosy miał obcięte krótko, a jego ramiona pokrywała typowa opalenizna kogoś, kto dużo przebywa na świeżym powietrzu - mimo że była dopiero połowa maja.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Wzięłam długi, świadomy oddech. Miałam wrażenie, że całe moje ciało ciąży ku ziemi, wypełnione gęstą, zmęczoną krwią. Popatrzyłam na pozostałości po lalce.

Kiedy uciekła z magicznej ziemi, zaczął się jej powolny rozkład. Na początku przypominała człowieka, teraz była tylko bezforemną masą. Spojrzałam na nią przez zmrużone oczy. Ze zmęczenia kolory wydawały mi się przyszarzałe. Przełamalam krąg i zużyłam przez to sporo energii, nie dostając nic w zamian. Powinnam coś zjeść i wrócić do domu, gdzie będę mogła się zaleczyć.

- Muszę się dostać do domu - odparłam. - To tylko kawałek na południe.

Will przyłożył swoje niesamowicie ciepłe dłonie do dolnej części moich pleców. Nie doś, że jakimś cudem wiedział, jak unieszkodliwić lalkę, to jeszcze teraz położył ręce we właściwym miejscu na moim ciele.

- Na pewno? Mogę cię podwieźć albo zabrać do...

Przerwał niepewnie, ale nie cofnął ramienia, które obejmowało mnie niczym podmuch letniego wiatru albo smuga słońca.- Nie, naprawdę. - Zastanawiałam się, czy będę musiała zapewnić go po raz trzeci. Być może na Willa nie działała perswazja.

- Dobra - powiedział jednak.

- Dziękuję. - Uśmiechnęłam się. Arthur potrafił zjednywać sobie ludzi wewnętrznym spokojem i pewnością siebie.

- Utrzymasz się na nogach, Mab? - Dłoń Willa nadal spoczywała na moich plecach.

Głęboko nabrałam powietrza i odsunęłam się od jego ręki.

- Chyba tak. Miałam ciężki poranek.

Jeden z jego psów obwąchał moje palce. Podrapałam go po jedwabistej sierści za uchem.

- To Walkiria. - Will wyciągnął palec w stronę drugiego psa. - A to Furia.

- Zrobił jej krzywdę? - Lalka była tu pierwsza, bo ja musiałam jeszcze przebrać się w ciuchy odpowiednie do lasu i wziąć z domu więcej soli. Wypadłam z drzew akurat wtedy, kiedy rzuciła się na Willa.

Chłopak spochmurniał. Kucnął i potarł gęstą sierść psa.

- Myślę, że nic jej nie jest.

- Z tobą nic jej nie grozi.

Twarz Willa przybrała niejednoznaczny wyraz. Dopiero po chwili uśmiechnął się do mnie.

- Pójdę już - rzekłam.

- Ja też. - Zerknął na resztki błota i splunął na ziemię. Przypomniał mi się smak lalki, który poczułam, kiedy pocałunkiem zbudziłam ją do życia.

Will już otworzył usta, żeby znowu zapytać, co to było, ale zmienił zdanie. Spojrzał na niebo, gdzie niespiesznie niczym sępy krążyły kruki. Pokręcił głową i roześmiał się cicho.

- To niemożliwe.

Nadszedł przełomowy moment. Czy uwierzy, że to naprawdę nie było nic ważnego? Czy raczej będzie obsesyjnie wracał do tego myślami i śnił o tym każdej nocy? Resztkami sił pomogłam mu stanąć na nogi. Popatrzyliśmy sobie w oczy, a ja dotknęłam jego ramienia ręką lepłą od krwi i błota. Już wcześniej zostawiłam na jego nagiej klatce piersiowej brudne smugi.

- To niemożliwe - przytaknęłam łagodnie, lecz stanowczo. Odcisnęłam na jego skórze niemal idealny kształt dłoni. -1 zupełnie nieistotne. Nie musisz o tym myśleć. To nie zagraża ani tobie, ani nikomu innemu. Już tego nie ma. Zniknęło, jakby nigdy nie istniało.

Zza jego pleców świeciło słońce. Jego włosy przypominały złocistorudą aureolę, a twarz pozostawała w cieniu. Przez ułamek sekundy wyglądał identycznie jak moja lalka: wyrzeźbione z błota mięśnie, woskowy uśmiech. Ale gdy po chwili potrząsnął głową, iluzja zniknęła.

- Masz rację. Niemożliwe.

Podeszłam kilka kroków do mojego magicznego przybornika, który zostawiłam pod długimi gałęziami wierzby. Przerzuciłam torbę przez ramię i popatrzyłam na Willa.

- Dziękuję, Will. Chciałabym ci się jakoś odwdziaczyć. Mój dom leży trzy kilometry na południe od drogi stanowej.

- Trzy kilometry. Okej.

- Gdybyś kiedyś potrzebował pomocy.

- Mhm. - Obserwował bacznie każdy mój ruch.

Pożegnania, do jakich przywykłam, pełne były oficjalnych sformułowań, błogosławieństw, zaklęć i odwołań do Boga. Przypuszczałam jednak, że Will szybko mnie zapomni, bo na pewno nie pasowałam do jego obrazu świata, a ludzie nie lubią pamiętać o rzeczach, które nie mają sensu. Rzuciłam więc po prostu: - Bywaj zdrow!

Po czym odwróciłam się i odeszłam, starając się iść prosto, pewnie. Kruki pofrunęły w ślad za mną, cętkując trawę cieniami.

Kiedy ujrzałam Cię po raz pierwszy, miałam siedemnaście lat. Zeszłam właśnie ze schodków pociągu, a Ty z rękami w kieszeniach spodni stałeś na peronie, oparty szczupłym ramieniem o ceglany budynek stacji. Pomyślałam: Oto twoja przyszłość, Evie. Co za mężczyzna!

Wtedy zza rogu wyłonił się Gabriel. Uchylił kapelusza. Miał modnie skrojony garnitur i wypolerowane buty - wyglądałeś przy nim skromnie, ale najwyraźniej się tym nie przejmowałeś. Gabriel podał mi ramię, a ja postawiłam walizkę na peronie.

- Evie Sonnenschein - rzekł Gabriel i wsunął sobie pod ramię moją obleczoną w rękawiczkę dłoń. - Witamy w Kansas.

Poznałam go cztery lata wcześniej w salonie mego ojca. Gdyby zapytano mnie o zdanie, przyznałabym, że nie zmienił się ani na jotę. Nadal wyglądał jak żywcem wyjęty ze studia MGM. Szczupły, zwinny, uśmiechnięty, z lśnącymi, wypomadowanymi włosami, delikatnymi dłońmi i tajemniczymi tatuażami wyglądającymi zza sztywnego kołnierzyka koszuli. Skinął na Ciebie głową.

- Oto mój kuzyn Arthur, nasz dobroczyńca. Gospodarz naszej ziemi.

Gabriel uśmiechnął się do Ciebie cierpko. Byłam zaskoczona. Wyobrażałam sobie, że Arthur Prowd to ktoś stary, tymczasem Ty wyglądałeś na mojego rówieśnika, miałeś ładne błękitne oczy i cichy, spokojny głos.

- Panno Sonnenschein - rzekłeś cicho. Kiedy do nas podszedłeś, nie podałeś mi dłoni, tylko się ukloniłeś. Nie miałeś kapelusza; Twoje jasne jak księżyc włosy założone były za uszy. Mimo rzeźkości powietrza byłeś w samej koszuli, której podwinięte rękawy odsłaniały opalone przedramiona. Spodobały mi się Twoje nadgarstki. Wyobraziłam sobie, jak jednym ich ruchem przywołujesz kształty z dymu albo jak trzymasz w dłoniach małego ptaka.

- Panie Prowd - odparłam - dziękuję, że mnie pan przygarnął.

Potem we troje skierowaliśmy się do dziesięcioletniego pontiaca, który stał samotnie na zakurczonym parkingu. Miał zardzewiałą kratkę z przodu maski, a jeden z okrągłych reflektorów był pęknięty. Ty usiadłeś za kierownicą, a Gabriel kurtuazyjnie zaproponował mi fotel obok kierowcy, sam zaś zajął miejsce z tyłu, razem z moją walizką.

Przed nami zachodziło słońce, tworząc na niebie wstęgi w kolorach różu i czerwieni. Sunęliśmy przez opustoszałe pagórki do miejsca, które miało stać się naszym domem. Trzymałeś kierownicę lekko, niedbale, wpatrzony w drogę. Siedziałam nieruchomo, ale marzyłam tylko o tym, by przypaść do szyby i napawać się widokiem srebrno-brązowego krajobrazu, który śmigał za oknem. Była późna jesień. Na większości drzew została jedynie garstka najbardziej opieszłych liści. W nielicznych przytulonych do miasteczka zagrodach, które mijaliśmy, zakończono już zniwa. Kwadratowe poletka zżętej pszenicy złociły się w zachodzącym słońcu. Zauważyłam trzy jelenie, które na dźwięk naszego terkoczącego silnika uniosły głowy.

Byłam tu dopiero kwadrans, ale zapragnęłam zostać na zawsze.

Z tyłu pochylił się ku mnie Gabriel. Stare skórzane siedzenie zaskrzypiało. Zapytał, jak minęła mi podróż i czy ktoś w Chicago wie o naszej magii. Zaprzeczyłam. Cała moja rodzina nie żyła, a nikomu spośród szkolnych znajomych nie ufałam na tyle, by powierzyć mu tajemnicę.

Ty skinąłeś lekko głową, ale nie spojrzawsz na mnie. Z zaskoczeniem stwierdziłam, że bardzo chciałabym, żebyś jednak spojrzął.

- Nie do wiary, co za ziąb - rzucił Gabriel i klepnął tył mojego fotela. - Wczoraj, panno Evie, było tak ciepło, że dało się pływać. Tu, na prerii, matka natura z pewnością zaskoczy panią niejednym razem.

- W Chicago bywa podobnie, panie Desmarais. - Jednak rzeczywiście było mi chłodno, mimo że przywdziałam tweedowy płaszcz z wysokim futrzanym kołnierzem, który dawniej należał do matki.

Gabriel zauważył, że się trzęsę.

- Proszę wziąć mój płaszcz.

Z uśmiechem wyjęłam z kieszeni małe, zastrzone na końcu pióro i palec po palcu zdjęłam rękawiczkę. Skoncentrowałam uwagę i odetchnęłam głęboko trzy razy.

- Potrafię się ogrzać - odparłam.

Drasnęłam się piórem w jeden z palców i w tym samym momencie na środku mojej dłoni wykwitła kula ognia. Zawisała nad moją ręką, ogrzewając całe wnętrze samochodu. Gabriel wydał okrzyk niedowierzania, a potem wybuchnął śmiechem. Zauważyłam, że i Ty w końcu na mnie popatrzyłeś, a kącik Twoich ust Uniósł się lekko w uśmiechu.

WILL

Po drodze do domu zatrzymałem się w cukierni po pączki.

Zgodnie z pierwotnym planem zamierzałem podjechać do jeziora, rozprawić się z koszmarami i wrócić do domu jeszcze przed kościołem, żeby uniknąć ochrzantu mamy. Może nawet zdrzemnąć się, zanim przyjedzie Ben.

Ale teraz miałem kwadrans obsuwu, byłem cały w krwi i błocie, a zamiast pozbyć się koszmarów, zapewne nabawiłem się nowych, z dziewczyną w goglach i potworem goniącym moje psy.

Przerąbane.

Docisnąłem gaz, lustrując teren w poszukiwaniu policji.

Miałem nadzieję, że tata jest w tak dobrym nastroju z powodu powrotu Bena, że pączki wprawiają go w wyśmienity. A mama przepadała za pączkami, więc nie będzie zła, że nie poszliśmy do kościoła. Teraz w samochodzie nie pachniało już błotem, tylko słodkością.

W rockowej stacji, której słuchałem, zaczęły się reklamy, więc przełączyłem na muzykę klasyczną i zdecydowanie pogłośniłem. Prerię i dolinę rzeki zostawiłem za plecami. Po obu stronach szosy wyrosły nowe domy ciągnące się wzdłuż identycznych ślepych uliczek.

Nasza okolica miała i kolor, i różnorodność gniazda os. Każdy domek zbudowano według jednego z może pięciu wzorów, z różnicami, które sprowadzały się do paru wariantów koloru farby albo zestawu ozdób w ogrodzie. Wszystko było czyste. Sterylne. Absolutnie niepasujące do błotnego monstrum. Albo bardzo, bardzo dziwnej dziewczyny, która przyłożyła mi zakrwawioną dłoń do piersi i powiedziała: „To zupełnie nieistotne”.

Im dłużej myślałem o tym, co mi się przydarzyło, tym mniej wydawało się to ważne. Jak to mówią: co z oczu, to z serca.

Pogłośniłem radio jeszcze trochę. Sąsiedzi byli przyzwyczajeni, że lubię słuchać muzyki na cały regulator, tylko że raczej nie w niedzielny poranek. Wyłączyłem, kiedy wjechałem na podjazd, ale mama i tak chyba obserwowała mnie przez okno, bo drzwi otworzyły się w momencie, kiedy zgasilem silnik.

Czekała na mnie na niewielkiej werandzie, ubrana w eleganckie spodnie garniturowe i fioletową bluzkę.

Miałem wrażenie, że intensywny zapach błota i słodczy nieomal oblepia moją spoconą twarz. Wyszczrzyłem się w uśmiechu, w nadziei, że uda mi się oczarować mamę i nie będę musiał kłamać. Otworzyłem drzwiczki.

- Cześć, mamó! - Natarłem na nią z rozłożonymi ramionami, jakbym zamierzał zamknąć ją w utyłtłanym, misiowatym uścisku.

Mama otworzyła szeroko oczy i wyciągnęła przed siebie dłonie.

- O nie, Williamie, stop!

Zamarłem z uniesionymi rękami i zacisnąłem palce, potem powoli opuściłem ramiona i podbródek, żeby z werandy była w stanie dostrzec tylko moje duże, brązowe oczy.

Mama załamała ręce.

- Will, gdzieś ty się podziewał? - Zerknęła na stojący z tyłu samochód.

- No jak to, pojechałem po pączki. Są świeżuteńkie.- Musiałeś w tym celu przeprowiać się przez rzekę?

- To jedyna droga do Królestwa Pączków, gdzie Furia i Walkiria odniosły zwycięstwo nad... yyy... Okrutnym Księciem Piramidy Żywienia.

Mama wybuchnęła śmiechem, a ja odetchnąłem z ulgą. Jeżeli śmiała się pięć razy dziennie, wygrałem. Moim celem na dzisiaj było rozśmieszyć ją dziesięć razy, za każdy z dziesięciu miesięcy bez Aarona.

- No dobrze, dzielny sir Williamie, szykuj się do kościoła.

- Tak, pani. - Pobiegłem do samochodu po różowe pudełko z pączkami. - Muszę umyć psy.

Podąłem mamie paczuszkę; chwyciła ją w taki sposób, żeby nie dotknąć smug błota, które zostawiły moje dłonie. Zamrużyła i przyjrzała się rysunkowi pączka na pudełku, a potem uniosła wzrok i uśmiechnęła się.

- Wiesz co, myślę, że damy radę zjeść parę pączków, jeśli się pospieszysz z psami. Msza dopiero za czterdzieści minut.

- Myślałem, że zaczęła się dziesięć minut temu.

- Na tę już nie zdążymy, pójdziemy gdzie indziej.

- A może sobie darujemy? - Popatrzyłem na dom jakby w poszukiwaniu odpowiedzi, co jest grane.

Mama podparła się pod bok zwiniętą w pięść dłoń.

- Nic z tego. Musimy podziękować Bogu, że twój brat wraca do domu.

Poprowadziłem psy przez garaż, żeby splukać je szlauchem, a potem wpędziłem je do kojca zajmującego jedną czwartą powierzchni ogrodu na tyłach domu. Odsuwałem od siebie myśl o powrocie Bena. Jasne, że chciałem go zobaczyć, ale jednocześnie najchętniej uciekłbym jak najdalej stąd, poszybował wysoko pod niebo, skąd miałbym widok na całą okolicę. Mógłbym obserwować, nie będąc samemu widzianym, i w razie czego - gdyby stało się coś strasznego - zwyczajnie odlecieć.

Walkiria pobiegła po niebieskoczarny sznurek, który trzymała w swojej pustej misce. Wcisnęła mi go w rękę, sama trzymając drugi koniec, i mocowaliśmy się przez chwilę. Pod wpływem wysiłku odezwał się siniak na mostku. Nieprzyjemne przypomnienie dziwaczego - i przecież niemożliwego - porannego incydentu.

Furia odepchnęła Walkirię; przez chwilę kłapały na siebie pyskami. Żałowałem, że nie mogę ich zapytać, czy też pamiętają spotkanie z monstrem. Zaprzeczyłyby czy potwierdziły? Teraz, w przydomowym ogrodzie, wspomnienie trochę się zacierało, jak gdyby mój mózg doszedł do wniosku, że jedyną sensowną strategią radzenia sobie z nim to udawać, że nic się nie stało.

Popatrzyłem na moje psy. Były siostrami z jednego miotu. Miały trochę ponad rok. Wybraliśmy je w Tonganoxie z Aaronem, a potem tygodniami szkoliliśmy. Powiedział: „Żeby cię pilnowały, kiedy mnie nie będzie”. Miał oczywiście na myśli swój wyjazd na studia. Mama była przerażona perspektywą posiadania dwóch wielkich psisk wnoszących błoto do salonu. Za wszystkie pieniądze zarobione zeszłego lata kupiłem deski na kojec. Przez

pierwszy tydzień po pogrzebie właśnie tym się zajmowałem - zbijaniem dla nich zagrody. I jeszcze guglaniem, czy są jakieś obostrzenia w przewozie psów do Australii.

Uklęknąłem, a psy przybiegły natychmiast. Walkiria zawyła, a Furia niuchnęła mi w ucho. Objąłem je za karki i zanurzyłem twarz w intensywnie pachnącej sierści Furii. Kiedy rzuciło się na nią błotniste monstrum, byłem naprawdę przerażony. Wróciłem myślami do zapasów z dziwolągami i chwili, kiedy poczułem jego smak na języku. I do Mab sypiącej na trzymanew dłoni serce kryształki soli przypominające diamenty, podczas gdy potwór kurczył się i kruszył.

Poczułem w ustach krew. Splunąłem na trawę.

To nie mogła być prawda. To, co przydarzyło mi się dziś rano, na pewno było efektem długiego moczenia się w jeziorze; musiało mieć związek z szokiem po wypadku, który Holly nieomal przypłaciła życiem.

Ale w porównaniu z tym, co czekało mnie po południu, monstrum nie wydawało się takie złe.

MAB

Pod koronami drzew było ciepło mimo cienia, jaki dawały. Wchodziłam na wzgórze niewybrukowaną drogą prowadzącą do Różowego Domu. Część kruków skakała z gałęzi na gałąź, niektóre szybowaly wysoko w milczeniu. Szłam miarowym krokiem jedną z kolein wyżłobionych w gęstym błocku, po którym mlaskały moje podeszwy. Całą uwagę koncentrowałam na powolnym marszu w stronę domu; za każdym krokiem musiałam wyciągać buty z błota. Marzyłam, by się rozebrać, wejść do wanny i zasnąć w gorącej kąpieli z pianą.

Przed oczami stanęła mi twarz Willa. Kiedy zwyciężył mojego uciekiniera, odmalowało się na niej osłupienie. Miałam niesamowite szczęście, że tam był i złapał lalkę, zanim pobięła gdzieś dalej, do ludzi. Nie przypuszczałam, że przywołanie uwięzionej w różach istoty okaże się tak niebezpieczne. Ten ktoś był... był silniejszy, niż sądziłam. Teraz tym bardziej męczyła mnie ciekawość, dlaczego, jak i kiedy został zaklęty w rabatce róż. Ale nigdy się tego nie dowiem. Istota umarła. Opuściła róże, żeby opętać ulepioną przeze mnie lalkę, a potem została unicestwiona w momencie, kiedy Will wyciągnął róg przytrzymujący jelenie serce. Kiedy odpocznę, będę musiała tam wrócić i pozbierać ile się da wosku i reszty składników. Zamierzałam przynieść je do domu i trochę z nimi poeksperymentować. Może coś z tego przyda mi się przy innej okazji, przynajmniej do wzmocnienia magicznych linii, którymi chroniłam ogród przed królikami.

Na kilka metrów przed szczytem wzgórza zeszałam z drogi i zamknęłam oczy.



Las śpiewał, przepelniony magią ukrytą pod poszyciem. Był to efekt wieloletniego życia obok nas czarowników i czarownic. W ciągłym cyklu wymiany energii użyźnialiśmy naszą mocą ziemię, a w zamian wyciągaliśmy z niej naturalną magię świata. Od stu lat istniała osoba - Diakon - która wzmacniała to miejsce i stanowiła przystań, gdzie może przyjść każdy, kto potrzebuje naszej pomocy. Magia tej ziemi ujawniała się w drzewach.

Wyciągnęłam ręce przed siebie i ruszyłam powoli do przodu. W ciemności za przymkniętymi powiekami dostrzegałam jedynie pomarańczowe plamki światła i niebieską toń, ale widziałam doskonale za pomocą palców. Musnęłam dłońmi liście. Byłam Diakonem, a więc każde moje dotknięcie niosło ze sobą magię. Moja skóra piła wszystko, co dawał mi las. Moc prześlizgiwała mi się przez nadgarstki, ramiona i w końcu kumulowała się centrycznie w klatce piersiowej. Moc delikatna, słodka, znajoma.

W strumieniach magii małe ranki na moich rękach goiły się w mgnieniu oka, a siniaki wybarwiały na żółto i znikwały. Przyspieszyłam kroku i otworzyłam oczy, zwinnie przesuwając się pomiędzy gałęziami.

Chcąc nie chcąc, uśmiechnęłam się. I las, i magia były moje. Moc płynęła mi w żyłach. Czyste, niczym niezmacone szczęście usunęło ze mnie resztki rozczarowania. Wszystko we mnie śpiewało. W końcu wyszłam na polanę, gdzie leżał dom z ogrodem. Kruki co sił poszybowały w kierunku werandy. Połowa usiadła na okapie, a połowa minęła dom od zachodu i wylądowała w ogrodzie. Donna uniosła głowę znad grządek z groszkiem pachnącym. Jej kapelusz z szerokim rondem opadł do tyłu. Początkowo się uśmiechnęła, ale mina szybko jej zrzęda.

- Wszystko w porządku? - Wstała z klęczek i podeszła do mnie. Minę miała zatroskaną; przez warstwę brudu i krwi nie było przecież widać, że już się zaleczyłam.

- W porządku. Jestem tylko zmęczona.

Trawiastozielone oczy Donny obserwowały runy, które namalowałam sobie na rękach.

- Myślałam, że poszłaś utrwalić magię, tylko coś cię po drodze zatrzymało.

- Postanowiłam... yyy... poeksperymentować. Chciałam wymyślić sposób na pozbycie się róż. - Wyprostowałam się i usiłowałam nadać sobie tę niewymuszoną pewność siebie, w której tak celował Arthur. Pasowała do mnie jak pięść do nosa. - Poszło nie do końca zgodnie z planem, ale nic mi nie jest.

Donna przesunęła kciukiem po moim policzku, przyglądając mi się ze spokojnym, neutralnym wyrazem twarzy. Włosy miała splecione w dwa warkocze zwisające po obu stronach szyi. Dzięki nim drobne zmarszczki okalające jej oczy wyglądały na zmarszczki od śmiechu, a nie ze starości. Przyjechała tutaj siedem lat temu. Miałam wtedy dziesięć lat. Była

świeżo po ogoleniu się na łyso. Pamiętam, jak siedziałam z nią na ławce w ogrodzie i dotykałam miękkiego puszku porastającego jej głowę.

- Dlaczego ich nie ma? - wyszeptałam.

- Nie miałam co zrobić z brzytwą.

Zawsze nosiła długie rękawy, nawet w sierpniowym skwarze. Szeregi poszarpanych nacięć na jej przedramionach zobaczyłam więc tylko raz, gdy pewnego poranka myła ręce w studni.

Kiedy włosy odrosły jej na tyle, że musiała je upinać, żeby nie wchodziły jej do oczu, miałam dwanaście lat. Razem z nią, Arthurem i babcią Lyn zakopaliśmy wtedy na magicznej ziemi jej brzytwę i unieruchomiliśmy ją na zawsze. Było to ostatnie zaklęcie Donny. Nadal nosiła długie rękawy i nieczęsto się uśmiechała, ale hodowane przez nią kwiaty i warzywa rosły dorodne i słodkie.

- Na pewno sobie poradzisz, wróżko. Już wyglądają na trochę zmaltretowane. - Donna zerknęła w głąb ogrodu, na bajoro błota i płatków róży, gdzie klęczałam dziś rano. - Słuchaj, idź się wykapać, a ja zrobię śniadanie, bo pewnie nic nie jadłaś. I herbaty.

- Dziękuję. - Poprawiłam torbę na ramieniu i ruszyłam w stronę domu. Chciałabym móc wszystko jej opowiedzieć. O lalce, o Willu. Ale nigdy w życiu nie przyznałabym się jej, że złapałam i zabiłam jelenia, że za pomocą pyłu kostnego i własnych włosów ożywiłam ulepioną z gliny lalkę. Nie zrozumiałaby. Donna była co prawda czarownicą tak samo jak ja, ale nie korzystała ze swoich mocy. Arthur uczył mnie, że magia to dar, który sprawia, że jestem tym, kim jestem. Donna uważała, że to raczej przekleństwo, które trzeba trzymać w ryzach.

Razem weszliśmy na werandę i do domu. Do kuchni wleciało przez okno kilka kruków, ale Donna w ogóle nie zwróciła na nie uwagi, po prostu zmiotła jednego z blatu, sięgając po czajnik. Przyglądałam jej się przez chwilę. Poruszała się zawsze z takim spokojem i delikatnością, jakby otaczający ją świat był z porcelany.

- Mab?

Zamrugałam.

- Przepraszam, zamysliłam się.

Donna przyglądała mi się znad kuchenki.

- Przez chwilę bardzo przypominałaś Arthura.

Jej słowa pomogły mi wyrwać się z odrętwienia. Matka mówiła, że Arthur, gdyby tylko chciał, mógłby panować nad światem. Wierzyłam jej. Arthur kilkoma wyszeptanymi słowami potrafił sprawić, że drzewa splatały gałęzie nad naszymi głowami, chroniąc nas

przed niespodziewaną ulewą. Kiedy brał mnie na barana i szliśmy na codzienny obchód terenu, widziałam, jak przywracał do życia znalezione chore ptaki, a gdy kładł rękę na nadgarstku matki, ulatywała z niej cała złość. Jeżeli potrafił okiełznać jej wściekłość, z pewnością poradziłby sobie z całym światem. Dlatego miałam zwyczaj naśladowania jego chodu, gestów, min. Wbijając sobie do głowy każde jego słowo. Wsłuchiwałam się w swoją krew i odczytywałam jej tajemnice. Obiecałam sobie, że kiedyś będę nierozłączna z naturą - jak Arthur. Miałam nadzieję, że uda mi się dbać o naszą ziemię równie dobrze i pokojowo jak on.

Nie przypuszczałam, że tak szybko będę miała szansę się sprawdzić.

Jednak kiedy wchodziłam po schodach do siebie na górę, uśmiechnęłam się. Donna zauważyła go we mnie. Mimo że tym razem nie próbowałam go naśladować.

WILL

Choćbym wyżuł nie wiem ile gum, kiedy tylko wypluwałem je z ust, posmak wracał. Błotne monstrum. Jakbym całe rano gryzł stare monety.

Po powrocie z kościoła mama zaczęła rozstawiać nas po kątach, jakby to ona była sierżantem od musztry, a nie tata. Na moje oko nie było żadnego bałaganu ani brudu, ale mama rozkazała zetrzeć kurze z półek, odkurzyć schody i wyczyścić śmigła wentylatorów na suficie, bo zwisało z nich parę pajęczynek. Fuknąłem: Ben nie zauważyłby, że dom lśni, nawet gdyby od tego oślepl.

Tata położył mi ciężko dłonie na ramionach i powiedział, żebym, na Boga, zachowywał się jak dorosły i przestał dręczyć matkę; Ben cały rok spędził w górach i na pewno ucieszy się, że podłogi są umyte. Potem tata poszedł do kuchni i wrócił z falbaniastym fartuchem, którym cisnął we mnie. Zawiązałem go sobie na karku, a kwiecista materia rozwinęła się w dół. Mama związała mi go w pasie. Lekki uśmiech odcisnął dołeczek na jej policzku. Wygładziła materiał dłońmi i spojrzała na mnie z uniesionymi brwiami.

Godzinę szorowania później nie zostało nic więcej do roboty. Odkryłem, że odkurzanie sufitu to znakomity sposób, aby zagłuszyć natrętne myśli o tym, co stało się rano.

Mama jednak stanęła pośrodku pokoju ze zmarszczonym czołem. Wziąłem ją za rękę i posadziłem przy stole w kuchni, a tata zrobił jej mimozę. Nawet trochę żałowałem, że nie nalał też sobie. Od ponad roku w ogóle nie pił alkoholu. Mama zaproponowała mi łyk na ukojenie nerwów, ale zerknąłem na tatę i z uśmiechem zapewniłem, że wcale nie jestem zdenerwowany.

I właśnie wtedy zadzwoniła komórka taty.

Zamarliśmy z mamą, a tata wyjął telefon z kieszeni.

- Jak się masz, żołnierzu. - Rozciągnął w uśmiechu zasznurowane usta.

Mama stanęła obok mnie i ścisnęła moją rękę. Niemal dokładnie rok temu, kiedy tata rozmawiał przez telefon z policją na temat Aarona, staliśmy w ten sam sposób.

Ale tym razem tata się roześmiał. Na ten dźwięk mama cała zeszywniała. - Ruszam spod domu za trzy kwadransy. Co powiesz na spaghetti? - Przytaknął, ciągle się uśmiechając, a potem rozłączył się i zwrócił do nas: - Ben jest w świetnej formie. Właśnie ma przesiadkę w Cincinnati - tata podszedł bliżej i chwycił mamę za rękę - i wielką ochotę na spaghetti.

Żadna niespodzianka. Dwa miesiące temu napisał nam w mailu z Kabulu, że marzy właśnie o spaghetti.

- Może powinniśmy pojechać wszyscy, żeby go powitać, kiedy będzie wysiadał z samolotu - zaproponowała mama.

Jęknąłem.

Tata popatrzył na mnie gniewnie, ale powiedział tylko:

- Najlepiej będzie, jak wszyscy spotkamy się tutaj, w domu.

Poszedł do salonu i zaczął majstrować coś przy odtwarzaczu. Po chwili usłyszeliśmy niezobowiązującą piosenkę Sinatry; mama go uwielbiała. Tata wrócił do kuchni i uklonił się jej wytwornie. Wyprężył plecy i wyprostował ramiona, jakby miał na sobie swój mundur galowy. Mama roześmiała się i wyciągnęła ku niemu rękę. Zaczęli tańczyć.

Aż miło było patrzeć. Naprawdę.

Zabrałem się do kompletowania składników na spaghetti. Zająłem stanowisko nad deską do krojenia i zacząłem siekać, raz po raz podjadając kawałeczki cebuli. Surowa cebula była dość paskudna, ale na dłużej niż guma zabijała posmak błotnego monstrum.

Kiedy tata pojechał na lotnisko, sos już bulgotał. Mama zdjęła mi fartuch, podśpiewując razem z Sinatrą, i pociągnęła mnie do tańca. Wszystkich nas nauczyła trochę tańczyć, więc nie było to dla mnie problemem. Przejąłem prowadzenie i zakręciłem nią. Mama się roześmiała.

- Chyba nie jesteś zdenerwowany?

Zawirowałem mamą. W ciasnej kuchni nie było to wcale łatwe. Sos roztaczał w całym domu zapach pomidorów i fenkułu. Czas go pomieszać. Mama ujęła moją twarz w dłonie i znowu zwróciła się do mnie:

- Will, niepotrzebnie.

- To przecież mój brat. Wcale się nie denerwuję. - Zdjąłem jej rękę z twarzy. - Muszę pomieszać.

Jej uśmiech trochę wyblakł; wyglądał teraz nieco smutno i dumnie zarazem.

- Jesteś bohaterem - wyszeptała, a ja zwróciłem się ku kuchence.

MAB

Zasnąłam w wannie. Śniło mi się, że walczę z lalką - zacisnęła swoje lepkie, woskowe palce na mojej szyi. Przygryzłam wargę, żeby dostać się do krwi, ale bezskutecznie. Zdrapałam trochę skóry z ramienia, lecz zamiast czerwonego ciała miałam tylko żółtą, matową materię. Poszarpane usta lalki wykrzywiły się w uśmiechu.

Obudziłam się gwałtownie, wychlapując wodę ze stojącej na nóżkach wanny. Kąpiel wystygła, a moja skóra rozmiękczyła się i pomarszczyła. W łazience rozlegało się dziwne skrobanie. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam kruka, który przysiadł na rezerwuarze toalety. Zeskoczył na bladozielone kafelki i zrobił kilka sztywnych kroków. Jego głowa podskakiwała, a pazury ślizgały się niezgrabnie. Doszedłszy do okna, podfrunął na parapet. Przez okno powiał ciepły, wilgotny wietrzyk, pomarszczył firanki i zmierzwił krukowi pióra. Ptak zaskrzeczał w moją stronę, poruszył ogonem i wzbił się w powietrze.

Usłyszałam, jak przekrzykuje się ze swoimi braćmi. Potem trzasnęły drzwi samochodu. Najwyraźniej mieliśmy gości, a kruk przyszedł mnie obudzić. Wstałam. Z włosów ściekała mi woda. Były mokre, ciężkie i skołtunione, sięgały teraz poniżej pasa. Nie zamierzałam moczyć ich bez rozczesania, ale we śnie osunęłam się do wody. Teraz wytarłam się i upięłam je w węzeł. Potem poszłam do swojego pokoju i odszukałam żółtą jak słońce letnią sukienkę. Babcia Lyn uszyła mi ją w zeszłym roku ze skrawków starej flagi w słoneczniki.

Na zewnątrz ktoś mnie zawołał. Podeszłam do otwartego okna. Na wysypanym kamyczkami podjeździe stała luksusowa srebrzysta terenówka, a dookoła niej siedziały kruki. Była tak lśniąca, że przyciągnęłyby je, nawet gdyby nie wiedziały, kto nią przyjechał.

Przy samochodzie od strony kierowcy stał syn Donny, Nick. Wsparł się rękami o swoje wąskie biodra i przypatrywał się rozbryzgom błota, które pokrywały cały dół jego samochodu. Kilka błotnistych plam znaczyło drogę do klamki. Nick wyjął komórkę z tylnej kieszeni spodni i zrobił zdjęcie brudnej karoserii.

Wychyliłam się i zawołałam:

- Nick!

On obrócił się i uśmiechnął do mnie. Miał na sobie to, co zwykle: dopasowaną koszulkę, kamizelkę od garnituru i spłaszczony od góry kapelusz. Uniósł go w pozdrowieniu.

- Cześć, mała! - I zaraz zrobił przesadnie zmieszana minę. - To znaczy Diakonie.

Uśmiechnęłam się.

- Nie spodziewaliśmy się ciebie! Już schodzę. - Pomachałam i zniknęłam z okna, nie dając mu czasu na odpowiedź.

Pośrodku pokoju zatrzymałam się i wzięłam głęboki oddech. Modliłam się, żeby Silla, jego dziewczyna, nie przyjechała razem z nim. Po naszym pożegnaniu w zeszłym miesiącu chyba bym nie przeżyła, gdyby się dowiedziała, że poświęciłam jednego kruka.

Chwilę później byłam na parterze, skacząc pomiędzy skrzypiącymi miejscami na podłodze. Jednak kiedy dotarłam pod łuk prowadzący do kuchni, oprzytomniałam. Nie byłam już dzieckiem biegnącym na spotkanie z prawie bratem. Byłam Diakonem, który zaraz powita powracającego czarownika.

Dzień zapowiadał się upalny. Na intensywnie błękitnym niebie wisiało kilka ledwie widocznych chmur. Zeszłam ze schodów werandy i skierowałam się w stronę Nicka. Mój uśmiech był równie słoneczny jak dzień. Nick podszedł do tylnych drzwi lśniącej terenówki. Kruki wylądowały na metalowych relingach na dachu samochodu.

- Co cię sprowadza do Kansas? - Nick przenigdy nie przyjeżdżał tylko po to, żeby odwiedzić mamę.

Popatrzył na mnie ponuro. Zamarłam, bo Nick nie bywał ponury. Żartował nawet wtedy, kiedy na kogoś krzyczał.

Otworzył tylne drzwi, z których wypadł z piśnięciem mały chłopiec i wylądował na ciepłej trawie u moich stóp.

- Przywiozłem ci kłatwę. - Nick położył dłoń na włosach chłopca.

WILL

Przed przyjazdem Bena i taty stwierdziłem definitywnie, że to ja sam wyobraziłem sobie całe to błotne monstrum i posmak krwi. Nie było innej możliwości. Wszystko po to, żeby nie myśleć o tym, co się stanie naprawdę: że będziemy musieli zasiąść do pierwszego rodzinnego posiłku bez Aarona.

My z rodzicami przyzwyczailiśmy się do zmian w życiu codziennym. Teraz jadalniemy w kuchni zamiast w jadalni, żeby brak Aarona nie był tak odczuwalny. Ale z Benem trzeba będzie usiąść do dużego stołu. Usiądziemy, każdy nad swoją serwetką, i będziemy udawać, że wszystko gra.

Nakryliśmy do stołu zastawą prezydencką - kupioną z okazji wizyty prezydenta - i srebrnymi sztućcami. Mama zrobiła sałatkę, a ja przygotowałem poncz limonkowoananasowy, którego pewnie nikt poza mną nie spróbuje, ale w kryształowym dzbanku prezentował się elegancko.

Psy zaczęły szczekać i skrobać w drewnianą furtkę w ogrodzie. Usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwiczek samochodu. Mama poszła do przedpokoju, ja ustawiłem się tuż za nią. Kiedy otworzyły się drzwi, pomyślałem nagle: co by to było, gdyby to Aaron teraz wszedł, a nie Ben?

Ale wyłonił się zza nich Ben, którego nie widziałem przez najdłuższy rok w moim życiu.

Podniósł mamę, żeby mogła go porządnie przytulić. Zamknął oczy i zacisnął palce na jej plecach tak, że aż zbieleły. Mama pocałowała go i przyglądała mu włosy. Starła łzy z policzków i uśmiechnęła się do niego tak promiennie, że aż było to widać na jego twarzy.

Ja trzymałem się z boku. Wiedziałem, że to dziecinne. Usiłowałem nie myśleć o Benie w mundurze, w którym widziałem go na pogrzebie zeszłego lata. Wołałem go takim, jaki był teraz: starszy brat w dzinsach i koszulce, z workiem żeglarskim przerzuconym przez ramię.

Ben popatrzył na mnie.

- Cześć, Will.

Miał jakby inną skórę, ciemniejszą, i głowę jak zwykle ogoloną na zero, co zawsze prowokowało mnie do zapuszczenia włosów. Był zarazem chudszy i bardziej przypakowany. Mój brat i nie mój brat. Zareagowałem o sekundę za późno. Jego wyciągnięta ku mnie dłoń zbyt długo wisiała w powietrzu.- Jesteś głodny? Obiad gotowy - odezwał się tata.

Ben się uśmiechnął.

- Mamo, super pachnie.

- Sos zrobił Will. - Mama ścisnęła mnie za ramię, a ja pospiesznie przytaknąłem.

Zanim sytuacja stała się jeszcze bardziej niezręczna, wysypaliśmy się do jadalni. Poszedłem do kuchni po sos, a potem tata pobłogosławił posiłek. Mama podziękowała mi za świetne jedzenie.

- Ben, cieszę się, że wróciłeś - wydukałem w końcu.

Mówiłem szczerze. Ja i Ben siedzieliśmy naprzeciwko siebie.

Gdyby nie puste miejsce koło mnie, byłoby, jak gdyby nic się nie stało. Ja mógłbym rzucić w niego groszkiem, a on - kopnąć mnie pod stołem w piszczel, jeśli tylko chciał.

Tata zapytał, jak minęła podróż; Ben odparł, że bez komplikacji. Mógłbym się założyć, że odbyli ten dialog już w samochodzie, a teraz powtórzyli go dla nas.

Jedliśmy, a Ben opowiedział nam przydługą historię o pewnym podoficerze z jego batalionu w Camp Lejeune, który kilka lat wcześniej, jeszcze na obozie przygotowawczym, przekupił swoich kolegów, żeby dawali mu łuski z ćwiczeń na strzelnicy. Robił z nich rzeźbę dla matki. Oczywiście został na tym przyłapany i stracił prawo do jej odwiedzania. I do

różnych innych rzeczy. Ben nie sprecyzował, o jakie rzeczy chodzi, bo wiedział, że mama nie lubi, kiedy zagłębia się w szczegóły.

Roześmiałem się, kiedy skończył, na co Ben zmarszczył brwi.

- No co? Przecież to miało być śmieszne - zauważyłem.

- Miało być ironiczne.

- To to samo.

- Chłopcy. - Tata interweniował, zanim udało się nam pokłócić.

Spojrzałem przepaszająco na mamę, która uśmiechnęła się do mnie, chowając się przed Benem za kieliszkiem z mimozą. Tata z Benem przytoczyli jeszcze kilka historii, zerkając na mnie od czasu do czasu z miną, która mówiła, że wkrótce moja kolej. Niedługo dowiem się, jak to jest bez przerwy mieć w ustach piasek; co to znaczy rażenie obalające i dyscyplina ognia. Im dłużej opowiadali, tym cięższa robiła się atmosfera. Miałem wrażenie, że coś ściska mnie w żołądku. W końcu mama zauważyła, że bawię się makaronem, zamiast jeść.

- Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym, dobrze? - poprosiła.

Tata z Benem popatrzyli na siebie porozumiewawczo i zamilkli.

Z salonu dobiegał śpiew Sinatry, a nad tatą tykał stary zegar okrętowy, ale mimo to nagle zrobiło się za cicho. Sztuńce dzwoniły o talerze; słyszałem swoje własne przeżuwanie. Niepokojąco przypominało mi to dźwięk topiącej się twarzy błotnistego monstrem.

- Wierzycie w... zjawiska nadprzyrodzone? - zapytałem nagle.

Ben spojrzał na mnie, jakbym postradał zmysły. Tata zmarszczył czoło, a mama wbiła wzrok w miejsce obok mnie, gdzie dawniej siadał Aaron. Zakrztusiłem się, bo zdałem sobie sprawę, jak zrozumieli moje pytanie.

Zacząłem się wycofywać, ale Ben powiedział do mnie samym tylko ruchem warg: „Zamknij się”.

Tata odchrząknął.

- Will. Wszyscy... - Znowu zmarszczył czoło i jedną dłoń położył płasko na stole.

- Tak. - Mama uśmiechnęła się i powtórzyła: - Tak. Ja wierzę.

Miałem w myślach obraz rozpadającego się monstrem i dziewczyny trzymającej w dłoni serce, ale musiałem teraz udawać, że chodziło mi o zmarłego brata. Żeby wszyscy poczuli się lepiej, rzuciłem Benowi uśmiezek.

- On też śmiałby się z twojej historii z łuskami.

- To wcale nie znaczy, że to było śmieszne - odparł Ben sucho, ale potem uśmiechnął się do mnie lekko.



Napięcie pękło i mogliśmy dokończyć obiad.

MAB

Nick usiadł na krześle z wyciągniętymi swobodnie nogami. Co chwila przeczesywał sobie włosy dłońmi, jakby chciał zlikwidować wgniecenie po kapeluszu. Donna, ściskając kurczowo ucho dzbanka, nalała herbaty do szklanek. Zawsze kiedy odwiedzał nas Nick, piła tyle herbaty, że nie zdziwiłabym się, gdyby białka oczu zabarwiły się jej na brązowo. W kuchni słychać było trzaski pękających od ciepła kostek lodu, co przypomniało mi dźwięk łamanych gałązek w ciele lalki.

Położyłam dłonie na stole, oparłam się brodą o nadgarstek i ponad wyświechtanym, drewnianym blatem przyglądałam się chłopcu. Malec przyciągnął kolana do klatki piersiowej i oparł się piszczelami o brzeg stołu, tuż obok dziur, które mój kuzyn Justin wyrzynał w drewnie widelcem.

- Jestem Mab - odezwałam się cicho. - A ty jak się nazywasz?

- Nie chciał powiedzieć - wtrącił Nick.

Nie zareagowałam; całą uwagę skupiałam na małym gościu. Wcześniej poprosiłam Nicka, żeby nic mi o nim nie mówił, wolałam wszystkiego dowiedzieć się od samego chłopca. Wyglądał na dziesięcio, jedenastolatka. Jego skóra miała odcień suchych liści dębu, a uszy i kręcone włosy wymagały solidnego mycia.

- Ja dostałam imię po malutkiej królowej wróżek. Mama opowiadała mi bajkę o wróżce Mab, która spotyka chłopca imieniem Piotruś. Chłopiec uważa, że sam jest wróżką, a kiedy okazuje się, że jednak nie jest, traci umiejętność latania. Ale prosi Mab, żeby przywróciła mu magiczne zdolności. Ona spełnia jego życzenie. Mogę mówić na ciebie Piotruś?

Chłopiec podniósł głowę i spojrzał na mnie przenikliwie zielonymi oczyma.

- Pan - odezwał się.

Uśmiech bezwiednie zniknął mi z twarzy.

- Pan to rzeczywiście magiczne imię. Jak moje.

Pan uśmiechnął się przelotnie, tak szybko, że zauważyłam uśmiech tylko dlatego, że jego cień zawisł między nami na chwilę.

Donna postawiła na stole szklankę z herbatą.

- Pan, jeżeli wolisz, jest też woda. Mogę ci zrobić jajecznicę albo grzanekę, albo nawet zupę.

- Stary, wygląda na to, że tu nie zginiesz. - Nick znowu przeczesał sobie włosy.

- Zajmujemy się tu każdym potrzebującym - przypomniałam mu.

Nick zerknął na długie rękawy bluzki swojej mamy, a potem na mnie.

- No przecież.

- Na jak długo przyjechałeś, Nick? - zapytała Donna. Jej głos utonął w szafce pod piekarnikiem, do której schyliła się po ulubiony rondel. Zapewne celowo, żeby uniknąć wzroku syna.

- Jutro jadę. Muszę wrócić do Columbii i pomóc Silli przygotować się do egzaminów końcowych. Zaraz potem pakujemy się i jedziemy do Oregonu. Dostała się tam na jakieś studia magisterskie z etnografii.

- Jedziesz z nią? - rzuciła Donna głosem ostrym jak papier ścierny i zamknęła szafkę.

- No jasne. - Wzruszył ramionami, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem. I właściwie była - dla wszystkich poza jego mamą.

Donna podeszła do niego ze zmarszczonym czołem. Znałam tę minę z czasów, kiedy miałam zwyczaj malować krwią na szafkach i szufladach kuchennych runy przeciw mrówkom, mimo próśb Donny, żebym tego nie robiła, bo nie cierpi widoku krwi.

- Aż do Oregonu, Nicholasie?

Skrzywił się na dźwięk swojego pełnego imienia.

- Nie zamierzam zostawać w tyle.

- A czym się zajmiesz? Powinieneś sam zrobić studia.

- Spoko, zostanę kurą domową.

- To nie jest śmieszne. Tyle czasu straciłeś na podróżowanie.

Nick pochylił się, a jego usta wykrzywiły się w pogardliwym uśmiešku.

- Nie zachowuj się, jakbyś miała cokolwiek do powiedzenia w sprawie mojego życia, Donno.

Spojrzała na niego przeciągle. Zastanawiałam się, czy Nick zauważył, jak jej paznokcie wbiły się w skórę dłoni.

- Chcę tylko twojego dobra.

- Teraz tak - rzucił. I dodał nieco lżej: - Kiedy Mab pójdzie na studia, będziesz miała komu pomatkować, skoro tak się nagle do tego palisz.

Postukałam palcem w blat, żeby skupić na sobie uwagę Pana, który szeroko otwartymi oczyma, z nachmurzoną buzią przyglądał się Nickowi.

- Chodź, poznasz moich przyjaciół - szepnęłam.

Pan wysunął się z krzesła miękkim ruchem i chwycił moją wyciągniętą dłoń. Zabraliśmy spory bochenek chleba rodzynkowego, który upiekłam wczoraj, i wyszliśmy.

Na zewnątrz prażyło słońce. Stałam pośrodku trawnika przed domem i porwałam chleb na kawałki; żdźbła łaskotały mnie w bosc stopy. Usiadło koło nas kilka kruków. Dałam Panowi połowę chleba, żeby nakarmił ptaki siedzące na trawie. Drugą połowę przeznaczyłam dla pozostałych, które kołowały leniwie nad naszymi głowami, raz po raz pikując, żeby w dziób albo pazury złapać rzucony przeze mnie odłamek. Rzuciałam wysoko, trochę jakbym żonglowała. Moje ręce ruszały się pewnie, bo karmiłam je w ten sposób, odkąd skończyłam dwanaście lat. Wkrótce wszystkie ptaki poderwały się do lotu i krążyły w powietrzu, rysując na niebie skomplikowany kształt. Ja rwałam chleb i ciskałam w ich stronę.

- Co to za kruki? - zapytał Pan.

- To Reese. - Rozłożyłam szeroko ramiona. Byłam zadowolona, że odgadł niezwykłą naturę moich ptaków. - Kiedyś był chłopcem tak jak ty, ale dzika magia zmieniła go w kruki. W każdym z nich jest zaklęta część Reesea. To mój przyjaciel, a także obrońca tej ziemi i wszystkich, którzy się na niej znajdują. Teraz cię już zna i będzie bronił od złego.

Kruki zaskrzeczały chórem wesoło.

Pan nie był wystraszony; rozluźnił się nawet do tego stopnia, że usiadł z podkulonymi nogami na ziemi. Wyciągnął dłoń w stronę jednego z kruków, który z rozpostartymi skrzydłami zbliżył się do niego w podskokach.

- Cześć - pozdrowił go cicho Pan.

Znieruchomiałam i obserwowałam go. Byłam ciekawa, jak bardzo jest wtajemniczony w naszą magię. Miałam nadzieję, że szybko przekonam go do siebie i opowie mi, co się stało.- Nieźle. - Za moimi plecami stanął Nick. Nie słyszałam ani odgłosu zamykania drzwi, ani jego kroków po schodach werandy.

Jeden z ptaków natychmiast usiadł mu na ramieniu i płaską częścią dzioba potarł Nicka w policzek, z kolei Nick podrapał go pod lewym skrzydłem, tak jak kruk lubił najbardziej.

- Jak z Donna? - Wskazałam palcem do tyłu, na dom.

- W porządku. Po prostu wkurza mnie, że tak dobrze mnie zna.

- To normalne. Jest twoją mamą.

Nick mruknął coś pod nosem. Kruk sfrunął mu z ramienia i usiadł przy Panie. Chłopiec trzymał w garści różowy kamyczek ze ścieżki i po chwili rzucił go w stronę ptaków, jak gdyby rozpoczynając zabawę w aportowanie. Staliśmy z Nickiem z boku i przyglądaliśmy się tej scenie. Miałam nadzieję, że Nick nie zauważy braku jednego kruka. Musiałabym go wtedy okłamać. I Sillę.

- Nadal jest na mnie zła? - Ku mojej irytacji mój głos zabrzmiał cicho i potulnie.

- Hm... - Nick skubnął się w ucho. - Jest zbyt zajęta, żeby się złościć.

- Czyli tak.

- Sama przyznasz, że chlapnęłaś parę głupot.

Nick zmarszczył brwi. Poznałam po tym, że jest po stronie Silli. Jak zwykle.

- Ona też. - Uniosłam podbródek. - Nie jestem swoją matką. To nie moja wina, że kruki wołały zostać tutaj. To ona próbowała go zmusić, żeby... - Urwałam, bo nie chciałam klócić się przy Panie. Chłopiec udawał, że nas nie słyszy, ale zdradzało go lekkie przechylenie głowy ku nam.

Znowu zamilkliśmy. Trzy kruki załopotwały skrzydłami, klóćąc się o kamyk, który rzucił im Pan. Tak jakby były trzema odrębnymi osobnikami, a nie częścią całości.

- Czy jest mniej... - Nick zawiesił głos. - Ludzki? Niż kiedyś?

Splotłam przed sobą palce.

- Czasami.

- Pamiętam, że miał zwyczaj przysłuchiwać się rozmowom. Obserwował nas i zwracał głowę to na jedną osobę, to na drugą, w zależności od tego, kto akurat mówił. Jak widz na meczu tenisowym. Ale już od jakiegoś roku tak nie robi.

- To wcale nie znaczy, że nie słucha. Może teraz lepiej mu to wychodzi, przysłuchuje się jedynie uszami.

- Mhm. Silla na pewno się ucieszy - rzucił sarkastycznie.

- Wie, jak się nazywa.

- Za to on chyba nie - zauważył półgłosem.

Popatrzyłam na Pana. Siedział z różowym kamykiem na wyciągniętej dłoni, czekając, aż któryś z dwóch kruków przyjdzie go wziąć. Jeżeli faktycznie nie wiedział, jak się nazywa, to zjawił się we właściwym miejscu. Tutaj każdy mógł narodzić się na nowo. Kruki były tego dowodem.

WILL

W nocy, żeby uniknąć koszmarów, walczyłem online z wirtualnymi potworami. Grałem razem z bramkarzem z naszej drużyny.

Z głośników podpiętych do iPoda dudniła melodia ze sceny bitewnej jakiegoś filmu przygodowego, a w telewizji leciał mecz Wielka Brytania kontra USA rozegrany podczas ostatniego pucharu świata. W twarz dmuchały mi dwa brzęczące wiatraczki. Puszka z Drem Pepperem była już prawie pusta. Czas otworzyć kolejną. O dziwo, gazowany ulepek świetnie maskował posmak błota, który czułem na języku przez cały dzień. Pobolewał mnie też siniak

na mostku. Chociaż siniak bolał tylko przy dotknięciu, a posmak prześladował mnie cały czas.

Telewizor nagle ucichł; w pokoju brzęczała już tylko muzyka. Odwróciłem się na moim fotelu obrotowym.

Ben zamknął za sobą drzwi, odłożył pilota na telewizor i oparł się o ścianę.

- Może pokopiemy piłkę?

- Jest ciemno. - Minęła już dziesiąta, a poza tym było mi tak gorąco, że chciałem tylko siedzieć w pokoju i powoli topnieć.

- No to co? Czasami graliście przecież aż do północy. Rzeczywiście, zdarzało się nam z Aaronem, jednak kiedy Ben wyjechał na studia w akademii, ledwie potrafiłem kiwać. Popatrzyłem na niego; Nie mogłem przecież powiedzieć: „Ale ty nie jesteś Aaronem”.

Monumentalna muzyka filmowa zadudniła basem. Ben skrzywił się, wyłączył iPod'a i rzucił mi spojrzenie przełożonego.

- Rozłącz się. Musimy pogadać.

- O czym? - Odwróciłem się z powrotem do komputera. Wystarczyło, że nie patrzyłem dwie sekundy, a moja postać straciła połowę życia. Jeden z potworów prawie oderwał mi rękę.

- Daj spokój, Will. Nie wiem, jak długo zostanę. Zazgrzytałem zębami i skinąłem głową. Kliknąłem na ikonkę Matta i powiedziałem mu, że muszę na chwilę spadać.

Potem uspiłem komputer. Ben stał przy moim łóżku i przeglądał otwarte podręczniki oraz notatki rozsypane po patchworkowej narzucie.

- Tata mówi, że masz czwórkę z hiszpańskiego.

Świetne zagajenie, Ben, pomyślałem. Wzruszyłem ramionami.

- Owszem. Z angielskiego też. I trójkę z historii, jeżeli nie wkuję tysiąca dat na sprawdzian końcowy. No i co?

- Jaką masz średnią?

Wzruszyłem ramionami.

- Coś koło czterech. Dostaję piątki ze ścisłych, okej?

- Zeby dostać się do akademii, musisz mieć dobrą średnią.

Przez chwilę jedynym dźwiękiem w pokoju był szum wiatraków. Miałem ochotę wrzasnąć. Nagle przypomniałem sobie, jak palce Mab zaciskały się na sercu potwora.

- Nie idę do akademii.

Ben cofnął brodę.

- Nie żartuj.

- Ben, nie chcę iść do Akademii Marynarki Wojennej. To nie jest jedyna uczelnia na świecie.

- Zamierzasz skończyć jakiś stanowy uniwersytet, a potem zaciągnąć się przez korpus kadetów? Tylko nie mów, że rozważasz szkołę rezerwowych. - Uniósł przed siebie dłonie w takiej pozycji, jakby miażdżył jakąś dużą piłkę. Zapewne wyobrażał sobie, że ma tam swoją głowę.

Rozparłem się w fotelu i wyciągnąłem przed siebie nogi, żeby sprawiać wrażenie nieprzejętego. Dlaczego po prostu nie poszedłem z nim pograć? Wydarzenia ostatniego roku puściły z dymem wszystkie moje wcześniejsze marzenia, ale Ben nigdy by tego nie zrozumiał. On zawsze był przewidywalny. Nie miałem teraz ochoty dyskutować o moim braku ambicji i wywracaniu dogóry nogami czteropokoleniowej tradycji rodziny Sangerów. Odchrząknąłem.

- Chcę podróżować. Pojechać na przykład do Nowej Zelandii. Zobaczyć coś innego. A potem studia. Kiedy już będę wiedział, czego chcę.

Ben zieleniał na twarzy.

- Zawsze mogę pójść do szkoły kadetów. Jeżeli zdecyduję się na wojsko.

- Mówisz tak tylko po to, żeby mnie wkurzyć.

- Nie zdaję do akademii. Kropka.

Ben skrzyżował ramiona na piersi. Miał na sobie koszulkę i dżinsy, ale nieomal widziałem na nim mundur.

- To bunt z powodu Aarona?

Wstałem, czym pewnie potwierdziłem jego przypuszczenia.

- Nie. To dlatego, że nie jestem pewien, co chcę robić. Przepraszam, że nie jestem taki idealny jak ty, ale po prostu nie mam pewności.

- Boisz się wojska.

Po historii z Holly wszyscy naokoło nazywali mnie bohaterem, więc oskarżenie o tchórzostwo w pewnym sensie przyniosło ulgę. Rozmowa o trzęsieniu ziemi jeszcze przed nami. Bohaterem dnia był Ben, nie ja i moja niechęć do chwały.

Nie odpowiadałem, więc Ben potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Zawsze chciałeś się zaciągnąć.

- Tak myślisz? - „Chcieć” to nie było odpowiednie słowo. Bardziej pasowałoby „zakładać”. - Nie wiem. Zastanawiam się nad tym już od jakiegoś czasu. Po prostu nie jestem pewien.

- Dobrze by ci to zrobiło, Will. W wojsku jest świetnie. To również zdanie taty. Do tego jesteś stworzony.- Zupełnie jakby zależały ode mnie losy jakiegoś wielkiego rodu. A to przecież praca jak każda inna.

Ben zacisnął skrzyżowane ramiona. Miałem wrażenie, że słyszę, jak skrzypią jego napięte mięśnie.

- Mylisz się - rzucił przez zęby. - Proszę bardzo, dalej zachowuj się jak dzieciak. Ale nie wolno ci mówić, że to, co robimy ja i tata, to tylko praca.

- A ty nie udawaj, że marzysz o tym, żeby pograć ze mną w piłkę, bo przecież chcesz tylko zwerbować kolejnego żołnierza. - Zdawałem sobie sprawę, że jestem niesprawiedliwy, ale nic mnie to nie obchodziło. Siniak na mostku rwał, jakby coś się we mnie wrzynało.

- Czy dla ciebie nie ma świętości?

- Aaron powinien pójść na jakąś świetną politechnikę i budować statki kosmiczne, ale zamiast tego jechał przez pół kraju naprawiać łaziki.

- Sam tego chciał.

- Jasne. Oszukuj się dalej.

- A więc ty za wszelką cenę wybierzesz co innego?

Zgarbiłem się.

- Will... - Ben zrobił krok w moją stronę. - Obiecuj, że nie podejmiesz złej decyzji ze względu na Aarona. Albo dlatego, że się boisz. To nic złego się bać. Ale nie możesz pozwolić, żeby strach cię sparaliżował. Nazywasz się Sanger.

- Wcale się nie boję. - Gwałtownie schyliłem się po leżącą na dywanie piłkę i wymaszerowałem z pokoju pokopać ją w samotności o ogrodzenie.

MAB

Od zachodu przypiekało słońce, a ja zbiegałam po południowym zboczu naszego wzgórza. Minęłam po drodze poleślonieczników i dotarłam do silosu - masywnej, wysokiej na cztery piętra wieży wyłożonej pomarańczowymi płytami. Z jednej strony silosu przyczepiona była zardzewiała drabina, a z dachu wystawało drzewo - judaszowiec.

Zanurzyłam się w fioletowawy zmierzch i wspięłam na szczyt, zręcznie omijając wystające gwoździe i nadzarte szczeble drabiny; byłam zadowolona, że przebrałam się w luźne spodnie i koszulkę na ramiączkach. Na górze przesadziłam krawędź i zsunęłam się w cień judaszowca. Drzewo rozkładające nad silosem swoje szerokie, sercowkształtne liście przypominało wielką szmaragdową czapę.

Z północy powiał wiatr. Włosy mi załopotaly, a dzwoneczki wiszące na drzewie rozdzwoniły się melodyjnie. Znajdowały się tam też wydrążone z trzciny chińskie dzwonki,

falujące na wietrze, długie kolorowe wstążki, stare bransoletki i poduszeczki wypchane lawendą i płatkami róż.

Z torby przewieszanej przez ramię wyjęłam maleńką gwiazdkę, którą wiele miesięcy temu wystrugałam z - polana na opał i ozdobiłam srebrnymi cekinami. To ją wybrał Pan z mojego pudełka z amuletami.

Na drzewie wisiały już inne amulety. Jedne wykonałam sama, inne z pomocą Arthura albo babci. Ulepiłam je z gliny, wystrugałam z drewna. Napełniłam je magią, którą chciałam przekazać temu miejscu, by było ciepłe, bezpieczne, dostatnie. Niektóre symbolizowały na przykład śmiech, inne ludzi, którzy przestąpili nasz próg. Babcia dostała motyla, Faith - stadko maleńkich drozdów, Arthur zrobił sobie wyjącego kojota. Nick przywiózł plastikowego żołnierzyka, dla Silli powiesiłam jej niebieską maskę teatralną, dla Justina - cynowy księżyc, dla Eliego topór zabawkę, dla Hanny trzy wróżki, wreszcie dla mojej matki - czerwone jabłko.

Zatrzymałam wzrok na jabłku. Jego skórkę ciągle oblepiał czerwony brokat.

Moja matka nazywała się Josephine Darły. Kiedy byłam mała, wydawała mi się najlepszą istotą pod słońcem. Żyłam chwilami, kiedy uśmiechała się do mnie promiennie, co zdarzało się wyłącznie, gdy wracała tu po długiej nieobecności. Uwielbiałam delikatny dotyk jej ostrych paznokci na głowie, kiedy myła mi włosy, i spokojny głos, którym śpiewała mi o kościach mojego ojca przeistaczających się w koralowiec na dnie morza. Nie zapomnę chwili, kiedy widziałam ją ostatni raz w życiu. Biegła, a księżyc rozświetlał biały kwiat wyhaftowany na rękawie jej sukienki. Wyglądała jak lwica. Uosabiała wszechmoc i dominację. Uciekała z tego domu, ode mnie, przez trawnik, do lasu. Wkrótce była już tylko pomarańczową cętką migającą pomiędzy ciemnymi drzewami.

W końcu zniknęła.

Pamiętam dzień, kiedy odkryłam, że wcale nie była najlepszą istotą pod słońcem, tylko być może najgorszą. Okazało się, że kiedy mnie opuściła, zamordowała pewną parę, a ich jedyne syna przemieniła w kruki.

Wyciągnęłam w górę ręce i przywiązałam do gałązki judaszowca niebieską wstążkę z amuletem. Kiedy ją puściłam, odskoczyła, a gwiazdka zakołysała się, rzucając dookoła zajączki.

Silla, która jako jedyna w swojej rodzinie ocalała, zabiła moją matkę w odwecie za jej zbrodnie i unieruchomiła ją w lesie setki kilometrów stąd. Kości Josephine zostaną tam na zawsze. Potem Silla przyjechała tutaj. Przywiozła ze sobą: swojego brata przemienionego w stado kruków, chłopaka o imieniu Nick, walizkę i listę pytań do Diakona. Zwróciła się do



Arthura z prośbą o pomoc w magii; miała też nadzieję, że uda mu się przywrócić jej brata do ludzkiej postaci. Nie spodziewała się, że na miejscu zastanie mnie - dziewczynkę z dziwnie znajomym spojrzeniem, lwią grzywą, krwią pod paznokciami i śmiechem tak samo dzikim jak śmiech mojej matki.

Stojąc na krawędzi silosu, z palcami stóp zanurzonymi w rzadką trawę, rozpostarłam ramiona, żeby złapać w nie wiatr.

Z jednej strony silosu zaczynało się zalesione wzgórze, na którego szczycie znajdował się Różowy Dom; silos chronił jego mieszkańców. W pozostałych trzech kierunkach ciągnęło się pustkowia - ziemia wznosiła się łagodnie i opadała; rosły na niej tylko zdziczała pszenica i polne kwiaty. Kawałek na wschód prerię przecinała droga stanowa - jedyny znak cywilizacji w promieniu pięciu kilometrów. Nie mieliśmy nawet sąsiadów. Byliśmy tu tylko ja i świat.

I czasami kruki.

One zawsze wiedziały, gdzie mnie znaleźć. Teraz też nadleciały. Uniosłam dłoń w geście pozdrowienia i uśmiechnęłam się do nich szeroko.

To nie Josephine poróżniła mnie z Sillą. Silla wiedziała przecież, że nie może winić mnie za to, czego dopuściła się moja matka. Ja z kolei rozumiałam, że Josephine igrała z niszczycielską magią podobną do ognia, który wypala prerię.

Konflikt między mną a Sillą kręcił się niczym trąba powietrzna dookoła czego innego: kruków.

Po raz pierwszy zobaczyłam je, kiedy cienką linią przecinały niebo. Od razu zrozumiałam, że są wyjątkowe; wprost buzowała w nich magia. Usiadły przy mnie na drzewie, a ja podałam im pasmo moich włosów. Poruszały się razem, odzywały się razem. Kiedy poczułam na twarzy dotyk pióra najodważniejszego z nich, przebiegł mnie magiczny dreszcz - tak silny, jakbym rozcięła sobie skórę na klatce piersiowej i zaśpiewała pieśń ognia. Mieszkały tu, gdzie było bezpiecznie, z nami. Ze mną. Silla przyjeżdżała na nauki w przerwach między semestrami na uczelni. Ciężko w kilka miesięcy nadgonić całe lata ćwiczeń i pracy nad zaklęciami, ale ona była skupiona i zdeterminowana. Prawie dorównywała mi umiejętnościami, zwłaszcza w obszarach, które mogłyby ocalić jej brata: zaklęciach na opętanie, odnowę, przemienienie. Silla całą swoją energię skupiała na tym, czym - a raczej kim - kruki były dawniej, podczas gdy ja pokochałam je za to, czym stały się teraz. A stały się nowym, wspaniałym bytem; moc czarownika przeobraziła się w moc skrzydeł. Lata miały, obie z Sillą coraz bardziej doskonaliłyśmy nasze umiejętności, ale to z moimi zaklęciami związały się kruki. Każdy z nich był jakby palcem dłoni, którą stanowiła moja magia. Wszystkie razem pełniły funkcję mojego chowańca.

Silla zrozumiała to dopiero w zeszłym miesiącu, gdy odszedł Arthur.

Stałyśmy ramie w ramie. Przed sobą miałyśmy jego grób, cały porośnięty fioletowymi kwiatkami.

- A więc to koniec - odezwała się ona. - Diakon nie żyje, a jego następczyni nie ma zamiaru cofnąć klątwy swojej matki.

Ze zmarszczonymi brwiami zerknęłam na kruki, które obsiadły lipę babci Lyn.

- Kruki wcale tego nie chcą.

- Niby skąd to wiesz? - Silla odsunęła się ode mnie i gniewnie wskazała na mnie ręką. - Mój brat chciał żyć. Chciał chodzić do szkoły, Mab. Pracować w polu. Chciał zająć się naszą rodzinną ziemią. Dorosnąć, ożenić się i mieć choćby i dziesiątkę dzieciaków. Nie znałaś go. Nie masz pojęcia, czego by pragnął.

- Wiem za to, czego pragnie teraz: magii i latania. Nie wiesz, kim jest, bo go nie słuchasz.- Mab, on nie potrafi mówić. To stado kruków! Robię wszystko, żeby znów go usłyszeć!

- Ale nie robisz tego dla Reesea - przesunęłam ciężar ciała na palce, żeby dorównać jej wzrostem - tylko dla siebie. Jesteś egoistką! To ty chcesz odzyskać Reesea. Ty chcesz, żeby znowu stał się człowiekiem. Ty, ty, ty. Zastanawiałaś się kiedykolwiek, dlaczego Arthur nie stworzył Reeseowi nowego ciała? Przecież mógł, wystarczyło, żeby klasnął w dłoń. Na miłość boską, zajęłoby mu to nie więcej niż pół dnia! Ja sama potrzebowałabym raptem trzech dni. A jednak Arthur nie podarował Reeseowi nowego ciała, ponieważ Reese go o to nie poprosił. - Cofnęłam się, zaskoczona własnym wybuchem.

Wtedy Silla - która imponowała mi wieloma rzeczami: spinkami we włosach zawsze pod kolor kowbojek, nieskazitelnym lakierem na paznokciach i wdziękiem, z jakim pisała runy; która sprawiała, że z moimi rozczochranymi włosami i dziurawymi dżinsami czułam się szaro - Silla syknęła:

- Czyli Josephine zabrała mi wszystko.

Zapadła cisza przypominająca czarną dziurę, tak głęboką, że wyszała z domu Nicka i Donnę, którzy podeszli przyjrzeć się ostatecznemu uderzeniu.

W tamtej chwili myślałam tylko o dumie i odwadze mojej matki, a nie o potwornościach, których się dopuściła. Wyprostowałam się, a wiatr zwiewał mi do tyłu włosy, które po niej odziedziczyłam.

- Nikt nie zabrał ci Reesea. Sama go straciłaś.

Silla nie patrzyła na mnie, tylko na stado kruków, które jednocześnie rozłożyły skrzydła jak gdyby do lotu.

- Chodź, Reese. Idziemy do domu. - Silla odwróciła się i ruszyła w stronę terenówki Nicka. - Nick! Jej chłopak popatrzył z marsową miną na Donnę i wsunął się na fotel kierowcy. Na mnie ledwie zerknął przelotnie; w jego spojrzeniu wyczytałam trochę przeprosiny, trochę złość. Włączył silnik i zatrzasnął drzwi.

Silla jedną nogą weszła do samochodu, dla równowagi trzymając się ręką relingu na dachu.

- Reese! - zawołała.

Odpowiedział jej jeden kruk. Jego głos zwielokrotniło echo.

Wszyscy czekaliśmy. Moje serce biło tak szybko, że bałam się, czy z opuszek palców nie wystrzeli mi krew. Na plecach czułam falę magii siedzących za mną kruków.

- Reese. - Głos Silli był teraz cichszy, ale równie stanowczy.

Liśćmi na drzewie zaszeleścił wiatr. Kruki poruszyły się lekko na gałęziach, ale nie z zamiarem poderwania się do lotu. Zostały tam, gdzie siedziały - za moimi plecami.

To zupełnie Sillę załamało.

Nic dziwnego, że nie zaprosiła nas na rozdanie dyplomów. Nick też nie był zachwycony moim zachowaniem.

Teraz kruki krążyły w powietrzu, a trajektoria ich lotu naśladowała kształt słońca. Czarne, wyraziste sylwetki na tle nieba. Ich widok pokrzepił mnie i wyrwał z ponurych myśli. Zrobiło mi się lżej na sercu; miałam ochotę przestąpić krawędź silosu, wzbić się w powietrze i dołączyć do ich podniebnych zabaw, kołować radośnie i śmiać się do rozpuku.

Okolicę przykrywał coraz gęstszy, szarofioletowy zmrok. Przykucnęłam i wyjęłam kościany sztylecik do upuszczania krwi. Kruki obsiadły judaszowiec, a dzwonki rozbrzmiały wesołą, dysharmonijną melodią.

Zadaniem Diakona było nie tylko ochraniać naszą ziemię, ale także dbać o każdego członka rodziny czarowników. O tym właśnie przypominały mi amulety naznaczone naszą magią.

Arthurę kochał każdy. Tak łatwo przychodziło mu zdobywać szacunek i zaufanie. Mnie natomiast sporo wysiłku kosztowało, żeby ugryźć się w język w odpowiednim momencie. Czasami ludzi zrażała moja dzikość, na przykład kiedy przed pójściem do biblioteki zapominałam zetrzeć z ust krew albo wybierałam się na targ z kośćmi wiewiórek we włosach. Pozwoliłam, żeby uciekła mi lalka, którą zrobiłam z ziemi i płatków róż, a na klatce piersiowej chłopaka, który ją unieszkodliwił, zostawiłam ślady ubłoconych, zakrwawionych dłoni.

Zapominałam, że zwykle ludzie cenią sobie ludzkie życie bardziej niż kucze.

Z zadań Diakona najtrudniejsze wydawało mi się życie wśród ludzi.

I tym razem zamierzałam wspomóc się magią. Schowana w cieniu judaszowca, drasnęłam się w wytatuowany nadgarstek. Wstrząsnął mną ból, ale zaraz poczułam w ciele przyjemną falę magii. Na przedramionach wystąpiła mi gęsia skórka.

Krwią naznaczyłam sobie czoło, serce, dłonie i podeszwy stóp. Położyłam się na plecach, rozłożyłam ręce i nogi. Tworzyłam pięcioramienną gwiazdę, której czubki wyznaczały stopy, dłonie i głowa.

- Wiążę się z ziemią.

Na fioletowawym niebie migotały już pierwsze gwiazdy.

- Wiążę z tą ziemią moje serce.

Wiatr zahuśtał lekko amuletami symbolizującymi członków rodziny. Moja rodzina i m o j e drzewo, zakorzenione głęboko w m o j e j magicznej ziemi.

- Wiążę z tą ziemią moją głowę. - Pomyślałam o spowitym setkami fioletowych kwiatów Arthurze, który na zawsze pozostanie częścią tej ziemi. I o pochowanej pod swoją lipą babci Lyn.- Wiążę z ziemią moje dłonie, żebym mogła dbać o magię. - Moje myśli poszybowały do Donny i Nicka. Żałowałam, że nie mogę związać ich serc miłością. I do Silli, która tak samo jak ja należała do rodziny czarowników, ale cały czas czuła się samotna.

- Wiążę z magiczną ziemią moje stopy, żeby służył jej każdy mój krok i łączył mnie z nią życiodajną nicią. - Pomyślałam o Panie. Będę musiała nauczyć go magii. I wyleczyć.

- Wiążę moje sny. - Kruki zamachały skrzydłami, owiewając mnie ciepłym powietrzem.

Kościanym sztyletem nacięłam sobie skórę w dolnej części brzucha. Stąd brała się moja moc. Krwią płynącą z zadraśnięcia narysowałam palcem gwiazdę.

- Wiążę się z ziemią.

Byłam w centrum wszystkiego.

Sam zbudowałeś dom. Zaraz po pierwszej wojnie. Był to usytuowany na szczycie wzgórza dwupiętrowy budynek z cegieł i desek, ze strychem i schronem burzowym. Szybko zadomowiłam się w pokoju w północnozachodnim rogu. Z okna widziałam cały trawnik przed domem, od werandy aż do kręgu dębów na samym szczycie wzgórza. Było mnóstwo miejsca na ogródek. Zaplanowałam zasadzić warzywa, zioła. I róże.

Wieczorem zjedliśmy we trójkę kolację. Nalegałam, byś pozwolił mi ją przygotować. W kuchni utrzymywałeś wzorowyporządek, a spiżarnia była dobrze zaopatrzona w masło. Przyrządziłam gulasz z resztką papryki z zapasów mojej babki; przyprawę tę przywiozłam zawiniętą w babciną chustkę, którą dostała od swojej matki. Obaj z Gabrielem jedliście, aż się

Wam uszy trzęsły. Pomyślałam wtedy, że to niezwykle miłe z Waszej strony, nawet jeśli tak naprawdę wcale Wam nie smakuje.

Po kolacji poszliśmy do salonu, żeby uraczyć się duszonymi jabłkami ze śmietanką. Ja usiadłam na miękkiej sofie, a Wy rozłożyliście się na kobiercach przed kominkiem. Pokój wypełniało ciepło. Na moje serce wciąż padał cień smutku i osamotnienia po stracie rodziny, ale Twoje czułe spojrzenie i energia Gabriela łagodziły nieco żal.

- Evie, czego pani tutaj szuka? - zapytał Gabriel, odstawivszy miseczkę z deserem. Przechylił się do tyłu i oparł na dłoniach. W świetle płomieni jego gładko zaczesane włosy lśniły jak naoliwione.

Dotknąłeś przelotnie jego nadgarstka, a on wzruszył ramionami.

- Nie jest urażona, Arthurze.

- To prawda, nie jestem. - Przyjrzałam się odprężonej sylwetce Gabriela. Ty też najwyraźniej poczułeś się tutaj swobodnie: zdjąłeś buty i oparłeś plecy o sofę. - Dom należy do panów. To normalne, że chcą panowie wiedzieć, co mnie sprowadza.

Zgięłam nogi i rozpięłam guziki butów, które następnie zdjęłam, a stopy wsunęłam pod siebie. Uważnie obserwowałeś moje ruchy; Gabriel uśmiechnął się i przeciągnął jak kot.

- Nie mówił, co napisała pani w liście - rzekłeś w końcu.

- Mój starszy brat zginął we Francji - odpowiedziałam, patrząc na Ciebie. - Matka miała słabe serce i zmarła w zeszłym roku. Ojciec zniknął miesiąc temu. Policja podejrzewa, że został okradziony i zamordowany. Użyłam całej mojej magii, żeby go odnaleźć, ale bezskutecznie. Przepadł na zawsze. - Westchnęłam wdzięcznie. - Nie miałam wyboru. Musiałam pospłacać jego długi - nie naruszyło to jednak znacząco mojego majątku - i znaleźć sobie zajęcie. Pamiętałam pana Gabriela z jego wizyty tuż po wojnie. Wspominał, że mieszka tutaj, w Kansas, gdzie ziemi jest w bród, a silni mężczyźni zawsze znajdą zatrudnienie. Dla panny szukającej sobie miejsca odpowiedniejsze byłoby być może miasto, ale pan Gabriel opowiadał o prerii z taką... - zerknęłam na Gabriela - dumą i nienasyceniem, że po raz pierwszy od zniknięcia ojca naprawdę czegoś zapragnęłam.

Gabriel uśmiechnął się jeszcze szerzej i pochylił w moją stronę.

- Celuję w rozpalaniu pragnień.

Zatrzepotałam rzęsami i zmusiłam się, żeby opanować drżenie złożonych na podołku dłoni.

- Przyjaciółki i dyrektorka szkoły - odparłam z uniesionym podbródkiem - ostrzegały mnie przed zamieszkaniem z dwoma mężczyznami, mimo że podkreślałam nasze pokrewieństwo. Powiedziałam wszystkim, że jesteśmy bliską rodziną, chociaż to nie do końca

prawda. - Nie miałam pojęcia, czy to, że nasza krew ma podobne właściwości, faktycznie oznaczało spokrewnienie, ale przynajmniej przekonałam moich niedoszłych opiekunów z Chicago.

- Świetne wyjście z sytuacji - powiedziałaś cicho i uspokajająco. - Wcale pani nie skłamała. Dla Boga nasza krew jest w jakiś sposób bliska.

Spojrzałam Ci w oczy. Ucieszyłam się, że wypowiedziałaś to, co ja intuicyjnie przeczuwałam.

- Zezwoliłam im jednak - dodałam drżącym głosem - wysłać tutaj odpowiednie władze, jeśli nie dam znaku życia w ciągu miesiąca. W ten sposób przekonają się, czy nie zrobili mi panowie czegoś strasznego.

Gabriel roześmiał się i wstał.

- Evie, podoba mi się pani charakter. Ma pani odwagę drozda, który, żeby obronić, co jego, dziobie ptaki pięć razy większe niż on sam.

- Nie potrzebuje pani ochrony przed nami - dodałaś. - Tutaj jest pani bezpieczna, panno Sonnenschein.

Uśmiechnęłam się.

- Właśnie tego potrzebuję: bezpieczeństwa. I jeszcze jakiegoś zajęcia. Chcę założyć ogródek, gotować, szyć i poznawać okolicę. Tyle mi wystarczy. Na razie.

Przez całą podróż z Chicago pielęgnowałam nadzieję, że otrzymam od Ciebie tymczasowe schronienie. Chciałam poświęcić trochę czasu na dorastanie, naukę i odnalezienie na nowo szczęścia. Po paru latach zamierzałam wsiąść w pociąg do Kansas City. Pójść tam na studia, zająć się czymś na poważnie, znaleźć sobie dobrego męża i założyć rodzinę.

Ale moje wyobrażenia rozsypywały się właśnie w drobny mak. Za każdym Twoim spojrzeniem któreś z dawnych marzeń odchodziło w niepamięć.

Nie pozwoliłeś mi posprzątać w kuchni, bo był to mój pierwszy dzień w nowym miejscu. Zabrałeś się do tego sam i zmusiłeś Gabriela, żeby Ci pomógł. Obaj zniknęliście w kuchni. Gabriel śpiewał jakąś starą francuską piosenkę, której słów nie rozumiałam, a ja zabrałam zawiniętą w chusteczkę mieloną paprykę i wyszłam w ciemność.

Zimny wiatr przechylał drzewa. Zadygotałam, bo pod płaszczem, w którym przyjechałam z Chicago, miałam na sobie tylko cienką niebieską sukienkę. Nigdy nie widziałam tak ciemnej nocy. Niebo znaczyły gwiazdy; wyglądały jak rozsypane kryształki soli. Zsunęłam pończochy i ruszyłam przez wysoką, dziko rosnącą trawę w kierunku południowozachodniego rogu domu. Było to najlepsze miejsce pod mój ogródek, bo

zapewniało i cień, i słońce, a zbocze opadało na tyle stromo, że pod samym domem nie rosły drzewa.

Uklękałam. Zanurzyłam dłonie w chłodnej, gliniastej ziemi i przesyłam ją przez palce. Położyłam tam należącą niegdyś do mojej prababki chustkę ze szczyptą papryki. Kapnęłam na nią trzy krople krwi i zakopałam, po czym wyszeptałam kilka słów modlitwy o to, bym odnalazła tutaj swój dom, a moje serce się zakorzeniło.

WILL

Śniły mi się superostre kolce róż i szamotanina w ciemności. Po przebudzeniu zobaczyłem, że przykleiła się do mnie przeпоcona pościel. W ustach miałem pustynię, bolało mnie w mostku. Ślaniając się, poszedłem do łazienki. Przepłukałem usta, umyłem zęby, znowu przepłukałem, tym razem płynem dentystycznym. Dwa razy. Udało mi się pozbyć posmaku na kilka minut, ale wrócił, ledwie skończyłem prysznic, i to z nutką krwi. Przed oczami stanęła mi chwila, kiedy wyplułem płatek róży na zmasakrowaną twarz błotnego monstrum.

Próbowałem o tym nie myśleć, bo to przecież nie mogło się zdarzyć. Na pewno mi się przyśniło. Nowa odsłona snów o ratowaniu Holly. Nawet porządnie się nie wytarłem, tylko otworzyłem szeroko usta, żeby sprawdzić, czy czasem nie zraniłem się w dziąsła albo język. Może po prostu krwawiłem lekko od wczorajszego poranka? Niestety, ani nie widziałem, ani nie czułem żadnego skaleczenia.

Niewykluczone, że uderzyłem się w głowę albo miałem jakiś guz, przez który wydaje mi się, że czuję posmak krwi i widzę wariatki i błotne potwory. Odwróciłem się od lustra i wziąłem kilka głębokich oddechów.

Wróciłem do swojego pokoju, odpaliłem komputer i zacząłem się ubierać. Internet nie jest najlepszym miejscem, żeby szukać porady medycznej, ale może chociaż na coś mnie nakieruje.

Znalazłem stronę do wyszukiwania chorób na podstawie objawów. Wpisałem „metaliczny posmak” i „szorstki język” - mniej więcej coś takiego czułem. Dowiedziałem się, że opisane objawy mogą być skutkiem zaparcia. Roześmiałem się. To na pewno nie to. Inne opcje: niepożądany efekt uboczny (naprawdę?), reakcja na antybiotyki (nie przypomniałem sobie, żebym jakieś zażywał) albo zatrucie.

Potarłem twarz dłońmi. To tylko głupia strona udająca lekarza, więc nie powinienem dać się wkręcić. Ale wpisałem kolejny symptom: „halucynacje”.

To było znacznie bardziej niepokojące. Wskoczyło o wiele więcej możliwości. Narkotyki. Trzy rodzaje epilepsji. Schizofrenia.

Odsunąłem się od komputera i wykonałem kilka wymachów ramion.

- Nie łap schizy - przykazałem sobie.

Włączyłem wieżę. Heavymetalowe łożenie wypełniło pokój i zadudniło mi w czaszce. Muzyka przytłumiła trochę panikę. Oddychałem z trudem. Zmusiłem się, żeby mrużyć melodię, którą słyszałem. Pospiesznie dokończyłem ubieranie, nie zwracając uwagi na posmak krwi na języku.

MAB

Kiedy rano, zaraz po wstaniu, wyszłam przed dom, zastałam na werandzie Nicka karmiącego kruki skwarkami. Słońce dopiero wschodziło, a poranne powietrze muskające moje odsłonięte ramiona było zaskakująco chłodne.

Nick podawał każdemu krukowi po jednym skwarku na palcu. Jego torba leżała przy przednim kole terenówki. Najwyraźniej czekał, aż wstanę, żeby się pożegnać.

- Cześć, Mab. - Pozdrowił mnie, unosząc rękę, w której trzymał talerz ze skwarkami. Usiadłam obok niego na schodach i związałam włosy w węzeł na karku.

- Wypałeś się?

- Jak zawsze na waszej kanapie. - Kiedy wczoraj wieczorem poszłam do swojego pokoju, zostawiłam Nicka leżącego na kanapie w salonie z kapeluszem nasuniętym na twarz. Nic dziwnego, że wstał pierwszy, mimo że swego czasu zdarzało mu się spać do południa.

- Nie miałaś koszmarów?

- Nie, nic mi się nie śniło.

Zerknęłam na ogródek. Róże zwinęły płatki w supelki. Minęła doba, odkąd wyjęłam kłatwę z ich korzeni. Dzisiaj powinnam chyba pójść po resztki lalki i porządnie unieruchomić wypędzoną kłatwę. Na pewno właśnie to miał na myśli Arthur, kiedy kazał mi zniszczyć róże. Złe nie są same kwiaty, tylko właśnie kłątwa. Kiedy rozprawię się z nią do końca, róże staną się zupełnie nieszkodliwe.

Zajrzałam za dom, gdzie bujny ogród rozciągał się w całej okazałości. Kolorowe pączki kwiatów i gęstwina liści przypomniały mi babcię Lyn. Lubiała pracować tam godzinami. Spulchniała ziemię ostrą łopatą, zrywała pojedyncze, obumarłe listki, a inne leczyła i chroniła przed szkodnikami za pomocą własnej krwi.

- Donna i mały jeszcze śpią? - Nick rzucił na trawę ostatnie skwarki.

- Tak.

Poprzedniego dnia po moim powrocie z silosu siedzieliśmy jeszcze długo. Obejrzeliśmy stary film Disneya o pewnym samochodzie. W końcu Pan zasnął, zagrzebany w



stare koce. Nick zaniósł go na górę, do pokoju Arthura. Zajrzałam tam dziś rano. Chłopiec leżał zwinięty w kłębek w stopach łóżka, daleko od poduszek.

- Gdzie go znalazłeś?

- W Arkansas. Wracalem z Nowego Orleanu. Od Perrych, kojarzysz.

Skinęłam głową. Rodzina Perrych to moi krewni. Spowinowaceni z nami czarownicy byli rozrzućeni po całym kraju, mieszkali zwykle w niewielkich skupiskach.

- Pojechałem odebrać od nich coś dla Silli. Jadłem obiad przy tym targu staroci koło drogi, tam gdzie sprzedają poroża jeleni i porcelanowe szopy pracze. W kieszeni miałem amulet przeciw klątwom od Silli. Nagle zrobił się bardzo gorący. - Zamilkł; już miał dodać coś z rozbawioną miną, ale zmienił zdanie i westchnął. - Popytałem w okolicy i usłyszałem mnóstwo opowieści o tajemniczym ogniu w pobliskim lesie. Ludzie widzieli też martwe ptaki spadające z nieba. To, co zwykle. Zanurzyłem się w las i znalazłem małego właściwie na autopilocie. Był sam. Siedział z ognistą kulą w dłoniach i czekał na mnie. Podobno drzewa powiedziały mu, że idę po niego, żeby zabrać go do siostry. - Nick przyjrzał mi się uważnie. - Twoja mama miała jeszcze jakieś dzieci?

Ścisnęło mnie w żołądku, a moje serce podfrunęło.- Nie. Ale z Diakonem spowinowaceni są wszyscy czarownicy. Ma jakąś rodzinę?

- Zapytałem go o to. - Nick podszedł bliżej. - Powiedział, że jego ojciec mieszka w budce nad rzeką, ale powinniśmy iść stamtąd jak najszybciej. Niespecjalnie mi się to uśmiechało. Już miałem poszukać tego ojca, ale wtedy mały podniósł koszulkę i... - Nick wytarł dłonie o dzinsy, zszedł z werandy i przeszedł przez stado kruków, które podfrunęły z krakaniem. Potem przykucnął na wysypanym kamyczkami podjeździe. - Zobacz, Mab.

Stałem obok niego. Gładkie kamyczki przyjemnie masowały mi bosc stopy. Nick nakreślił palcem na ziemi skomplikowany symbol.

- To miał wydrapane na plecach.

- Runa czarnej świecy.

- Czy jak to się tam nazywa. Wiem, do czego służy.

Widać było, że Nick wolałby nie wiedzieć. Dwa lata temu mąż Faith, Eli, powiedział nam, że jego znajomą z Kansas City prześladowuje jakiś facet. Przygotowaliśmy z Arthurem potężne zaklęcie, które miało odsunąć zainteresowanie tego mężczyzny od znajomej Eliego, i w korze starego orzecha wyryliśmy runę czarnej świecy. W ten sposób klątwa zostanie związana z życiem drzewa, a nie z nami. Dziewięć dni później opadły z niego wszystkie liście, czarne, powykęcane i martwe.

Prześledziłam palcem runę Nicka.

- Ojciec mu to zrobił? - zapytałam miękko.

- Mhm.

- Pierwsze słyszę, żeby czarownik użył jako chowańca człowieka.

- To dobrze, bo trochę się martwiłem, że uznasz to za nic wielkiego.

- Tak myślałeś? - Spojrzałam na niego z ukosa.- Troszeczkę. - Nick skrzywił się lekko. - Przepraszam!

- Dobrze, że go tu przywiozłeś. - Wstałam i weszłam kilka kroków na trawę. Poranne słońce wynurzyło się już znad czubków drzew i grzało mnie prosto w twarz.

- Tym się w końcu zajmujesz. - Stał koło mnie, przysłaniając oczy kapeluszem.

- Wszyscy się tym zajmujemy. Ty też. Nawet kiedy zamieszkas w Oregonie, prawda? Nick roześmiał się głośno.

- Chyba tak.

- To dobrze. - Obróciłam się do niego i położyłam mu dłoń na sercu. - Nick, pozostaniemy blisko, nawet jeśli przeprowadzisz się na drugi koniec kontynentu. Donna uważa inaczej, ale ja wiem, że tak będzie.

Spojrzał na mnie, marszcząc brwi pod rondem kapelusza. Powiedział mi kiedyś, że w niczym nie przypominam swojej matki. Pokochałam go za to, mimo że nie do końca się z nim zgadzałam.

- No dobra, Mab. - Zdjął moją dłoń ze swojej piersi i pociągnął mnie za rękę w stronę domu, żeby skończyć z sentymentami. - Chodź, usmażymy trochę skwarków dla ludzi. Zaraz się obudzą.

Idąc, zerknęłam na okno nad kuchnią - w tym pokoju spał Pan. Pomodliłam się w myślach, żeby moc runy czarnej świecy została już złamana.

Przez kilka pierwszych dni z Tobą pomagałam w przygotowaniach do zimy. Razem z Gabrielem naprawiliście ogrodzenie dookoła pastwiska dla koni - mimo że nie mieliście koni. Na zmianę przywoływaliście wiatr i gnaliście go przez stodołę, żeby przekonać się, czy nie jest dziurawa. Dom trzeba było solidnie uprzętnąć. Zacerowałam też trochę koców i wytyczyłam granice mojego przyszłego ogródka; w niektórych miejscach odgarnęłam zziębniętą glebę i zakopałam tam kilka cebulek. Pomogłam Ci także udrożnić komin.

Pojechaliśmy do miasteczka, żeby kupić kilka worków karmy dla kur. Przedstawialiście mnie wszystkim jako siostrzenicę Gabriela, który wyglądał wystarczająco dojrzałe, by być moim wujem. Obok stoiska z warzywami zaproponowałam, żebyśmy kupili wszystkie późnojesienne owoce, jakie znajdziemy. Zamierzałam przygotować z nich przetwory, a później - słodkości na Boże Narodzenie.

- Jest pani niezastąpiona - odparł na to Gabriel. Objął mnie ramieniem i przycisnął mocno do siebie.

Za ostatnie pieniądze kupiłam sobie wełnianą sukienkę i kilka swetrów, a także parę wysokich, wytrzymałych butów. Był to strój bardziej odpowiedni do życia w gospodarstwie niż plisowane spódnice i buciki do kostek, z którymi przyjechałam. Gabriel uparł się, żeby kupić mi kolczyki z perłami. Gdy zareagowałam niechęcią, oznajmił na tyle głośno, żeby wszyscy dookoła usłyszeli:

- Mam ochotę sprawić przyjemność mojej pogrążonej w żalu siostrzenicy.

Nie miałam wyjścia; musiałam się zgodzić.

To Ciebie śledziłam wzrokiem, od Ciebie uczyłam się nowego świata. Jeżeli zamieniałeś z jakimś człowiekiem więcej niż dwa słowa, zaznajamiałam się z jego żoną. Ciągnęło Cię do farmerów, ludzi prostych, gdy tymczasem Gabriel nagabywał tych z zegarkami w kieszeniach i opinią na temat najnowszych filmów.

Czasem zastanawiałam się, jak to możliwe, że Wy dwaj trzymacie się razem. Wydawałeś mi się tak zupełnie inny niż on, z tym jego tupeciarskim sposobem bycia. Miałeś cichy głos, spokojne spojrzenie, a dłonie wyciągałeś tylko wtedy, gdy wiedziałeś, czego chcesz. Za to Gabriel śmiał się, hałaśliwie witał swoich znajomych i wszystkiego dotykał, wszędzie go było pełno. Niczym mały chłopiec. Albo król. Obaj oczarowaliście miasteczko. On urokiem, a Ty spokojną pewnością siebie.

Pewnego popołudnia w trakcie mojego pierwszego tygodnia wybrałam się do stodoły poprosić któregoś z Was o zabicie kurczaka, bo nadszedł czas, żebym nauczyła się posługiwać Waszym starym żeliwnym piecem. Zastałam Was na łące za stodołą; staliście twarzami do siebie pod niebem w kolorze ołowiu. Pomimo chłodu zdjęliście koszule i patrzyliście na siebie z wielką uwagą. Wyciągnęliście ręce, jakbyście chcieli zetknąć się dłońmi, ale zachowywaliście dystans.

Ciało Gabriela było całe w tatuażach: plecy, klatkę piersiową, brzuch, ramiona miał pokryte skomplikowanymi zawijasami i gwiazdami wpisanymi w gwiazdy. Niektóre były stare i przyszarzałe, inne wyraźne, czerwone albo czarne. Zachodziły na siebie, jak gdyby co kilkadziesiąt lat bardzo długiego życia odnawiał cały ich zestaw. Wtedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że musicie być o wiele starsi, niż wyglądacie.

A Twój widok zaparł mi dech w piersiach. Od łokci po obojczyki miałaś skórę bladą, zaróżowioną od zimna. Za każdym ruchem napinały się Twoje mięśnie. Przyłożyłam palce do ust; miałam ochotę Cię dotknąć i przekonać się, czy jesteś zimny czy gorący, gładki czy

szorstki. W ciele zadudniła mi krew. W tym samym momencie równocześnie otworzyliście usta i powiedzieliście:

- Wiąż.

Z ziemi buchnęła magia, przebiegła przeze mnie i wypełniła całe powietrze. Zachwiałam się i złapałam poręczy werandy, żeby nie stracić równowagi.

Wzgórze zatrzęsło się, drzewa zafalowały. Łaskoczące mnie pod skórą palące języki magii rozsnuwały się po okolicy.

Nagle wszystko się uspokoiło. Zabolowały mnie bębenki. Gabriel chwycił Cię za rękę i spojrzał w niebo, śmiejąc się pełną pierśią.

Zamknęłam oczy. Choć stałam dosyć daleko, zobaczyłam, że się trzęsiesz. Ziemia była związana Waszą magią. Chroniliście ją przed czymś. Przed czym? Nie wiedziałam. Dotknęłam gałęzi zwieszającej się obok mojej twarzy. Uśmiechnęłam się. Poczułam, że jestem bezpieczna.

Po chwili jednak uświadomiłam sobie, że do potężnego zaklęcia, które przed chwilą wykonaliście, nie potrzebowaliście ani kropli krwi. Łączyło Was coś o wiele intymniejszego niż magia. Wasza połączona moc była tak wielka, że przyćmiewała słońce.

MAB

Rankiem trzeciego dnia od przyjazdu Pana czekałam w progu pokoju Arthura, aż chłopiec się obudzi. Dałam mu trzy dni na oswojenie się z nami, podjęcie decyzji, czy mi zaufa, poznanie mowy naszych drzew. W ogóle nie pytałam go o przeszłość, magię ani ojca. Pozwoliłam mu być po prostu małym chłopcem w nowym miejscu. Jadł, pił, spał i powoli stawał na nogi. Sam też nie poruszał trudnych tematów.

Jednak wczoraj wieczorem Donna poszła utulić go do snu i jakiś czas później zesłała powoli po schodach.

- Widziałaś te oparzenia na jego dłoniach? - zapytała ze spojrzeniem utkwionym w tapecie nad moim ramieniem. - Sam je sobie zrobił.

- Rano zabiorę go na utrwalanie magii - odparłam.

I zabrałam.

- Wyjdź na dwór, kiedy będziesz gotowy - poprosiłam, kiedy wygramolił się ze zwoju koców piętrzących się w stopach łóżka. - Chcę ci pokazać nasz tutejszy zwyczaj.

Wyszedł z paczką mrożonych jeżyn w dłoni. Miał na sobie tylko cienką chłopięcą koszulkę i spodnie od dresu, które skróciłam w poniedziałek wieczorem. Popatrzył na moje boscie nogi i poruszył w trawie palcami u stóp.

- Donna mówi, że kruki bardzo lubią jeżyny. - Przyjrzał się szaremu niebu w poszukiwaniu ptaków.

- To prawda. - Wyciągnęłam ku niemu dłoń. On ją złapał, po czym razem zanurzyliśmy się między drzewa. Schodziliśmy po północnozachodnim zboczu, kierując się w stronę Małego Potoku. Ponad naszymi głowami karbowane szare chmury przysłaniały poranne słońce; cienie były stonowane, a cichy las wypełniało oczekiwanie.

Szliśmy wzdłuż Małego Potoku. Oboje to wskakiwaliśmy do wody, to wychodziliśmy na gładkie kamienie przy brzegu. Otworzyłam opakowanie z owocami, a Pan rzucił za siebie kilka jeżyn. Po chwili zjawiły się kruki. Pikowały, żeby złapać mrożone przysmaki, głośno się przekomarzały i furkotały skrzydłami. Pan obserwował to z uśmiechem.

Kiedy po owocach nie zostało już śladu, akurat wyszliśmy na niewysokie wzniesienie. Przed nami rozciągała się zachodnia łąka, mieniąca się różem i fioletem. Pod ołowianym niebem barwy sprawiały wrażenie bardziej nasyconych. Przepadałam za takimi dniami.

- Co tydzień obchodzę całą naszą ziemię, utrwalam magię i nie pozwalam zadziałać klątwom, które zawędrowały tu na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Na nowo przedstawiam się drzewom.

Pan milczał, ale po ułożeniu jego spokojnych dłoni poznałam, że słucha.

- Słyszałeś o Diakonie?

Chłopiec znieruchomiał ze wzrokiem zawieszonym na fiołkach, wilcach, orlikach i floksach. Schylił się po gałązkę liliowej werbeny, odwrócił się i podał ją mnie.

- Strażniczka krwi. Tak nazywał cię tato.

Z uśmiechem przyjął kwiatek. Ucieszyłam się, że chłopiec wreszcie się otworzył.

- Właśnie. I to zamierzam ci teraz pokazać. Chcesz? Tak!

Podążaliśmy dalej na północ, a nad nami szybowały niespiesznie kruki. Wkrótce Mały Potok wpadł do Wielkiego Potoku, wydzielając trójkąt łądu, którego trzeci bok stanowił rząd igliczni trójcierniowych. Idealne miejsce do utrwalania magii. Pośrodku trójkąta rósł stary, sękaty dąb o grubych gałęziach, a ziemia dookoła wibrowała magią. Kruki siadały po kolei na górnych gałęziach dębu, składały skrzydła i sadowiły się wygodnie.

- Pan, jesteśmy na magicznej ziemi. - Bosymi stopami weszłam na skąpo porośłą trawą glebę, którą spinała siatka korzeni dębu. Stałam na jednym z nich i podałam rękę Panowi, żeby do mnie dołączył.

- Tutaj zakopujemy niechciane klątwy i magię, która wymknęła się spod kontroli.

Pan wyrwał dłoń.

- Nie, nie! - Serce mi załomotało. Miałam ochotę go przytulić. - Nie, Pan, ty nie jesteś niechcianą klątwą, nawet jeśli przydarzyło ci się coś okropnego. Zupełnie nie to miałam na myśli.

Cofnął się na bezpieczną odległość i stanął w strumieniu, żeby chroniła go płynąca woda.

- Tylko co?

- Chcę ci pokazać, czym się zajmuję, żebyś wiedział, że potrafię ci pomóc. Nic ci tu nie grozi. Nikt nie robi tu nic złego. Zachowujemy harmonię z naturą. I z Bogiem.

- Tato mówi, że nasza magia bierze się od szatana. Boga nic nie obchodzimy.

Spróbowałam wyobrazić sobie, co chciałabym usłyszeć na jego miejscu, ale było ciężko. Mnie zawsze kochano i powtarzano, że jestem silna i wyjątkowa, a Bóg o mnie dba. Podeszłam po korzeniu do pnia dębu i oparłam dłoń na szorstkiej, porowatej korze.

- Pan, Bóg to wszystko, co piękne. Tak mówił mi mój tata. Czasami piękno boli, czasami przytłacza, ale zawsze niesie magię-

- Czy twój tato też był strażnikiem krwi?

- Tak. - Na sekundę przymknęłam oczy. - Nie był moim rodzonym ojcem, ale tak o nim myślałam. - Zawsze chciałam być córką Arthura.

Pan podeszedł parę kroków wzdłuż strumienia, ale uważał, żeby woda sięgała mu co najmniej do kostek. Był małym, złotawym stworzeniem pośrodku szarozielonego lasu. Miał cerę w kolorze suchych liści dębu i ciemnomiedziane włosy. Jakby wyrósł spośród drzew. Czułam taką pewność, że malec tutaj przynależy, że nic nie powiedziałam. Postanowiłam poczekać, aż sam to zrozumie. To także jego miejsce - to było bezdyskusyjne. Patrzył na mnie przez chwilę, a potem powiedział:

- Pokaż.

Uśmiechnęłam się lekko i podeszłam do rzędu igliczni. Przycisnęłam rękę do kolców, które wyrastały z pnia, niektóre długie jak moja dłoń. W skórę wbiło mi się pięć ostrzy. Zwinęłam rękę w pięść i zaczęłam obchodzić magiczną ziemię. Kiedy wróciłam do początku, upuściłam w to miejsce pięć kropli krwi.

Okrążyłam tak teren trzy razy. Trzy razy kapałam krwią na ziemię. Śpiewałam pieśń o bezpieczeństwie i spokoju, a gdy szłam, w stopach czułam magię. Kiedy po ostatnim okrążeniu spadła piąta kropla krwi, świat zadygotał. Skierowałam swoje kroki do dębu i położyłam rękę na pniu.

- Utrwalam magię na siedem dni i siedem nocy.

Dłoń oparta o szorstką korę płonęła z gorąca. Zdjęłam ją i wytarłam nadmiar krwi o włosy. Skaleczenia od razu sięzagoiły, chociaż skóra była zaróżowiona i pobolewała. Bez namysłu weszłam do Małego Potoku, gdzie stał Pan; zimna woda obmyła mi stopy z błota i trawy, a jej naturalna moc usunęła wszelkie ślady po magicznej ziemi.

- Teraz obchód - oznajmiłam niskim, pobrzmiwającym magią głosem.

Idąc z nurtem strumienia, okrążyliśmy całą naszą ziemię. Sześć razy zatrzymywałam się, żeby utrwalić granice i wzmocnić punkty ochronne, przywiązać to miejsce do niego samego. Przypominałam mu w ten sposób, czym jest i kim jestem ja.

Pan nie przerwał mi ani razu, obserwował mnie tylko jasnym spojrzeniem i od czasu do czasu machał krukami, które dreptały po gałęziach pobliskich drzew albo krążyły po niebie. Powtarzały w ten sposób rysunek moich run - Pan chyba to zauważył.

Nick nazwał go dzieckiem. Miał dziesięć lat, więc pewnie nim był. Ja jednak pamiętałam, co przeżywałam w jego wieku i jak zakochałam się w mrowieniu, które czułam podczas cotygodniowego utrwalania magii. Miałam nadzieję, że Pan też je pokocha. Oby to, czego doświadczył w przeszłości, wyblakło i zniknęło, ustępując miejsca temu, co widział teraz.

Gdy zakończyłam rytuał, wiszące na niebie chmury pulsowały w rytm bicia mojego serca; rytm ten czułam też w koniuszkach palców. Podświetlone drobinki pyłu podrygiwały w tempie, jakie nadawała im moja krew. Roześmiałam się na widok przekomarzających się kruków i oparłam rękę o korę ambrowca. Załaskotało. Poruszany wiatrem las szeleścił moje imię.

Pan oparł ręce o drzewo i rozcapierzył palce, jak gdyby chciał lepiej je złapać.-1 jak?

Pokręcił głową, jakby nie potrafił opisać tego słowami. Zaraz potem zwinął ręce w pięści.

- Podobało mi się.

Czekałam.

- Drzewom też - dodał. Kucnął i z uśmiechem dotknął srebrnej brzozy. - Szepczą twoje imię. - Jednak mina prędko mu zrzędnęła. Oparł czoło o korę. - Ale nie chcę, żebym ja ich dotykał.

Ostrożnie podeszłam do niego i położyłam mu ręce między łopatkami - w miejscu, gdzie wyrastałyby skrzydła, gdyby je miał.

- Możemy to zmienić.

- To wina mojej krwi.

- Pozwól mi spróbować.

Zadrzał. Obrócił się plecami do brzozy i skulił u jej stóp, obejmując się za kolana.

- Mamusia mówiła na mnie Lukas - powiedział tak cicho, że musiałam się nachylić, żeby usłyszeć.

Wyciągnęłam dłonie wnętrzem do góry, żeby pokazać mu tatuaże na nadgarstkach: gwiazdę na lewym, spiralę na prawym.

- Lukas, obiecuję ci, że na skórze będziesz miał tylko taką magię, jakiej sam zechcesz.

Mały zawahał się przez ułamek sekundy, ale potem wziął mnie za rękę.

WILL

Kiedy w środę wróciłem z treningu, na poduszce czekała na mnie nowiutka piłka z motywem moro.

BEN

Przez całą dobę po naszej kłótni udawałem, że mój brat nie istnieje. W poniedziałek podczas kolacji uświadomiłem sobie, że tata zachowuje się jak zwykle - jest cichy i zdystansowany. Czyli Ben nic mu nie powiedział na temat naszej rozmowy o akademii. Z jednej strony byłem mu za to wdzięczny, a z drugiej miałem ochotę osobiście tacie wszystko wykrzyczeć. Ben nie był mi winien lojalności kosztem synowskiego obowiązku doniesienia ojcu, jakim jestem popaprańcem i zdrajcą rodzinnej tradycji.

Rzuciłem plecak na podłogę i podniosłem piłkę. Nie był to najprostszy sposób na zakończenie wojny, ale... Pamiętałem czasy, kiedy uwielbiałem spędzać z Benem wolne chwile. Biegałem po łące do upadłego i krztusiłem się ze śmiechu, a on mnie gonił. To było chyba w Maryland. Mieszkaliśmy tam, kiedy miałem pięć lat. Zawsze w końcu mnie łapał i podnosił wysoko za rękę i nogę, a potem obracał mną w powietrzu, wydając z siebie okrzyki wojenne. Wirowałem i wirowałem, aż wydawało mi się, że zaraz zwymiotuję. Nie wiem, czy Ben miał wtedy dość siły, żeby mnie utrzymać, ale nie bałem się. Aaron skończył już wówczas sześć lat i był na to za duży. To była nasza zabawa, moja i Bena. Mówił mi, że jestem bombowcem, który podkrada się na terytorium nieprzyjaciela, więc nie wolno mi wydawać żadnych dźwięków, kiedy mną obraca, bo inaczej wrogie siły zorientują się, że nadchodzimy. Ale ja i tak wrzeszczałem.

Miałem zaledwie dziesięć lat, gdy wyjechał wypełnić przeznaczenie Sangerów. Przeznaczenie, które później zawiodło Aarona do śmierci. Przed którym ja zapierałem się rękami i nogami.

Westchnąłem. Zamiast iść pod prysznic, wyszedłem do ogrodu z piłką od Bena. Dałem psom karmy i wody, ale onedoskonale wiedziały, co oznacza piłka, i wykazywały zerowe zainteresowanie jedzeniem. Ruszyłem przez trawnik, kopiąc lekko piłkę, a psy



pobiegly za mną. Raz po raz któraś skakała na mnie, żeby mnie przewrócić, ale ja starałem się utrzymać na nogach. Brykaliśmy we trójkę. Śmiałem się głośno, a Walkiria swoim zwyczajem poszczekiwała - zawsze miałem wrażenie, że też się w ten sposób śmieje. Furii udało się podciąć mi nogi; prowadziła w rankingu przewracania mnie na ziemię. Zachwiałem się i rymsnąłem na trawę, aż zabolalo mnie miejsce z blednącym siniakiem. Wyciągnąłem się na plecach, a psy zaczęły lizać mi twarz.

- Przydałaby nam się na froncie - powiedział Ben i ruszył w moim kierunku, zasłaniając późnopołudniowe słońce. Spojrzałem na brata, mrużąc oczy, a Walkiria przyskoczyła do niego i oparła mu łapy brzuchu. Ben odsunął ją delikatnie, po czym podał mi dłoń i pomógł wstać.

- Dzięki. - Miałem nadzieję, że zrozumie, że dziękuję mu także za piłkę.

- Nie ma sprawy. Dostałem to dziś od mamy. - Z kieszeni dzinsów wyjął złożony wycinek z gazety.

Jęknąłem.

Był to specjalny dodatek do lokalnego dziennika. Wyszedł w zeszłym miesiącu, zaraz po trzęsieniu ziemi. Artykuł ilustrowały zdjęcia: ja na tle reszty drużyny oraz Holly w stroju cheerleaderki.

Reporterka przysłała do nas na kolację. Mama zrobiła schabowe, a tata pożyczył mi swój ulubiony krawat. Zadawała mi pytania w rodzaju: „Williamie, o czym myślałeś podczas ratowania koleżanki?”. To trochę jak dopytywać się, o czym myślałem, kiedy rano nasypywałem sobie płatków. „O niczym. To był ludzki odruch”.

Dziennikarka rozpromieniła się. „Will Sanger, lokalny bohater” - tak określiła mnie w artykule. Jakbym był warzywem.

Chłopaki z drużyny zaczęły wołać za mną na korytarzu: „Bohater”, a moja szafka była stale oblepiona kserówkami artykułu. Nie miałem pojęcia, kto wpadł na pomysł, żeby rozdać ludziom nalepki z Supermanem, które wszyscy potajemnie naklejali mi na plecy. I założyłbym się, że plastikowy wieniec laurowy to przytyk zbyt wyrafinowany jak na moich znajomych, a jednak znalazłem go któregoś dnia przed historią na mojej ławce.

Jedynie rodzice przeszli nad moim tak zwanym bohaterstwem do porządku dziennego. Jakby od dawna wiedzieli, co we mnie drzemie, więc wcale ich nie zaskoczyło, że uratowałem Holly. Stałem teraz z rękami założonymi na piersi i przyglądałem się Benowi. Nie byłem pewien, do czego zmierza.

- Brawo, Will.

Puściłem luźno ręce i wzruszyłem ramionami.

- To wcale nie... - Nie miałem pojęcia, jak mu to wytłumaczyć. Z jednej strony rozumiałem wagę tego, co zrobiłem, ale z drugiej to naprawdę nie było nic wielkiego.

- Jasne. - Ben schował wycinek do kieszeni, a na jego twarzy pojawił się uśmiezek. - To wcale nie dowód, że bohaterstwo masz we krwi, tak?

- Boże. - Cofnąłem się i schyliłem po piłkę. - Daj spokój, dobrze? - Kazałem Furii i Walkirii iść zjeść ten cholerny obiad.

- Mówię poważnie. - Ben uchylił się przed biegnącymi do misek psami. - Wypierasz to, ale twoje czyny mówią same za siebie. Chyba nie zaprzeczysz.

Zacząłem podbijać piłkę kolanami, uważając, żeby nie dotknęła ziemi. Utrzymywanie rytmu wymagało sporego skupienia i równowagi. Ben zaszedł mnie z drugiej strony i przechwycił piłkę.

- Rozumiem, że przeraża cię, co stało się z Aaronem. Naprawdę. Ale nie możesz pozwolić, żeby twoje życie ukształtował strach.

- Nie o to chodzi.

- Tylko o co?

- Nie wiem... - Z trudem wytrzymałem jego krytyczne spojrzenie. - Nie chcę i już.

- Kiedyś chciałeś - oznajmił Ben z przeświadczeniem. I miał rację.

- Ale teraz nie chcę. - Wbiłem wzrok w piłkę, którą trzymał pod pachą.

- Z powodu Aarona.

- Chyba tak. - Powróciłem myślami do tej chwili zeszłego lata, kiedy zadzwonił telefon. Zrobiło się jak makiem zasiał. Mama poszła do kuchni odebrać i powiedziała: „Przy telefonie”, a potem upuściła słuchawkę. Włączyliśmy wszystkie telewizory i radio, żeby tylko zagłuszyć ciszę. Bena nie było wtedy z nami. Nie rozumiał, przez co przeszliśmy. A ja nie potrafiłem mu wytłumaczyć.

Wzruszył ramionami z udawaną obojętnością.

- Jak na mój gust to właśnie jest strach. Nie wierzę, że masz w sobie tchórza. Jesteś w końcu moim bratem.

Zgrzytnąłem zębami i przekulem grymas w uśmiech.

- Chcesz zagrać? Ten i tamten słupek - powiedziałem, wskazując na ogrodzenie - wyznaczają bramkę. Założę się, że nie wbijesz mi gola.

- Jeżeli wbiję, będziesz musiał mi szczerze odpowiedzieć.

Pochyliłem się, przygotowując do obrony.

- A jeśli ci się nie uda, zapytam cię o coś. - Zgoda.

Ben zaczął kopać piłkę. Nie szło mu zbyt dobrze; kierunkiem ramion zdradził, gdzie uderzy. Kiedy kopnął, złapałem piłkę i uniosłem ku górze. Ben uznał swoją porażkę krótkim skinieniem głowy.

Ścisnąłem piłkę pod pachą.

- No dobra, Ben. Ubóstwiasz piechotę morską, jesteś pewien, że spodobałoby mi się w wojsku. Dlaczego? Dlaczego to jest takie super?

Przez chwilę jego twarz nachmurzyła się, a potem odpowiedział:

- Bo jestem tam częścią większej całości.

- Nie ściemniaj. To tekst jak z reklamy. - Podeszedłem bliżej. - Miałeś odpowiedzieć szczerze. Co jest takiego niesamowitego w wojsku? Dlaczego służbę uważasz za najlepsze zajęcie pod słońcem?

Ben westchnął. Zapatrzył się gdzieś w przestrzeń, a wokół kącików jego oczu pojawiły się zmarszczki. Znieruchomiał. Byłem ciekaw, dokąd przeniósł się myślami. Gdy po chwili spojrział z powrotem na mnie, w jego twarzy dostrzegłem coś zupełnie nowego. Poczulem się jak ostatni tchórz. Tak jak mówił.

- Zaufanie. Will, nie wiem, czy potrafię to wyjaśnić. Jesteś w zupełnie obcym miejscu. Możesz polegać tylko na sobie i facecie, z którym tam przyszedłeś. Nie zastanawiasz się nad tym, bo nie musisz. Po prostu to czujesz. Tak mocno, że nie opiszą tego słowa.

Twój twarz mojego brata była spokojna i skupiona. Pokręciłem głową, bo nie rozumiałem. Ale mu wierzyłem.

- Lepiej ci tego nie wyjaśnię - rzucił i odszedł w kierunku domu.

Miałem ochotę zawołać za nim, że mu wierzę, mimo że nie rozumiem. I poprosić, żeby zrobił to samo.

Ale nie miałem siły otworzyć ust. Po chwili usłyszałem trzaśnięcie drzwi.

## ROZDZIAŁ 12

Nieczęsto byliśmy sam na sam. Kiedy świeciło słońce, oboje mieliśmy pełne ręce roboty, a w czasie wieczornego odpoczynku towarzyszył nam Gabriel.

Nawet go lubiłam. Był zabawny, miły i chętny do pomocy. Bez wątpienia obroniłby mnie przed potencjalnym zagrożeniem. Zazwyczaj to on zagadywał mnie i pytał, jak mi się żyje na prerii. „Dobrze, uwielbiam tutejsze kolory i ten dramatyzm krajobrazu”, odpowiadałam.

Była to prawda, ale najbardziej uwielbiałam Twój uśmiech. Najpierw iskrzył Ci się w oczach. Lekko mrużyłeś powieki i wkrótce zadowolenie sięgało dalszych części Twojej twarzy - policzków, czubka nosa, wreszcie ust.

Wracaleś zmęczony całym dniem pracy w stodole albo przyprószony kurzem i pyłem z łąki. Ja grzałam wodę na kąpiel i parzyłam herbatę, którą w oczekiwaniu na Ciebie popijał Gabriel. Staralam się uprzyjemnić Ci życie - on jednak sądził, że robię to wszystko dla niego. Wtedy nie miałam o tym pojęcia, byłam bowiem zbyt skupiona na Tobie.

Pewnego wieczora przyrządzałam właśnie pieczeń z wołowiny, którą uzyskałeś z wymiany z innym farmerem. Włączyłam radio, z którego płynął niespieszny, cudowny jazz. Ty sprzątałeś na górze. Gabriel po południu pojechał do miasteczka, mówiąc, że w nocy zapowiadają śnieżycę i że z pewnością nas zasypie.

W kuchni pachniało goździkami i cebulą. Było mi ciepło i dobrze. Znajdowałam się w jasno oświetlonym domu, odgradzona od niebezpiecznej ciemności na zewnątrz. Pogłośniłam radio, kiedy usłyszałam pierwsze dźwięki jednej z moich ulubionych piosenek: Our love is here to stay.

Tańczyłam samotnie po kuchni. Zamknęłam oczy, jedną dłoń położyłam sobie na talii, a drugą trzymałam wyimaginowanego partnera. Nuciłam cicho, czasami dośpiewując słowa, które znałam.

Nagle poczułam na plecach Twoje ciepło. Przykryłeś dłonią moją spoczywającą na talii rękę. Stojąc z tyłu, gładko włączyłeś się w mój taniec. Na skroni czułam Twój oddech, pachniałeś mydłem lawendowym i świeżą wełnianą tkaniną. Głos uwiązał mi w gardle; dalej nie byłam już w stanie nawet nucić. Podążałam miękko za ruchem Twojego ciała, za biodrami przylegającymi do moich, za klatką piersiową dotykającą pleców i dłonią, która prowadziła moją dłoń. Przesuwałam się tam, gdzie mnie kierowałeś.

Z melodii - już innej, nie zauważyłam, kiedy się zmieniła - wyrwały nas oklaski stojącego w przedpokoju Gabriela.

- Bravissimo, moi mili. - Gabriel wszedł do środka, nadal leniwie klaszcząc, i rzucił torbę na podłogę. - Nie przeszkadzajcie sobie.

Stanął przy zlewie i zabrał się do mycia rąk, my jednak nadal tkwiliśmy za stołem, niczym kamienne figury. Obejmowałeś mnie w talii, a ja ścisakałam palcami Twoją dłoń.

Gabriel zaczął śpiewać i raz po raz zerkał na nas przez ramię, unosząc brwi, jakby półzartem skłaniał nas ku sobie. Przez krótką chwilę miałam wrażenie, że jest zazdrosny.

Odsunąłeś się ode mnie, a ja wygładziłam fałdy sukienki.

- Pieczeń prawie gotowa - wymamrotałam i rzuciłam się w stronę pieca. Buchało z niego gorąco; byłam zadowolona, że zamaskuje to moje rumieńce.

Od razu zacząłeś wypytywać Gabriela, czy nie miał jakichś przygód na drodze do Topeki, czy znalazł odpowiednią część do pompy w studni, a on odpowiadał Ci, niespiesznie

cedząc słowa. Ja nakrywałam do stołu i przyglądałam się Wam kątem oka. Wyczułam, że jestem świadkiem jakiejś innej, tylko dla Was zrozumiałej rozmowy, którą prowadzicie od bardzo, bardzo dawna.

Na pierwszy rzut oka wyglądałaś na dziewiętnasto, dwudziestolatka, a Gabriel może na dwadzieścia pięć lat. Ale Wasze powłóczyście spojrzenia, jego naładowane znaczeniami słowa, sposób, w jaki dotykał Twojego ramienia, zdradzały, że macie o wiele więcej. Nie tylko lat. Również doświadczenia życiowego i głębi uczuć.

Przemknęła mi przez głowę myśl, że jesteście kochankami. Odrzuciłam ją jednak. Nie dlatego, że nie miała sensu, raczej ze strachu i egoizmu. Powtarzałam sobie, że to na pewno coś innego. Przypomniałam sobie babcine opowieści o czarownikach, którzy za pomocą magii zyskiwali długowieczność.

Uchwyciłam się tego. Łudziłam się, że wcale nie kochasz Gabriela, tylko po prostu znasz go od setek lat. To długie życie tak Was do siebie zbliżyło.

W to było mi najłatwiej uwierzyć.

Och, Arthurze. Byłam taka młoda. Miałam rację, ale jednocześnie byłam w ogromnym błędzie.

MAB

Nie spieszyłam się z oczyszczaniem Lukasa z klątwy jego ojca. Nigdy przedtem nie pracowałam na człowieku, w dodatku na dziecku. Oboje woleliśmy ostrożnie poruszać się do przodu.

Po kolei wszystko Lukasowi wyjaśniałam. Opowiadałam o innych klątwach, które widziałam - zamkniętych w skamieniałym mamucim kle albo wmurowanych w fundament domu. Większość z nich Arthur rozumiał i krok po kroku pokazywał mi, jak się ich pozbyć. Albo należało zniszczyć sam przedmiot, albo w całości go unieruchomić. W przypadku Lukasa nie dało się jednak zastosować żadnego z tych sposobów, ani - rzecz jasna - zedrzyć pokrytej runą skóry.

Cały czwartek poświęciłam na badanie klątwy Lukasa. Chłopiec leżał bez koszulki na trawie, pośrodku kręgu z soli. Runa czarnej świecy rozciągała się misternym, pełnym precyzyjnych zawijasów rysunkiem w dolnej części jego pleców. Oprawca musiał go związać albo pozbawić przytomności; nie pytałam, a sam Lukas prawie nie wspominał o swoim ojcu. Przysięgł jednak, że rysunek nie sięga poniżej bioder. Odetchnęłam z ulgą, że jego ojciec potwór nie był przynajmniej zбочeńcem.

Donna siedziała w domu. Przyszło mi na myśl, że pewnie widok chłopca zmalretowanego przez magię przypomina jej te chwile z dzieciństwa Nicka, o których wolałaby zapomnieć.

Dokładnie przerysowałam runę i zaznaczyłam, jak Lukas reaguje na różne bodźce: kiedy dotykam jego pleców, kiedy rozsypuję dookoła nas ochronny krąg z soli - co zresztą okazało się dla niego bolesne, musiałam najpierw drasnąć malca w palec i uziemić podłóżę jego krwią.

W czwartek niewiele zrobiliśmy, ale i tak wieczorem był wykończony. W piątek zostawiliśmy na jakiś czas jego krew i skupiliśmy się na mniej wyczerpujących, a przy tym znacznie przyjemniejszych zadaniach kuchennych.

Lukas okazał się znakomitym kuchcikiem. Sprawnie wałkował ciasto i ostrożnie obchodził się z gorącym piekarnikiem. Pomagał Donnie w pieczeniu placków, małych mięsnych pasztecików dla kruków i dwóch blach bułeczek cynamonowych. Donna trochę się przy tym zrelaksowała. Widać było, z jaką przyjemnością opowiada mu o naturalnej magii gotowania.

- To przemienianie, do którego nie potrzeba krwi ani zaklęć - wyjaśniła mu, uśmiechając się do mnie porozumiewawczo.

Ja stosowałam magię w kuchni, przygotowywałam jednak ziołowe napary i lekarstwa, a nie zwykle jedzenie. Piekłam małe pszenne ciasteczka z lawendą i rutą, dające słodkie sny i jednocześnie zwalczające alergie; wygotowywałam trójcę do postaci pasty, a potem mieszałam z miodem i formowałam pastylki na kaszel; sporządzałam napar z dzikiej jeżówki; z sadzca przygotowywałam olejek na bóle i gorączkę. Do wszystkiego dodawałam kilka kropel krwi, co przyspieszało działanie specyfiku. Moje domowe lekarstwa były niezawodne.

Nie musiałam używać minutnika, bo zawsze wiedziałam, kiedy dzieło jest już gotowe. Wystarczyło, że poczułam słodki zapach idealnie ugotowanej trójce, posmakowałam kropelki miodu albo usłyszałam chrzęst należycie wysuszonych liści dębu.

Odkąd pamiętam, pomagałam Arthurowi i babci w przygotowywaniu magicznych mikstur. Zapach mąki, krwi i ziół sprawiał, że miałam ochotę włączyć stare radio babci i posłuchać jej ulubionego retro jazzu. Nie śpiewałam, ale rytm tej muzyki pomagał mi przeboleć stratę tych dwojga.

Lukas wgrzył się w jeden z placków z malinami, a nadzienie pocięło mu po brodzie. W nagłym przeblysku przypomniało mi się, jak pewnego dnia matka przesunęła mi palcem po buzi, żeby zetrzeć z niej kroplę lepkiego miodu, a następnie oblizwała palec z uśmiechem.

- Zbieramy się stąd, złotko - zakomenderowała.

Ignorując protesty babci Lyn, zabrała mnie na górę do mojego pokoju, gdzie w nogach łóżka leżała jej otwarta walizka. Kiedy Josephine przyjeżdżała, zawsze nocowała ze mną, owinięta dookoła mnie niczym skorupa na żółwiu.

Matka zamknęła żaluzje i zaciągnęła zasłony, po czym upewniła się, czy do środka nie przedostają się żadne promienie światła. W pokoju panował półmrok, w efekcie czego kolorowe chusty podwieszane pod sufitem wydawały się niemal szare. Na stoliku nocnym zapaliła grubą świecę i usiadła na dywaniku, podwijając pod siebie nogi. Poklepała podłogę obok.

- Siadaj, Mab. Coś dla ciebie mam.

Przycupnęłam koło niej, zaintrygowana i czujna, bo rzadko dawała mi prezenty.

Spod łóżka wyjęła wąską, elegancką szkatułkę, wykonaną z ciemnego, błyszczącego drewna, z zamykającym ją paskiem wosku wzdłuż wieczka. Gwałtownie wciągnęłam powietrze; niczym innym nie zdradziłam zaskoczenia. Kiedy trzy dni temu chowałam w kącie pod łóżkiem wiecheć pokrzyw dla ochrony przed duchami, szkatułki tam nie było.

Matka przesunęła długimi, ostrymi paznokciami po gładkim wieczku.

- Przygotowałam ją dla ciebie. To będzie nasza tajemnica.

Wyciągnęła ku mnie rękę i założyła mi za ucho pasmo włosów. Jej blond loki przycięte równo z podbródkiem dzięki oliwce i lakierowi zawsze zachowywały nienaganny kształt.

- Tajemnica? - Nie ukrywałam niczego przed Arthurem.

Uśmiechnęła się, jakby odgadła moje myśli.

- Arthur nie miałby nic przeciwko, ale ta jego żona... - W jej oczach przemknęło coś niezrozumiałego. - Byłaby zgorszona, Mab. Zabrałyby ci to i miałyby mi za złe, że sprowadzam cię na złą drogę. - Matka roześmiała się. - Ale jesteś już prawie dorosła. Czekają cię niebezpieczeństwa. Oczywiście nie tutaj, w domu Arthura. Lecz poza tą ziemią istnieją potwory o twarzach mężczyzn. Będą cię pragnęli. Jesteś moją córką, a kobiety takie jak my wzbudzają pożądanie. - Jej spojrzenie zamgliło się, jak gdyby patrzyła w jakieś odległe miejsce albo nieznany mi czas. - Chcą wykorzystać moc płynącą w naszych żyłach. Odnajdą nas wszędzie i będą próbowali sobie podporządkować.

Dotknęłam jej policzka, a ona zamrugała, jakby uświadamiając sobie, gdzie jest.

- A więc przygotowałam ci broń.

Paznokciem kciuka przełamała woskową pieczęć. Wieczko otworzyło się, uwalniając zapach cynamonu. Nachyliłam się, drżąc. Połowę szkatułki wypełniały maleńkie fiołki w kolorach tęczy. Były tam też plecione wstążki i cienki srebrny sztylecik.

Na pierwszy rzut oka wyglądało to na zestaw dla początkujących, ale matka wyjaśniła, co zawierają fiołki. Nie były to podstawowe składniki, takie jak sól czy sproszkowany kwarc. W szkatułce znajdowały się oczyszczająca saletra indyjska, trujące kryształki z cisu, piasek oślepiający, a także buteleczka soku z wilczych jagód oraz rdzawoczerwona tynktura - czyli pozwalający żyć wiecznie eliksir z kości czarownicy albo czarownika. Wcześniej znałam tynkturę tylko z opowieści Arthura. Matka splotła wstążki z kilkoma własnymi włosami, żeby uczynić je mocnymi jak ze stali, a potem srebrnym sztyletem odcięła kilka pasm moich włosów i dołożyła je do plecionki. Następnie drasnęła mnie w palec środkowy i kazała wycisnąć po kropli na każdy korek fiołki - w ten sposób moja krew została związana z magicznymi proszkami i płynami.

Siedzieliśmy tak we dwie przy łóżku, pochylone nad drewnianą szkatułką. Dopóty uczyliśmy niebezpieczne moce posłuszeństwa mojej krwi, dopóki nie upewniliśmy się, że żaden eliksir nie może być wykorzystany przeciwko mnie, a jedynie w mojej obronie. Pamiętam ciepły, miękki oddech matki na moim policzku i zapach magii, gdy pocałunkiem leczyła mi skaleczenia na palcach. Tamtego popołudnia mój pokój przeobraził się w tajemny świat oświetlony jedynie blaskiem świecy i pełen mrocznej, cudownej magii.

Zupełnie inna atmosfera panowała teraz w jasnej kuchni, w której razem z Donną i Lukaszem pracowaliśmy nad wypiekami i zaklęciami. To tu miała zwyczaj tańczyć babcia Lyn, a Arthur podsadził mnie raz na stół, żebym mogła rozwiesić świąteczne łańcuchy.

Teraz, kiedy moja matka odeszła, rozumiałam, że sama była jednym z potworów, o których mówiła.

Ale nawet ona nie posłużyła się mną tak, jak Lukaszem jego ojciec. Moja matka nie zastanawiała się całymi dniami, jak usunąć runę czarnej świecy, tylko raczej poszłaby prosto do ojca chłopca i wyrwała mu serce, żeby złamać klątwę. Prawie pożałowałam, że nie byłam w stanie zdobyć się na coś takiego.

WILL

W piątek po szkole popędziłem na boisko.

Truchtałem po bieżni, żeby się rozgrzać, kiedy nagle uderzyło mnie w głowę coś miękkiego i lekkiego. Na ziemię spadła czerwona sportowa koszulka bez rękawów.

- Ej, bohater, zagrasz? - Dogonił mnie Matt.

Nachmurzyłem się, ale zwolniłem. Moje stopy uderzały miarowo o gumową nawierzchnię bieżni.

- Jasne.



Matt potrząsnął głową, żeby odsunąć sobie z oczu bujne brązowe włosy. Był to jego stały tik; przypominał mi w tym trochę nerwowego konia. Powtarzaliśmy mu, żeby się ostrzygł, ale Matt twierdził, że lubi, kiedy jego grzywa faluje podczas biegu, i utrzymywał, że dziewczyny to uwielbiają.

- Na pewno? Jesteś trochę zmarnowany.

- Dam radę. - Można powiedzieć, że czułem się całkiem nieźle. Posmak krwi jakby osłabł, a ból głowy, który dręczył mnie całą środę, teraz stał się zwykłym ćmieniem. Niezbyt dobrze spałem, bo prześladowały mnie koszmary z błotnymi potworami, ale nie zamierzałem o tym opowiadać Mattowi. Nic mi nie było. Żeby tego dowieść, puściłem się biegiem z powrotem do leżącej na ziemi koszulki, zdjąłem tę, którą miałem na sobie, i włożyłem czerwoną, sportową. Matt był ubrany w niebieską.

- Myślisz, że nam dokopiecie? - rzuciłem.

Skinął głową i znowu musiał strząsać włosy z oczu.

- Taki jest plan.

Zeszliśmy z bieżni i skierowaliśmy się na odległy kraniec terenu szkoły. Boisko porastała wybujała trawa, a pod bramkami świeciły placki wydeptanej ziemi. Czekają na nas może dziesięciu chłopaków; ćwiczyli podania i pokrzykiwali do siebie. Piłka nożna to jesienny sport, było więc poza sezonem, ale większość koleśków z naszej drużyny nie grała w nic innego. Ćwiczyliśmy okrągły rok, czasem pod okiem trenera, czasem sami. Za miesiąc z kawałkiem weźmie się za nas pan Bryson. Czekają nas piłowanie godzinami, dzień w dzień. Ciężko będzie znaleźć na lato taką pracę, z której wypuszczą mnie codziennie o trzeciej. Oby wypaliła ta opcja z pielęgnacją zieleni, którą ma dogadana ze swoim sąsiadem jeden z naszych napastników.

Szybko wybraliśmy z Mattem składy i stanęliśmy po przeciwnych stronach boiska. Moi Czerwoni pokleпали mnie po plecach i zapytali, jaką strategię obieramy. Mieliśmy tylko sześć osób na drużynę, więc zdecydowałem, że darujemy sobie bramkarza i zagramy bardzo ofensywnie. W bramce przeciwnika stanął Matt, co oznaczało, że trzeba będzie ostro atakować. Ja zostanę na pozycji stopera i będę osłaniał tyły. Plan był ryzykowny, ale ich kapitanem był Matt, a wiedziałem, że zawsze gra defensywnie.

Ubrałem się do biegania i nie miałem na sobie korków, nie stanowiło to jednak wielkiego problemu na boisku, w końcu był to tylko sparing. Słońce prażyło, a siatkowa koszulka przylepiła mi się do ciała. Na przemian śmiałem się i wrzeszczałem. Śledziłem raczej rozgrywkę na całym boisku niż tylko piłkę, bo to do mnie należała decyzja, kiedy zaatakować, a kiedy przeczekać albo na chwilę zejść z centralnej pozycji.

Wygrana - poza przyjemnością zwycięstwa - oznaczałaby, że przeciwna drużyna pierze nasze koszulki. Mnie jednak cieszyło, że remisujemy. W przyszłym roku będziemy świetną drużyną. Po upływie dwudziestu minut wbiliśmy drużynie Matta tylko jedną bramkę, a oni nam żadnej, bo moi Czerwonii trzymali Niebieskich na dystans. Zauważyłem, że do boiska zbliżyła się grupka cheerleaderek. Dziewczyna Matta, Shanti, prowadziła dla nich rozgrzewkę. Stały tak blisko, że ich głównym zajęciem było przyglądanie się grze. Widząc to, Matt włożył całe serce w wyskok, żeby zablokować bramkę, w efekcie czego upadł i zarył w ziemię lewym ramieniem. Szybko wstał i podał piłkę Dylanowi, swojemu skrzydłowemu, który trzymał się z boku. On popędził z nią wzdłuż prawej linii bocznej w stronę naszej bramki. Rzuciłem się w jego stronę. Starliśmy się z impetem; za wszelką cenę próbowałem wybić mu piłkę. Kiedy miałem akurat stopę na piłce, on nagle obrócił się, a ja gwałtownie zderzyłem się z jego ramieniem. Straciliśmy równowagę i obaj wywinęliśmy orła. Upadek przyszedł znienacka. Na chwilę odebrało mi dech, a w uszach słyszałem dzwonienie. Oparłem dłonie o kołyszącą się pode mną ziemię, jak gdybym był w stanie przytrzymać ją w miejscu. Obok mnie leżał i śmiał się Dylan. Po chwili przewrócił się na bok, wstał i podał mi rękę. Pokręciłem głową - i to był błąd.

Chwilę później pochylała się nade mną cała drużyna.

- W porządku. Nic mi nie jest.

- Cholera, Sanger! - Matt precyzyjnie się do mnie. - Co się stało? Masz zupełnie sine usta.

- Jezu, stary, przepraszam. - Obok mnie kucnął Dylan.

- Nic, naprawdę. - Usiadłem, podpierając się rękami. Przełknąłem palącą kulę żółci. Piekło mnie w gardle, a posmak krwi powrócił. - To pewnie przez upał - ściemniłem. Mieszkałem kiedyś na Okinawie, tropikalnej wyspie. Tutejszy upał to małe miki.

Matt chwycił mnie za ramię i pomógł wstać. Zachwiałem się.

- Słuchajcie, poćwiczcie trochę, ja go odprowadzę.

Kilka dłoni poklepało mnie po plecach. Ruszyliśmy z Mattem. Nagle z nosa pociekło mi coś ciepłego, czego nie zdążyłem wciągnąć z powrotem. Zakaszałem i poczułem, jak gorący płyn kapie mi na pierś.

- Stary, ty krwawisz - powiedział cicho Matt.

- Poważnie?

Przyłożyłem do nosa wierzch dłoni i kiedy odjąłem ją od twarzy, zobaczyłem na niej czerwone zacieki. Odchyliłem głowę i zacisnąłem nos palcami. Nic dziwnego, że znowu poczułem posmak krwi.

- Zadzwoń po kogoś?

- Nie trzeba... Wezmę prysznic i pójdę do domu się położyć. Nic mi nie jest.

- Na pewno? - Przyglądał mi się z powątpiewaniem. Odsunął z czoła swoją grzywę. Twarz miał zaczerwienioną z wysiłku i gorąca. Gra w parne popołudnie zmęczyła wszystkich, ale nie wszyscy mdleli.

- Tak. - Uśmiechnąłem się. Uśmiechanie się dobrze mi wychodziło.

Matt skinął głową i wrócił truchtem na boisko. Odwróciłem się i zobaczyłem Holly, która najwyraźniej na mnie czekała. Tym razem nie była sina i przemoczona krwistą wodą, tylko zwyczajna, w niebieskim stroju cheerleaderki.

Mój uśmiech znikł.

- Cześć - wydukałem.

- Will, nic ci nie jest? - Uniosła brwi i spojrzała mi w oczy. Jej twarz była spokojna, opanowana. Zupełnie inaczej niż moja, mocno speszona.

Jakieś trzy metry za nią stało stadko pozostałych cheerleaderek. Wcześniej jakoś nie zauważyłem, żeby była z nimi Holly. Pewnie nie szukałem jej wzrokiem, bo od wypadku nie chodziła na treningi. Sądząc po minie Shanti, dziewczyny wysłały Holly, żeby sprawdziła, czy jestem w jednym kawałku.

Ściągnęła usta i zerknęła przez ramię na swoje koleżanki.

- Nic mi nie jest, Holly.

- Przynieść ci może wody?

Przyglądałem jej się i nagle z jakiegoś powodu pomyślałem o tamtej dziewczynie w goglach. Mab. Holly była zupełnie inna. Chociażby strój cheerleaderki - wyprasowany, z plisowaną spódniczką, w kolorach naszej szkoły: czarnym i niebieskim. Holly miała teraz krótkie włosy, bo w szpitalu ogolono jej część, żeby założyć szwy, ale starannie ułożyła fryzurę w sposób, który ukrywał najbardziej szpecące miejsce z tyłu.

- Dzięki, nie trzeba.

Holly się zawahała. Położyła dłoń na idealnie gładkim materiale na brzuchu i zaczęła przebierać palcami.

Podniosłem wzrok na jej twarz.

- A jak ty się czujesz? - zapytałem.

Podszedłem nieco bliżej. Miałem wrażenie, że ją przytłaczam swoją osobą, chociaż wcale nie jestem duży i ciężki. Nie nadawałbym się na futbolistę. Holly z kolei nie była specjalnie filigranowa. Innymi słowy, przytłaczałem ją psychicznie.

- Chciałam się tylko dowiedzieć... - Zamilkła. Niesamowite, jak spokojną miała twarz.

Tylko dłoń zdradzała podenerwowanie.

Na górnej wardze poczułem ciepłą krew. Przyłożyłem do nosa wierzch palca.

- Sorry - wymamrotałem przez dłoń.

Holly zacisnęła usta i pospiesznie pokiwała głową.

- Powinieneś coś z tym zrobić. Pogadamy później. Na razie.

Dogoniłem ją i stanąłem z boku. Podskórnie czułem, że muszę się dowiedzieć, co chce mi przekazać.

- Holly?

Znowu uniosła brwi.

- Jutro rano będziecie wszystkie na stoisku sportowym, prawda? Na targu?

- Tak.

Przechyliłem głowę i usiłowałem się uśmiechnąć, pomimo koszmaru, jaki przedstawiał mój nos.

- W takim razie pogadamy jutro.

- Dobrze, Will. - Zmarszczyła brwi i zakryła usta dłonią, ale w jej oczach zauważyłem uśmiech.

Zapytałam Gabriela, bo Ty nadal zwracałeś się do mnie „panno Sonnenschein”, mimo że mieszkałam już u Was dwa miesiące. Dwa ciemne, zimne miesiące, podczas których byliśmy we troje skazani na siedzenie razem w domu.

Pewnego styczniowego popołudnia wyszłam za nim na nieskazitelnie biały śnieg. Z oczu oślepionych słonecznym, migotliwym blaskiem śnieżnego krajobrazu płynęły mi łzy.

- Gabrielu! - zawołałam, żeby zwolnił. W gardle poczułam szpileczki mrozu. Buty włożyłam ciepłe, ale w piętnastocentymetrowym śniegu ciężko mi było za nim nadążyć.

Gabriel miał twarz zaczerwienioną od lodowatego wiatru i naciągnięty głęboko na ciemne oczy kapelusz. Zatrzymał się i wyciągnął ku mnie dłoń w rękawiczce; ja nosiłam samodzielnie wydziergane rękawice z jednym palcem. Złapałam go za rękę i poszłam z nim w stronę stodoły.

- Ile masz lat? - zapytałam.

Gabriel się roześmiał.

- Masz pewne podejrzenia, nieprawdaż?

- Myślę, że dużo - odparłam tylko. Pociągnęłam go za ramię, żeby móc spojrzeć mu w oczy.

Uśmiechnął się lekko i wzruszył ramieniem.

- Tak, kochana Evie. Bardzo dużo.

- Arthur też?

- Tak. Chociaż nieco mniej.

- Powiedz. - Wolną dłoń położyłam na jego zimnym policzku. - Gabrielu, powiedz mi wszystko.

On obrócił głowę i pocałował szorstkie wnętrze mojej rękawiczki. Przez warstwę wełny poczułam jego gorący oddech. Zadrżałam.

- Wszystkiego ci, ptaszku, nie powiem. Ale część mogę.

Dla rozgrzewki spacerowaliśmy razem między nagimi drzewami. Pośród lasu szeptał śnieg, składając na moich policzkach chłodne pocałunki. Gabriel opowiedział mi, że obaj macie ponad trzysta lat. Poznaliście się w miejscu zwanym Doliną Mohawk, teraz jest to stan Nowy Jork. Byłeś wtedy w moim wieku. Kilkadziesiąt lat podróżowaliście razem i nawzajem uczyliście się magii. Staraliście się też odnajdywać osoby, które miały podobne jak Wy umiejętności, żeby wymieniać się z nimi informacjami na temat zaklęć, alchemii oraz nieśmiertelności. Nauczyłeś go przemieniać liście w srebro i wydobywać rubiny z górskich szczelin, on zaś pokazał Ci, jak wcielać się w żywe istoty i nakłaniać obumarłe drzewa do rodzenia owoców.

Gabriel wspominał, że zdarzało Wam się spędzać osobno całe lata, ale zawsze potem wracaliście do siebie, niczym gęsi lecące w listopadzie na południe. Podobno przeżyliście wiele przygód - w czasie wojen z Indianami i gorączki złota; na Alasce i Florydzie, wzdłuż granicy z Meksykiem oraz w Las Vegas, które było wówczas jedynie redutą pośrodku pustyni. Opowiedział o wszystkich Waszych uczniach z poprzedniego stulecia: lekarzu Philipie, Laurze Harleigh, która przemieniła się w łabędzia, rodzeństwie Jessice i Dietrichu, którzy pojechali z Wami na terytorium Konfederacji leczyć rannych w czasie wojny secesyjnej.

I o Twojej żonie. Zmarła w roku tysiąc dziewięćset ósmym, tuż przed Twoją przeprowadzką do Kansas. Nazywała się Anne. Gabriel powiedział o tym półgłosem, jakby zdradzał mi tajemnicę, której sam był świadkiem.

Przechadzaliśmy się po jeleniej ścieżce do stodoły godzinę, może trochę krócej, jednak każde słowo Gabriela, każda informacja przytłaczała mnie coraz bardziej. Miałam wrażenie, że spadające z nieba płatki śniegu są ciężkie jak z ołowiu. Bolały mnie ramiona i odmarzał nos, a oczy szczypały od powstrzymywanych łez.

Jak mogłam łudzić się, że uda mi się zdobyć Twoją uwagę, nie mówiąc już o uczuciu? Byłam niemądrą dziewczynką. Nie miałam nic, czym mogłabym rozkochać Ciebie, który żyłeś już tyle lat.

Tamtego wieczora, gdy podawałam Ci kubek z gorącym cydrem doprawionym miodem, nasze palce się musnęły. Nieomal wylałam Ci napój na koszulę. Uśmiechnąłeś się w zadumie i podziękowałeś mi, a ja usiadłam na sofie i zwinęłam się w kłębek pod kocem. Gabriel czytał nam artykuł o Cyd Charisse w magazynie „Paradę”. Na kolanach trzymałeś szkicownik i rysowałeś w nim tancerki. Nie mogłam skupić się ani na głosie Gabriela, ani na migotliwym blasku ognia, ani na igle, I 07 którą usiłowałam zaszyć dziurę w Twojej koszuli. Moje myśli krążyły wyłącznie wokół twarzy rysowanych przez Ciebie tancerek - byłam pewna, że znałeś i kochałeś te kobiety na wiele lat przed moimi narodzinami.

Gdybym znała prawdę, nie uwierzyłabym.

MAB.

Gdy w sobotę rano zajechaliśmy pod dom Faith i Eliego, słońce wisiało dopiero tuż nad dachami okolicznych budynków. Do otwarcia targu została nam jeszcze prawie godzina, ale trzeba było zabrać z ich szopy na narzędzia długą ławę, którą ustawialiśmy na naszym stoisku. W drodze tutaj zastanawiałam się, co będę robić tego ranka. Najpierw pomogę Donnie rozstawić stoisko. Kiedy wreszcie otworzą sklepy w centrum miasteczka, ruszę na małe zakupy. Do ekologicznych delikatesów po zamówione wcześniej kozie racice, do sklepu z herbatą i do jubilera, który specjalizuje się w nieoszlifowanych rubinach.

- Tutaj jest tak normalnie - odezwał się Lukas.

- Nie musimy być dziwakami - roześmiała się cicho Donna. Zdążyłam przejść już połowę schludnie przystrzyżonego trawnika, kiedy otworzyły się drzwi i wypadł z nich Eli trzymający za rękę małą Hannah i z Calebem przewieszonym przez ramię.

Eli przystanął na wąskich betonowych schodkach prowadzących do ich jednopiętrowego domu. Chciał coś powiedzieć, ale umorusana rączka Caleba zamachała niepokojąco blisko. Eli zgiął ramię i chwycił chłopca, a następnie sturlał go piszczącego na ziemię. Hannah puściła rękę taty i pomachała w moim kierunku.

Caleb podniósł się z ziemi i razem z siostrą puścił się biegiem ku mnie. Uklękałam, żeby mogli mnie uściskać, i wtuliłam twarz między ich głowy. Caleba słabo znałam, bo kiedy się wyprowadzili, był noworodkiem. Za to Hannah wyściskałam za wszystkie czasy. Kiedyś zmieniałam jej pieluchy. To do mnie przysła w środku nocy pożalić się na sen, w którym róże chciały ją porwać.

Właśnie z powodu tych snów Faith podjęła decyzję o wyprowadzce z dala od magicznej ziemi.

- Cześć, Mab - odezwała się Hannah. Caleb zdążył już wplątać palce w moje włosy.

Eli przykucnął. Przez jego bujną, rozwichrzoną brodę ciężko było dostrzec, jaką ma minę.

- Moja kolej, głupole - powiedział i odciągnął ode mnie dzieci. Hannah stanęła obok, czekając z charakterystycznym dla siebie spokojem, a Caleb pobiegł przywitać się z Donną.

Eli pocałował mnie delikatnie w policzek. Zamknęłam oczy. Był ode mnie dwa razy starszy i pachniał tak, jak powinien pachnieć czarownik: miedzią i szałwią. Tak samo pachniał Arthur. Poczulałam ukłucie tęsknoty i uściśnęłam Eliego z całej siły. Jego zapach wniknął mi głęboko w duszę.

- Dzień dobry - rzekł Eli. Uśmiechnął się do mnie z całego serca i podniósł mnie na nogi.

- Chcemy wam kogoś przedstawić - oznajmiłam wszystkim i podałam rękę małej Hannah. - Mama wstała? - zapytałam ją.

- Są naleśniki - odparła dziewczynka. Miała zaledwie pięć lat, ale uprzejmością dorównywała Faith.

- Eli, to jest Lukas - powiedziała Donna zza moich pleców.

- Jest nowy w naszym gospodarstwie.

Eli skinął głową.

- Bardzo mi miło, Lukas. Nazywam się Eli. To mój dom, a to moje dzieci, Caleb i Hannah. Przyjaciele Mab i Donny zawsze są u nas mile widziani.

Ta oficjalna przemowa chyba trochę zawstydziła Lukasa, bo nerwowo oblizwał usta i szybko przebiegał wzrokiem między Elim a Calebem na rękach Donny. Wyjaśniłam mu wcześniej, że Eli z Faith mają magię we krwi, ale - podobnie jak Donna - nie używają jej zbyt często. Nie z powodu traumy, tylko dlatego, że Eli woli pracę własnych rąk i zwykłych narzędzi, a Faith uważa, że magia dla samej magii jest czymś niepotrzebnym. Do zglęć uciekała się tylko w wielkiej potrzebie. Oboje chcieli jednak, żeby ich dzieci poznały swoje dziedzictwo. Lukas stwierdził w samochodzie, że postąpili lepiej niż jego tata. Wyciągnął teraz rękę do Eliego.

- Cześć.

Uściśnęli sobie dłonie niczym dorośli mężczyźni. Po chwili Donna zmieniła temat:

- Lukas, wejdź z Mab do środka, a ja załaduję ławę i do was dołączę.

- Pomogę ci - zaproponował Eli. Donna podała mi Caleba i skierowali się z Elim do ogrodu na tyłach domu.

Podsadziłam sobie Caleba na biodro, wyjęłam z jego ust pasmo moich włosów i poprosiłam Hannah, żeby zaprowadziła nas do mamy.

Ich niewielki, jednopiętrowy domek lśnił czystością. Najpierw wchodziło się do małego przedpokoju, a zaraz potem - prosto do kuchni. Kiedy się przeprowadzali, Faith jako warunek postawiła dwie rzeczy: kominek pośrodku domu i klimatyzację. Pochodziła z rodziny czarowników z Michigan i nie przywykła do tutejszych letnich upałów. Kiedy miała osiemnaście lat, wyjechała z domu w poszukiwaniu Boga. Zamiast tego znalazła Arthura, który nauczył ją wszystkiego, co potrafił, pomógł zmienić imię na Faith i poznał z Elim.

Posadziłam Caleba na dziecięcym krzeselku i uściśkałam się z Faith. Na obojczyku poczułam metalowe guziki jej ogrodniczek.

- Cześć, Mab. - Przyjrzała mi się swoimi niewielkimi brązowymi oczyma. Jej szeroki uśmiech zbladł nieco. - Jak leci, Diakonie?

- W porządku, oczywiście. - W myślach przykryłam moją błotną lalkę warstwą wymaginowanych liści.

- Cieszę się. Nie dzwoniłaś, więc założyliśmy, że wszystko gra.

Pokiwałam głową. Ponad jej ramieniem popatrzyłam na blat kuchenny, na którym więcej było syropu klonowego niż w stojącym tam szklanym słoju. Hannah wdrapała się na jeden z taboretów barowych i pomagała Calebowi pić z jego kubka z dziobkiem.

- A to kto? - zapytała Faith, uśmiechając się do Lukasa. Ubrałyśmy go w czystą koszulkę, ale była na niego za duża. Do listy sprawunków na dzisiaj dopisałam też znalezienie mu jakichś ubrań.

- Nazywam się Lukas - przedstawił się i schylił po kubek Caleba, który chłopiec wypuścił z rąk.

- Jest jednym z nas. - Wiedziałam, że Faith nie potrzeba więcej wyjaśnień. Poza tym miałam nadzieję, że Lukas też to usłyszy i zapamięta: teraz należy do rodziny i zawsze może liczyć na naszą pomoc.

- Chcecie naleśnika? - zaproponowała Faith.

- Naleśnika! - pisnął Caleb z za kubka, który podał mu Lukas.

- Nie odmówimy. - Usiadłam na taborecie przy Hannah, a Lukas zajął miejsce obok mnie. Faith wyjęła z piekarnika blachę ze stertą ciepłych naleśników.

Kiedy jedliśmy, opowiedziałam o odwiedzinach Nicka. Wspomniałam, że planują wyprowadzić się do Oregonu. Potem przyszli Eli z Donna, która dostała sok jabłkowy i



naleśnik. Caleb zaklaskał, żeby tata wziął go na ręce, ale zamiast tego został zaniesiony do zlewu, bo całe ramiona i buzię miał wysmarowane syropem. Panował tu harmider. Na chwilę przestałam przeżuwać, żeby napawać się rodzinną atmosferą. Lukas prawie nie tknął naleśnika, tylko przyglądał się wszystkiemu swoim czujnym wzrokiem. Zastanawiałam się, jak długo nie widział nikogo poza ojcem.

Hannah dotknęła mojej dłoni, a potem sięgnęła dalej, do Lukasa.

- Zobaczcie. - Uniosła swój chudy palec. Był owinięty niebieskim plastrem z postaciami z nieznannej mi kreskówki.

- Uczysz się magii? - szepnęłam, nachylając się.

Hannah skinęła głową z powagą, ale jej usta wygięły się w lekko dostrzegalnym uśmiechu.

- Jakiej? - zapytał cicho Lukas i przysunął się konspiracyjnie.

- Obudziłyśmy kwiatek, prawda? - podsunęła Faith, wracając do blatu, gdzie Eli wycierał buzię Caleba papierowym ręcznikiem.

- Wskrzeszenie? - zapytałam Hannah.

- Bolało tylko troszeczkę - przyznała dziewczynka.

Pocałowałam ją w palec.

- Musi. Inaczej krew nie zadziała.

Donna odstawiła talerz.

- Wszystko, co piękne, troszeczkę boli. - Było to jedno z ulubionych powiedzonek Arthura.

- Pokażesz mi ogień? - poprosiła Hannah, otwierając szeroko oczy.

- Ogień jest niebezpieczny - zauważył cicho Lukas. Ręce schował między kolana, żeby nikt nie widział jego blizn.

- Bywa niebezpieczny, to prawda. - Pochyliłam się, żeby i Lukas, i Hannah dobrze mnie słyszeli. - Ale na przykład woda gasi nasze pragnienie, a jednocześnie może nas utopić. Potrzebujemy jej, mimo że czasami jest niebezpieczna. Myślicie, że Bóg dał nam wodę, a szatan nas topi? Raczej nie. Niebezpieczeństwo nie bierze się z samej wody, tylko z nas. Możemy jej używać w dobrych albo złych celach.

Lukas wcisnął swoje piąstki w uda.

Uśmiechnęłam się lekko do Hannah.

- Teraz muszę jechać na targ, ale kiedy przywieziemy wam ławę z powrotem, wyjdziemy na dwór i pomogę ci z ogniem. Jaki kolor byś chciała?

- Niebieski - odparła od razu.

- Niebieski ogień. Najlepszy.

- Musimy już iść, bo nie zdążymy rozstawić stoiska przed otwarciem targu - powiedziała Donna znad zlewu. Wkładała swój talerz do zmywarki, Faith usiłowała zdjąć z Caleba ubrudzoną koszulkę, a Eli mył patelnię.

Eli odprowadził nas do samochodu i, kiedy Lukas usadowił się na tylnym siedzeniu, chwycił mnie za łokieć.

- Donna mówi, że ma w sobie jakąś klątwę.

Zacisnęłam usta i popatrzyłam przez okno na Lukasa, który z jedną ręką na szybie przyglądał się krukowi dziobiącemu walające się po ulicy śmieci.

- Możliwe.

- Możemy jakoś pomóc?

- Jeszcze nie. Po prostu bądźcie.

Na pocieszenie Eli objął mnie ciężkim ramieniem.

- Na pewno dotrzecie do prawdy.

- Na pewno. - Otworzyłam drzwi obok kierowcy.

Eli uniósł rękę na pożegnanie. Odjechaliśmy.

- To jakieś dziesięć minut drogi - powiedziała Donna. - Jak tam, Lukas? - Wcześniej martwiła się, że harmider w domu Wallerów go przytłoczy.

Lukas nie odpowiedział. Obejrzałam się. Siedział z twarzą przyklejoną do szyby. Wyciągnęłam szyję i zobaczyłam, czemu się przygląda: goniącym nas krukami, które uformowały podwójną literę „V”. Zupełnie nie jak kruki. Silla uznała, że na krukach ciąży klątwa, tak samo jak - zdaniem Eliego - na Lukasiu. Ja jednak w to nie wierzyłam. Reese żył, latał i cieszył się wolnością. Niewykluczone, że magia, którą wyrył Lukasowi na plecach jego ojciec, również nie była jednoznacznie zła. Oby.

Pewnego wieczora, kiedy ćwiczyłam rysowanie run świecówkami na skrawkach papieru, usłyszałam rozmowę Eliego, Arthura i babci Lyn. Stali na werandzie i dyskutowali o prawdzie. Eli powiedział: „Do prawdy prowadzi wiedza”. Arthur uważał, że raczej uważne słuchanie, a babcia Lyn - że miłość.

Zastanawiałam się, w co wierzę ja.

WILL

Na targu nietrudno było znaleźć stoisko cheerleaderek. O ósmej rano były tam jedynymi osobami poniżej trzydziestki. Wszędzie dookoła kręcili się podstarzali hipisi, dziarscy rolnicy, dorośli w spodenkach do biegania i z pięćdziesiąt ras psów na smyczach. Warzywa prezentowały się naprawdę dorodnie. Miałem też ochotę odwiedzić budkę z

miodem w siedmiu kolorach; a ja naiwnie myślałem, że miód to miód. Ręce miałem jednak zajęte kubeczkami z kawą, więc skierowałem się prosto do stoiska, gdzie cheerleaderki rozłożyły koszulki z naszym logo - gwiazdą, a także ciastka w kształcie gwiazdek.

Każda z naszych szkolnych drużyn sportowych rezerwowała kilka letnich sobót na sprzedaż koszulek i rozmaitych wypieków. Dochody przeznaczaliśmy na fundację stypendialną założoną przez rodziców dwóch futbolistów, którzy w zeszłym roku zginęli w wypadku samochodowym.

Wszystkie cheerleaderki miały na sobie koszulki, które sprzedawały - uroczo przykuse, za małe o jeden rozmiar - oraz krótkie białe spodenki. Przyciągały mnóstwo klientów. Powinny pojawiać się tutaj co tydzień.

Pierwsza zobaczyła mnie Kate. Dała kuksańca Shanti, która z uśmiechem wyszła do mnie przed stoisko.

- Cześć, Will. Jesteś z Mattem?

Wręczyłem jej jedną z tekturowych tacek z kubkami.

- Nie. Przyniosłem wam kawy na osłodę.

- Naprawdę? - Zmrużyła oczy jak zawsze, kiedy podejrzewała Matta o nieczne zamiary. Powieki miała oprószone złotym brokatem. Matt mówił, że wygląda z tym ślicznie, jak hollywoodzka księżniczka, ale brokat do wszystkiego się przykleja. - Dzięki.

Ponad jej ramieniem zerknąłem na Holly, która wydawała resztę pani z puchatym pudlem. Cheerleaderki były tylko cztery. Plan opracowałem jedynie do momentu przyniesienia im kawy.

- Pomóc wam?

Shanti popatrzyła na mnie z politowaniem.

- Czterech kompetentnych dziewczyn nie przerasta sprzedawanie ciasteczek hipisom, Will. - Wzięła ode mnie drugą tackę z kawą i postawiła ją na skraju blatu.

- A trzech? - Uśmiechnąłem się czarująco.

Holly podziękowała klientce i stanęła obok mnie, zanim Shanti zdążyła odpowiedzieć.

- Cześć, Will. Dzięki za kawę.

- Trzy wystarczą w zupełności - odparła Shanti.

- Super.

Holly popatrzyła na Shanti. Porozumiały się bez słów, tak jak to dziewczyny czasami potrafią. Potem Shanti ledwo zauważalnie wzruszyła ramieniem, a Holly wzięła mnie za rękę.

- Chodźmy.

Moje stopy ociągały się przez kilka sekund, ale szybko dogoniły Holly. Jej dłoń była przyjemnie ciepła, a nie lodowata jak kostka, za którą złapałem ją w ciemnej wodzie. Zaraz jednak puściła moją rękę, żeby pogrzebać w szalach na stoisku z wełną. Stałem obok i przyglądałem jej się, zachodząc w głowę, co tu właściwie robię. Chciała mi coś powiedzieć. Czułem, jakbym był jej coś winien, przynajmniej odrobinę czasu. Mimo że to ja ją uratowałem, więc w zasadzie powinno być na odwrót. Ale nie było.

Pierwszego dnia po jej powrocie do szkoły miałem wrażenie, że snajper wycelował mi laserem między łopatki. Całe rano czekałem w napięciu, aż coś się stanie. Podczas długiej przerwy zastałem ją na stołówce ze znajomymi. Z naszymi wspólnymi znajomymi. Dosiadłem się obok Matta, a ona udawała, że je chipsy z pudełka ze śniadaniem. Shanti droczyła się z nią, że chipsy zawierają tuczający syrop kukurydziany. Wtedy Matt klepnął mnie w ramię i oznajmił: „Spoko, w towarzystwie Willa jest bezpieczna”.

Podniosła głowę znad szali. Jej brązowe oczy miały odcień tamtej mulistej wody. Przypomnił mi się widok moich rąk unurzanych w jej rozwodnionej, różowej krwi.

- Przepraszam - powiedzieliśmy oboje w tym samym momencie.

Skierowaliśmy się w stronę budki ze śniadaniem. Nie byłem głodny, ale kupiłem sobie grzankę, żeby zająć ręce jej rwaniem. Przy budce rozstawiono chwiejne ławki i rozkładane plastikowe stoliki. Usiedliśmy. Przed słońcem zasłaniały nas drzewa rosnące po naszej stronie parkingu, ale i tak było bardzo ciepło. Wszędzie krążyli ludzie. Gawędzili, tręcali palcami szparagi, unikali gorąca buchającego z tyłu lodówki z ekologicznym mięsem. Z naszego miejsca widziałem stoisko cheerleaderek. Lepiej schodziły im ciastka niż koszulki. Może widok dziewczyn w koszulkach uświadamiał klientom, że choćby nie wiem co, nie będą wyglądać w nich tak ładnie.

- Nie przepraszam, że przeżyłam - odezwała się Holly. Była to pierwsza rzecz, jaką powiedziała od naszych jednoczesnych przeprosin kilka minut temu. No, może poza „nie” ‘w odpowiedzi na moje pytanie, czy chce grzankę.

- To dobrze. - Zmrużyłem oczy. Przez korony drzew za naszymi plecami przedarł się promień słońca i odbijał się w jej złotych kolczykach. Raził mnie.

- Przykro mi, że nie dają ci teraz spokoju w szkole. - Złożyła ręce na kolanach i przyglądała się przechodniom ze swoim charakterystycznym spokojem.

- To nic wielkiego.

- Z mojej winy musisz przez to wszystko przechodzić.

- Żaden problem, naprawdę. - Oderwałem kawał przypieczzonego chleba. Był złotobrązowy i gumowaty.

- A jednak jest problem. - Holly westchnęła. - Oczywiście nie z twojego powodu. Chodzi o całą tę aferę. Do mojej mamy zadzwonili wczoraj z telewizji. Chcą nas zaprosić do programu, żebyśmy opowiedzieli o wypadku i trzęsieniach ziemi w Kansas. - Wyrzuciła z siebie to wszystko na jednym oddechu. - Właśnie o tym chciałam ci wczoraj powiedzieć. Mama uważa, że powinnam się zgodzić, ale jestem już tym zmęczona. W dodatku ja nic nie zrobiłam.

Dobrze, że jednak nie ugryzłem tej grzanki. Gdybym właśnie przeżuwał, byłoby mi jeszcze ciężiej zachować kamienną twarz.

- Do ciebie dzwoniли? - Dotknęła mojego nadgarstka, ale szybko cofnęła rękę.

- Nie. W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. Ale odmówię, jeśli zadzwonią.

Holly od razu się uśmiechnęła.

- To dobrze. Nie chciałam, żebyś musiał iść sam.

- Dzięki. Yyy... słuchaj - dodałem pospiesznie, widząc, że uśmiech znika z jej twarzy.

- Wiem, że pewnie wszyscy traktują cię teraz inaczej niż zwykle. Jakbyś była z porcelany.

- Mhm. - Holly wbiła wzrok w blat i zaczęła skubać paznokciem plastikowe spojenie.

- I czasami tak się czuję.

Spojrzałem na jej ładne usta i brązowoszare oczy w odcieniu wody w jeziorze.

- Wcale nie jesteś z porcelany. Jesteś silna. Wyszłaś cało ze wstrząsu mózgu. I przeżyłaś wypadek.

- Dzięki tobie i Shanti.

- Dobrze, a więc był to wyczyn grupowy. Wszyscy dajemy radę. - Uśmiechnąłem się do niej, żeby poprawić jej samopoczucie. Wyglądała, jakby lada chwila miała się rozsypać.

Udało mi się nieznacznie ją rozbawić.

- Rzeczywiście, dajemy radę.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu i obserwowaliśmy przechodniów. Zastanawiałem się, czy wszyscy uważają się za słabszych, niż są w rzeczywistości. Poza Benem, oczywiście - miałem ochotę przewrócić oczami. W tym samym momencie moją uwagę przykuła żółta plamka.

Jakieś pięć stoisk bliżej niż cheerleaderki, po drugiej stronie alejki, stała Mab.

Zacisnąłem powieki. Ciekawe, czy gdy je podniosę, będzie tam nadal. Jak mogłem, starałem się zapomnieć, co stało się w niedzielę rano, chociaż trochę utrudniały mi to błotnisty posmak i koszmary prześladowujące mnie cały tydzień: dławiące pnącza róż i tonięcie w bagnie.

Gdy otworzyłem oczy, wciąż tam była.

Włosy miała splecione w warkocze za uszami, ale niżej spływały jej luźno po plecach. Odbijały słońce jak lustro. Na stole przed nią leżały małe słoiczki i fiolki, sterty mydła i płócienne torby z kolorowymi troczkami. Obok na składanym krześle siedziała kobieta w bluzce z długimi rękawami i słomkowym kapeluszu. Był też z nimi chłopiec, na oko dziewięcioletni, Mulat. Małym nożykiem przecinał na pół jedno z mydeł. Mab pochyliła się nad nim, a na twarz opadło jej kilka luźnych loków. Wskazała na coś w mydle; chłopiec przyglądał się temu z zainteresowaniem.

- Widzisz tamtą budkę? - zapytał Holly. - Z szyldem „Zioła Prowdów”. - Napis wyglądał na wymalowany przez trzylatka.

- Mhm. - Holly zastukała paznokciami w blat stołu. - Jezu, to Prowdowie. Ta dziewczyna, Mab, przyszła kiedyś na nabór do drużyny softballowej. Dawno temu. Już myślałam, że rzuci się z pałką na Kate. Nie podobały jej się zasady gry. Softball jest rzeczywiście dosyć głupi, ale ona nawet nie chciała spróbować! - Holly roześmiała się. - Czemu pytasz?

- Tak po prostu. - Wzruszyłem ramionami i wepchnąłem sobie do ust kawał grzanki, żeby zagłuszyć nagły posmak błota.

- Mieszkają... w zasadzie to niedaleko wujka Matta - mówiła cicho, jakby do siebie. - Praktykują jakieś dawne wierzenia. Wszystkie ich dzieci uczą się w domu.

- Dawne wierzenia? - Przed oczami stanęła mi Mab w gogłach wycinająca nożem serce błotnemu monstrum. To wszystko było bardzo realne.

- Zapytaj Kate. Kiedy była mała, jej babcia zachodziła czasem na herbatę do babci Mab. Babcia Kate mówi, że rodzina Mab wprowadziła się tu niedługo po wojnie secesyjnej. Mieszkają tu właściwie, odkąd postawiono pierwsze domy. Kojarzysz ulicę Prowdów po drugiej stronie drogi dwadzieścia cztery? To oni.

- Hm. - Przyglądałem się Mab, która z niesmakiem wyjaśniała coś dwóm facetom w dzinsach na kancik. Skrzyżowała ramiona na piersi i bezskutecznie usiłowała przybrać miły wyraz twarzy. Zdałem sobie sprawę, że się uśmiecham.

- Muszę wracać na stoisko - odezwała się Holly.

Wyrzuciłem resztę grzanki.

- Jasne.

Kiedy mijaliśmy z Holly budkę z szyldem „Zioła Prowdów”, zerknąłem w stronę Mab. Ona też na mnie patrzyła.

MAB

Fajnie było opowiadać Lukasowi, jakich składników użyłam do przygotowania wszystkich amuletów i mikstur i dlaczego jedne mają właściwości oczyszczające, a z kolei inne przyspieszają gojenie siniaków. Chłopiec zadawał pytania cichym głosem, co jakiś czas i Donna dorzucała swoje trzy grosze. Słońce prażyło niemiłosiernie, powoli rozgrzewając cały parking. Zauważyłam, że Lukas przyciąga więcej uwagi niż wcześniej my z Donną. Wzbudzał sympatię zaangażowaniem, z jakim wydawał resztę, i pewnie też radością na widok psów na smyczy, które podchodziły polizać mu rękę pod stołem. Dzięki temu na targu było o wiele przyjemniej.

Skończyłam właśnie wyjaśniać pewnej uroczej pani z bliźniętami w wózku różnice między herbatką na przeziębienie i na gorączkę, kiedy zauważyłam, że w stronę naszej budki zmierza Will Sanger z dziewczyną ze stoiska szkoły. Miała na sobie koszulkę tak opiętą, że dokładnie widziałam paski stanika, oraz króciutkie spodenki, które wyglądały jak majtki.

Will spojrzał na mnie. Oboje się uśmiechnęliśmy.

- Na co patrzysz? - zapytał Lukas.

- To chyba ta dziewczyna, która podczas trzęsienia ziemi wpadła do jeziora - zauważyła Donna.

- Jak to? - Odwróciłam wzrok od Willa i ze zmarszczonymi brwiami spojrzałam na Donnę.

- Tak, to ona. - Donna przyłożyła dłoń do oczu, żeby zasłonić ostre światło. - I ten chłopak, który ją uratował. Will Sanger.

- Co takiego? - Spojrzałam na niego szeroko otwartymi oczyma, ale on poszedł już dalej. Zobaczyłam tylko jego plecy. Razem ze swoją koleżanką stanęli przy budce szkoły i Will powiedział coś, co rozśmieszyło wszystkie dziewczyny.

- Nazywa się Holly - wyjaśniła Donna. - Kiedy wpadła do jeziora, ten chłopak zanurkował i ją wyłowił. W gazecie napisali, że uratował jej życie.

Cała zadygotałam, a wzdłuż kręgosłupa i po ramionach rozbiegły mi się przypominające maleńkie owady kropeczki gęsiej skórki.

- Czy to się stało podczas trzęsienia ziemi Arthura? - wyszeptałam.

Donna skinęła głową.

Nagle zrobiło mi się zimno, mimo że majowe słońce przypiekało i nie było nawet najłżejszego wietrzyka. Przypomniała mi się chwila, gdy Will unieszkodliwił mojego homunkulusa, wrywając mu róg z piersi. Stało się to nad jeziorkiem tuż za naszym lasem. Jeziorko...

- Nad... nad jeziorem pana Ribera?

- Tak. Mab, dobrze się czujesz? - Donna dotknęła mojego ramienia, a Lukas złapał mnie za łokieć. Byli o wiele cieplejsi niż ja.

Zamknęłam oczy i westchnęłam przeciągle. Stałam niestety na asfalcie, a nie na ziemi, i nie mogłam czerpać energii z przyrody. Nie znosiłam wizyt w miasteczku, bo ziemię więziła tu sieć ulic i chodników. Skupiłam się wobec tego na ciepłe słońca, ludzkich głosach dookoła, odległym szumie samochodów na autostradzie międzystanowej, śmiechu, ptasim śpiewie i dotyku rąk mojej rodziny.

- Tak. - Otworzyłam oczy. - Czuję się świetnie.

Zakłęcie, które przed chwilą wykonałam, wymagało jeszcze zakończenia, swoistej ostatniej kropli krwi. Odnalazłam w tłumie uśmiechniętą twarz Willa. Na jego skórze migotało światło. Poczułam, że magia się dopełnia.

WILL

Pochwaliłem Lacey za świetne ciasteczka w kształcie gwiazdek i z pełnymi ustami dodałem, że muszę lecieć na śniadanie z bratem. Shanti ze zdziwieniem spojrzała na pustą torebkę po ciastkach w moim ręku.

- Owszem - odparłem. - Zamierzam zjeść jeszcze więcej.

Otworzyła usta, żeby jakoś to skwitować, ale nic nie powiedziała, tylko zastygła w tej pozycji. Razem z Holly, Kate i Lacey gapiły się skonsternowane na coś za moimi plecami. Kate i Lacey nawet przysunęły się do siebie, jakby zwierały szyki przeciwko jakiemuś niebezpieczeństwu.

To pewnie ten mops w stroju księżniczki, który gdzieś mi mignął.

Ale gdy się odwróciłem, stanąłem twarzą w twarz z Mab. Uniesioną ręką poprawiała sobie nad uchem loki, które uciekły jej z warkocza.

- Cześć, Mab - rzuciłem zaskoczony i uśmiechnąłem się.

- Wiecie, yyy... - zwróciłem się do cheerleaderek, które gapiły się teraz na mnie. Holly lustrowała mnie ze zmrużonymi oczyma. Mina trochę mi zrzędała. - Poznaliśmy się z Mab... kiedy raz wybrałem się na północną prerię. - Jak gdybym musiał wyjaśnić.

Chociaż w zasadzie przydałoby się wyjaśnienie, bo dziesięć minut temu udawałem przed Holly, że nie mam pojęcia, kim jest Mab. Rozczarowanie na twarzy Holly przeobraziło się w uprzejmy uśmiech.

- Cześć. Może ciasteczko? - zaproponowała.

Pozostałe dziewczyny uśmiechnęły się jak zaprogramowane.

- Cały dochód idzie na Fundację Stypendialną Mars i Kemp - dodała Shanti.

Mab stropiła się, jakby nie do końca rozumiała, co mówią.



- Nie, nie, dziękuję. Chciałam tylko - spojrzała na mnie - zapytać o coś Willa.

- Nie ma sprawy - odparłem.

Mab uniosła podbródek.

- Na osobności. - Przybrała zdecydowany wyraz twarzy i czekała, aż odpowiem.

Wszystkie czekały. Znalazłem się w potrzasku dziewczyńskich rozgrywek. Powoli skinąłem głową.

- Dobra. Umówiłem się z bratem, więc może... pójdziesz ze mną kawałek?

- Dzięki za kawę - rzuciła Shanti nieco zbyt słodko. Holly jednak spojrzała mi w oczy i pomachała. Chyba nie była na mnie zła.

Jednak i tak miałem wrażenie, że właśnie wybrałem towarzystwo Mab kosztem cheerleaderek.

- Musisz powiedzieć mamie, że idziesz? - zapytałem, gdy ruszyliśmy.

- To nie moja mama - rzuciła tylko.

W przeciwieństwie do Holly Mab nie kuśliły żadne stoiska. Lawirowała w tłumie prosto do wyjścia. Zrobiłem unik, żeby nie wpaść na starszą parę w identycznych koszulkach drużyny futbolowej Kansas City Chiefs, i dogoniłem ją. Jej włosy fruwały dookoła głowy, niespecjalnie okiełznane warkoczykami za uszami. Lekka sukienka, którą miała na sobie, spływała luźno od ramion i kończyła się nieco pod kolanami. Była boso. Kiedy to zauważyłem, prawie potknąłem się o jamnika. Na asfalcie podeszwy stóp musiały ją strasznie piec. I pewnie nie grzeszyły czystością.

Wyszliśmy na ulicę. Mab zerknęła na ulicznego skrzypka i uśmiechnęła się do niego, a potem zwróciła się do mnie:

- W którą stronę?

- Hm. - Rozejrzałem się w obu kierunkach. - W lewo.

Przeszliśmy przez drogę i aleją z kolorowymi muralami doszliśmy do głównej ulicy. Po obu jej stronach ciągnęły się sklepy, bary, rzędy starych latarni i niewielkich drzew. Domy były wysokie i wąskie, głównie ceglane. Wyglądało tu trochę jak na współczesnym Dzikim Zachodzie. Nagle przypomniałem sobie, że kiedy się tu przeprowadziliśmy, Aaron strasznie się wkręcił, bo miasteczko zostało całkowicie spalone w tysiąc osiemset sześćdziesiątym którymś, podczas wojny secesyjnej.

Mab przestąpiła przez betonowy krawężnik otaczający najbliższe drzewo, po czym stanęła na cienkim korzeniu i rozluźniła ramiona. Nawet nie zauważyłem, jaka wcześniej była spięta.

- Nie lubisz miasta, prawda? - Usiadłem na betonie.

- Tu jest okropnie. Dobrze, że przynajmniej paru drzewom pozwalają rosnąć. - Uniosła rękę i musnęła wnętrza małych, owalnych liści. - Lepiej by było, gdyby wszystko budowali z drewna. - Przysiadła obok mnie, opierając się z tyłu dłońmi o ziemię i korzenie. Mijały nas polujące na miejsca parkingowe samochody. Zaskrzeczał kruk. Podniosłem głowę i zobaczyłem go na krawędzi imitacji balkonu nad nami. Tylko jednego. Rozejrzałem się w poszukiwaniu reszty kumpli Mab.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, jakby odbezpieczała pistolet.

- Will, dlaczego w niedzielę przyszedłeś nad jezioro?

- Hm. - Uśmiechnąłem się do czteroosobowej rodziny mijającej nas na chodniku. Chłopczyk wpatrzył się we mnie i pomachał upapraną łapką. Kiedy odeszli, powiedziałem Mab coś, czego nie mówiłem nikomu.

- Miałem koszmary.

- O jeziorze?

- Pamiętasz trzęsienie ziemi parę tygodni temu? - Mój głos był przytłumiony, jakbym zdradzał jakąś tajemnicę. Tajemnicę, o której pisano w gazecie.

Mab skinęła głową. Miała niesamowicie niebieskie oczy.

- Z tego powodu przyjechałem nad jezioro. Tonęła Holly, którą spotkałaś przy stoisku. Wyłowiłem ją wtedy. - Powoli potarłem o siebie dłonie. Dźwięk, jaki wydawały, przypominał szelest. - O tym mam koszmary. Nurkuję w błocie, nie mogę jej znaleźć i tak dalej. Pomyślałem, że jeżeli wrócę nad jezioro i tak jakby... wyczyszczę sobie pamięć, to może będę mógł spać spokojnie. - Przeczesałem palcami włosy. - To musi brzmieć idiotycznie.

Spojrzałem na Mab. Ku mojemu zaskoczeniu miała zrelaksowaną, pogodną minę.

- Wcale tak nie uważam, Will. Myślę, że zrobiłeś świetnie.

- Tak?

- Miałeś tam być. Sny sprawiły, że pojawiłeś się nad jeziorem właśnie wtedy. I się poznaliśmy. - Powiedziała to zwyczajnie, a nie z jakimś newageowym zadęciem. - Nasze ścieżki się spotkały.

Gapilem się na nią. Na czole miała smugę błota. No i te włosy. Były tak jasne, że na pewno zauważyłbym ją na dnie jeziora. Przypomniało mi się, jak zeskoczyła z drzewa w goglach na nosie. Jak rozkruszyła w dłoniach serce. Przed oczyma przesunęły mi się sceny z koszmarów. Błoto, róże, skaleczenia na dłoniach. Skrzywiłem się.

- Will?

- Mhm, nic mi... nie jest. - Uśmiechnąłem się, żeby przekonać Mab, że to naprawdę nic takiego.

Dotknęła mojego mostka. Dokładnie w miejscu, gdzie dźgnął mnie rógiod sześciu dni miałem siniaka. Przez koszulkę poczułem chłód jej dłoni - podobny do tego, który ogarnął mnie, kiedy położyła mi na piersi zakrwawione palce i zapewniła, że to niemożliwe.

Złapałem ją za rękę.

- To istniało naprawdę. Wcale nie było niemożliwe.

- To był homunkulus - odparła.

Oślupiałem.

- Co takiego?!

- Ożywiony przeze mnie człowiek z błota.

Gapiałem się na nią z niedowierzaniem.

Mab milczała. Odgarnęła sobie włosy na plecy.

- Poważnie? - zapytałem.

- Tak. A skąd twoim zdaniem się wziął? - Przekrzywiła głowę, a kruk zakrakał i sfrunął z balkonu. Trenująca jogging dziewczyna ze słuchawkami w uszach ominęła nas szerokim łukiem. Ptak usiadł na drzewie obok Mab i przechylił łebek tak samo jak ona. Przyjrzałem się jego czarnym, błyszczącym piórom i ciemnobrązowemu oku, które baczenie mnie obserwowało.

- Will?

- Hm. - Spuściłem wzrok na popękany beton. Błotne monstrum. Trudno było uwierzyć, że to coś ulepione z ziemi, gałęzi, kamyków i piór, z krwawym sercem w środku, istniało naprawdę, a jednak. Przecież nie był to kosmita ani efekt rządowego spisku. Wersja Mab najbardziej trzymała się kupy. Powoli podniosłem głowę. - To chyba rzeczywiście był homunkulus.

Uśmiechnęła się w taki sposób, że cieszyłem się, że nie stoimy obok cheerleaderek.

Od wzajemnie uśmiech. Przez chwilę trwaliśmy jak skamieniali, ale zaraz poderwałem się na dźwięk zamykanych gdzieś drzwi samochodu.

- Muszę jechać do Bena. Yyy... dzięki, Mab. Ze mi powiedziałaś.

Mab odwróciła moją dłoń wnętrzem do góry i nakreśliła na niej palcem koło.

- Twoim przeznaczeniem było się dowiedzieć.

Całą zimę starałam się otrząsnąć z zauroczenia. Skoncentrowałam się na pracy i kontemplacji surowego piękna zimy na prerii. W drzewach dookoła domu zagnieździły się kruki, kardynały szkarłatne ze swoimi skromnymi, szarymi samiczkami, drozdy, błękitne sójki i jaskółki. Karmiłam je ziarnem przeznaczonym dla kur. Na tle srebrnego, białego,

czasem błękitnego nieba ptaki wyglądały jak kolorowe plamki. Ich śpiew dźwięczał na wietrze niczym dzwoneczki.

Gabrielowi dni schodziły w mieście, z dala od nas. Mówił, że ciągnie go tam wesołe towarzystwo, a także rozgrzewające działanie alkoholu. Raz chciał zabrać mnie ze sobą, ale odmówiłam. Obecność „siostrzenicy” z pewnością ostudziłaby jego libacje. Namawiał mnie, słodził, ale ja byłam uparta. Nie chciałam Cię opuszczać. Zbyt cudowna była myśl o chwili, kiedy rozpląniesz się w naturze.

Wychodziłeś z domu w śnieżny krajobraz, zlewał się z bielą, szarością i błękitem i znikales na cały dzień. Bóg raczy wiedzieć, co robiłeś. Innym znowu razem w ogóle nie wychodziłeś z sypialni. Spałeś albo robiłeś coś cicho jak mysz - nie słyszałam, żebyś się ruszał. Kiedyś, w dzień tak cichy i spokojny, że dało się słyszeć, jak pęka lód, zajrzałam do Ciebie. Leżałeś na łóżku zupełnie nieprzytomny. Wyglądało, jakbyś prawie nie oddychał.

Przygotowywałam jedzenie albo też prałam i cerowałam nasze nieliczne ciepłe ubrania. Popołudniami siadywałam zwykle w salonie i czytałam z Twojej zaskakująco obfitej biblioteczki pokrywającej jedną ze ścian. Czasopisma, stare gazety oraz książki zarówno autorów współczesnych, jak i klasyków. Brakowało mi trochę poezji, bo lubiłam ją w szkole.

Byłam sama, ale nie czułam się samotna, zwłaszcza że za towarzystwo miałam radio i ptaki. Żyłam poza tym nadzieją, że lada moment zejdziesz do mnie z sypialni albo wrócisz z wędrówki po zimnie i będę mogła się Tobą zająć.

Pewnego wieczora, kiedy rozpinales w korytarzu palto, usłyszałam, jak nucisz pod nosem Our love is here to stay. Doskonale pamiętałam dotyk Twojej dłoni na brzuchu.

Tłumaczyłam sobie, że to nie ma sensu, ale podeszłam do Ciebie i zaczęłam śpiewać razem z Tobą. Podałam Ci ręce. Ty je ująłeś i ruszyliśmy walcowym krokiem przez pokoje. Staralam się nie myśleć o tym, ile lat spoczywa Ci na barkach, ani o żonie i dzieciach, które z pewnością kiedyś miałeś.

Zamknęłam oczy i skupiłam się na ciepłe Twoich dłoni. Wyobrażałam sobie, że jesteśmy po prostu dziewczyną i chłopakiem, parą zwyczajną i wolną.

MAB

Po spotkaniu z Willem czułam się, jakby okrywał mnie cudowny płaszcz chroniący przed bezdusnością wyłożonego twardym betonem i asfaltem miasteczka. Uśmiechałam się do sprzedawców nieco radośniej niż zwykle. Pan Meldon, ten od nieoszlifowanych rubinów, oświadczył, że śliczności dziś ze mnie, a Pamela Ann ze sklepu z herbatą zapytała, czy mam nowego adoratora. Staralam się odpowiadać wymijająco. Kiedy jechaliśmy z powrotem do

Eliego i Faith, nauczyłam Lukasa nowej piosenki. Śpiewaliśmy ją razem z Donną na trzy głosy. Po jakimś czasie Donna delikatnie dotknęła mojego ramienia i uśmiechnęła się.

W ogrodzie Wallerów upiekliśmy na ruszcie kurczaka z chowu ekologicznego. Dotrzymałam słowa i pokazałam Hannah niebieski ogień. Płomyk tańczył nad moją dłonią, a dziewczynka przyglądała mu się z rozdziawioną buzią. Lukas podciągnął nogi pod brodę, ale - dzielny - wcale nie uciekł. Po obiedzie Faith musiała wołać do mnie trzy razy, żebym poszła do domu po więcej serwetek. Zupełnie odpłynęłam. Kiedy wróciłam, zrobiłam im wszystkim niespodziankę: dmuchnęłam wiatrem po ogrodzie, zafalowałam petuniami rosnącymi pod płotem i zapaliłam zawieszane na drzewach kadzidelka przeciw komarom.

- Ktoś tu buja w obłokach - zauważyła Faith i przyglądała dłonią potargane przez mój wiatr włosy nad uszami.

- Mab ma nowego kolegę - wtrąciła Donna i zerknęła w moją stronę.

Uśmiechnęłam się z pobłażaniem i usiadłam obok dorosłych przy stole piknikowym. W piaskownicy Hannah pokazywała Lukasowi plastikowe dinozaury.

- Wcale nie nowego. Poznaliśmy się już jakiś czas temu.

- Kawaler, no ładnie. - Eli udawał niezadowolonego, ale figlarnie uniósł lewą brew.

- To nic takiego! - Niestety, nie mogłam zapomnieć nagich ramion Willa, szybkości, z jaką rozprawił się z moją lalką, i jego uśmiechu, kiedy postanowił mi uwierzyć. Nie zapanowałam nad mimiką.

- Twoja twarz mówi co innego - droczyła się ze mną Faith.

Wzruszyłam ramionami i jako tarczę posadziłam sobie na kolanach Caleba. Zanurzyłam twarz w jego polepionych czymś dziecięcych lokach. Towarzystwo dało mi spokój. Caleb pachniał sosem barbecue; zapewne rozprawiał go właśnie po mojej sukience. Pozwoliłam mu zatopić rączki w moich włosach. On szeptał mi do ucha na wpół zrozumiałe tajemnice, a ja zastanawiałam się nad kluczem do wydarzeń ostatniego miesiąca, począwszy od śmierci Arthura, która zatrzęsała ziemią i strąciła z drzewa obcą dziewczynę. Uratował ją Will Sanger, ale od tego czasu dręczyły go koszmary i w końcu przywiodły go nad jezioro w tym samym momencie, kiedy ja uwalniałam róże z klątwy. Koło się zamknęło. Zjawił się akurat wtedy, gdy trzeba było poskromić lalkę. Sam wyczuł, gdzie leży jej najsłabszy punkt: w spinającym ją porożu.

I znowu się spotkaliśmy. A nawet więcej - Will spojrzął mi w oczy i zaakceptował istnienie magii.

Właściwie nie było to zamknięte koło - raczej skomplikowany, niedokończony jeszcze splot. Nie wszystko rozumiałam, ale to właśnie lubiłam najbardziej - nowość, obietnicę

czegoś wspaniałego. Arthur powiedziałby: „Masz przed sobą kawałki potężnego zaklęcia, wróżko. Jak je poskładasz?”.

Nie miałam bladego pojęcia. Ale cokolwiek się stanie, Will odegra w tym jakąś rolę, byłam przekonana. I na pewno będzie pasjonująco.

WILL

Siedziałem naprzeciwko Bena i rodziców. W głowie aż huczało mi od myśli. Ben nie przyszedł sam, tylko z mamą i tatą.

Zjedliśmy śniadanie w samoobsługowej kawiarni wypełnionej lokalną sztuką. Rozmowa toczyła się beze mnie. Potem mama zabrała nas na zakupy, co sprowadzało się do tego, że łączyliśmy za nią od galerii do piekarni, od piekarni do sklepu z zabawkami retro. Przemieszczałem się w milczeniu, myśląc o Mab.

Rodzice weszli do kolejnego sklepu, ale Ben zatrzymał mnie.

- Jesteśmy niedaleko parku z lokomotywą, prawda?

- Mhm.

- Zaparkowaliśmy kawałek stąd. Chodź - powiedział i pociągnął mnie za sobą.

Kiedy doszliśmy na niewielki parking, Ben otworzył bagażnik, wyjął dwie plastikowe reklamówki i z kpiarskim uśmieszkiem rzucił mi jedną z nich. Złapałem torbę, przyciskając ją do piersi, i zanurzyłem w niej rękę. Pistolety na pianki. Wyszczrzyłem zęby. Były to zwykłe zgięte wpół rurki z PCW, z których wystrzeliwało się pociski - małe piankowe cukierki. Wyglądały jak coś, co moglibyśmy sklecić razem z Aaronem z rupieci znalezionych w garażu.

- Chodźmy do parku - rzucił Ben, potrząsając drugą torbą, która zawierała piankowe cukierki. - Dam ci wycisk, zobaczysz.

- Albo jeszcze lepiej. Wróćmy do domu po psy i pojedźmy nad jezioro Clinton. Powalczymy na serio.

- To wyższa szkoła jazdy, mały.

- Nie masz szans. Znam okolicę o wiele lepiej.

- Furia walczy ze mną.

- W życiu cię nie posłucha.

- Mam sposoby, żeby namówić ją do współpracy - odparł Ben z mrocznym rosyjskim akcentem.

W piętnaście minut załadowaliśmy psy do samochodu i skierowaliśmy się do parku.

Ben upchał po kieszeniach kawałki bekonu, w związku z czym Walkiria w dwie sekundy stała się zdrajczynią.

Pistolety wystrzeliwały bezgłośnie, dlatego świetnie atakowało się z ukrycia. W dodatku miękkie naboje były ekologiczne i mogliśmy ganiać po lesie, ile wlezie. Pianki okazały się przysmakiem dla psów, chociaż nie byłem pewien, czy dobrze robią ich żołądkom.

Przez całą godzinę podchodziliśmy się, wspinaliśmy na drzewa, uciekaliśmy przed zastępami sobotnich spacerowiczów, kolarzy i piknikowców. Udało mi się na chwilę zapomnieć o Mab, Holly i błotnym potworze. Jakoś nie byłem zdziwiony, że tak dobrze się bawię z Benem, że się nie kłócimy. Przestałem też szukać wzrokiem Aarona.

Pistolety ładowało się zaskakująco ciężko, zwłaszcza w pędzie. Najbardziej celne były, gdy wkładało się do środka tylko jedną piankę, ale ja postawiłem na rozrzut raczej niż na precyzję i napychałem je pięcioma, sześcioma. Ben okazał się rewelacyjnym strzelcem, za to jego piętą Achillesa była Walkiria, bo nie potrafiła usiedzieć cicho i zawsze zdradzała ich położenie.

W końcu umarliśmy od miliona ran po cukierkach i razem z psami gruchnęliśmy na ziemię koło wysypanego żwirem postoju dla przyczep. Rozpostarłem ręce i nogi, zdyszany łapałem powietrze. Od śmiechu i dmuchania w pistolet bolała mnie przepona. Ponad nami przesuwało się błękitnobiałe niebo. Wyobraziłem sobie, że widzę krajobraz z lotu ptaka. Poczulem na sobie podmuchy wiatru. Popatrzyłem na park, który miałem teraz pod sobą, frędzlowaty skraj jeziora, tamę i prowadzącą do miasteczka szosę. Na trawie dostrzegłem też leżącego siebie i Bena. Cali spoceni, szczyrzyliśmy się w uśmiechu. Obok dyszały rozciągnięte na ziemi Furia i Walkiria.

Oddech mi się uspokoił. Zamknąłem oczy i pomyślałem o Mab. W mieście wyglądała na spiętą, tutaj pasowałyby lepiej. Kiedy nadstawiłem uszu, wszystko słyszałem. Wiatr w koronach drzew, pluskanie wody po drugiej stronie zagajnika. Bzyczenie owadów. Oddech Bena i psów, głośniejszy. Bijący o ziemię ogon Walkirii.

Świat był pełen rzeczy, których nie rozumiałem.

- Nad czym tak rozmyślasz? - zapytał Ben.

Nie otwierałem oczu. Słońce przeświecało przez powieki na czerwono i ogrzewało mi twarz, susząc plamę potu na koszulce.

- Cały dzień nic nie mówisz - ciągnął. - Mnie możesz powiedzieć, co cię gryzie.

- Nad... różnymi sprawami. Dużo się ostatnio dzieje. Sam nie wiem, w co wierzyć.

- Jakimi sprawami?

Wzruszyłem ramionami, trąc barkami o skąpo porośniętą w tym miejscu trawą ziemię.

- Różnymi. Nie wiem, jak to wyjaśnić.

- Czyli nie chcesz, żebym ci doradził?
- Nie. - Otworzyłem jedno oko i zerknąłem na niego.
- Chodzi o dziewczynę, prawda?

Na dźwięk mojego śmiechu Furia wstała, podeszła bliżej i położyła się obok. Poklepałem ją po żebrach.

- W sumie tak.
- Opowiedz coś o niej.

Otworzyłem usta, ale ciągle milczałem.

- Jest pewna kobieta - rzekł Ben. - Nazywa się Lauren. Jest korespondentką wojenną. Nie byliśmy nawet na randce i właściwie nie wiem, jak się to wszystko ułoży, ale jestem pewien, że będziemy razem. Prędzej czy później.

- Odbiło ci.
- Wiem.

Obaj się roześmieliśmy.

- Ale kiedy na nią patrzę, czuję jakby... wewnętrzny spokój i chaos. Jednocześnie.

Oparłem się na boku i przyjrzałem Benowi. Naprawdę się starał. Zachowywał się, jakbyśmy się dobrze znali. A przynajmniej jakbyśmy powinni się poznać.

- Z Mab jest chyba... inaczej. - Właściwie wcześniej nie myślałem o niej w ten sposób. Tyle się działo. Homunkulus. Koszmary. Dziwne kruki. Była zupełnie inna niż wszystko, co znałem. Jak kolorowe szaleństwo.

A może wcale nie było z nią inaczej?

- Nie mam pojęcia, co robić - dodałem.
- Zaufaj instynktowi.

Z powrotem przewróciłem się na plecy. Jakby to było takie proste. Wysoko na niebie maleńki samolocik zostawiał za sobą białą, równą smugę w skotłowanych chmurach.

Przyszła wiosna i przyniosła ze sobą maleńkie zielone pączki i pachnące powietrze. Zabrałam się do mojego ogródka. Posadziłam groszek, pomidory, słoneczniki. Ustawiłam skrzynki i zasiałam w nich zioła, których zamierzałam użyć do magii i do gotowania.

Preria powoli budziła się z zimowego snu. Ze mną było podobnie. Spacerowałam samotnie po okolicy, podczas gdy Ty zamykałeś się w stodole i, jak przystało na trzystulatka, oddawałeś tajemniczym zajęciom. Z kolei Gabriel zaangażował się w nadchodzące wybory w Lawrence. Przynosił do domu ulotki i poprosił mnie, żebym zrobiła na szydełku kwiatki, które można by rozdawać na wiecach. Zgodziłam się, ale zmieniłam zdanie, kiedy zobaczyłam, że zaklina je za pomocą kropel krwi, żeby miały większą moc przekonywania



niż zwykle szydełkowe pamiątki. Wtedy po raz pierwszy naprawdę się pokłóciliśmy. Poszło na noże. Nigdy serce nie waliło mi tak szybko. Pamiętasz, że zniknął potem z domu na miesiąc? Był tak wściekły, że pomieszkiwał w wynajmowanym apartamencie nad rzeką Kansas.

Pewnego ranka kruszyłam lód w studni, raz po raz upuszczając do niej wiadro. Chciałam podlać mój ogródek; bałam się, że niespodziewane przymrozki zniszczą załączki roślin. I wtedy zjawiłeś się Ty. Wziąłeś wiadro do ręki i powiedziałeś;

- Kwiaty nie lubią stojącej wody.

Ruszyliśmy razem brzegiem Małego Potoku, z którego nabrałeś wody czystej, zimnej, wzburzonej. Zaniósłeś mi wiadro z powrotem na szczyt wzgórza - tam podlaliśmy grządki'. Zrobiliśmy jeszcze trzy kursy z wodą. Gdy skończyliśmy, wsparłeś się na obcasach i oznajmiłeś:

- Pachnie tu życiem.

Pokazałam Ci różne grządki i skrzynki z ziołami i wyjaśniłam, które będą do jedzenia, a które przeznaczyłam na magię. Po raz pierwszy, odkąd się poznaliśmy, zadałeś mi pytanie.

- Nieczęsto sięga pani po magię. Dlaczego?

Komuś, kto żyje magią, musiało to wydawać się dziwne.

- To przecież przede wszystkim narzędzie, prawda? - odparłam z nadzieją, że Cię nie urażę. - Kiedy jest mi zimno, a nie mam pieca, stwarzam ogień. Kiedy szukam czegoś, lecz oczy nie wystarczają, pomagam sobie krwią i lustrem. Kiedy grozi mi niebezpieczeństwo, sporządzam amulet ochronny. Używam magii tylko wtedy, gdy jej potrzebuję.

Przyglądałeś mi się przez chwilę, a potem odparłeś:

- Postępuje pani mądrze, panno Sonnenschein, jednak uważam, że traci pani w ten sposób piękno magii. Człowiekowi nie potrzeba zachodu słońca ani muzyki, lecz obie te rzeczy nadają życiu sehs. Inaczej sprowadzałoby się do jedzenia i spania. Owszem, da się przeżyć bez tańca czy bez miłości. - Uniosłeś brwi, a mnie zapało dech. - Ale kto pragnąłby takiego życia?

Zadrzały mi dłonie, więc zanurzyłam je w ziemi obok kielkującego grochu. Skinęłam głową z namysłem.

- Ma pan rację - odparłam, unikając Twojego wzroku.

- Magia jest w pani krwi. Stanowi część pani osoby. Oddawanie się jej niepraktycznemu pięknu to nic złego.

W Twoim głosie pojawił się nowy ton. Podniosłam wzrok. Na Twoich ustach błąkał się uśmiech.

Ze wszystkich sił pragnęłam Cię pocałować, uchwycić ustami Twoje rozbawienie. Bałam się jednak, że Cię zawstydzę i piękna chwila zostanie stracona bezpowrotnie, więc tylko się uśmiechnęłam.

- Chciałabym, żeby pokazał mi pan coś, co uważa za najpiękniejsze.

Otworzyłeś szeroko oczy. Wreszcie udało mi się zaskoczyć Ciebie. I obiecałeś, że pokażesz, kiedy tylko będziesz mógł.

WILL

Minął dokładnie tydzień od walki z błotnym potworem. Stałem przed domem z Benem, a moje okryte elegancką koszulą ramiona prażyło słońce. Miałem ochotę poluznić krawat, zanim się uduszę. Ben oparł się o mnie łokciem i zerkał na wiszącą półtora metra nad dachem pikapa obręcz do koszykówki. Przez chwilę zastanawialiśmy się, czy nie powrzucać, ale stwierdziliśmy, że zbyt duże jest ryzyko ochrzynu za spocenie się przed kościołem.

Już lepiej znosić tortury czekania na mamę.

Zwłaszcza że nie byłem pewien, czy dałbym radę.

Pokręciłem głową, żeby pozbyć się sztywności w karku. W nocy miałem koszmary o dławiących mnie różach, a od rana czułem się trochę skołowany. Pewnie to zwykłe niewyspanie.

- W porządku? - zapytał Ben i zdjął ze mnie łokieć.

- Jasne. - Wzruszyłem ramionami i zamknąłem oczy, bo raziło mnie słońce.

Poczułem, że Ben przysuwa się do mnie. Otworzyłem jedno oko i zobaczyłem, że podejrzliwie przygląda się mojej twarzy.

Zamknąłem oko. Ben nacisnął mnie palcem w rękę. Zachwiałem się.

Zrobiło mi się niedobrze.

- Jesteś cały czerwony - powiedział i złapał mnie za ramię. - Chodź, wejdziemy do domu.

Słońce piekło niemiłosiernie.

- Will.

Miałem wrażenie, że Ben jest coraz dalej. Jakbyśmy stali w poprzek boiska futbolowego.

- Will!

Pokręciłem głową. W uszach szumiała mi krew.

Ben objął mnie ramieniem.

- Masz gorączkę. - Pociągnął mnie do domu.

Najwyraźniej znowu z mojej winy mieliśmy stracić mszę.

Więziły mnie róże. Mama odgarnęła mi włosy z czoła i wymamrotała coś na temat gorączki. Róże zaciskały się na mnie coraz mocniej, ich kolczaste pnącza owinęły się dookoła mojej szyi. Szarpałem się. Przykryli mnie stertą koców, mimo że mówiłem, jak mi gorąco. Gorąco jak w piekle.

Chwilami rozumiałem, że majaczą. Innym razem nie byłem pewien, kto siedzi na moim łóżku - Aaron czy Ben. Po pokoju tańczyła walca kobieta, wyciągając ramiona jakby w oczekiwaniu na partnera. Pochyliła się nade mną z uśmiechem i próbowała namówić mnie, żebym wstał i z nią zatańczył.

- To moja ulubiona piosenka - szepnęła.

Ściany i sufit mojego pokoju porosły różami. Ich kolce wbiły się głęboko w mur. Czerwone płatki podrygiwały wszystkie w jednym tempie. W rytm bicia mojego serca. Gałązki rozpełzły się po moim ciele; w ustach miałem pełno kwiatów. Zakaszlałem, a one wzbiły się w powietrze. Kiedy przewróciłem się na bok, zobaczyłem siedzącą przy łóżku mamę. Ścisłała mnie za ramię i powtarzała moje imię.

Zakrztusiłem się kwiatami i zwymiotowałem do miski, którą podsunęła mi mama.

Pomasowała mi plecy i pomogła się położyć. Zasnąłem.

Kiedy zbudziłem się z kolejnego koszmaru, było ciemno. Znowu śniło mi się, że tonę. Tym razem w rzadkim, zimnym błocie.

Zebra ścisłał mi ból. Nie mogłem nabrać porządnego oddechu. Gapiłem się w chropowaty sufit. Był pusty. Ani śladu róż. Po prostu mój pokój. Budzik wskazywał pierwszą czterdzieści trzy w nocy.

Rozluźniłem się. Przeanalizowałem swoje samopoczucie.

Gorączka minęła. Nie byłem już spocony, nie czułem palenia od wewnątrz. Ćmiła mnie głowa i chciało mi się pić. Trochę bolały mnie mięśnie. Czułem się w sumie całkiem nieźle. Ale zupełnie nie chciało mi się spać. I śmierdziałem potem.

Nie kręciło mi się już w głowie, więc wstałem i po omacku, na palcach poszedłem do łazienki. Pod prysznicem stałem w strugach letniej wody, potem wyszedłem z kabiny i włączyłem światło, żeby umyć zęby. Przyjrzałem się sobie w lustrze.

Miałem podkrążone oczy, ramiona opadały mi ze zmęczenia.

A zeszlotygodniowy siniak na mostku pociemniał. Cholera.

Zamknąłem powieki, zgasilem i zapaliłem światło. I jeszcze raz przyjrzałem się śladowi po porożu.

To nie była wina oświetlenia ani mojego marnego samopoczucia. Dotknąłem ciemnej plamy. Nie bolała od nacisku, ale czułem ją. W środku. Jakbym miał tam jakiś ciężar.

Obrzeże siniaka, które ostatnio pożółkło, na powrót stało się fioletowe. Jakby ktoś mnie znowu uderzył. Czy to możliwe? A może to zakażenie?

Pochyliłem się i popatrzyłem uważnie na skórę. W poszukiwaniu rany przesunąłem palcami po śladzie. Bo od siniaka nie dostałbym gronkowca.

Chyba.

Może nadszedł czas na dalszy ciąg szperania w necie. Albo powinienem powiedzieć mamie, chociaż to był raczej marny pomysł. Zamartwiłaby się na śmierć. I zabrała mnie do szpitala.

Najchętniej zadzwoniłbym do Mab.

Bez sensu. Co by tu działała? Miała mnie pocałować i sprawić, że wszystko będzie super?

Zanim zdążyłem się powstrzymać, wyobraziłem sobie scenę, w której Mab stoi przede mną, potem pochyla się i całuje moją nagą, posiniaczoną klatkę piersiową.

Zamknąłem oczy. I wyszedłem z łazienki.

MAB

Śniło mi się, że padało przez trzy dni, ale potem deszcz ustał, a ja popędziłam z krukami przed dom, żeby nacieszyć się przyrodą. Woda chlapała mi po łydkach. Wywijając ramionami, biegałam po ogrodzie i śmiałam się razem z ptakami. Słońce lśniło w milionie kropelek wiszących na źdźbłach trawy, liściach, płatkach kwiatów, dachu, a nawet w powietrzu. Krople migotały. Zdjęłam kilka palcami i położyłam sobie na języku. Smakowały magią. W drzewach zatrzepotały kruki i strąciły skrzydłami jeszcze więcej kropel, które błyszczały niczym czarne diamenty.

Ale w niebo wystrzeliło tylko dziesięć kruków. Jednego poświęciłam, żeby ożywić lalkę, czyli powinno być jedenaście. Zawróciłam w poszukiwaniu brakującego ptaka.

- Gdzie jesteś? - zawołałam.

Jak gdyby w odpowiedzi całe stado poszybowało w stronę bramy. Pobiegłam za nimi.

Ziemia się wznosiła. Rośliny muskały magią moje wyciągnięte dłonie i twarz. Zamknęłam oczy i pozwoliłam, żeby poprowadziły mnie drzewa. Rozluźniłam się, zdałam całkowicie na nie. Wiedziałam, że mogę im zaufać.

- Mab - coś zaszepotało dookoła.

Byłam zupełnie przemoczona. Sukienka przykleiła mi się do ciała, a nogi miałam ubłocone i brudne od trawy. Drzewa pochyliły się ku mnie. Nie dotykałam stopami ziemi - wzleciałam w powietrze tak naturalnie jak kruki. Z pleców wyrosły mi skrzydła z liści i kwiatów.

- Mab.

To las wółał mnie po imieniu głosem róż.

Było dziko, cudownie. Kiedy spomiędzy dwóch wiązów wyłonił się stwór z błota, rozpostarłam ramiona, a on objął mnie i pocałował. Przytuliłam się do niego i otworzyłam usta. Oplotły nas i przycisnęły do siebie pnącza róż. Stwór położył mnie na wilgotnej, ciepłej ziemi. Roześmiałam się. Pocałowałam go i owinęłam ręce i nogi wokół jego mocnego ciała.

Dotknął ustami mojej szyi, a ja wyszeptałam zakłęcie oczyszczające. Błoto i gałązki opadły, odsłaniając Willa. Był zdrowy, świeży i nagi, jak gdyby urodził się przed sekundą.

Obudziłam się w pustym łóżku. Na moim ramieniu siedział kruk, wrzynając mi się boleśnie pazurami w skórę.

Oddychałam ciężko. Dłonie położyłam płasko na materacu. Cała drżałam. Pozostałe kruki spoglądały na mnie z półek, parapetu, nóg łóżka. Na języku czułam posmak lasu, a mojemu sercu wyrosły skrzydła. Sypkie, czarne pióra ptaków odbijały światło księżyca. Szybko policzyłam. Dziesięć. Przynajmniej ta część snu była prawdą.

Zdjęłam z siebie cienką kołdrę i wyskoczyłam z pokoju. O mały włos potknęłabym się o pokiereszowane ciało jedenastego kruka. Miał szeroko otwarty dziób i zmasakrowane łapy. Krzyknęłam i opadłam na kolana, jakby wciąż we śnie. Przez łzy zauważyłam ślad piór ciągnący się za nim po drewnianej podłodze.

W progu pokoju Arthura siedział Lukas. Twarz miał wykrzywioną bólem, a tył białego podkoszulka nasiąkł krwią.

Zerwałam się na równe nogi i przypadłam do niego.

- Lukas! - Dotknęłam jego policzka. Był rozpalony. Nagle owionął mnie intensywny zapach palonej skóry.

Dłonie Lukasa się żarzyły. Wrzasnęłam po Donnę.

Na ręce chłopca widniały pomarańczowe ogniste linie ułożone w znajomy kształt runy czarnej świecy. Nagle dotarło do mnie, dlaczego miał tyle oparzeń na dłoniach: próbował zwalczyć wzbierającą na sile magię ojca. Chciał ją wypalić.

Z własnej skóry.

Po schodach wbiegła do nas Donna.

- Mab?

- Przynieś świętą wodę i nóż.

Przemknęła obok mnie, minęła krąg obserwujących wszystko w milczeniu kruków i wbiegła do łazienki. Ja w tym czasie splunęłam na rękę Lukasa i rozsmarowałam ślinę kolistym ruchem.

- Bądź chłodny jak deszcz - wymamrotałam. Ślina wyparowała z jego skóry, która była tak gorąca, że oparzyłam sobie palec. Zacisnęłam zęby.

Ujęłam go za drugą rękę. Po kręgosłupie spływały mi krople potu. Najpierw muszę opanować ogień na dłoni, dopiero potem będę mogła zająć się runą na plecach. Donna uklękła po przeciwnej stronie chłopca i postawiła na podłodze miseczkę, w której zachlupotała święta woda.

Zanim zdążyłam wziąć od niej nóż, zanurzyła sobie ostrze głęboko w nadgarstku i, żeby podsycić moc wody, upuściła do miseczki kilka kropel krwi. Zupełnie się nie spodziewałam, że to zrobi, ale posłusznie przyszykowałam wąskie paski bandażu, które przyniosła.

Byłoby łatwiej, gdybyśmy mogły położyć go na grzbiecie, ale chłopiec był na granicy płaczu, a podkoszulek przylepił mu się do pleców. Nie było czasu do stracenia.

Donna uświadomiła sobie to w tej samej chwili co ja.

- Zajmę się tym - powiedziała.

Pobiegłam z powrotem do pokoju i wyciągnęłam spod łóżka szkatułkę od matki. Była ciężka i nieporęczna, więc niosąc ją, nie byłam w stanie zgrabnie manewrować między krukami. Krzyknęłam, żeby zeszyły mi z drogi, dwa nawet odsunęłam nogą. Woskową pieczęć na szkatułce przełamałam za pomocą noża Donny.

Wieczko uchyliło się, wypuszczając cynamonowy zapach. Chwyciłam fiolkę z saletrą indyjską, plecionkę z czerwonej i czarnej wstążki oraz pasma moich włosów, a także ostry skalpel. Wyszeptałam zaklęcie przytrzymujące silną magię w szkatułce i pospiesznie zatrasnęłam wieczko.

Odcięłam dolną część podkoszulka Lukasa i zdjęłam materiał z krwawiącej runy. Chłopiec pojękiwał. Donna zaczęła nucić kołysankę, jednocześnie zanurzając jego dłonie w świętej wodzie. Pozwoliłam, żeby krew popłynęła mu swobodnie, i szybkim ruchem wycięłam skalpelem runę unieruchamiającą tuż nad mackami runy czarnej świecy. Nasypałam sobie na dłoń saletry indyjskiej i drasnęłam się w wytatuowany nadgarstek. Wiedziałam, że później będzie piec, ale teraz prawie nic nie poczułam, bo skalpel był bardzo ostry. Wymieszałam krew z drobnym białym proszkiem i naniosłam wszystko na runę, którą wycięłam na plecach Lukasa. Chłopiec szarpał się, ale go przytrzymałam. Donna ścisnęła go za nadgarstki, a ja przepasałam plecionką ze wstążek i włosów, którą następnie zawiązałam w potrójny supeł. Drasnęłam się jeszcze raz, tym razem nieco głębiej, żeby krew popłynęła szeroką strugą. Rozsmarowałam ją w dłoniach, które następnie przyłożyłam do runy czarnej świecy na skórze Lukasa. Moje palce zostawiły czerwony ślad.

- Unieruchamiam cię w imię krwi i ziemi - wyszeptalam. - Węzły, działajcie.

Lukas zachłysnął się powietrzem i znieruchomiał.

Korytarz pogrążył się w ciszy i ciemności. Słysząc było tylko szmer ptasich piór i cichy śpiew Donny. Oparłam się ciężko o ścianę. Żołądek miałam ściśnięty, a język wciąż płonął mi od zaklęcia.

W miarę nastawania ciepłych dni uważniej przyglądałam się magii Twojej i Gabriela. Uważniej niż wcześniej. Zdałam sobie sprawę, że używasz jej bezustannie. Ty oddychałeś magią. Gdy rano dotykałeś kory drzew, one pochylały gałęzie, jak gdyby chciały podzielić się z Tobą swoją mocą. A gdy Gabriel w ciągu dnia raz po raz przymykał oczy, nasłuchiwał mowy przyrody. Kiedyś sądziłam, że po prostu się zamyśla albo śmieje z czegoś w duchu, lecz teraz widziałam, że słucha drzew. Raz złapał mnie na tym, że mu się przyglądam.

- Wiedzą więcej na temat marzeń niż ja czy ty - wyjaśnił.

Pewnego ciepłego popołudnia wyjrzałam przez okno w kuchni. Łąka przed naszym domem była bladozielona, do tego gdzieś żółta od mleczy. Naraz spostrzegłam na niej coś czerwonego. Kiedy przyjrzałam się uważniej, okazało się, że to rozciągnięty pośrodku kępy koniczyn Gabriel. Rzuciłam ciasto na stolnicę, wybiegłam na łąkę i uklękłam nad leżącą postacią.

- Gabrielu?

Dotknęłam jego ramienia. Potem czoła. Twarz miał śmiertelnie nieruchomą, tak samo jak Ty w dni, kiedy nie wychodziłeś z pokoju. Nie był to ani sen, ani śmierć. Przyłożyłam mu ucho do klatki piersiowej. Jego serce biło niezwykle wolno, a powietrza nabierał raz na dwanaście moich wdechów.

Zdrętwiałam z przerażenia. Odsunęłam się i przykucnęłam, przyciągając kolana do klatki piersiowej. Słońce przygrzewało z tyłu. Spociłam się pod ciężkim węzłem włosów, ale nie ruszałam z miejsca. Nie miałam pojęcia, dokąd poszedłeś. Nie byłam pewna, czy powinnam pobiec Cię poszukać, czy zostać i czuwać przy nim.

- Gabrielu? - szepnęłam znowu.

Korony dębów porastających wierzchołek wzgórza zafalowały, a jasnozielone liście odpowiedziały mi szeptem. Błękitne niebo przysłoniły gęste, białe obłoki. W uroczym popołudniu nagle wkradła się atmosfera niepokoju. Miałam wrażenie, że jestem obserwowana, że coś nasłuchuje moich oddechów.

Dotknęłam czoła Gabriela. Było chłodne. Jego młoda, rozluźniona twarz bez chytrego uśmiešku wydała mi się całkiem przystojna.

Nagle Gabriel zatrzepotał rzęsami i odwrócił twarz do wnętrza mojej ręki.

- Evie. - Złapał mnie za nadgarstek. - Ty płaczesz!

Czy naprawdę płakałam? Dotknęłam dłonią policzka. Był mokry.

- Bałam się. Nic ci nie jest? Gabrielu, co się stało? - Pochyliłam się i wsunęłam ramię pod jego kark, żeby pomóc mu się podnieść.

Roześmiał się.

- Evie, jestem cały i zdrowy! Po prostu wyszedłem z ciała.

Wtedy pojawiłeś się Ty. Przybiegłeś od strony lasu, usiadłeś przy mnie i położyłeś mi dłoń na plecach. Z Wami poczułam się bezpiecznie, a jednocześnie miałam wrażenie, że znajduję się na środku wzburzonego morza. Nie było tu dla mnie miejsca.

Potem spróbowaliście nauczyć mnie wychodzić z ciała, żebym mogła wzbić się w powietrze i latać niczym jastrzęb albo rzucić się w pościg za jeleniem, który pasł się na zachodnim krańcu łąki.

Delikatnie rozpiąłeś górny guzik mojej sukienki. Wstrzymałam oddech. Gabriel znajdował się tuż obok, a Ty uważałeś, żeby nie dotknąć mojej skóry. Patrzyłam Ci w oczy, ale wbiłeś wzrok w kołnierzyk sukienki. Zachwycił mnie łuk Twoich jasnych rzęs. Och, Arthurze, tak bardzo pragnęłam, żebyśmy byli wówczas sami; spojrzeń mi w twarz albo pochylił się i pocałował mnie w szyję.

- Evie, spokojnie - rzucił Gabriel. W jego głosie czaił się śmiech. Był na tyle śmiały, że dotknął odsłoniętego kawałka mojego ramienia.

Rozsunąłeś sukienkę jedynie trochę, przy szyi.

- Nie ma się czego obawiać - uspokoiłeś mnie.

Drasnąłeś się w palec i gorącą krwią narysowałeś spiralę na moim sercu, jakby tworząc niezwykłą, spajającą mojego ducha z ciałem ścieżkę. Oderwałam się od ziemi i razem z Tobą wzniosłam ku niebu. We trójkę śmigaliśmy między nisko zawieszonymi chmurami. Prowadziłeś nas od jednego kruka do drugiego, a potem Gabriel przeniósł nas w drzewa. Ziemia była cichsza niż zazwyczaj; nie myślała samodzielnie, była jednak pełna uczuć, opleciona wstęgami magii.

Łagodnie sprowadziłam nas z powrotem do ciała. Śmiałeś się, zdyszany, a Gabriel ścisnął nas oboje za ręce. Było mi niedobrze. Uspokoiłeś mnie, że ta dolegliwość ustąpi z czasem, kiedy tylko moje ciało przyzwyczai się do zmian.

- Ale ja nie zamierzam tego więcej robić.

Gabriel podparł się na łokciu, a Ty usiadłeś po turecku, niczym mały chłopiec, i zrobiłeś smutną minę.

- Dlaczego? - zapytał Gabriel.



Spojrzałam w przestwór błękitnego nieba i przypomniałam sobie emocje podczas lotu i spokój, jaki płynął z drzew.

- Bo stąd także widzę to wszystko. - Dotknęłam namalowanej przez Ciebie spirali z krwi, teraz wyschniętej i nadkruszonej, a potem tę samą rękę położyłam na ziemi. Magia wezbrała mi w dłoni i wsiąkła w podłoże. Trawa naokoło mnie zadrżała i wyzłociła się, wiatr zdmuchnął mi włosy na twarz. Usłyszałam ruch planety: skrzypienie, trzaski, chrupot - dźwięki, które wydaje z siebie każdej minuty. - Moje miejsce jest w tym ciele. W nim się urodziłam. Należę do natury taka, jaka jestem.

Spojrzałam na Was obydwu. Gabriel uśmiechnął się pobłaźliwie, a potem przygładził dłonią zaczesane do tyłu włosy. Ty popatrzyłeś na mnie przeciągle. Smutek znikł z Twojej twarzy, ale nie potrafiłam rozszyfrować, w jakim jesteś nastroju. Nagle poczułam, że stanowisz dla mnie wielką tajemnicę. Być może wróciłeś myślami do naszej poprzedniej rozmowy, podczas której mówiłam, że magia to dla mnie narzędzie, a Ty byłeś zdania, że powinnam pełniej korzystać z jej piękna. Dotknęłam Twojego kolana.

- Nie muszę stać się chmurą, żeby dostrzec paletę barw wschodu słońca. Moje oczy, serce, umysł potrafią docenić to, czego nie widzi kruk.

MAB

Całe rano spałam jak zabita. Zaklęcie unieruchamiające, które rzuciłam na Lukasa, zupełnie mnie wyczerpało. Obudziłam się dopiero po południu. Umierałam z głodu. Na dole czekała już na mnie gorąca herbata. Usiadłam i powąchałam napar. Z zadowoleniem wyczułam wierzbę, żeńszeń i bazylię. Dostarczą mi energii, której potrzebowałam po nocnej pracy. Może będę w stanie zaleczyć sobie piekące skaleczenia na nadgarstku, które pobolewały za każdym razem, gdy unosiłam rękę.

Donna postawiła przede mną kurczaka na zimno, ser i ciastka owsiane. Rzuciłam się na jedzenie, a ona usiadła obok.

- Wiesz, co to było? - zapytała.

- Najwyraźniej jego ojciec uruchomił klątwę, którą na niego rzucił - odparłam z ustami pełnymi okruszków. - Ale dlaczego kruk... - Zerknęłam na cedrowe pudełko stojące na blacie kuchennym obok dzbanka na kawę. - Spróbuję się dowiedzieć. Widziałaś resztę?

Donna wskazała palcem sufit.

- Trzymają straż na dachu. Siedzą dokładnie nad pokojem Arthura.

- To dobrze. - Z jedzeniem i herbatą rozgrzewającymi mnie od środka czułam się znacznie lepiej. - Zajrzałam do Lukasa. Chyba ma się lepiej. Zasnął. Unieruchamianie pomogło, chociaż to tymczasowe rozwiązanie.

- Nie musi być tymczasowe. - Popatrzyła na mnie po matczynemu.

- Musi. Unieruchamianie zablokowało też magię Lukasa. Nawet jeżeli nie zamierza korzystać ze swojej mocy teraz, co do czego w zasadzie nie mamy pewności, to kiedyś może zmieni zdanie. Trzeba znaleźć inny sposób.

- Mab, wiele osób jakoś żyje bez magii krwi.

Popijałam herbatę i w milczeniu przyglądałam się Donnie znad brzegu filiżanki. Westchnęła i pokręciła głową. Wstała i wylała własną herbatę do zlewu.

- Pojadę do miasta po jakieś lekarstwa dla niego. Skończyły się, a mały ma gorączkę.

Zmarszczyłam brwi i już chciałam zaprotestować, ale zabrakło mi argumentów. Zaklęcie, którym poskromiłam magię czarnej świecy, było skomplikowane i nawet zwykły napar ziołowy mógł zakłócić bieg krwi Lukasa, a tego wolałam nie ryzykować. Będzie trzeba ograniczyć się do zwykłej medycyny.

- Tylko nie kupuj nic na rozrzedzanie krwi.

- Może właśnie tego potrzebujemy - odparła, przeglądając zawartość lodówki i spiżarni. - Kupię też trochę wołowiny. Zrobimy sobie gulasz. Tyle, żeby nie trzeba było zaraz jechać do sklepu.

Wstałam i pociągnęłam ją za długi rękaw bluzki.

- Dziękuję.

Donna wyprostowała się z prawie pustym pudełkiem płatków śniadaniowych w ręku.

- Za co?

- Za to, co zrobiłaś w nocy. Za to, że użyłaś magii.

Powoli wypuściła powietrze, jednocześnie rozluźniając zeszywniałe ramiona.

- Jeśli chcę przejść na drugą stronę ulicy, to nie mogę udawać, że nie mam nóg, prawda?

Uśmiechnęłam się, a ona dotknęła mojego ramienia.

- Zastanów się, jak możemy pomóc chłopcu, a ja ci w miarę możliwości pomogę.

Uściskała mnie i skierowała się do drzwi. Usłyszałam, jak z kołka przy drzwiach zdejmuje kluczyki do naszego kombi, i już jej nie było.

Skubiąc kawałek piersi kurczaka, podeszłam do blatu i położyłam wolną rękę na pudełku, w którym schowałyśmy martwego kruka. Drewno było ciepłe i leciuteńko mrowiło od magii. W ciągu jednego tygodnia zginęły dwa kruki. Więcej niż przez cały zeszły rok. Przesunęłam palcami po wieczku pudełka. Zdarzało się, że ptaki ginęły. Na przykład w walkach z sójkami. Kiedyś jeden próbował wlecieć do domu podczas burzy i połamał sobie skrzydła. Paliłyśmy ich biedne, zmalretowane ciała, a potem rozsypywałam popiół ze

szczytu mojego silosu. Jednak Reese zawsze znajdował nowego kruka, którym uzupełniał stado.

Coś ukłuło mnie w sercu. Odłożyłam kawałek kurczaka i podniosłam pudełko.

Nie byłam pewna, czy tym razem uda im się zwerbować kolejnego ptaka.

WILL

Większą część poniedziałku przeleżałam na kanapie z butami opartymi o stolik do kawy. Oglądaliśmy z Benem film za filmem. Wybrał klasyk - Koszmar z ulicy Wiązów. Dostawałam gęziej skórki, bo sceny z filmu przypominały mi moje niedawne przygody, aż w końcu wyłączyłem go w połowie. Ben nie miał ochoty na kino akcji. Nie chciał się przyznać, ale byłem pewien, że nie mógłby znieść strzelaniny. W końcu osiągnęliśmy kompromis - maraton South Parku. Po pięciu odcinkach mama uwierzyła, że przetrwałem kryzys. Cały dzień miałem temperaturę w normie, a wymiotowałem tylko w niedzielę po południu. Aby udowodnić, że odzyskałem równowagę, zrobiłem piruet. Nie wspomniałem o siniaku. Ani o lekkim bólu głowy promieniującym od gałek ocznych.

Udało mi się ją przekonać, więc postanowiła wybrać się na zakupy. Obiecała, że wróci, zanim tata przyjdzie z pracy. Ben zaproponował jej swoje towarzystwo, pod warunkiem że zatrzymają się w wypożyczalni po jakiś sensowny film. Powiedziałem mu, że w dwudziestym pierwszym wieku filmy ogląda się przez Internet. Odparł, że robili tak w Afganistanie, ale nie miał pojęcia, że do Kansas też dotarła już cywilizacja.

Zanim rozpętała się kłótnia, mama pociągnęła go w stronę wyjścia. Zostałem sam.

Przez chwilę stałem bez ruchu pośrodku pokoju. Dom wypełniała cisza. Samochód mamy zaburczał i zjechał po podjeździe. Jak makiem zasiał.

Mogłem: włączyć telewizor, radio albo iPod'a, zanim dopadnie mnie cisza; zadzwonić do Matta; pobawić się z psami. Wybrałem to ostatnie. Przebrałem się w spodnie od dresu i koszulkę, po czym wyszedłem do ogrodu. Potruchtałem po trawie w stronę budy.

- Furia, Walkiria! - zawołałem.

Walkiria odszczeknęła radośnie. Odemknąłem zasuwę i zamazyście otworzyłem drzwiczki. Walkiria waliła ogonem o ziemię i szczyrzyła się do mnie, jakby w uśmiechu. Wyciągnąłem rękę, żeby ją pogłaskać. Poczulem dyskomfort w okolicy żeber.

Na dźwięk warknięcia zamarłem w pół ruchu.

Ogon Walkirii się uspokoił. I ona, i ja spojrzeliśmy w kąt, z którego rozległo się warczenie. Furia stała z szeroko rozstawionymi łapami, położonymi płasko uszami i odsłoniętymi aż po dziąsła zębami. Znów zawarczała.

Na mnie.

- Furia... - rzuciłem słabym z osłupienia głosem. Tylko na tyle było mnie stać. - Hej, Furia!

Warknęła i zjeżyła sierść. Walkiria zaskomlała.

- Furia! - krzyknąłem i wyprostowałem się. - Siad. - W powietrzu wykonałem ręką ruch do dołu.

Zawarczała jeszcze głośniej. Przyglądając się jej, przypomniałem sobie, jak poszliśmy z Aaronem wybrać szczeniaki. W kojcu było ich pięć, same suczki; wielka, brązowoczarnobeżowa kotłowanina uszu i języków. Poszczekiwały cieniutko, a jedna z nich rozkosznie warczała - dźwięk ten przypominał buczenie trzmiela. Mama szceniąt wylegiwała się na trawie obok kojca, zmęczona, ale z rozdziawionym w uśmiechu pyskiem. Aaron szturchnął mnie łokciem.

- Zanurz rękę i weź tę, która gryzie.

Ukląłem i wyłowilem z kłębowiska warcząca suczkę. Ująłem ją w dwie ręce, przytuliłem do piersi i zajrzałem w czarne oczka. Jej powarkiwanie łaskotało mnie w dłonie.

- Ta nikogo nie lubi - powiedział hodowca. - Nic, tylko warczy i warczy, chociaż nie ma innych oznak...

Ale maleńka Furia nagle zamilkła. Nadstawiła uszu i wyciągnęła się, żeby obwąchać moją twarz. Roześmiałem się i dmuchnąłem w nią lekko. Otrząsnęła się, a potem zwinęła w kulkę i zasnęła na moich rękach. Postawiłem ją na ziemi dopiero ponad godzinę później, już w domu.

Wyrosła na wielką bestię, zawsze jednak stuprocentowo posłuszną i oddaną. Na stypie Aarona całe godziny tuliła się do mojej nogi, gdy tymczasem Walkiria siedziała w kącie.

Powinienem teraz złapać ją za sierść i siłą przycisnąć do ziemi, żeby przypomnieć jej, kto jest przewodnikiem stada, ale stałem jak skamieniały.

Druga suka rozplaszczyła się z głową pomiędzy łapami i spoglądała to na mnie, to na Furię.

- Walkiria! - Klepnąłem się w udo. - Do nogi!

Oba psy ignorowały moje polecenia.

- Furia? - Znowu spróbowałem ją przywołać, ale sam słyszałem niepewność w swoim głosie.

Szczekając, Furia ruszyła na mnie. Poczułem się, jakby mnie ktoś spoliczkował. Rzuciłem się do ucieczki, a ujadająca coraz wścieklej Furia za mną. Kiedy już prawie capnęła mnie za rękę, wydostałem się z kojca i z łoskotem zatrzasnąłem drzwiczki. Zamknąłem zasuwę i oparłem się o płot plecami. Furia rzuciła się na ogrodzenie i zaskrobała pazurami o

deski. Kojec zadygotał, ale wytrzymał. Zamknąłem oczy i oddychałem ciężko. Co się stało z moim psem?!

Odwrociłem się i zjrzałem do środka przez szczelinę między deskami. Furia oparła się przednimi łapami na wysokości mojej klatki piersiowej i wściekle ujadła.

- Furia! - krzyknąłem.

Jej jazgot rozsadzał mi bębni. Po chwili dołączyła do niej Walkiria. Odsunąłem się i przykryłem uszy dłońmi. Między deskami widziałem migające cienie - psy ciskały się wzdłuż ogrodzenia.

Obróciłem się na pięcie i pobiegłem do domu. Szarpnięciem otworzyłem tylne drzwi i nawet ich nie zasunąłem, tylko od razu popędziłem do łazienki na parterze. Przypływ adrenaliny niemal mnie ogłuszył, a żołądek wywracał mi się na drugą stronę. Zerknąłem na toaletę, ale aż tak źle nie było. Zdecydowanym ruchem odkręciłem kran i napełniłem dłonie zimną wodą. Ochlapałem sobie twarz. Był to mały szok termiczny; wciągnąłem gwałtownie powietrze. Z szyi i brody spływały mi strumienie chłodnej wody. Zamknąłem oczy. Furia.

Próbowałem wziąć się w garść. Oparłem się dłońmi po obu stronach lustra. Westchnąłem głęboko i pochyliłem się, ciężar ciała przesuwając na ramiona, jakbym robił pompki na ścianie. Kiedy od lustra dzieliło mnie kilkanaście centymetrów, spojrzałem sobie samemu w oczy. Brązowe, z szarą obwódka.

Tak przynajmniej zawsze wyglądały.

Sięgnąłem do tyłu i włączyłem światło. Zamrugąłem osłepiony, ale zmusiłem się, żeby jeszcze raz przysunąć się do lustra.

Przyjrzałem się lewej tęczę. Na jej zewnętrznej krawędzi zauważyłem cienki, intensywnie czerwony pasek. Jakby krwawiło mi oko.

- To chyba nic takiego - szepnąłem do swojego odbicia. Lustro zaparowało od oddechu.

Może to po prostu mały wylew. W ósmej klasie w bazie marynarki wojennej na Okinawie jeden z chłopaków miał ciężki wypadek na rowerze i przyszedł do szkoły z zupełnie czerwonym okiem. Fakt, że miał też potłuczoną połowę twarzy. Mnie nic się nie stało.

Tego już za wiele. Działo się ze mną coś niedobrego. Na pewno nie była to jakaś zwykła choroba. Nie ma wirusa, który sprawiłby, że atakuje człowieka ukochany pies. Wiedziałem jedynie, od czego się to wszystko zaczęło.

Popędziłem na górę po kluczyki i komórkę, a potem wsiadłem do samochodu i skierowałem się na zachód, w stronę prerii.

A mogło to być spokojne, leniwe lato. Mój bujny ogród dostarczał mi aż nadto zajęć. Zaczęłam też eksperymentować z przygotowywaniem naparów, mydeł i świec. Zdjęłam z Ciebie ten obowiązek, bo mieszanie zapachów, gotowanie mydła i maczanie knotów w wosku sprawiało mi ogromną przyjemność. Do wszystkiego dodawałam szczyptę magii, dzięki czemu sąsiedzi zabijali się o nasze produkty, gdy szliśmy je sprzedawać albo wymieniać na mięso i mleko. Wspaniale było móc dołożyć się do utrzymania naszej ziemi i domu własną, cierpliwą pracą.

Zaczął się gorący czerwiec. Popołudnia często upływały mi na czytaniu w cieniu dębu i popijaniu herbaty. Niestety, w lesie było dosyć duszno, chłodził mnie tylko słaby wietrzyk. Postanowiłam więc na skraju ogródka posadzić lipę. Za kilka lat będzie pachnieć kwieciami i dawać cień koło domu, w miejscu, gdzie lepiej dociera wiatr.

Aż pewnego popołudnia z domu wypadł Gabriel. Trzasnęła moskitiera.

- Arthur! - zawołał, a dzięki magii jego głos rozniósł się po całej okolicy.

Wystraszona, stanęłam na równe nogi. Książka upadła na ziemię. Podbiegłam do Gabriela, pytając, co się dzieje. Jego ciemne oczy raz po raz zerknęły czujnie na wschód. Nachmurzył się - nie na mnie, tylko z powodu jakichś wewnętrznych napięć.

- Nadchodzą kłopoty. Czuję ją aż tutaj.

Po chwili na polnej drodze usłyszeliśmy koła i warkot silnika. Oboje obróciliśmy się; naszym oczom ukazał się opływowy samochód o zadartym przodzie. Siedząca za kierownicą kobieta wyskoczyła z niego, ledwo zgasła silnik. Miała na sobie krzykliwy czerwony kapelusz i białą sukienkę bez rękawów z ornamentem czerwonych kwiatów biegnącym od lewego biodra. Jej złote włosy zawijały się pod uchem w idealne pukle; poczułam, że jej za to nie znoszę. Rzuciła ciemne okulary na fotel kierowcy, a jej usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

- Cześć!

Tak zachwycające, ekstrawaganckie kobiety widywałam tylko w filmach. Nieznajoma zupełnie nie pasowała do naszej cichej okolicy. Milczałam. Gabriel tkwił u mojego boku.

Znalazła się przy nas w dwóch długich, pełnych energii i wdzięku susach. Przypominała trochę lwicę. - To ty, Gabe? - Jej uśmiech stał się kwaśny. Zrozumiałam, że nie lubi go tak samo jak on jej.

Jak Arthur mógł przyjaźnić się z taką osobą?

Uniosłam podbródek.

- Gabrielu, przedstaw nas, proszę.

On ścisnął mój łokieć i rzekł:

- Evie, to Josephine Darły, jadowna, stuknięta czarownica. Jo, to panna Evelyn Sonnenschein.

- Jak to? - Błękitne oczy Josephine otworzyły się szeroko. - Dziewczynie odpuściłeś epitetę? - Puściła do mnie oko. - Nie lubi mnie tylko dlatego, że Arthur mnie uwielbia.

- Lituje się nad tobą - fuknął Gabriel. Całe jego ciało stężało.

Przeraziła mnie ta ich sprzeczka, ale zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, z lasu wyszedłeś Ty. Najwyraźniej wracałeś ze stodoły. Josephine stała plecami do Ciebie, ale widocznie jakoś Cię wyczuła, bo obróciła się na palcach jak mała dziewczynka.

- Diakonie! - zaświergotała. Tak samo nazywali Cię sąsiedzi. Rzuciła się pędem przez łąkę, zrzucając po drodze czerwone buty i puszczając kapelusz na wiatr.

Uradowany, złapałeś ją za rękę. Twoja twarz przybrała zupełnie nowy wyraz. Podekscytowanie. Cieszyłeś się, że Cię odwiedziła. Chętnie pozwoliłeś jej się ucałować w oba policzki. A kiedy pociągnęła Cię na południe od naszego domu, ledwo pomachałeś nam na pożegnanie. Ruszyliście biegiem w dół wzgórza, obok mojego ogródka i miejsca, które upatrzyłam sobie na lipę, aż do jabłoniowego sadu.

Odebrało mi dech. Stałam jak skamieniała.

- Gabrielu? - wykrztusiłam.

On przewrócił oczyma, jak gdyby otrząsając się z podobnego osłupienia.

- Wróć, kiedy skończą. - Zaczął iść w stronę domu, ale ja struchlałam.

- Co skończą?

Gabriel był już na werandzie, ale się odwrócił.

- Pożerać świat.

MAB

Podczas gdy żywe kruki pilnowały śpiącego Lukasa, martwego zaniósłam w pudełku do warsztatu. Budynek przypominał trochę stodołę i być może taką pełnił funkcję sto lat temu, kiedy go zbudowano. Piętrzyły się w nim przykurzone szpargały. O stertę skrzynek opierał się odwrócony do góry dnem zdezelowany kadłub łódki. W dzieciństwie było to moje ulubione miejsce do obserwowania pracującego nad szkicami i miksturami Arthura. Co roku, podczas odnawiania run na ścianach stodoły, na wewnętrznych burtach łódki malowałam resztką farby magiczne znaki. Pewnego razu Arthur wgramolił się tam razem ze mną. Przyniósł świecę. Pochylił się, dopasowując plecami do kształtu łodzi. Stwierdził, że to dobre, bezpieczne miejsce. W ziemi dookoła zakopaliśmy razem srebrny drucik, odśpiewaliśmy pieśni błogosławienia. Z liści pałek wodnych upletliśmy słomiankę, którą następnie zanurzyliśmy w kąpieli z mleka, krwi i miodu.

- Bezpieczniejsza mogłabyś tutaj być tylko wtedy, gdybyś zapuściła tu korzenie - oznajmił Arthur po skończeniu pracy.

Położyłam ciało kruka na długim stole i przyszpiliłam skrzydła do zniszczonego blatu. Wyskubałam kilka piór z jego piersi i odłożyłam do cedrowego pudełka. Wzięłam jeden z noży sterczących z drewnianego klocka i rozkroiłam ptakowi brzuch. Dobrze, że jego kompania została w domu. Przylecą do mnie, gdyby coś złego działo się z Lukaszem, ale nie chciałam, żeby patrzyły na to, co robię. Ostrożnie wyjęłam mostek i rozchyliłam trzeszczące żebra.

Jego serce było garstką popiołu.

Spojrzałam na zwęglone, czarne wnętrzości. Kruka zabił ogień. Pomyślałabym, że dotknął jakiegoś przewodu, ale przypomniałam sobie płonące dłonie Lukasa i rozżarzoną runę czarnej świecy.

Uśmiechnęłam się ze smutkiem. Pogładziłam jedno z długich piór na skrzydłach, podziwiając ich lśnienie.

Nasypałam na ptaka trochę soli, śpiewnym półgłosem podziękowałam mu i życzyłam spokojnego odpoczynku. Potem zebrałam co lepsze pióra i zawinęłam ciało w czerwony, bawełniany całun. Spalimy go. Być może Lukas zechce rozsypać ze mną jego prochy.

Stałam nad stołem do pracy, w zamyśleniu kreśląc na nim kręgi. Drewniany blat wyslizgał się przez lata. Dawało się dostrzec parę ciemniejszych plamek po krwi, ale większa część blatu lśniła bursztynowo.

Musiał istnieć sposób na bezpieczne pozbycie się runy Lukasa. W Różowym Domu znajdowały się książki z teorią magii. W większości były napisane przez Philipa Osborna, jednego z pierwszych uczniów Arthura, który zajmował się przede wszystkim uzdrawianiem, dlatego istniała szansa, że w jego dziennikach i notatkach z eksperymentów znajdę jakieś wskazówki. Westchnęłam. Nigdy nie przepadałam za nauką, zwłaszcza jeśli nie wiedziałam, od której strony się do czegoś zabrać. Lubiłam też mieć z kim omówić pomysły. Będzie to syzyfowa praca, ale musiałam się jej podjąć - dla dobra Lukasa.

Nagle przypomniałam sobie, że notatniki Osborna ma Silla. Pożyczyła je w zeszłym roku, bo potrzebowała materiałów do jakiejś pracy na studiach.

Zrezygnowana opadłam na klepisko. Położyłam się na plecach. Słońce przedzierające się pomiędzy krokwiami dziurawego od południa dachu podświetlało drobinki kurzu. W gnieździe gruchały trzy synogarlice, zadowolone, że kruki zostały w domu.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że Arthur stoi obok i rysuje coś w szkicowniku. Czasami, kiedy pracował, rozkładałam się na podłodze i wypytywałam go o



rozmaite rzeczy. Przyglądałam się łagodnej krzywiznie jego pleców i pewności, z jaką poruszał rękami. Czasami usypiało mnie skrobanie ołówka po papierze i śniło mi się, że rysunki ozywają i fruują dookoła niczym maleńkie wróżki.

Co Arthur zrobiłby na moim miejscu? Powtórzyłam sobie wszystko, co wiedziałam o runie czarnej świecy. Była to szczególnego rodzaju więź pomiędzy osobą wymawiającą zaklęcie a naznaczoną rzeczą. Jak się jej pozbyć, nie krzywdząc Lukasa? Mogłabym nie cofać unieruchomienia w nadziei, że klątwa któregoś dnia zniknie. Albo zmienić samą runę i wpłynąć tym na działanie zaklęcia. Ale wypalenie jej nie wchodziło w grę.

Tylko raz pomagałam Arthurowi zniszczyć tego rodzaju runę - wtedy, gdy cierpiała znajoma Eliego. Rok i jeden dzień później wróciliśmy na to miejsce. Okazało się, że orzech wysechł i szerniał.

Stanęliśmy pod drzewem. Pod naszymi stopami trzeszczała zmarznięta ziemia, a niebo zasnuło się szarymi chmurami. W zziębniętych palcach ścisłałam kilka świec z wosku pszczelego, a w drugiej ręce - skalpel. Arthur zwrócił się twarzą do drzewa, na którego korze wyryliśmy ponurą runę. Powyżej sterczał sztylet, który wbiliśmy tam zeszłego wieczora. Runy wyrzeźbione w jego rękojeści wraz ze słowami pieśni uruchomiły zaklęcie oczyszczające.

Teraz niebo zakrywały chmury, ale blask księżyca oświetlał drzewo całą noc, wsącżając w nie moc sztyletu; chłonęło księżyc przez noc i dziewięć godzin dnia. Rdzeń drzewa nasiąkł magią. Teraz przyszliśmy, żeby dokończyć dzieła.

- Drzewo wibruje od środka - odezwał się Arthur.

Dookoła pnia rozstawiliśmy w równych odstępach dziewięć świec, z których każdą otoczyliśmy gwiazdzistą runą usypaną z soli.

Gdy skończyliśmy pracę nad kręgiem, stanęliśmy naprzeciwko siebie po obu stronach drzewa. Wyciągnęliśmy lewe ręce i drasnęliśmy się w wytatuowane nadgarstki. Trysnęła krew. Ruszyliśmy dookoła drzewa w tym samym kierunku - ze wschodu na zachód, zgodnie z ruchem słońca - i kapaliśmy krwią w środek każdej gwiazdnej runy. Magia paliła mnie w żyłach i rozpryskiwała się kroplami na ziemi. Każde z nas pokonało pół okręgu i weszło na drugie pół - śladami poprzednika. Nasza połączona moc aż huczała. Przenikliwy wiatr szarpał mi włosy i szeleścił wyschniętymi liśćmi. Uśmiechnęłam się. Na koniec Arthur podszedł do orzecha i zakrwawioną ręką złapał sztylet.

- Mocą krwi oczyszczam cię z klątwy - rzekł.

W głębi pnia wybuchła żywa magia. Poczułam ją aż w klatce piersiowej. Wyciągnęłam przed siebie dłonie wnętrzem do dołu. Arthur ścisnął mocno rękę, a wiatr przesuwiał mu po twarzy jasne kosmyki.

Z runy czarnej świecy wystrzeliły języki ognia, ale szybko przygasły. Wygięte do ziemi gałęzie drzewa zadygotały. Oddychałam powoli, przeciągle. Zakłęcie wyciekało z runy na wszystkie strony, czerniąc korę, popieląc liście i targając korzeniami.

Arthur puścił sztylet. Gwiazdziste runy błysnęły srebrzyście. Przez chwilę sądziłam, że to już koniec, i rozluźniłam się, ale zobaczyłam, że Arthur nie rusza się spod drzewa. Miał napięte palce i wbity w ziemię wzrok.

Zobaczyłam, czemu się tak przyglądał. Dookoła orzecha roztopił się szron, jakby brunatna trawa pod spodem się zagotowała. Arthur odsunął się od pnia, ale gorąca plama rozszerzała się powoli i nieubłaganie. Najwyraźniej zakłęcie ze sztyletu wsiąknęło nie tylko w drzewo, ale i - przez korzenie - w ziemię. Arthur stanął obok mnie na skraju kręgu wyznaczonego dziewięcioma świecami i ramię w ramię przyglądaliśmy się dziwnemu zjawisku.

Z ziemi buchnęła para.

Sądziłam, że zakłęcie oczyści tylko drzewo, ale najwyraźniej prześlizgnęło się wzdłuż korzeni, a teraz pełzło pod kamieniami i zmarzniętym błotem.

Powoli podchodziło pod granice naszego kręgu. Czerniło, niszczyło - a właściwie oczyszczało - wszystko na swojej drodze. Gdyby nam uciekło, ogołociłoby całą naszą ziemię z magii!

Arthur zmarszczył brwi, ja krzyknęłam. Obróciłam się na pięcie, zastanawiając się gorączkowo, w jaki sposób utworzyć nową, nieprzepuszczalną tamę dla powiększającego się koła.

- Arthurze! Musimy otoczyć je krwią, tylko jak?

- A co byś zrobiła, gdyby mnie tu nie było? - Przyglądał mi się ze spokojem.

- Nie ma czasu! Trzeba ratować las! - Wskazałam ręką linię drzew kilka metrów przed nami. Wiewiórki chroniły się tam w swoich zimowych dziuplach, a z wierzchołka sosny przyglądał się nam ze znużeniem myszołów.

- Zastanów się - usłyszałam tylko.

Zakłęcie oczyszczające było coraz bliżej. Drasnęłam się skalpelem we wnętrze dłoni i przycisnęłam krwawiącą rękę do serca.

- Wołam mojego chowańca - wyszeptalam. - Reese!

Plama krwi na mojej koszulce błyszczała intensywną czerwienią. Wyrzuciłam dłoń do góry, rysując w powietrzu łuk kropelek krwi.

Przyleciał. W zupełnej ciszy sponad lasu wystrzeliło nagle dwanaście kruków. Myszołów poderwał się z gałęzi i zaskrzeczał niezadowolony, ale moje ptaki odpowiedziały coś zdawkowo i dalej pędziły w moim kierunku.

Uklęknęłam i pospiesznie nacięłam na ziemi skalpelem runę unieruchamiającą. Oddychałam szybko. Nacisnęłam brzeg rany na dłoni; na runę spadły krople magii. Arthur cofnął się o kilka kroków.

- Tutaj! - zawołałam. Kruki zgromadziły się przy mnie, nurzając dzioby i końce skrzydeł w zbierającej mi się w dłoni kałuży krwi.

- Mab - odezwał się Arthur półgłosem.

Podniosłam głowę. Czerniejące koło prawie już do nas dotarło. W powietrzu unosiła się para z topniejącego szronu.

- Mocą krwi wiązę ziemię! Mocą krwi wiązę niebo!

Kruki zaskrzeczały jednym głosem.

- Leć! - krzyknęłam.

Wzbiły się w powietrze. Na twarzy poczułam podmuch ich skrzydeł. Schyliłam się nad runą i oparłam obie dłonie na ziemi. Szeptem powtarzałam zaklęcie, a daleko na niebie kruki kreśliły okrąg zgodnie z ruchem słońca. Arthur położył mi dłonie na plecach i przyłączył się do mojej recytacji. Jego ręce były gorące i lepkie od krwi. Poczułam, jak przepływa przeze mnie jego energia. Raz po raz powtarzaliśmy magiczne słowa.

Między mną a krukami uformowała się wstęga mocy, pulsująca w rytm bicia mojego serca, a zarazem ruchu skrzydeł kruków.

Moja barykada wytrzymała napór.

Zaklęcie oczyszczające zgasło, gdy tylko jej dotknęło.

Wyczerpana zaczęłam osuwać się na ziemię, ale Arthur złapał mnie, ułożył sobie na kolanach i pocałunkiem zagoił ranę we wnętrzu mojej dłoni. Musnął kciukiem mój nadgarstek - od razu odzyskałam siły.

Kruki wracały jeden po drugim. Lądowały z trudem, zmęczone.

- Gratuluję, wróżko. - Arthur uniósł jednym palcem mój podbródek, żebym na niego popatrzyła. Krąg szerniałej ziemi przestał się rozszerzać, ale stojący w jego środku orzech powoli osypał się, tworząc stos popiołu i zwęglonych okruchów.

Zniszczyliśmy runę czarnej świecy, ale też wszystko w promieniu sześciu metrów było zdewastowane.

WILL

Jeździłem w tę i we w tę po drodze stanowej w miejscu, które opisała Mab, ale nie widziałem żadnego zjazdu do jej domu.

Za trzecim przejazdem szarpnąłem kierownicą i skręciłem gwałtownie na pobocze. Zatrzymałem samochód, wzbijając w powietrze grad kamyczków. Wyłączyłem muzykę.

Po chwili z nieprzyjemnej ciszy zacząłem wyodrębniać pojedyncze dźwięki. Szum wiatru, trzepotanie liści, świergot ptaków - mnóstwa ptaków. I... nic więcej. Żadnego warkotu samochodów, żadnej piosenki z radia gdzieś daleko, żadnych rozmów ani wrzasków dzieciaków. Nic.

Nie było też psów sapiących mi w kark.

Poczułem ukłucie w sercu. Brakowało mi Furii. Zwykle siedziała na tylnym fotelu i wyglądała przez przednią szybę, obślinając mi przy tym ramię.

Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie, że frunę do góry przyjrzeć się okolicy z lotu ptaka. Wyglądało na to, że znajduję się we właściwym miejscu. Tam było jezioro, a tam wzgórza. Tu gęsta czapa drzew, która otwiera się na ugór i prerię. I moja droga wijąca się na południowy wschód i wpadająca do drogi międzystanowej.

Jej dom powinien gdzieś tu być.

Wyskoczyłem z samochodu. Trzaśnięcie drzwi zagłuszyło na chwilę dziwną ciszę; ruszyłem przed siebie, zanim zupełnie ucichło. Pokrzepiał mnie miarowy chrzęst kamyczków pod stopami.

Przede mną kotłowały się leśne zarośla. Zero porządku. Grube pnie obok cienkich; wysokie drzewa z rozcapierzonymi gałęziami, a zaraz obok małe, pękate krzaczki. Poprzewracane pniaki. Masa zeszlórocznych liści. Widziałem ledwie trzy metry w głąb, bo las był naprawdę gęsty, a najwyższe gałęzie blokowały dostęp światła. Ale jedno wiedziałem na pewno: nie było żadnej ścieżki, tym bardziej drogi dla samochodu.

Maszerowałem dalej wzdłuż linii drzew. Psy od razu znalazłyby przejście.

Jakiś kwadrans później zawróciłem. Po paru krokach stanąłem twarzą do lasu i zawołałem:

- Mab?

Mój głos huknął jak pocisk.

- Mab?!

Cisza. Tylko wiatr wył pomiędzy gałęziami. Ptaki ucichły na chwilę, ale zaraz znowu się rozćwierkały.

- Pomóż mi - powiedziałem, ale tak cicho, że nie usłyszałyby nawet ktoś stojący tuż za pierwszym drzewem.

Rozległo się krakanie. Nadstawiłem uszu.

Uważnie przyjrzałem się zaroślom. Znowu krakanie. Wtedy go zobaczyłem. Na gałęzi może trzy metry nad ziemią siedział kruk. Na oko dziesięć metrów na północ od miejsca, gdzie stałem.

Tuż obok jego drzewa zobaczyłem prześwit. Biegła tamtędy żwirówka. Trudno uwierzyć, że ją przeoczyłem. I trzy razy przejechałem obok.

Kruk zaskrzeczał dwukrotnie. Uniosłem dłoń i puściłem się w jego stronę. Zbiegłem ze żwirowej ścieżki i zanurzyłem się w wysokiej po kolana trawie.

- Dzięki. - Zasalutowałem krukowi.

Ptak załopotał skrzydłami i wystartował, ale usiadł zaraz na następnym drzewie, parę metrów dalej.

Ciągnął mnie w głąb lasu.

Przez kilka minut kruk prowadził mnie na przelaj przez gęste zarośla. Musiałem przeskakiwać zwalone pnie i przedzierać się przez krzaki. Czasami łapałem się gałęzi, żeby nie upaść. Ale las jakby w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Gałęzie odskakiwały za mną na miejsce, ptaki śpiewały, a wiewiórki skakały z drzewa na drzewo. Żałowałem, że nie mam na sobie koszuli z długimi rękawami i butów górskich. Tenisówki jakoś dawały radę, ale ramiona miałem całe podrapane.

W końcu zrobiło się trochę luźniej. Szedłem chyba jelenią ścieżką. Do lecącego nade mną kruka po jakimś czasie dołączył drugi, a potem trzeci. Poganiały mnie, śmigając po niebie. Ścieżka była wąska jak kiszka; bez przerwy szorowałem spodniami po odblaskowozielonych roślinach. Uważałem, żeby nie wśliznąć się na trujący bluszcz. Kiedy wrócę do domu, będę musiał sprawdzić, czy nie mam kleszcza.

Po czole spływał mi pot. Zatrzymałem się, żeby wytrzeć sobie twarz brzegiem koszulki. Kiedy uniosłem głowę, zauważyłem przed sobą plamę koloru.

Podbiegłem, wyprzedzając kruki, i wypadłem z lasu do niewielkiego zagajnika. Krzaczasta trawa sięgała mi kolan.

Pośrodku, gdzie świeciło słońce, rosły białoróżowe kwiatuszki, a zaraz za nimi wznosiła się stodoła.

Była szara, więc między drzewami słabo ją widziałem, ale wzdłuż ściany ktoś namalował czerwony pas, a na drzwiach widniał wielki, kolorowy rysunek. Coś na kształt

połączonej gwiazdy, trójkąta i koła. Wzór był nowy i wyraźny, odcinał się od reszty stodoły. I wyglądał, jakby co jakiś czas go odnawiano.

Jedno skrzydło drzwi było uchylone. Wleciały przez nie do środka dwa kruki. Trzeci czekał na mnie na ziemi, a po chwili podreptał do stodoły. Otworzyłem drzwi parę centymetrów szerzej.

- Dzień dobry! - zawołałem. Cisza. - Mab?

Ptaki wyraźnie czekały, aż wejść. W środku przystanąłem, żeby wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Nie było bardzo ciemno, panował półmrok. Przez dziurę w południowej części dachu przeświecało słońce. Kruki podfrunęły pod sufit, skąd uciekło parę białych ptaszków. Pośrodku stropu wisiała żarówka, oświetlająca ciemne wnętrze słabym, żółtym blaskiem.

Półowę stodoły zajmowały hałdy staroci w rodzaju skrzynek, części zardzewiałego traktora, pustych słoików i worków na ziarno. Druga połowa była w niewiele lepszym porządku. Mieścił się tam długi drewniany stół, a na niezliczonych rzędach półek na ścianach poupychano pudełka, fiolki, wiadra, a nawet coś, co wyglądało na żeliwny kocień pełen muszelek. Sam stół był prawie pusty; na jednym krańcu leżał klocek z nożami kuchennymi. Pod blatem stał pniak ozdobiony dziwnymi, wyrżniętymi w drewnie znakami w rodzaju tych, które kojarzyłem z horrorów.

Nagle mnie oświeciło. Błotne monstrum, inteligentne kruki, pomyłone sny. I Mab. Trzymająca serce. Szepcząca coś do niego.

Jak jakiś Gandalf. Albo czarownica. Tyle że uśmiechnięta i w goglach, a nie w spiczastym kapeluszu i pokryta kurczajkami.

Nogi przyrosły mi do ziemi.

- Mab? - wykrztusiłem.

Siedzący na belce pod sufitem kruk zaskrzeczał i sfrunął na blat. Wylądował na krawędzi, skrobiąc pazurami o drewno. Obszedłem stół. I prawie potknąłem się o Mab. Leżała plackiem na klepisku, ręce miała złożone na brzuchu, a oczy zamknięte. Włosy rozsypały się jej dookoła głowy. Wyglądała jak disneyowska księżniczka.

Kucnąłem i zawiesiłem nad nią rękę. Chyba nie oddychała.

- Mab?

Wtedy jej oczy otworzyły się gwałtownie.

MAB

Na dźwięk swojego imienia otworzyłam oczy przekonana, że zobaczę Arthura. Okazało się jednak, że to Will się nade mną nachyla; w mgnieniu oka wróciłam do ciała, aż zadzwoniły mi zęby.

- Mab? - Na jego czole błyszczały kropelki potu.

Nie poruszyłam się.

- Will - szepnęłam. - Co tu robisz? - Moje zaskoczenie topniało jak płatki śniegu na ramieniu.

- Musisz mi pomóc - odparł po prostu, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Usiadłam. Znajdowaliśmy się teraz bardzo blisko siebie. Will wniósł do stodoły trochę lasu - pachniał wilgotnym drewnem, błotem i kwitnącymi drzewami. Wyczułam też pot i nieekologiczne mydło z chemicznymi dodatkami. Skrzywiłam się.

- Przepraszam. - Wstał, marszcząc brwi.

- Nie, nic nie szkodzi. - Złapałam go za rękę i podciągnęłam się do pionu. Stałam blisko, żeby pokazać mu, że naprawdę nie przeszkadza mi jego zapach. - Chodzi o to, że chemia w niektórych mydłach może spowodować bezpłodność.

- Co takiego?

Zwróciłam się do niego twarzą, cały czas trzymając go za nadgarstek. Miał ciepłą skórę, a jego wygięte w podkowę usta znajdowały się akurat na wysokości moich oczu. Nie mogłam wykrztusić słowa. Przypomniałam sobie, jak pocałował mnie we śnie, a ja objęłam go rękami i nogami. Poczułam w brzuchu jakby łaskotanie, które przesunęło się coraz wyżej, w kierunku języka. Rozchyliłam usta i pozwoliłam, żeby łaskoczące mnie coś uciekło razem z moim westchnieniem.

- Mab, dnieje się ze mną coś złego - oznajmił Will po chwili. Nie powiedział tego tonem skargi, było to raczej zwykłe stwierdzenie. - Nie wiem do końca co ani dlaczego. Nie jestem nawet pewien, czy będziesz mogła mi pomóc.

Gdy mówił, cała jego twarz przeobrażała się, niczym wartko płynąca woda w potoku. Za to ja stałam nieporuszona, jakbym była wyrosłym nagle spod ziemi kamieniem. Bardzo chciałam mu pomóc. Bardzo chciałam też, żeby dalej mi się tak przyglądał.

- Opowiedz, co się stało.

Will otworzył usta. Czekałam, usiłując zachować opanowany wyraz twarzy, mimo że w piersi czułam narastającą radość.

- Nie wiem, od czego zacząć - odpowiedział w końcu.

- Od najważniejszego - podsunęłam cicho.

- A więc coś jest nie tak z moimi oczami. - Will zamknął jedno oko, przysunął się do mnie i palcem odchylił sobie lekko dolną powiekę.

Odważyłam się dotknąć jego policzka, ale światło żarówki na suficie padało tak, że twarz znajdowała się w cieniu, poprowadziłam go więc na drugą stronę stołu, a sama usiadłam na blacie. W ten sposób znajdowałam się parę centymetrów wyżej niż on.

- Pokaż jeszcze raz.

Przysunął się i zadął głowę. Kiedy przyciągnęłam go trochę bliżej stołu, biodrami w szorstkich dżinsach musnął wnętrze moich kolan, zadzierając mi nieco brzeg sukienki. Oddech uwiązał mi w gardle. Całą wolą, jaką zdołałam z siebie wykrzesać, ujęłam jego twarz w dłonie i przechyliłam ją w stronę światła.

Will mrugał i zerkał na boki, żeby nie patrzeć mi w oczy. - Will.

- Przepraszam - powiedział cicho i uspokoił się.

Rozcapirzyłam wsparte o jego policzek palce i zajrzałam mu do oka.

Miało kolor żółdzia, szarą obwódkę i jasnobrązowe plamki. Na krawędzi zauważyłam jednak coś jeszcze - cienki pasek czerwieni, jak gdyby jego tęczówka była księżycem zasłaniającym podczas zaćmienia krwistoczerwone słońce.

- Wcześniej tego nie miałem - zauważył cicho. Zachowywał idealny spokój; zdradzał go tylko drżący oddech.

- Nie mam pojęcia, co to jest. - Oparłam mu dłonie na barkach, a on wyprostował głowę i nachmurzył się.

A potem zrezygnowany rozluźnił ciało i, przysuwając się bliżej, oparł dłonie o stół po obu stronach moich bioder. Nie poruszyłam się ani nie zdjęłam dłoni z jego ramion.

W opuszkach palców czułam dalekie echo bicia jego serca.

Twarcz Willa zawisła kilkanaście centymetrów od mojej. Uczucia, jakie się na niej malowały, zmieniały się szybciej niż trzepotanie skrzydeł jaskółki.

Pochyliłam się. Na ustach poczułam jego oddech. Z taką łatwością mogłabym przytulić się do niego i go pocałować.

On ani drgnął.

A byłam Diakonem. Will przyszedł do mnie po pomoc, a nie po flirt. Mój bezsensowny przypływ zauroczenia nie liczył się teraz. Odsunęłam się. Przykryłam dłonią usta, jak gdybym mogła zatrzymać tam jego oddech.

- Mab. - Will nadał opierał ręce na blacie i przyglądał mi się, jakbym była niezwykłym, osobliwym stworzeniem.

- Will - szepnęłam. Nawzajem wypowiedzieliśmy swoje imiona - to nas połączyło.



Znowu uderzyła mnie pewna prawidłowość. Will przedostał się przez ukryte furtki i znalazł mnie w samym sercu mojej ziemi. Dokładnie w miejscu, dokąd przyszedłam po odpowiedź na moje pytania: pod wyrytym na zachodniej ścianie stodoły drzewem przedstawiającym więzy między członkami rodziny czarowników.

Arthur powiedział mi kiedyś, że praca z magią polega na tworzeniu powiązań. Pomiędzy określonym kwiatem a reumatyzmem, między wodą a ziemią czy oddechem a piorunem. Powiązania te wzmacnia się za pomocą krwi. Żeby odstraszyć jelenie i króliki od grządek z marchwią, nie zatruwamy przecież roślin, tylko sprawiamy, że przestają kusić szkodniki, innymi słowy - zmieniamy powiązanie między warzywem a instynktem zwierzęcia. Smarowanie maścią nie leczy rany, tylko przypomina ciało, czym powinno być, czyli wiąże je ze wspomnieniami. Krew i wola muszą być mocniejsze niż szkoda, którą się naprawia.

Na tym polega różnica między magią a przyrodą. Przyroda odnajduje powiązania, a magia je stwarza.

A teraz magia szeptała mi do ucha: Will jest związany z nami. Poczułam to radosnym mrowieniem we krwi.

WILL

To było ponad moje siły.

Prawie mnie pocałowała. Nie byłem w stanie się ruszyć. Palila mnie skóra, a ból głowy promieniujący od gałek ocznych powrócił.

Na klatce piersiowej czułem zimne dłonie Mab. Kolanami naciskała na moje biodra. Kręciło mi się w głowie. Byłem obolały. Kiedy zamknąłem oczy, ona kojąco dotknęła chłodnymi palcami moich powiek.

- Co jeszcze ci dolega?

- Sam nie wiem. Boli mnie głowa. Czuję gorąco, jakby od oczodołów. - Popatrzyłem na nią. Zdjęła ze mnie palce, ale się nie odsunęła. Z tej odległości nie widziałem pełnego obrazu jej twarzy, tylko fragmenty.

Zmarszczyła cienkie brwi.

- Pocisz się - zauważyła.

- Mhm.

- A przecież nie jest tu gorąco. Dzień jest raczej chłodny. - Na czole położyła mi zimną jak lód rękę. Było to niesamowicie przyjemne. - Masz temperaturę.

- O nie, znowu? - Odsunąłem się, ale zaraz zatęskniłem za obejmującymi mnie nogami i ramionami. Jakbym stracił jakąś osłonę.

- Od jak dawna to się dzieje? W sobotę oczy miałeś w porządku.

- Dzisiaj zauważyłem tę plamkę.

- Gorączkę też?

- Nie... - Przypomniało mi się, jak w poniedziałek doszedłem do wniosku, że mam schizofrenię.

Mab zeskoczyła ze stołu i za nadgarstek pociągnęła mnie przez pyliste klepisko w stronę skrzynki, po czym niemalże mnie na niej posadziła. Skrzynka zaskrzypiała, ale wyglądała na stabilną. Mab stanęła twarzą do mnie. Dookoła jej głowy piętrzyła się płatanina loków. Wyglądały jak ze złota, bo przez otwarte drzwi stodoły wpadało słońce i podświetlało całą jej sylwetkę.

- Will, wszystko mi opowiedz. Chcę ci pomóc.

Westchnąłem ciężko. Wiele oddałbym za szklankę wody.

Albo Furię tulącą głowę do mojej nogi. Ale na to szanse były marne, więc zacisnąłem zęby i opowiedziałem Mab o bólu głowy i krwotoku z nosa, chociaż nie wiedziałem, czy to w ogóle ma znaczenie. Wspomniałem też o wczorajszej gorączce i ucisku w klatce piersiowej. Ale jedno przemilczałem - koszmary. Były zbyt porabane, chociaż węszyłem w nich jakąś magię.

Potem opowiedziałem o błotnistym posmaku męczącym mnie od spotkania z monstrem. Słyszając to, Mab dotknęła palcem swojej dolnej wargi.

Zdekoncentrowało mnie to.

- Najadłeś się wtedy błota?

- Hm. - Wróciłem myślami do chwili, gdy monstrem znalazło się pode mną, a ja zanurzyłem palce w jego ramionach i splunąłem ziemią. Z ust wypadł mi płatek róży. -  
Możliwe.

- Niedobrze - mruknęła pod nosem. Przechyliła nieco głowę i przyjrzała mi się jak kruk. Właśnie, zdałem sobie sprawę, że stadko opuściło stodołę.

- Co to znaczy „niedobrze”? Co się ze mną stanie?

- Masz jeszcze jakieś objawy?

Zawahałem się. To wszystko było pokręcone. Ale komu mam o tym opowiedzieć, jeśli nie jej?

- Mam nowe koszmary. Inne, już nie dotyczą Holly.

- Rozumiem. - Kiwnęła głową, jakby rzeczywiście rozumiała.

- Śni mi się, że tonę w błocie. Albo że dławią mnie róże. To się nie trzyma kupy. Atak róż? To jakiś absurd. - Śmiech ugrzązł mi w gardle.

Mab sposepniała.

- Róże. Yhm.

- Bez sensu, prawda? - Nawet ja usłyszałem brak przekonania w swoim głosie.

- Niekoniecznie. - Przechyliła głowę, a jej bujne loki opadły na bok. - Wszystko mi opowiedz.

Zrozumiałem, że ma na myśli koszmary, ale ręka sama powędrowała mi do siniaka na mostku.

Nie uszło to uwagi Mab. Popatrzyła na moją dłoń, a potem spojrzała mi pytająco w oczy.

Spróbowałem wymazać z pamięci fantazję, w której całowała mnie po klatce piersiowej, i podwinąłem koszulkę aż po pachy. Wbiłem wzrok w belki na suficie. Ptaki wystraszone wcześniej przez kruki teraz wróciły na miejsce. Dwa z nich tuliły się do siebie. Poczulem, że Mab podeszła bliżej. Musnęła palcami siniak. Zadygotałem i zacisnąłem zęby.

- Will, co się stało?

- To ten... yyy... róg. Porządnie nim dostałem. - Przełknąłem ślinę, co z głową odchyłoną do tyłu wcale nie było takie łatwe.

- Boli? - Położyła mi zimną rękę na klatce piersiowej. Wzdrygnąłem się.

Opuściłem głowę. Siedziałem na skrzynce, więc Mab nade mną górowała. Stała blisko, z pochyloną głową i palcami dłoni rozsuniętymi na mojej skórze najszerzej, jak się da. Jakby chciała objąć cały siniak.

- Nie. Czuję tam... ciężar.

- Na sercu?

- Tak jakby - zachrypiałem cicho. Głos mi drżał, bo Mab trzymała mi dłoń na piersi.

- Will. - Wypowiedziała moje imię głośno i wyraźnie. Natychmiast spojrzałem jej w twarz. - Zaufasz mi?

Rozdziawiłem usta.

Mab czekała z uniesionymi brwiami. Zamarła, jakby od mojej odpowiedzi zależało jej dalsze działanie.

Przypomniało mi się, jak leżeliśmy z Benem na trawie obok jeziora Clinton. Powiedział wtedy: „Zaufaj instynktowi”. I w pewnym sensie nie miałem wyboru. Już w sobotę zdecydowałem, że zaufam Mab.

- Tak. - Odchrząknąłem. - Ufam ci.

Uśmiechnęła się szeroko i piruetem obróciła się do tyłu. Podbiegła do blatu i z drewnianego klocka wyciągnęła cienki nóż. Wracając do mnie, drasnęła się w palec

wskazujący. Zerwałem się, ale Mab położyła mi rękę na ramieniu, przytrzymując mnie na skrzynce.

- To nic takiego.

Nachyliła się i przycisnęła mi do czoła krwawiący palec. Potem położyła się na ziemi, nie spuszczać mnie z oka.

Otworzyłem usta, żeby zapytać, co robi, ale...

MAB

Leżałam rozciągnięta na klepisku stodoły, ze wzburzonymi jak zwykle włosami i brzegiem sukienki podwiniętym wyżej, niż nakazywałyby przyzwoitość.

I jednocześnie patrzyłam na swoje ciało oczami Willa. W głowie kotłowały mi się myśli. Pot lepił mi włosy i spływał po kręgosłupie, a żebra ścisnęła nieprzyjemna obręcz magii.

Zamknęłam oczy i wstałam w ciele Willa. Uważnie rejestrowałam wszystkie bolące miejsca albo sztywne mięśnie. Willowi kręciło się w głowie, a jego serce waliło, ale mimo to udało mi się osiąść w jego klatce piersiowej. Środek ciężkości miałam teraz wyżej; zachwiałam się, kiedy zrobiłam krok do przodu.

Obchodząc moje własne, nieprzytomne ciało, ruszyłam do stołu. Położyłam dłonie Willa na blacie i spojrzałam na nie. Miały ciemniejszą niż moje skórę i grubsze palce, ale paznokcie były czystsze. Zdjęłam z niego koszulkę, rzuciłam ją na stół i przyjrzałam się siniakowi.

Na splocie słonecznym rozwinął się wielki żółtawy siniak w kształcie róży. Tam, gdzie kwiat miałby płatki, rysowały się łuki krwiaka. W górę i w dół - w stronę ramion i pępka - wystrzeliwały czerwone i fioletowe pręgi. Za każdym oddechem poruszały się żebra Willa. Siniak pulsował w rytm bicia jego serca.

Przykucnęłam niezdarnie i sięgnęłam pod stół. W puszcze z narzędziami wymacałam skalpel. Skaleczyłam nim swój własny wytatuowany nadgarstek i do zdjętej z półki małej porcelanowej miseczki upuściłam około stu mililitrów krwi, po czym odstawiłam miseczkę na stół. Tym samym skalpelem drasnęłam środek siniaka Willa. Dookoła powstałej w ten sposób ranki własną krwią narysowałam runę przejrzystego cienia. Krew Willa sączyła się z siniaka cienką strużką. Kiedy dotknęła znaków runy, przez mgnienie oka poczułam przeszywającą jego ciało wibrującą falę magii.

Fala pozostawiła po sobie biegnące od serca mrowiące języki, przypominające trochę korzenie drzewa. Kształtem odpowiadały rysunkowi siniaka. Właśnie po to weszłam w ciało Willa - żeby przekonać się, dokąd prowadzi pręgi.

Coś zatruło Willa i jedynym sposobem na sprawdzenie, gdzie leży problem, było opętanie go.

Z jego serca niczym nieokiełznane pnącza róży rozpełzała się klątwa mojej lalki.

Trzy dni.

Po trzech dniach wróciłeś do domu, trzymając Josephine za rękę.

Zobaczyłam Was przez okno, kiedy przed snem zaplatałam włosy w warkocz. Jej biała sukienka cała była uwalana Bóg raczy wiedzieć czym, ale nadal jaśniała w świetle księżycy. Dziką gęstwinę włosów miała puszczoną luźno dookoła głowy. Wasze palce splatały się, sugerując wielką zażyłość. Serce mi się krajało, zasunęłam więc zasłonę, tak jakbym mogła dzięki temu udawać, że nic się nie stało.

Rano zeszłam do kuchni i przewiązałam się fartuchem. Ona z cienkim papierosem w dłoni rozsiadła się przy stole nad filiżanką intensywnie pachnącej kawy.

- Dzień dobry, Evelyn - powiedziała i jak gdyby nigdy nic zaproponowała mi swój papieros.

Zmarszczyłam brwi i pokręciłam głową, a następnie zabrałam się do przygotowywania bekonu i może maślanych ciasteczek. Uwielbiałeś je. Chciałam Ci je upiec mimo wszystkiego, co zobaczyłam.

- To może kawy? - zaciągnęła Josephine z południowym akcentem. Skinęłam głową. Doszłam do wniosku, że muszę się przyzwyczać do jej obecności.

Wstała i podeszła do kuchennego blatu. Nie zauważyłam, żeby przywiozła bagaż, ale dzisiaj miała na sobie inną sukienkę - zamaszystą, w szaroróżową kratę, wiązaną z tyłu na karku, która pokazywała całemu światu jej ramiona i plecy. Usta pomalowała cudowną czerwienią. Z bliska wyglądała na nie więcej niż osiemnaście lat. Byłam ciekawa, czy ona też żyje od stuleci.

- Jak ci mija wizyta? - zapytałam, koncentrując się na krojeniu bekonu.

- Wspaniale! - Podała mi filiżankę z kawą i chwyciła mnie za nadgarstek. - Nie chcę ci się narzucać na dzień dobry, ale usiądź tutaj koło mnie. Diakon jeszcze nie wstał. Przez jakiś czas nie będzie potrzebował twojej niewolniczej pracy.

Wygięłam usta w podkówkę i już miałam oświadczyć, że śniadanie robię również dla siebie, ale nic nie powiedziałam, tylko usiadłam przy niej wyprostowana. Kawa pachniała, a Josephine zaczęła wypytywać mnie o moją przeszłość. Rozglądając się po kątach, oznajmiła, że nie było jej tu od roku i od razu widać, jak dużo się zmieniło. Założyłam, że i tak zdążyłeś wtajemniczyć ją we wszystkie moje sekrety, więc cichym głosem opowiedziałam o swojej rodzinie, o ziemi i ogrodzie, wyjaśniłam też, co mnie tu sprowadziło. Josephine podparła się

łokciami na stole, pochyliła ku mnie i ciągnęła mnie za język, wypyując o moją magię, Gabriela i Ciebie. Staralam się zachować chłodny dystans, ale kiedy kończyłam kawę, ona ze zwycięskim uśmiechem rozparła się w krześle.

- Kochasz się w nim - oznajmiła.

Ścisnęłam w dłoni filiżankę i wstałam, niby żeby ją napełnić. Chciałam ukryć twarz. Poczułam falę gorąca. Jej widok tak Cię uszczęśliwił. J e j widok. Ale nie byłam w stanie skłamać, że to, co powiedziała, jest nieprawdą. Czułam, że muszę pozostać wierna swoim uczuciom, nawet jeśli Ty nigdy ich nie poznasz.

I nagle stanęła tuż za mną. Przytłoczyła mnie jej sylwetka - wysoka, elegancka nawet w mojej niepozornej kuchni. Jej oddech owiał mi kark. Poczułam się zagrożona. Zadrżałam.

- Powiedz mu, złotko.

Pokręciłam głową.

- W przeciwnym razie nigdy nie dostaniesz, czego chcesz.

- Chcę żyć na tej farmie, z dala od niebezpieczeństw, i robić to, co robię. Nie zepsuję tego.

Josephine się roześmiała.

- Mężczyźni to głupcy, Evelyn. Zwłaszcza tacy jak Arthur. Obróciłam się i uniosłam twarz, żeby gniewnie spojrzeć jej w oczy.

- Arthur nie jest głupcem.

- Jest, skoro nie bierze tego, co chętnie byś mu podarowała.

- Uśmiechnęła się nieprzyjemnie. - Wiem, co to znaczy kochać i pożądać mężczyzny.

Dzięki magii miłość jest lepsza, ale jednocześnie gorsza, bo mężczyźni uważają, że zjedli wszystkie rozумы. Magia niby czyni nas równymi, ale kiedy przychodzi co do czego, okazuje się, że jednak oni są ważniejsi. Jeżeli chcesz go mieć, to się nie wahaj.

Oparłam się o blat. Trochę przestraszyła mnie jej wzburzona mina i gwałtowność, z jaką mówiła. Mimowolnie pokręciłam w sprzecznię głową.

- Myślałam - odezwałam się - że ty i on...

Z niedowierzaniem rozchyliła usta, a potem wybuchła gromkim śmiechem. Z pewnością właśnie to Cię obudziło.

- Nie, nie - odparła wesoło. - Chociaż przeszło mi to kiedyś przez myśl, nie zaprzeczę.

Byłam skołowana. Z jednej strony wierzyłam jej, a z drugiej - pamiętałam wyraz Twojej twarzy. Dostawałeś od niej coś, czego nie miał nikt inny, chociaż nie wiedziałam, co to takiego.

Gabriela też łączyła z Tobą jakaś wyjątkowa więź. Znowu poczułam się przytłoczona świadomością, że tak dużo przeżyłeś. Miałeś na koncie tyle przyjaźni i miłości, z którymi nie byłam w stanie konkurować.

Sufit zaskrzypiał; znaczyło to, że wstałeś.

- Wracaj do bekonu, złotko - rzekła Josephine - i zastanów się, czy nie warto mu powiedzieć.

Znowu pokręciłam głową. Nie mogłabym. Do chwili, kiedy zszedłeś do kuchni, czułam jej wzrok wwiercający mi się w plecy.

WILL

Miałem wrażenie, że budzę się z półsnu. Nic się nie zmieniło - z wyjątkiem tego, że Mab właśnie podnosiła się z ziemi, a w klatce piersiowej czułem promieniste pieczenie.

Mab uklękła i położyła mi dłonie na kolanach.

- Will? - odezwała się, zadzierając głowę.

Nagle jak przez mgłę przypomniałem sobie obraz moich widzianych z góry dłoni opartych na stole.

- Co się stało? - Potarłem obolałą pierś. Byłem bez koszulki. - Że co? - Popatrzyłem po sobie. Na siniaku widniał jakiś namalowany krwią znak, a pośrodku miałem dziurkę. Czyżbym stracił przytomność?

- Sprawdzałam twoje ciało - odparła zagadkowo. - I chyba mam złe wieści.

- Chwila. - Wstałem, Mab musiała się cofnąć. Zauważyłem swoją koszulkę; leżała zwinięta na blacie. Ignorując wirowanie w czaszce, podszedłem do stołu, wciągnąłem koszulkę przez głowę i rozprostowałem ją na namalowanym krwią znaku. Dopiero potem podniosłem wzrok na Mab. - Co się tu działo?

- Miałem ściśnięte gardło, ręce mi zawadzały.

Spojrzała na mnie. Dzieliły nas może trzy metry.

- Użyłam na tobie runy przejrzystego cienia, żeby sprawdzić, co jest nie tak w twoim ciele, zwłaszcza w siniaku i w okolicy serca. Chciałam przekonać się, skąd ta plamka na oku i ból kości.

Tym razem nie potarłem klatki piersiowej, tylko złożyłem dłonie za głową.

- Urwał mi się film? To wszystko... zrobiłaś sama? Sama zdjęłaś mi koszulkę? A runa? Co to u diabła jest „runa”? Chodzi o ten rysunek z krwi? Mab, pamiętam, że... - Nie miałem ochoty o tym opowiadać, ale pewne rzeczy przypominałem sobie jak przez sen. Jakbym sam to wszystko robił: wstałem, minąłem leżącą na podłodze Mab, skaleczyłem się w

klatkę piersiową, czułem, jak siniak rozplywa mi się gorącymi liniami po ciele. Pokręciłem głową.

- Pamiętasz? - Mab przyskoczyła do mnie w mgnieniu oka i, przyglądając mi się uważnie, położyła mi dłonie na piersi.

- Nie masz wrażenia, że ledwie zamknąłeś oczy, zaraz je otworzyłeś? Pamiętasz, co się działo?

Pokiwałem głową twierdząco.

Mab popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

- Dziwne. Nie jesteś przecież czarownikiem. Podczas opętania powinieneś stracić przytomność.

- Co takiego? - Prawie się zakrztusiłem.

- Hm. - Mab nacisnęła sobie skroń w zamyśleniu.

- Mab. - Złapałem ją za ramiona. - O czym - pochyliłem się, żeby spojrzeć jej w oczy - ty - przysunąłem ją bliżej - mówisz?

- O magii. - Uśmiechnęła się, odsłaniając zęby.

- O magii - powtórzyłem. Nie puściłem jej. Czułem się, jakbym zderzył się z tirem.

Szeroki uśmiech Mab powoli zniknął; po chwili zostało tylko ładne, nieznaczne wygięcie ust. Wyciągnęła przed siebie złożone w łódeczkę ręce.

- O magii - powiedziała znowu, a między nami, we wnętrzu jej dłoni, rozbłysła kula ognia.

Odskoczyłem do tyłu, uderzając się biodrem o kant stołu.

Mab klasnęła, ogień znikł.

- W tej chwili tylko na tyle mnie stać.

Złapałem się blatu. Uwierzyłem jej.

Trzymając się za ręce, powoli wspinaliśmy się do domu Mab na szczycie wzgórza. Powiedziała, że musi coś zjeść. Ja też. I obiecała zaparzyć mi herbaty na ból głowy.

W drodze opowiedziała, jakie to uczucie kogoś opętać. Albo coś. Mówiła o lataniu, o powolnym falowaniu drzew na wietrze i bieganiu na czterech kończynach zamiast na dwóch. Ale ja tylko ścisnąłem ją za rękę i niespecjalnie słuchałem, bo w głowie kołatała mi jedna myśl: „Mab była w moim ciele”.

Trudno nazwać, co czułem. Zachwyty. Strach. Mdłości.

Niesłychane ciepło, wcale nie z powodu gorączki. Miałem wrażenie, że za każdym razem, gdy na nią patrzę, w środku coś mi się otwiera.

Kosmos. Tak można by to nazwać.



To było określenie Aarona. Mówił tak na rzeczy, o których marzył. Wróciłem myślami do ostatniego razu, kiedy to od niego usłyszałem. Przy stole w naszym ogrodzie. Miał jeszcze włosy na tyle długie, że zakładał je sobie za uszy. Siedział nad mapami przyciśniętymi do blatu pełnymi puszkami coli. Zajrzałem mu przez ramię. Zakreślał ołówkiem miejsca, o których przeczytał w necie, i zaznaczał je na trasie do Akademii Marynarki Wojennej, w którą wybierał się wkrótce z kumplami.

- Patrz na to, Will. - Stuknął palcem w jakieś miejsce w Illinois. - Tutaj jakiś kolo wybudował wielki pomnik na cześć wszystkich hipisów świata. Ma prawie dwadzieścia metrów długości.

- Zbaczacie z trasy sto pięćdziesiąt kilometrów, żeby go zobaczyć?

Cmoknął językiem z udawanym niezadowoleniem.

- Will, Will, Will. Jechać stąd nad Atlantyk i nie zobaczyć po drodze nic kosmicznego? Zapomnij. To nadaje życiu sens, stary.

Następne wspomnienie to Ben stojący w mundurze galowym na progu domu pogrzebowego.

- Zamiast włóczyć się nie wiadomo gdzie, powinien pojechać prosto do celu.

Ben nigdy nie robił nic kosmicznego.

- To Różowy Dom - oznajmiła Mab, kiedy wynurzyliśmy się z drzew okalających budynek.

Miał jedno piętro i wyglądał jak wielka różowa babeczka z czekoladową polewą. Trudno mi było sobie wyobrazić, że ktoś może w nim mieszkać. W skrzynkach na parapetach i wzdłuż dachu werandy kwitła masa kwiatów, a między nami a domem rosła wybujała trawa tak gęsta, że do jej przystrzyżenia lepsza byłaby chyba piła mechaniczna niż kosiarka. Po prawej mieścił się kolorowy, jakby żywcem wyjęty z katalogu ogródek.

- Nieźle - westchnąłem.

Na dachu przycupnęła gromada kruków. Złapałem się na tym, że myślę o nich trochę jak o gołębiach, które latały za człowiekiem w nadziei na dokarmienie. Były wszędzie.

Mab przechyliła głowę, a burza jej loków zakołysała się jak zasłona. Podczas marszu któryś z jej kosmyków co i rusz zaczepiał się o gałązkę, ale ona jak gdyby nigdy nic szła dalej.

- W środku musimy być cicho. Lukas śpi.

Zdjąłem liść wplątany w jej włosy.

- Kto to taki?

- Chłopiec, który z nami pomieszkuje.

Pociągnęła mnie za rękę i zaprowadziła do środka. Od wewnątrz był to typowy wiejski domek - stara tapeta w drobne kwiatki, odrapane meble, rodzinne zdjęcia i dziergane serwetki. Przez wielkie, otwarte szeroko okna wpadało popołudniowe światło.

Pachniało świeżym chlebem. Mab posadziła mnie przy okrągłym stole kuchennym, a sama naląła wody do czajnika i włączyła piec, który wyglądał, jakby używano go nieprzerwanie od lat sześćdziesiątych. Przyjrzałem się zadrapaniom na blacie. Na jego krawędzi ktoś za pomocą noża albo widelca wydlubał dziurki i litery, które były trochę podobne do śladów pazurów. Przypomniało mi się, jak Furia skoczyła na ogrodzenie. Na chwilę odebrało mi dech i poczułem ucisk w piersi.

Mab usiadła przy stole i związała włosy w węzeł. Same, bez żadnej spinki albo gumki.

Cofnąłem się w krzesło, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Wyobraziłem sobie, że wstaje, podchodzi do mnie i siada mi na kolanach. Wnika w moje ciało i opętuje mnie jak jakiś duch.

- Mab.

- Will?

Położyłem dłonie płasko na nogach i potarłem, jakbym chciał je wytrzeć.

- Następnym razem zapytaj.

- Nie rozumiem.

- Zanim kogoś opętasz. - Zachrypiałem, bo zabrzmiało to cokolwiek dziwnie.

- Pytałam. - Spojrzała na mnie zaskoczona.

- Nieprawda.

Mab wyciągnęła przed siebie dłonie wnętrzem do góry.

- Zapytałam, czy mi ufasz. Powiedziałeś, że tak.

Jej dłonie czekały. Lekko zagięła palce do środka. Otworzyła oczy szeroko, szczerze.

- Mab.

- Słucham?

- To po prostu było strasznie... - wypuściłem z płuc całe powietrze - intymnie.

Mab rozluźniła twarz.

- O - powiedziała cichutko. Omiotła mnie całego wzrokiem i oparła się na łokciach. - Szkoda, że nie możesz wejść we mnie.

- Boże. - Ukryłem twarz w dłoniach.

- Zrozumiałbyś, jak dziwnie jest znajdować się w czyimś ciele. Inaczej, bardziej chybotliwie... jakby się szło po niestabilnych kamieniach.

Zerknąłem na nią przez palce. Nie byłem pewien, czy wolę siedzieć, czy lepiej byłoby chodzić w tę i we w tę po kuchni.

Mab spojrzała na mnie łagodnie.

- Nauczenie się twojego ciała wymagałoby dużo czasu i ćwiczeń.

Ćwiczenia. Uczenie się mojego ciała.

- Zmieńmy temat. - Odsunąłem krzesło i wstałem.

W tej samej chwili zagwizdał czajnik. Mab zdjęła go z ognia i szepnęła, żeby się uspokoił.

Wykorzystałem ten moment, by spróbować dojść do siebie, ale jej opadające na plecy loki wcale nie pomagały. Ani jej poza, kiedy stanęła na palcach, żeby wyjąć kubki z szafki, a cieniutka sukienka podjechała do góry.

Wyglądałem przez okno, dopóki Mab nie nalała wrzątku do imbryczka, który następnie przyniosła do stołu razem z dwoma niewielkimi kubkami.

- Musi naciągnąć - powiedziała.

- Super. - Wróciłem na krzesło. - No dobra. Opętałaś mnie, żeby dowiedzieć się, co ze mną nie tak. No i? Dawaj.

- W lalce była klątwa - odparła Mab ze złożonymi dłońmi. - W moim homunkulusie. Przeniosłam ją z poletka z różami, gdzie była wcześniej. Obawiam się, że część magii przeszła na ciebie, kiedy zniszczyłeś lalkę.

- Klątwa? Poważnie?

Przytaknęła.

- Jak ona działa? Co się ze mną stanie? - Przycisnąłem pięść do mostka.

- Nie jestem pewna. Ale wiem, jak ci pomóc.

- Jak?

- Zrobię zaklęcie oczyszczające. To rytuał, który wypędzi z ciebie złą magię.

- Od czego zaczynamy? Co mam robić?

Mab przysunęła do siebie imbryk i uniosła glinianą pokrywkę. Powąchała napar i przykryła naczynie z powrotem.

- Mab!

- Niestety, dziś nie dam rady. - Zrobiła smutną minę.

- Dlaczego?

- Muszę przygotować odpowiednią miksturę i pobłogosławić ją w świetle księżyca.

- Nic nie rozumiem. - Skrzyżowałem ramiona na stole i ciężko wsparłem na nich czoło. Ból od oczu nie był taki straszny, ale kiedy nie patrzyłem na Mab, lepiej mi się myślało. Chociaż niespecjalnie miałem o czym rozmyślać. Albo jej uwierzę, albo spadam stąd.

Nie słyszałem, jak wstała, ale nagle poczułem jej chłodną dłoń rysującą mi koła na plecach.

- Nic ci nie będzie. Dokładnie zbadalam działanie klątwy. Prześledziłam, jak owija ci się wokół serca. Masz jeszcze trochę czasu, zanim dokona nieodwracalnych szkód.

Zaśmiałem się niepewnie.

- Will - powiedziała stanowczo.

Usiadłem - Mab ujęła mnie za dłonie i obróciła w krzesle twarzą do siebie. Opuściła głowę, a jej włosy rozsypały się na ramiona. Poczulem skurcz przerażenia. Nie znośm tego. Chciałbym założyć zbroję. Albo mundur maskujący Bena.

Mab położyła mi dłonie na policzkach.

- Will, posłuchaj mnie. Pomogę ci. Po to jestem.

Milczałem.

- Przyszedłeś tutaj, żeby ci pomogła. Właśnie do mnie, ze wszystkich osób, które znasz. Dotarłeś tu, bo było ci to pisane. - Kciukami musnęła skórę pod moimi oczami. - Ta czerwona plamka na twoim oku wygląda jak rubin, Will. Jest piękna, bo nawet ten rodzaj ciemnej, niebezpiecznej magii ma w sobie piękno. Rozumiem, jak działają klątwy. - Mab nabrała głęboko powietrza; przyszło mi do głowy, że może też się boi. - Po to jestem.

-

MAB

Gdy herbata była gotowa, rozlałam ją do kubków, a potem z kołka na bocznej ścianie lodówki zdjęłam nożyk i nieznacznym ruchem nacięłam sobie kciuk. Upuściłam jedną kroplę krwi do kubka Willa. Kora wierzby powinna obniżyć mu gorączkę. Dobrze, że w zeszłym tygodniu przygotowałam jej dużą porcję. Była świeża, działała pobudzająco na krew. Wyszeptałam nad kubkiem potrójne błogosławieństwo i podałam mu napar.

- Dodałaś krwi. - Will przyglądał się podejrzliwie zawartości kubka.

- To przyspieszy działanie magii.

Zamrugał.

- Herbata z krwią... - Skrzywił się. - To wbrew wszystkim zasadom, jakich mnie uczono. O chorobach zakaźnych. O kanibalizmie. I wbrew... religii.

- Masz już moją krew na piersi. Dzięki niej zaklęcie działa. Jeżeli robi ci się słabo na widok krwi, będzie mi trudno ci pomóc.

- Nie o to chodzi. Po prostu ciężko się do tego przyzwyczaić. - Wbił wzrok w kubek z herbatą.

Kiedy nie patrzył, przyjrzałam się delikatnym kurzym łapkoms w kącikach jego oczu. Rzeczywiście, pewnie nietatwo było przyjąć wszystko tak od razu. Ja wychowałam się z magią i od zawsze wiedziałam, że mam ją we krwi. Spróbowałam wczuć się w sytuację Willa: wyobraziłam sobie, że ktoś udowadnia mi, że magia nie istnieje, a cały mój porządek świata był oparty na fałszywych przesłankach. Żałowałam, że nie mogę po prostu dotknąć jego czoła i przekazać mu tego, co rozumiem. Chciałabym pomóc mu odkryć prawdziwość nowej wiedzy.

Obeszłam stół i znowu wyciągnęłam ku niemu rękę, tym razem tę z ranką na kciuku.

- Krew przewodzi magię. W niej mieści się moc.

Will ostrożnie ujął moją dłoń. Przesunął kciukiem po jej wnętrzu i zbadał dotykiem każdy palec. Zadygotałam i zamknęłam drżące powieki. Kiedy Will dotarł palcami do ranki, otworzyłam oczy.

- To naprawdę nie boli? - Trzymając moją rękę w swoich, spojrzał mi w twarz.

- Boli.

- Przepraszam! - Puścił dłoń.

Przesunęłam skaleczonym kciukiem po opuszkach palców.

- Tak to już jest. Musi boleć, żeby magia działała. Należy coś poświęcić, żeby dostać coś w zamian.

Na jego twarzy malowały się na przemian odraza i zainteresowanie, nie odsunął się jednak.

- To chyba za duże poświęcenie.

- Wcale nie. Tylko trzeba się oswoić. Jak podczas spaceru w słoneczne popołudnie. Na początku słońce cię razi, ale idziesz dalej, a po jakimś czasie wzrok ci się przyzwyczaja i widzisz naokoło mnóstwo kolorów.

- Mimo wszystko trochę słabo. - Will wzruszył jednym ramieniem. - Byłoby fajnie, gdyby dało się... tak po prostu, bez niczego.

- Najlepsi radzą sobie bez krwi. - Wyjrzałam przez okno i pomyślałam o Arthurze, który wywoływał zaklęcia siłą woli.

- Super. - Will się uśmiechnął.

- Magia bywa niebezpieczna. Trzeba ciężkiej pracy, żeby osiągnąć taką sprawność. I tak właśnie być powinno. Niedobrze, gdyby wszystko przychodziło bez wysiłku. Na przykład broń. Gdyby strzelanie raniło też strzelającego, ludzie dwa razy by się zastanowili, zanim sięgnęliby po pistolet.

Will z namysłem skinął głową.

- Masz rację.

Przesunęłam swoje krzesło bliżej Willa. Popijaliśmy herbatę, a ja odpowiadałam na wszystkie jego pytania. Wyjaśniłam mu działanie społeczności czarowników, co to znaczy być Diakonem i po co istnieję. Mówiłam, jak krew wzmacnia działanie symboli, ale - zaznaczyłam - najważniejsza jest wola. Wytłumaczyłam, jaki sens ma dla nas współzycie z przyrodą, odnajdywanie w niej wzorów i wsłuchiwanie się w szept drzew. Zapytał, skąd to wszystko wiem, na co ja opowiedziałam mu jeszcze o Arthurze, matce i książkach, które dawała mi zamiast lektur z listy ministerstwa edukacji. Obok zapisków czarowników sprzed wieków były tam książki o historii alchemii i magii, a także dzieła Szekspira, Milтона, Goethego i Maloryego.

Potem ja wypytałam go o wiele rzeczy. Dowiedziałam się, że pochodzi z rodziny wojskowych. Od dziecka wciąż przemieszczali się z miejsca na miejsce. Zdradził mi, że jego marzeniem są podróże. Chciałby dotknąć wszystkiego i zobaczyć wszystko. W głębi duszy współczułam mu wykorzenienia, ale jego to raczej nie martwiło. Nie szukał stałości.

Kubek świecił pustką już od przeszło godziny. Poprosiłam Willa o jeszcze trochę krwi.

- Po co? - zapytał rzeczowo.

- Do zaklęcia oczyszczającego. Mikstura, którą będę błogosławić, musi być powiązana z tobą. Z twoją krwią. Wtedy lepiej zadziała.

Zastanowił się krótką chwilę, a potem odparł:

- Dobrze.

Jeszcze raz zdjęłam nożyk i nacięłam mu nadgarstek. Skrzywił się i jęknął, ale chyba raczej z zaskoczenia niż z bólu. Do pustego kubka płynęła krew. Will patrzył na nią jak urzeczony.

Kiedy miałam już wystarczająco dużo krwi, odsunęłam kubek i zaleczyłam mu ranę za pomocą kropli świętej wody z lodówki oraz wyszeptanego nad ręką zaklęcia. Will zadygotał; jego skóra zasklepiła się, a krew przestała płynąć, została tylko blad różowa kreska. Uśmiechnęłam się do niego. Nasze twarze znalazły się blisko.

Czerwony półksiężyc w oku Willa zaparł mi dech w piersiach. Jego pojawienie się nie było normalne, ale przez moment miałam wrażenie, że stanowi nierozłączną część tęczy.

Will przyglądał mi się oczyma w kolorze żółdza. Nagle poczułam się bardzo zestresowana - tak, jak jeszcze nigdy. Trzymał moje dłonie rękami tak ciepłymi, że wydawało mi się, jakby lada chwila energia miała rozpaść mi ramiona aż po łokcie. Przez chwilę myślałam tylko o rytmie jego oddechu.

Za oknem zaskrzeczał kruk. Podskoczyłam, mocno ściskając Willa za nadgarstki.

- Przepraszam - rzuciłam i zerknęłam w stronę schodów.

- Coś się stało?

- Powinnam sprawdzić, jak czuje się Lukas. Robi się późno.

- Która godzina...? - Zerknął na wiszący za moimi plecami zegar dziadka i otworzył szeroko oczy. - Już po siódmej. Muszę lecieć.

- Aha. Dobrze. - Zastygłam w pół drogi na schody, usiłując ukryć rozczarowanie. - Mikstura powinna być gotowa na jutro. Zadzwoń, gdyby coś się działo.

Przesunął ręką po karku i tyle głowy.

- Nie mam telefonu, żeby cię wpisać.

Podeszłam do szuflady. Spomiędzy szpargałów wyjęłam granatowy marker i uniosłam go zwycięsko. Will podsunął dłoń, na której wierzchu - z pewną pompą - zanotowałam numer do Różowego Domu. Potem podałam mu swoją rękę, na której on zapisał własny telefon. W słabnącym świetle dnia cyfry na skórze wyglądały jak jakieś tajemne znaki.

- Zaczekaj. - Podbiegłam do spiżarni i wyjęłam woreczek z herbatą. - Wierzba. To samo, co piłeś dzisiaj. Na gorączkę.

Will uśmiechnął się i wziął ode mnie zioła.

- Dzięki.

Poprowadziłam go do drzwi. Na werandzie z niechęcią pomyślałam, że będę musiała puścić jego rękę.

- Trafisz?

- Jeśli nie, to znaczy, że nie zasłużyłem - zażartował. Stał bez ruchu, cały czas ściskając moje palce. Obserwowałam, jak przeskakuje spojrzeniem z jednego mojego oka na drugie. Maleńkie ruchy to w tę, to we w tę. Rozchylił lekko usta i w tej samej chwili usłyszałam chrzęst kół na podjeździe.

Donna.

Will odwrócił się, puszcżając moją dłoń.

- Dzięki. - Ręką z wypisanym numerem unióś woreczek z herbatą.

Pomachałam mu, a on ruszył przez trawnik i zajrzał do kombi przywitać się z Donną. Dęby rzucały na jego plecy długie wieczorne cienie. Roześmiał się z jakiegoś żartu. Wyprostował się, półobrotem zwrócił ku mnie i pomachał, a potem przez chwilę biegł tyłem, by w końcu odwrócić się i zniknąć mi z pola widzenia.

Gabriel zniknął w ciągu godziny od przybycia Josephine i do tej pory się nie pokazał. Tamto popołudnie spędziliśmy więc we troje: Ty, ja i ona. O dziwo, oboje zostaliście w

domu. Pokazałeś Josephine plamki krwi, którymi oznaczyliśmy okna; szepcząc zaklęcie, mogliśmy je uruchomić w każdej chwili i wpuścić do środka świeże powietrze. Zachwycona Josephine klasnęła w dłonie i zaczęła rzucać pomysłami na usprawnienie naszego systemu. Gdyby tak za pomocą dodatkowej ofiary sprawić - mówiła - by powietrze wpadało do domu bez przerwy, bez konieczności wywoływania go zaklęciem. A może udałoby się powiązać podmuchy z ruchem słońca albo rytmem wiatru, żeby intensywność przeciągu regulowała się sama. Rozmowa toczyła się na błąh temat magicznych usprawnień w gospodarstwie, ale oboje byliście rozemocjonowani jak dzieci.

Powoli zaczynałam rozumieć. Josephine miała obsesję na punkcie mocy, jaka kryje się we krwi. Dla niej cały świat ograniczał się do magii. Ja prawdopodobnie nigdy taka nie będę. Używałam magii jako narzędzia, nawet jeśli zaklęcia ukazywały mi piękno. Kilka razy Josephine usiłowała wciągnąć mnie do rozmowy o przeciągach, ale ja wzruszyłam tylko ramionami i oświadczyłam, że porządny wentylator na suficie przyniosłby podobny efekt. Z jakiegoś powodu czułam potrzebę odróżnienia się od niej, nawet jeśli było Ci to nie w smak.

Od rana do wieczora sprzeczałyście się, śmiałyście i szkicowaliście dalekosiężne plany na zwoju papieru przyniesionym ze stodoły przez Arthura. Ja zajmowałam się swoimi obowiązkami. Krzątałam się po domu, wychodziłam do ogrodu i ziemianki, wałkowałam ciasto, wygotowywałam lawendę.

Kiedy przyniosłam Wam w dzbanku herbaty, zastałam zadziwiającą scenę. Josephine klęczała nad zawiłym rysunkiem jakiegoś magicznego kręgu i płakała, a lzy rozmazywały jej makijaż. Ty tłumaczyłeś łagodnie:

- Wróci, musi tylko odnaleźć spokój.
- Arthur, on nie potrafi już cieszyć się życiem - syknęła.

Zaczęłam się cofać, ale Josephine mnie zauważyła. Wbiła we mnie wściekłe spojrzenie niebieskich oczu; potem popatrzyła na Ciebie i znowu na mnie. Uśmiechnęła się.

Nigdy bym się nie domyśliła, co zamierzała.

**MAB**

Drzwi do pokoju Arthura były uchylone - tak, jak je zostawiłam, wychodząc. Lukas z zamkniętymi oczami leżał na łóżku. Wykopał się spod kołdry, ale nie zwinął w kłębek, tylko rozciągnął wzdłuż materaca. Jego ramię zwisało luźno z łóżka.

Ostrożnie przysiadłam na krawędzi i odgarnęłam mu włosy z twarzy.

- Lukas? - odezwałam się cicho.



Powieki mu zadrżały. Poruszył zabandażowaną ręką. Wzięłam ją między dłonie i kreśliłam kółka po wewnętrznej stronie nadgarstka, aż wreszcie otworzył oczy i spojrzał na mnie.

- Cześć - powiedziałam. - Jak się czujesz?

- Lepiej - wychrypiał. - Chce mi się pić - dodał cichym, znużonym tonem.

Przyniosłam mu z łazienki szklankę wody i pomogłam się podnieść, żeby się napił. Był ciepły, ale od snu, nie z gorączki. Pił, a ja opowiedziałam mu, co zrobiłam z runą czarnej świecy.

- Teraz nie może cię skrzywdzić. Niedługo całkowicie przerwę powiązanie.

Z powodu bandażu Lukas trzymał szklankę niezgrabnie. Odstawiłam ją na nocny stolik.

- Późno?

- Już wieczór. Donna przywiozła trochę lekarstw. I zrobi gulasz. Ale widzę, że zdrowiejesz. Musisz odespać. W ten sposób odbudujesz swoją wewnętrzną moc. Zakłęcie unieruchamiające sprawiło, że nie mogę przekazać ci magii z drzew ani od siebie.

Lukas pokiwał głową, spuścił wzrok i dotknął brzegu mojej sukienki. Usiadłam bliżej, tuż przy poduszce. Przez otwarte drzwi dobiegało z dołu brzęczenie garnków i ciche stukanie otwieranych i zamykanych szafek. Donna chowała zakupy i zabierała się do przygotowywania kolacji. Chłopiec położył mi ramię na podołku, przytrzymując mnie leciutko, a ja głaskałam go kolistymi ruchami po skroni i nuciłam ulubioną piosenkę matki - o morzu.

Gdy zasnął, po cichu wstałam i podeszłam do okna. Widziałam stamtąd różany ogród. Byłam Diakonem niecałe dwa miesiące i już udało mi się znaleźć osoby, które potrzebują mojej pomocy. Cieszyło mnie to, ale też trochę przerażało. To ja byłam winna kłopotów Willa. Zamiast ściąć róże, postanowiłam ich wysłuchać. Pozwoliłam im wylać swój jad.

Czym różniło się to od krzywdy wyrządzonej Lukasowi przez ojca? Tylko intencją. I wolą zawrócenia z drogi, na jaką weszłam.

Otworzyłam okno. Do pokoju wpadło ciepłe wieczorne powietrze. Nie powinno Lukasowi zaszkodzić, skoro najgorsza gorączka minęła. Wychyliłam się, wykręcając szyję. Na krawędzi dachu siedział kruk.

- Reese. - Przywołałam go ręką.

Kruk sfrunął na parapet. Przekrzywił głowę. Odsunęłam się, żeby mógł wejść do środka, a on przysiadł na grubo ciosanym, drewnianym wezglowiu łóżka i popatrzył w dół na Lukasa.

- Dziękuję - szepnęłam.

Schodząc po schodach, przesunęłam palcem po granatowych cyfrach numeru Willa. Odpowiadałam teraz za ich obydwo. Pospieszyłam przygotować miksturę.

Tego wieczora położyłam się wcześniej. Trochę poczytałam w łóżku, potem zasnęłam. Śniło mi się, że błąkam się po domu, jakbym była duchem. Nie pamiętałam, żebym umarła, wiedziałam jednak, że jestem tu nie na miejscu.

WILL

Cały czas myślałem o uśmiechu Mab. Szum wiatru wpadający przez otwarte okna samochodu skutecznie zagłuszał moją wewnętrzną ciszę. Kręciło mi się w głowie, jak gdybym zgubił w lesie błędnik. Jakies czterysta metrów dalej usłyszałem brzęczącą wściekle na siedzeniu obok komórkę. Miałem chyba z pięć SMSów i nagrań na poczcie głosowej. Zwolniłem i odsłuchałem pierwsze nagranie. Od taty.

William, gdzie jesteś? Oddzwoń natychmiast. Matka umiera z niepokoju.

Drugie nagranie też było od niego. Mówił to samo, tylko bardziej surowym głosem. Był wkurzony.

Na radiu wyświetlała się godzina siódma pięćdziesiąt dwie. Wysłałem mamie i Benowi SMSy, że wychodzę z psami, a potem zostawiłem komórkę w samochodzie. Ale, prawdę mówiąc, z Mab czas uciekł w mgnieniu oka i jakoś nie przyszło mi do głowy, żeby do nich zadzwonić.

Nie oddzwoniłem, tylko dodałem gazu, żeby jak najszybciej wrócić do domu. Szybkość zburzyła cały mój spokój. Zasunąłem okno i pogłośliłem radio.

Kiedy podjechałem pod dom, było już zupełnie ciemno - z wyjątkiem srebrzystopomarańczowego paska na niebie od zachodu. We wszystkich oknach paliło się światło. Zauważyłem, że ktoś zasunął zasłonę w salonie. Łupało mnie w głowie z rozdrażnienia, że tak mnie wyglądali. Miałem siedemnaście lat. I własny samochód. Zadzwoniłbym, gdyby coś się działo. Trzasnąłem drzwiczkami, wmaszerowałem po schodach i wpadłem do domu. Nie potrafiłem nawet zdobyć się na uśmiech.

W przedpokoju jarzyło się światło. Zmrużyłem oczy i zamknąłem za sobą drzwi.

- William.

Stanowczy głos taty dobiegał z małego pokoju. Nie ociągałem się - rozmowa będzie krótka i do rzeczy.

Wyłoniłem się zza ściany i wbiłem wzrok z podłogę. Wolałem nie przekonywać się na własnej skórze, czy widać czerwony pasek przy tęczęwce.

- Dobry wieczór - odezwałem się.

Tata wstał z fotela i splótł ręce za plecami. Jego bojówki i wojskowa koszulka jeszcze wzmacniały wrażenie, że znajdujemy się w sądzie wojskowym.

- Zniknąłeś bez słowa. Nie stawiałeś się na kolacji. A wczoraj byłeś chory.

- Tak, ojcze.

Tata ani drgnął.

- Poszedłem się przejechać. Dusłem się w domu. Musiałem odetchnąć.

- Mogłeś zadzwonić.

- Miałem słaby zasięg.

- To żadna wymówka.

- Tato...

- Masz dzwonić, jeśli jesteś długo poza domem. Wiesz o tym doskonale. Złamałeś zasadę świadomie.

Nie mogłem powiedzieć mu prawdy. Miałem przerąbane.

- Tak, ojcze. że tak mnie wyglądali. Miałem siedemnaście lat. I własny samochód. Zadzwoniłbym, gdyby coś się działo. Trzasnąłem drzwiczkami, wmaszerowałem po schodach i wpadłem do domu. Nie potrafiłem nawet zdobyć się na uśmiech.

W przedpokoju jarzyło się światło. Zmrużyłem oczy i zamknąłem za sobą drzwi.

- William.

Stanowczy głos taty dobiegał z małego pokoju. Nie ociągałem się - rozmowa będzie krótka i do rzeczy.

Wyłoniłem się zza ściany i wbiłem wzrok z podłogę. Wolałem nie przekonywać się na własnej skórze, czy widać czerwony pasek przy tęczęwce.

- Dobry wieczór - odezwałem się.

Tata wstał z fotela i splótł ręce za plecami. Jego bojówki i wojskowa koszulka jeszcze wzmacniały wrażenie, że znajdujemy się w sądzie wojskowym.

- Zniknąłeś bez słowa. Nie stawiałeś się na kolacji. A wczoraj byłeś chory.

- Tak, ojcze.

Tata ani drgnął.

- Poszedłem się przejechać. Dusłem się w domu. Musiałem odetchnąć.

- Mogłeś zadzwonić.

- Miałem słaby zasięg.

- To żadna wymówka.

- Tato...

- Masz dzwonić, jeśli jesteś długo poza domem. Wiesz o tym doskonale. Złamałeś zasadę świadomie.

Nie mogłem powiedzieć mu prawdy. Miałem przerąbane.

- Tak, ojcze.

Tata rozluźnił się zaledwie na tyle, żeby westchnąć.

- Will. Idź do matki. Masz szlaban do końca tygodnia. I codziennie jesteś w domu o wpół do czwartej.

- Tato!

- Tak? - Ojciec surowo zacisnął szczękę.

Przyjąłem ostrzeżenie i zamilkłem, chociaż czułem, że złość mam wypisaną na twarzy. Żałowałem, że nie potrafię lepiej kontrolować emocji, jak przystało na mężczyznę w mojej rodzinie.

- Nieważne, ojcze.

- To dobrze.

Skinąłem lekko głową, odwróciłem się i popędziłem do mamy. Pewnie czyta teraz książkę w łóżku. Wbiegałem po trzy schodki naraz.

Ze swojego pokoju wyszedł Ben. Położył mi rękę na ramieniu.

- Spadaj - rzuciłem i chciałem się wyrwać. Nie zamierzałem pozwolić, żeby i on po mnie jeździł.

- Czekaj. - Wpił mi się palcami w bark.

- Ała. - Dosyć mocno grzmotnąłem go w ramię.

Złapał mnie za nadgarstek.

- Zaraz. Chcę ci coś powiedzieć.

W korytarzu panował półmrok. Jedyne, wąskie smuga światła padała z pokoju Bena. Zarys jego sylwetki wyglądał groźnie, ale w tonie usłyszałem mniej potępienia, niżbym się spodziewał.

- Co? - zapytałem cicho.

- Mama martwiła się, czy żyjesz.

- Co? - zaskrzeczałem. Musiałem odchrząknąć. - Nie było mnie tylko parę godzin.

Ben puścił mnie i założył ręce na piersi. Miał na sobie tylko spodnie od dresu i doskonale widziałem, jaką ma szeroką klatę.

Irytował mnie jego sześciopak. Tata zawsze powtarzał: „Byłbyś silny jak twój brat, gdybyś tylko poćwiczył trochę w szkole albo chodził ze mną na siłownię”. Odpowiadałem, że nie jestem koniem pociągowym. Moim przeznaczeniem było bieganie. Latanie.

Ben ciągle milczał. Wróciłem myślami do tego, co działo się w ciągu ostatnich pięciu minut. Nagle oświeciło mnie, dlaczego tata i Ben tak się na mnie wściekli. Aaron.

Ale ze mnie dupek. Skrzywiłem się i syknąłem.

- No właśnie - skwitował Ben. - Idź ją przeprosić. - Popchnął mnie w stronę sypialni mamy i wrócił do siebie.

Miałem poczucie, że należy mi się jakaś okropna kara. Cicho zapukałem do mamy.

- Proszę - odpowiedziała.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Mama położyła na kolanach książkę w twardej oprawie i zdjęła prostokątne okulary. Na stoliku nocnym stała wypełniona do połowy szklanka wody. W szufladzie mama trzymała środki na sen. Zastanawiałem się, czy już je zażyła.

- Cześć, mamo. - Podeszedłem do niej po dywanie i usiadłem w nogach łóżka.

- Cześć, Will. Czyli dotarłeś do domu bez przygód.

- Przepraszam. - Międlilem w rękach koc.

Dłonie mamy zadrżały nieco; odsunęła książkę na bok.

- Chodź do mnie i opowiedz, co się działo. - Poklepała materac po stronie taty.

Rozwiązałem buty i rzuciłem je w stronę drzwi, a potem usiadłem koło mamy na narzucie. Oparła mi głowę na ramieniu.

- Poznałem jedną dziewczynę - powiedziałem cicho.

- Jaka jest?

Zaśmiałem się.

- Bardzo dziwna.

- Ale ją lubisz.

- No, yyy... tak. Fajnie się z nią gada. - Nie miałem pewności, czy to, co mówię, pokrywa się z prawdą. Mab była jedyna w swoim rodzaju. Jak wyjaśnić mamie, że kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, była od stóp do głów umorusana ziemią po starciu z błotnym monstrem, a twarz zakrywały jej gogle? Miała magiczny warsztat i życie jak w jakimś filmie. Mama byłaby zbulwersowana tym, co nosi na sobie Mab. Czy raczej czego nie nosi. No i ta jej plątanina włosów.

- Will, czy ty się uśmiechasz? - Mama odsunęła się, żeby dobrze mi się przyjrzeć.

- Mamo... - Zmarszczyłem się i odwróciłem wzrok. - Przestań.

- Zaproś ją. Chętnie byśmy ją poznali.

- Nie, to nic takiego! A poza tym, mam szlaban.

Spojrzałem na mamę. Z niewinną miną sięgała po książkę. Wystające kości nadgarstka niemal przebijały jej skórę..Powiniennem zacząć dolewać jej śmietanki do porannej kawy.

- Co czytasz? - Przysunąłem się i zajrzałem jej przez ramię, udając zaniepokojenie.

Odparła, że kryminał z akcją toczącą się podczas pierwszej wojny światowej. Oparłem się o wezłowie łóżka, a ona przeczytała mi fragment.

Jakiś czas później obudziła mnie, żebym poszedł chrapać we własnym łóżku.

Całą noc śniły mi się potwory i krzyczące drzewa. I Mab wyrrywająca się ku mnie z lepkiej, czerwonej pajęczyny.

Następnego dnia rano pełam na klęczkach grządkę szaławii. Słońce wstawało właśnie zza ciężkich chmur. Usłyszałam skrzypnięcie drzwi i Twoje kroki na werandzie, ale nie oderwałam się od pracy. Minąłeś mnie, zatrzymałeś się i odwróciłeś, żeby mi się przyjrzeć.

Po chwili się odezwałeś:

- Evelyn?

Po imieniu. Uniosłam głowę i położyłam wyrwany właśnie oset na stercie pozostałych.

Stanałeś nade mną, mrużąc lekko oczy w białym świetle poranka. Podniosłam się.

- Arthurze, co się dzieje?

- Evelyn - powtórzyłeś, po czym podszedłeś bliżej i przekrzywiłeś głowę. Lustrowałeś moją twarz, jak gdybyś chciał zajrzeć mi w serce. Obronnym gestem objęłam się w pasie. Pochyliłeś się, zamykając dopływ światła między nami, i wyszeptales: - Dlaczego mnie w nocy pocałowałaś?

Odskoczyłam i zakryłam sobie usta dłonią. Zaskoczony sięgnąłeś w moją stronę, ale zrobiłam unik.

- Co takiego? Dlaczego... co?

Szybko dokonałam przeglądu wszystkiego, co wczoraj robiłam, i nie znalazłam nic. Nic. Zaczynałam wpadać w panikę, myśleć, że któreś z nas oszalało. Wycofałam się aż na werandę. Nerwowo zaciskałeś palce i unosiłeś głowę coraz wyżej, w końcu spojrzałeś na dom.

Zanim zdążyłam w jakikolwiek sposób zareagować - chociaż nie wyobrażam sobie, co mogłabym powiedzieć - rzuciłeś się w stronę werandy, minąłeś mnie i wbiegłeś do domu.

Chwilę później usłyszałam huk i wrzask Josephine. Stopy wrosły mi w ziemię. Wróciłeś, ciągnąc ją ubraną tylko w cienką koszulę nocną. Zwlokłeś ją z werandy i cisnąłeś

na porastającą łąkę trawę. Piszczala jak wściekły kot, jej włosy fruwały dookoła. Upadła na kolana, ale Ty pokazałeś palcem samochód.

- Josephine, odejdz. Znikaj stąd, zanim obedrę cię z magii.

Twój głos buzował gniewem; widziałam po Tobie głębokie wzburzenie» Byłam lekko przerażona, ale i w pewnym sensie zachwycona, bo przeczuwałam, że stanąłeś w mojej obronie w jakimś niezrozumiałym konflikcie i to przeze mnie wyrzucałeś ją z domu.

- Daj spokój, to nic wielkiego! - broniła się.

- Mylisz się - odparłeś. Drżały Ci ręce.

Josephine wstała królewskim ruchem - mimo że miała na sobie tylko uwalaną trawą koszulę nocną - i spojrzała na mnie.

- Jeszcze mi podziękujesz - rzuciła, po czym skierowała się w stronę swojego srebrnego autka.

- Nie pokazuj się tu przez dziesięć lat, Josephine - powiedziałaś.

Ona wydała stłumiony okrzyk i obróciła się w stronę domu z zamiarem sprzeciwu, ale kiedy zobaczyła Twoją minę, nic nie powiedziała, wzruszyła tylko ramionami.

- I tak zamierzałam odwiedzić czarowników w Nowym Orleanie.

Josephine usiadła za kierownicą, odgarnęła burzę włosów z twarzy i odjechała.

Warkot silnika ucichł już dawno, ale żadne z nas nie ruszyło się z miejsca. Bałam się na Ciebie spojrzeć, wbiłam więc wzrok w stertę ostów.

W końcu, przygarbiony smutkiem, ruszyłeś w moją stronę. Przygotowałam się na najgorsze. Miałam nadzieję, że uda mi się wyrwać ten problem z korzeniami, tak jak wrywałam chwasty z ogródka.

- Arthurze, co się stało w nocy?

Zacisnąłeś usta i zatrzymałeś się przede mną na odległość ramienia. Byłeś ubrany w pełny strój dzienny: spodnie i koszulę z długim rękawem, mimo że zapowiadał się upał. Miałam ochotę odgarnąć włosy, które gniew przykleił Ci do czoła.

- Zesłaś na dół, na bosaka i owinięta w szal - zacząłeś mówić. Ciężko oddychałeś i patrzyłeś mi na usta, nie w oczy.

- Uklękaś przy mnie. Siedziałem sam, przyglądałem się wzorom płomieni. Ujęłaś mnie za rękę, dotknęłaś mojego policzka i powiedziałaś: „Arthurze, musisz coś wiedzieć”. Potem... pocałowałaś mnie.

Zachłysnęłam się powietrzem.

- To wszystko. Uśmiechnęłaś się i wróciłaś do siebie na górę.

- Teraz Ty obronnym gestem objąłeś się ramionami. - Powinienem się być domyślić, że to nie ty.

- Dlaczego? - Poczułam przyływ złości. - Bo ja nie potrafiłabym się tak zachowywać? Bo mnie nie chciałbyś pocałować?

- W oczach załaskotały mnie łzy. Byłam o krok od ataku dziecinnej furii. Miałam ochotę rzucić się na Ciebie i, waląc pięściami w Twoją pierś, wpompować Ci w serce moją wściekłość i pożądanie.

Otworzyłeś szeroko usta i wyciągnąłeś ku mnie rękę.

- Nie, nie! Chodzi mi o to, że łatwo poznać, czy ktoś jest opętany.- Jak? - Byłam nieugięta.

- Wszystko widać w oczach. Nie są... prawdziwe, nie mają odbicia. Nie ma w nich życia.

- Czyli nie zauważyłeś, że w moich oczach nie ma życia? - wykrzyknęłam, gestykulując. - Wspaniale.

Znowu zacisnąłeś usta. Dotknąłeś mojej dłoni, ale szybko cofnąłeś rękę.

- Nie zauważyłem, bo...

Między nami gęstniała cisza. W uszach serce dudniło mi niczym petardy.

W końcu odezwałeś się, patrząc na moje usta:

-...bo tak bardzo chciałem, żebyś to była ty.

**MAB**

Trzymając miskę pod pachą, ostrożnie wyszłam przez okno na strychu na prostokątne wypłaszczenie na dachu. Arthur i ja często obserwowaliśmy stąd gwiazdy.

Teraz ciemne niebo zasnuły chmury. Zachodziły na siebie i układały się warstwami w trudne do odczytania wzory. Jak gdyby wiatr wiał z siedmiu stron i na siedmiu różnych wysokościach. Jego podmuchy rozwiewały mi rozpuszczone włosy, które obracały się w powietrzu niczym czułki. Podniosłam twarz w poszukiwaniu skrawków nieba. Znalazłam je na południowym zachodzie: intensywna, lśniąca czerń i srebrne smugi schowanego księżyca.

Przykucnęłam i postawiłam miskę w miejscu, gdzie padało najwięcej światła.

W misce znajdowała się krew Willa, proszek z suszonych fig i ruty oraz odrobina mojej krwi, a także pięć kamieni energetycznych: obsydian, ametyst, agat koronkowy, kamień księżycowy i cytryn. W bladym blasku księżyca narysowałam kredą na dachu krąg i dwie runy: dobrej energii i szlachetnych zamiarów. Nucąc nieokreśloną melodię, wyjęłam z miski kamienie i rozłożyłam je w odpowiednich miejscach na okręgu.



Kiedy skończyłam, zawahałam się przez chwilę, a potem wypowiedziałam słowa uruchamiające zaklęcie. Byłam tu po raz pierwszy od śmierci Arthura.

Przypomniałam sobie, jak pewnego sierpniowego dnia w zeszłym roku wbiegłam do jego pracowni, z głową pełną pomysłów na magię. Stałam zziębnięta w drzwiach, podczas gdy on kończył szkic na czerwonym kartonie. Po chwili podniósł na mnie wzrok. Jego jasne włosy stały naokoło głowy, jakby poraził go prąd. Wybuchłam śmiechem.

- Piorun uciekł mi z pudełka - wyjaśnił i wskazał na uginające się półki.

Przyskoczyłam do niego, oparłam się o jego stół do pracy i wyszeptałam, co wymyśliłam. W miarę jak wtajemniczałam go w plan, Arthurowi udzielał się mój entuzjazm. W końcu złapał mnie za rękę i razem wybiegliśmy do lasu. Gналиśmy przez zarośla niczym jelenie, zbierając magię z liści drzew.

Wypadliśmy z leśnej gęstwiny i ruszyliśmy pędem przez łąkę. Szuraliśmy nogami po trawie i kwiatach, wzbijając w powietrze tumany płatków. Tanecznym krokiem wbiegliśmy na pole słoneczników, kierując się do centrum szalonej płataniny bieli i żółci.- Mają już nasiona! - wykrzyknęłam. Wyrzuciłam ramiona na boki i zawirowałam wokół własnej osi. Arthur zerwał kwiat, którego okrągła główka idealnie pasowała do jego złożonej w łódkę dłoni. Splunął na słonecznik i cisnął nim prosto w niebo.

- Leć!

Wyjęłam z włosów wsuwkę i drasnęłam się w palec. Ja też zerwałam słonecznik, upuściłam na niego trzy krople krwi i wyrzuciłam w powietrze.

- Leć!

Biegliśmy z Arthurem przez pole, muskając dłońmi kwiaty i posyłając je do góry. W powietrzu roilo się od fruujących słoneczników.- I wtedy nadleciały kruki - czarne kształty ptaków kołujące wśród kwiatów. Ich krakanie przypominało śmiech. Palce Arthura splotły się z moimi; zaczęliśmy tańczyć walca, potykając się o lodygi i liście.

- Syp nasiona i się śmieję, oddaj ziemi, co jest jej! - zawołałam w stronę nieba. Arthur przyłączył się do mnie i wielokrotnie powtórzyliśmy razem zaklęcie.

Posypał się na nas deszcz płatków i nasion, prawdziwa powódź żółtego, białego i brązowego. Osiadały nam na włosach i dłoniach, a kiedy ze śmiechem zadarliśmy głowy do góry, dostały się nam także do ust.

Kruki bawiły się w polowanie na ziarna. Z radości kręciło mi się w głowie. Oboje z Arthurem opadliśmy na porośnięte szorstkimi lodygami pole. Między pozbawionymi kwiatów słonecznikami prześwitywał błękit nieba. Niektóre kruki usiadły koło nas, inne dalej prześcigały się w chwytaniu nasion.

Zetknęliśmy się głowami. Płatki opadały mi powoli na twarz. Westchnęłam.

Do Różowego Domu wróciliśmy wieczorem. Donna i babcia Lyn czekały na nas na werandzie z mrożoną herbatą. Babcia pokręciła głową i oświadczyła, że wyglądamy jak dwa kocmołuchy. Donna tylko popatrzyła z rezygnacją na moją poplamioną sukienkę. Kiedy Arthur podszedł pocałować babcię, przytrzymała go stopą na dystans, żeby nie dotykał jej taki brudny. On złożył usta w dzióbek, jakby udając, że ją całuje; ja zrobiłam to samo. Po chwili babcia śmiała się i uderzała go lekko w dłonie. Uśmiech sprawił, że cała jej twarz zmarszczyła się promieniście. Powiedziała Arthurowi, że jest na tyle stary, by zachowywać się rozsądnie.

- Jestem za stary na rozsądek, kochanie - odparł zawadiacko, ale puścił do mnie oko, jak gdyby unieważniając swój żartobliwy ton.

Kiedy po kąpieli wyszliśmy tu, na dach, zapytałam Arthura, co miał na myśli. Leżeliśmy, a nad nami przesuwwały się gwiazdy. Bez księżycy sprawiały wrażenie, że jest ich zbyt dużo.

- Jestem na tyle stary, żeby wiedzieć, że świeże owoce są najlepsze.

- Z wyjątkiem suszonych śliwek - zażartowałam. Arthur się roześmiał. Oboje przewróciliśmy się na bok. Dotknął mojego policzka, a ja przyglądałam się jego młodej, gładkiej twarzy.

- To prawda - powiedział. - Chodzi mi tylko o to, że rozsądek czy mądrość to nawyk. A może i uzależnienie. Żyjemy zbyt długo. Nic już nie jest dla nas nowe.

- Ja jestem nowa. Ze mną zyskujesz świeże spojrzenie.

Jego uśmiech przygasł.

- Kiedyś powiedziałem coś podobnego do Gabriela.

- Kto to taki? Nie znam go.

- I nie poznasz. - Arthur znowu położył się na plecach i wskazał palcem gwiazdy. - Wielka Niedźwiedzica, widzisz? I Mała.

Skinęłam głową. Widziałam je doskonale. Arthur uczył mnie konstelacji, odkąd skończyłam sześć lat.

- Gabriel mawiał, że on jest większą, starszą niedźwiedzicą, a ja mniejszą. A teraz te gwiazdy to ty i ja, wróżko. Ja jestem większą, a ty mniejszą niedźwiedzicą.

Splotłam swoją rękę z jego. Palce mieliśmy prawie takiej samej długości. Uniosłam nasze dłonie i trzymałam je w górze, a Gwiazda Polarna stała się kropką na czubku naszych palców środkowych.

- Zawsze będziemy krążyć wokół bieguna! - powiedziałam.

Arthur schował moją dłoń w swojej.

- Dopóki nie minie nasz czas.

Niecały rok później samotnie nastawiałam miksturę w świetle księżyca:

Tamtego dnia, kiedy wyrzuciłeś Josephine, uciekłam na pastwisko na zachód od domu, gdzie byłam tylko ja, słońce i kwiaty. Gabriel wciąż nie wracał. Unikałam Cię prawie przez tydzień. Twoja osoba przypominałaby mi wszystko, co się stało. Na myśl o Josephine kontrolującej moje ręce, głos, usta robiło mi się słabo. A jeżeli posunęliście się dalej, niż mi powiedziałeś?

Codziennie kąpałam się w Małym Potoku. Lałam sobie na głowę czystą wodę i piłam ją, żeby - przepływając przez moje ciało - oczyściła mnie z wpływu Josephine.

To tam znalazłeś mnie piątego dnia. Leżałam w wodzie ubrana jedynie w halkę, cała mokra i zziębnięta mimo odbijającego się od powierzchni słońca.

Usiadłam w potoku. Po twarzy i przylepionych do pleców rozpuszczonych włosach spływała mi woda. Halkę miałam przemoczoną i zupełnie prześwitującą; byłam właściwie naga. Stałeś nieopodal, opierając się ramieniem o pień pobliskiego klonu.

Zakrztusiłam się z zaskoczenia. Objęłam się ramionami i podciągnęłam kolana pod brodę - wyglądałam w strumieniu jak kaczką. Sukienkę zawiesiłam wcześniej na tym samym klonie, o który się teraz opierałeś, a buty schowałam pod skałą. Planowałam wysuszyć się na polu w palącym słońcu, ale Ty pokrzyżowałeś mi plany.

- Arthur! Zmiataj stąd!

- Już czas - odparłeś spokojnie. Patrzyłeś mi prosto w twarz, dbając, by Twój wzrok nie zawędrował gdzie indziej.

- Niby na co? - zawołałam histerycznie.

- Żeby pokazać ci, co uważam za najpiękniejsze.

- Akurat teraz? - fuknęłam.

Skinąłeś głową i odepchnąłeś się od klonu.

- Chodź szybko, bo się spóźnimy.

Zaczekałam, aż się odwrócisz, wyskoczyłam z wody i zarzuciłam na halkę znoszoną niebieską sukienkę, która przylepiała się do mokrego materiału. Moje włosy przypominały gniazdo wiewiórek. Zostawiłam buty pod skałą i poszłam za Tobą, trzymając się na odległość dwóch metrów. Nawet nie myślałam, żeby Cię dotknąć. Koncentrowałam się na drodze - patrzyłam, gdzie stawiasz stopy, i podążałam Twoimi śladami na południe, w stronę starego silosu.

Zaprowadziłeś mnie do brzozowego zagajnika. Miałam wrażenie, że świat został daleko stąd; pod srebrnymi liśćmi, między białoszarymi pniami powietrze zdawało się jakby cięższe i przygaszone. Zastanawiałam się, czy nie przekroczyłam czasem kręgu z soli. Przykucnąłeś u stóp dwóch zrosniętych razem brzoź. Leżał tam stary kojot. Nachyliłeś się nad nim i pogłaskałeś jego futro - ryże, z pojedynczymi siwymi włosami. Za każdym powolnym wydechem ciało zwierzęcia przebiegał skurcz. Obserwowałam tę scenę ze smutkiem, z pewnej odległości. Jakże znowu piękno mieliśmy tu zobaczyć? Kojot zdychał.

- Mogę? - zapytałam, wpatrzona w złote oczy zwierzęcia.

- Sama zapytaj staruszka - odparłeś.

Kucnęłam. Kiedy dotknęłam palcami jego sierści, kojot otworzył pysk. Zostało mu niewiele zębów; wysunął język spomiędzy poślódkłych kłów i, węsząc mój zapach, poruszył chrapkami. Sapnął ciężko, a ja delikatnie podrapałam go po gardle.

Nożykiem, który zawsze nosiłeś w kieszeni, drasnąłeś się w palec, po czym krwią narysowałeś mu na czole trójkąt. Szepnąłeś mu coś do wielkiego ucha, a mnie otuliła magia. Czuliśmy wszystko, co czuł kojot. Bolały go kości, a wciąganie powietrza do płuc wymagało wielkiego skupienia.

- Arthurze - wymamrotałam. Spojrzałam w Twoje wypełnione smutkiem oczy.

- Cofnij się. - Ukląkłeś i położyłeś dłonie na klatce piersiowej zwierzęcia.

Świat zadygotał. Kojot otworzył pysk, zjeżył sierść i wyciągnął łapy. Nagle uderzył silny wiatr, ciskając dookoła liście i strzępy kory. Wichura tarposiła sierść zwierzęcia, odrywając ją powoli i rozdmuchując w powietrzu jak puch dmuchawców. Jego skóra wyschła i przywarła do wystających teraz kości - czaszki, żeber, łopatek. Oczy i język rozplynęły się, a kości pokruszyły, przesypując się przez młode listki niczym drobniutki grad. Z pustego oczodołu kojota wyrosła cienka zielona łodyga przypominająca wskazujący coś palec. Na jej końcu rozkwitł maleńki fiołek.

Roześmiałeś się. Miętko, radośnie. Wypowiedziałeś moje imię: „Evelyn”. Nagle przestałam czuć własne ciało. Serce wniknęło mi w ziemię razem z duchem kojota. Byłam oszołomiona. Oczy zamglily mi łzy.

Podniosłeś się i chwyciłeś mnie za dłonie.

- Widziałaś?

- Nigdy nie przeżyłam nic podobnego. - Ujęłam Twoją twarz. Byłeś gorący.

- To właśnie uważam za najpiękniejsze - mówiłeś niskim głosem. - Nie wschód słońca ani szybowanie z wiatrem. Właśnie to: śmierć i życie. Chwilę, gdy stają się jednym i tym samym.

W zagajniku panowała zupełna cisza. Ręce miałam na Twoich policzkach. Energia śmierci nadal krążyła dookoła, ale była ledwo wyczuwalna. Delikatna.

W tamtej chwili Cię rozumiałam. „Miłość” to pojęcie zbyt ciasne, by opisać, co czułam, z czego zdałam sobie sprawę. Rozumiałam Cię, Arthurze. I nigdy nie przestałam Cię rozumieć.

MAB

Lukas krzyczał przez sen całą noc.

Położyłam się obok niego i nuciłam po kolei wszystkie kołysanki, jakie śpiewały mi matka i babcia Lyn. Kiedy się budził, żeby go rozweselić, rysowałam mu w powietrzu buźki i słoniki. Rano wzmocniłam unieruchomienie i dałam mu magicznych ziół, żeby rozluźnić jego ciało. Zapytałam, co dokładnie robił jego ojciec - do jakiego zaklęcia użył runy czarnej świecy.

Lukas odsunął się i zwinął w kulkę na drugim końcu łóżka.

- Nie chcę mówić - odparł.

Przysunęłam się do niego. Żeby nie sprawiać wrażenia dorosłej i wzbudzić jego zaufanie, ja też podkuliłam pod siebie nogi.

- To nie twoja wina. Lukas, naprawdę. Nie dałbyś rady go powstrzymać.

Palce chłopca z całej siły wbiły się w miękkie obicie łóżka. Za jego plecami skwierczał ogień w kominku. Dzień był upalny, ale Lukasów; ciągle było zimno. Donna przyniosła gorącą czekoladę i herbatę i zaproponowała, że da mu supę i lekarstwa. Jej zdaniem chłopca wycieńczyła po prostu ciężka praca, ale i ja, i on wiedzieliśmy, co takiego ogranicza jego energię i sprawia, że jest mu stale zimno.

Dotknęłam palcem jego kolana i narysowałam na nim runę ochronną, chociaż bez krwi nie miała szansy zadziałać.

- Byłoby mi łatwiej, gdybym wiedziała, co dokładnie się stało. Mimo że nie masz ochoty o tym rozmawiać. A kiedy uda mi się usunąć zaklęcie, unieruchomienie nie będzie już konieczne.

- Zimno mi.

- Wiem.

- A czy ty... przeszłaś kiedyś przez... coś takiego? - Lukas złapał mnie za palec i mocno ścisnął.

Zamrugałam. Nieprzyjemna była myśl, że miałabym unieruchomić swoją magię.

- Raz, po śmierci matki. Chciałam się dowiedzieć, jak to jest.

- Dlaczego?

Przygryzłam lekko dolną wargę. Zastanawiałam się, jak to ubrać w słowa.

- Z... lojalności. Żeby poczuć to, co ona, kiedy umierała. Teraz to wspomnienie będzie mi zawsze towarzyszyć.

- Tato czasem sprzedaje zaklęcia - powiedział cicho. - Na przykład żeby farmerowi zgniło całe pole. Raz jeden pan przestał oddychać, kiedy tato tak powiedział.

- To nie twoja wina. Chodź.

Zaprowadziłam go do warsztatu. On oglądał wnętrze stodoły, a ja zdjęłam ze stołu sterty papieru do rysowania i puszkę z kredkami, a potem przełożyłam na ziemię kupkę nieoszlifowanych rubinów i plastikowy pojemnik z resztkami lalki. Wkrótce na blacie nie zostało nic poza klockiem z nożami i puszką z narzędziami do upuszczania krwi.

- Połóż się tutaj.

Lukas z łatwością zmieścił się na stole. Pomogłam mu zdjąć koszulkę.

- Ciepło ci?

- Mhm. - Zamknął oczy i przycisnął policzek do starego, wyrobionego drewna.

Z jednego z drewnianych pudeł stojących na nierównych półkach po prawej stronie stołu wyłowiłam okulary w stylu „kocie oczy” i wróciłam z nimi do chłopca.

- Tylko popatrzę, dobrze, Lukas? Ale będę musiała cię uziemić, żeby nic ci się nie stało.

Z drewnianego klocka wyjęłam mały skalpel i jak najszybciej drasnęłam malca w nadgarstek - on jednak nawet nie drgnął. Jego krew popłynęła mi na dłoń.

- Karmimy cię, Ziemi, żeby nasza magia zatoczyła pełne koło - wyrecytowałam i chlapnęłam krwią na klepisko stodoły. Ostatnią kroplą naznaczyłam jego ramię, a potem czoło.

Kiedy założyłam na nos okulary do oglądania magii, świat momentalnie zabarwił się na czerwono. Moje zaklęcie unieruchamiające wyglądało jak okrąg spokoju dookoła Lukasa. Zobaczyłam też działanie wrytej na jego plecach runy czarnej świecy. Jej niezdrowa szkarłatna plama chwiała się delikatnie jak trawa na lekkim wietrze. Wychodziły z niej smugi - niektóre wracały do ciała chłopca, podczas gdy inne wędrowały cienkimi wąsami do góry i wychodziły przez dach. Prowadziły z pewnością aż do jego ojca. Świeże maźnięcia krwią na jego ramieniu i czole jarzyły się jasno.

Nielatwo będzie zniszczyć runę, nie krzywdząc przy tym chłopca, ale nie mogłam pozwolić, by ciągle dręczyły go koszmary. Nie chciałam też, żeby musiał dłużej znosić przykrości unieruchomienia, które odgradzało go zimną ścianą od świata magii. Lukas na to

nie zasłużył. Zrozumiałam, że muszę znaleźć coś innego, co ochroni go podczas moich poszukiwań trwałego lekarstwa.

- No dobrze. - Zdjęłam magiczne okulary.

Chłopiec przewrócił się na plecy i usiadł, obejmując się ramionami. Rany po oparzeniach już mu się zagoiły, choć pozostawiły po sobie maleńkie różowe blizny, które przypominały trochę gąsienice pełzające po jego dłoniach. Wzięłam go za rękę.

- Mam pomysł - oznajmiłam.

Tamtego lata pokazałeś mi siebie.

Poranki spędzaliśmy osobno - każde z nas zajmowało się własną pracą w domu i okolicy. Ale popołudniami przychodziłeś po mnie, brałeś mnie za rękę i prowadziłeś na wielokilometrowe spacerunki bez celu. I mówiłeś. Odpowiadałeś na każde pytanie, jakie przychodziło mi do głowy. Usłyszałam od Ciebie te same opowieści, co od Gabriela, ale uzupełnione o szczegóły i filozoficzne dygresje. Gabriel czasami nam towarzyszył. Wtrącał wtedy swoją wersję, zwykle bardziej skandalizującą i zabawną; śmialiśmy się we trójkę. Nigdy nie byłam równie szczęśliwa.

Kiedy snułeś swoją opowieść, znowu poczułam Twoje lata. Tym razem jednak nie było to przygnębiające, raczej wyzwajające. Bo zdałam sobie sprawę, że mógłbyś teraz robić wszystko - podróżować, przeżywać przygody, mieszkać gdzie bądź i kogoś kochać.

A jednak wybrałeś spacerunki za rękę ze mną.

WILL

Dzień nie należał do łatwych. Pewnie dlatego, że w nocy źle spałem, a rano obwarczały mnie psy, kiedy poszedłem je nakarmić. Widok wykrzywionego pyska Furii towarzyszył mi przez wszystkie lekcje. Czułem się przybity - podczas rozmów z nauczycielami o poniedziałkowej nieobecności (zbliżało się zakończenie roku), na korytarzu, nawet w stołówce. Dlatego Matta odszukałem dopiero po ostatnim dzwonku. Był w szatni. Objechał mnie, że dałem się uziemić. A kiedy dorzuciłem, że byłem wtedy z Mab Prowd, trzepnął mnie w ramię i nazwał cichą wodą. Miał tu sporo racji. Nie chciał mnie puścić, dopóki mu wszystkiego nie opowiem. Odprowadzając go na boisko, streściłem więc mocno okrojoną wersję naszego spotkania z Mab. Matt zaproponował, żebyśmy we czwórkę - on, ja, Mab i Shanti - poszli do kina, kiedy skończy mi się szlaban.

Miałem wielką nadzieję, że uporamy się z kłębem i będę mógł przekonać Mab do tego pomysłu.

Kiedy wyszliśmy na słońce, zdałem sobie sprawę, że Matt mi się przygląda. Przypomniałem sobie o plamce na oku. Czerwona kreska była właściwie niewidoczna w pomieszczeniach, ale w słońcu było ją widać jak na dłoni.

- Cholera, muszę lecieć - rzuciłem i ulotniłem się na parking.

Ledwie wszedłem do domu, zadzwoniła Mab. Powitałem ją z uśmiechem i poszedłem do kuchni. Ścisnąłem telefon między uchem a ramieniem i sięgnąłem po kubek. Mab mówiła, że jutro wszystko będzie gotowe na mój rytuał oczyszczenia. Oznajmiłem na to, że mam szlaban.

- Hm. Co zrobić. Pij zioła, które ci dałam. Coś wykombinuję.

- Powinienem... - zacząłem, ale już się rozłączyła.

Taki stan zawieszenia tylko wzmacniał mój ból głowy.

Wyjąłem z mikrofalówki kubek z parującą wodą. Nagle poczułem klepnięcie w ramię.

- Cześć - powiedział Ben. - Co ty ciągle z tą herbatą?

Wzruszyłem ramionami i wrzuciłem do kubka papierową torebkę z ziołami od Mab.

- Smakuje mi.

- Wyrodziłeś się z rodziny kawiarzy. - Otworzył lodówkę i wyjął puszkę coli; z otwartych drzwiczek buchnęło zimno.

Ben oparł się o kuchenny blat i spojrzał na mnie, jakbym był jego nieposłusznym podwładnym w wojsku. Ja stałem ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Lekko opuściłem głowę, żeby nie mógł zajrzeć mi w oczy.

Poruszyłem się dopiero, kiedy herbata naciągnęła. Wyjąłem torebkę palcem i wrzuciłem ją do zlewu.

- Chodź, pogadamy na zewnątrz - powiedział Ben i wysunął podbródek w stronę szklanych przesuwanych drzwi do ogrodu, po czym wziął mój kubek.

Odsunął drzwi i niemal wypchnął mnie na betonowe schodki do ogrodu, a potem usiadł z rozprostowanymi nogami na szczycie schodów. Podał mi herbatę, sam otworzył swoją puszkę.

- Jezu, co za zapach! Pachnie latem. Będzie super, jak się rozpada.

Z ociąganiem usiadłem obok niego. Starąłem się nie patrzeć na kojec. W odpowiedzi wymamrotałem coś niezrozumiałego. W porównaniu z majem w Kansas w górach Afganistanu było pewnie strasznie sucho.

Przez chwilę milczeliśmy. Było parno, zbliżała się burza. Słońce nie prażyło już tak mocno, ale wiatru jeszcze prawie nie było, a na niebie pojawiły się dopiero pierwsze chmury. Wyobraziłem sobie, że lecę przez nie w stronę słońca. W górze wiatr huczałby tak głośno.



- Weźmy psy, poćwiczmy aportowanie. - Ben stuknął puszką o stopień i wstał.

- Czekaj', nie... y... - Nie byłem pewien, co powinienem przed nim ukryć. Podniosłem się. - Nie za bardzo mam ochotę, ale jeśli chcesz, możesz sam je wyprowadzić. Niech trochę pobiegają.

- Co się z tobą dzieje? - Ben oparł dłonie na biodrach. - Nie chcesz pobawić się z psami? No tak, musiałbyś się wysilić.

Byliśmy równego wzrostu, ale ja stałem na schodku, a on na ziemi. Był trochę poirytowany i bardzo zdziwiony. Nie patrzyłem mu w oczy. W słońcu było to zbyt ryzykowne. Zerknąłem na niego, a potem spojrzałem w dal. Pewnie pogłębiłem w ten sposób wrażenie, że mam coś na sumieniu.

- Wiedziałem - oznajmił. - Mów, co to jest. Narkotyki?

- Jezu, nie!

- To co? - Stał obok mnie na stopniu. Oczy mieliśmy na tym samym poziomie. - Nie jesteś sobą. Unikasz mojego wzroku. Miałeś napad gorączki. A wczoraj przepadłeś jak kamień w wodę. Dawniej miałeś plany, energię! Coś się z tobą dzieje, Will. Nie podoba mi się to.

- A skąd ty możesz wiedzieć, jaki jestem naprawdę? - Objąłem się ramionami, wpijając palce w żebra. - W ciągu ostatnich dwóch lat widziałeś mnie dwa razy. Z czego raz na p o g r z e b i e. Na który przyjechałeś na trzy dni, bo potem znowu cię tam ściągnęli. Nie było cię.

- Wiem. - Ben zaakcentował to słowo gestem.

- Przez cały rok byliśmy z rodzicami sami.

Wygął usta i pokręcił głową.

- Ale wróciłem. I nigdzie się nie wybieram.

Roześmiałem się. Doskonale wiedziałem, że zostanie z nami, dopóki wojsko na niego nie zagwizdże.

- Nie możesz naprawić sytuacji tak po prostu, bo chcesz.

- Powiedz mi, co trzeba naprawić. Chcę spróbować.

- Nié. - Potrząsnąłem przecząco głową i schyliłem się po kubek, żeby wrócić z nim do środka. - Nie rozumiesz.

- Jesteś moim jedynym bratem. Nie zamierzam po prostu odwrócić się na pięcie i odejść.

- Chciałeś powiedzieć: znowu odejść.

- Will, pojechałem na wojnę, a nie na jakiś luksusowy rejs z martini w ręku, żeby tylko uciec od rodziny. To był mój obowiązek.

- Nie względem nas.

- Will. - Z niezadowoleniem pokręcił głową. - Czy to z powodu tej twojej tajemniczej dziewczyny? To ona cię w to wciąga, cokolwiek to jest?

Nie powinienem był mówić o Mab. Dla Bena wszystko było potencjalną bronią. Skierowałem się do domu, ale on zakleszczył palce na moim łokciu.

- Pamiętasz, jak byliśmy razem nad El Dorado? Zaraz przed tym, jak wyjechałem. Pamiętasz?

Wolałbym zapomnieć, ale tamto wspomnienie przykleiło się do mnie na superglue. We trzech - Aaron, Ben i ja - zapakowaliśmy całą przenośną lodówkę piwami, kanapkami i puszkami z colą i wybraliśmy się nad zalew w południowej części Kansas. Dopiero niedawno przeprowadziliśmy się do Stanów z Japonii, gdzie przez dwa lata jeździliśmy z miejsca na miejsce. Niedługo miałem pójść do drugiej klasy, pierwszej w zwykłym ogólniaku, a nie w zagranicznej szkole dla dzieci wojskowych. Aaron szedł do ostatniej klasy liceum, a Ben dostał powołanie i za parę miesięcy miał rozpocząć swoją misję jako podporucznik piechoty morskiej. Już wtedy niezbyt dobrze go znałem, ale przynajmniej imponował mi jako najstarszy brat, który wyjechał, żeby nauczyć się strzelać i skakać z samolotów.

Tamtego wieczora pozwolili mi z Aaronem napić się piwa. Zrobiliśmy sobie ognisko, w którym piekliśmy hot dogi i s'mores\*. Cały dzień bez przerwy śmialiśmy się i żartowaliśmy. Non stop lądowałem w wodzie, wszystkie ciuchy miałem mokre - parowały, kiedy zbliżałem się do ognia. Powiedziałem Benowi, że chcę być taki jak on i że Aaron też taki będzie. Dowództwo nie pozwoli nam co prawda służyć w tym samym plutonie, ale i tak będziemy niczym tajni wysłannicy dobra współpracujący ze sobą z różnych części planety. Ben miał wymyślać plany ratowania świata, Aaron przerabiałby stare części samochodów na broń - jak MacGyver, a ja zajmowałbym się zgrywaniem wszystkiego w czasie.

Gwiazdy świeciły, kojoty wyły, trzaskał ogień. W odwecie za wrzucanie mnie do wody rozsmarowałem Aaronowi na twarzy roztopioną piankę. Ben nauczył nas supergry w bingo, w którą grało się małymi kartami z rysunkami pozycji erotycznych.

Przyglądałem się teraz Benowi. Pewnie dawno wyrzucił te karty.

\* Czyli roztopione na ognisku piankowe cukierki wkładane między herbatniki (przyp. tłum.).

- To już historia - powiedziałem. - Wszyscy się zmieniliśmy. Powinienem powiedzieć, że o b a j się zmieniliśmy, bo Aarona zmiany już nie dotyczyły. Wyrwałem się z uścisku brata.

Zza chmury zaświeciło słońce. Ben zmrużył oczy.

- Zmieniliśmy się, ale mimo to możemy być sobie bliscy.

To chyba ja powinienem przypominać mu o braterskiej więzi.

Przecież to on wyjechał na wojnę, powinien mieć problemy po przebytej traumie. Wzruszyłem ramionami. W mostku bolało mnie, jakbym miał pod skórą coś żywego.

- Nie jestem pewien.

Wszedł na najwyższy stopień i położył mi rękę na ramieniu.

- Will, rodzice nas potrzebują. Jeżeli nie masz ochoty opowiedzieć mi, co cię gryzie, zrób to dla nich. Martwią się. Zwłaszcza mama.

- Nic mi nie jest - wyszeptalem.

Ben zacisnął palce na moim ramieniu.

- Nie wierzę ci.

- Powiedziałeś mi, żebym zaufał instynktowi. Staram się. A ty spróbuj zaufać mnie.

Wciągnął powietrze przez zęby.

- Will, pamiętasz, co powiedzieliśmy wtedy przy ognisku? Pochyliłem nisko głowę, żeby przytaknąć.

- Pamiętaj o tym - rzucił Ben cicho i pobiegł w stronę garażu.

Uciekłem na górę i z okna mojego pokoju obserwowałem, jak bawi się z psami. To wszystko było nie do zniesienia. Czulem się nieswojo we własnym ciele, we własnym życiu. Kiedyś świat wydawał mi się prosty. Wiedziałem, kim chcę być. Byłem pewien, że moja rodzina zrobiłaby dla mnie wszystko. A ja dla nich. Potarłem różową bliznę na nadgarstku - w miejscu, gdzie Mab skaleczyła mnie, upuściła mi krwi, a potem zagoiła ranę.

Nad zalewem El Dorado Ben, Aaron i ja drasnęliśmy się w dłonie i kapnęliśmy krwią w ogień. Taka dziecinna zabawa. Ben powiedział wtedy: „Zawsze wierni”. To była dewiza piechoty morskiej. Semper fidelis. Powtórzyliśmy te słowa kilka razy, a krople krwi Sangerów zniknęły w płomieniach.

W sierpniu, najgorętszym miesiącu, na parę dni upał nieco zelżał. Trzy tygodnie wcześniej skończyłam osiemnaście lat, chociaż wtedy nie wiedziałeś, kiedy obchodzę urodziny.

Poszłam z koszykiem na łąkę przy Twoim ulubionym dębie nazbierać roślin, które zamierzałam wysuszyć i później parzyć z nich herbatki. Łąka zabarwiła się na fioletowo

werbeną i floksami. Usiadłam na słońcu, w miejscu, gdzie wiatr burzył trawę na prerii, a kwiaty pochylały kielichy. Moją uwagę pochłonęło piękne popołudnie. Rozpuściłam włosy, odchyliłam się do tyłu, opierając na dłoniach, i przyglądałam sunącym po niebie chmurom.

Kiedy Cię zauważyłam, stałeś oparty o drzewo - jak miałeś w zwyczaju - raczej nie dłużej niż od pięciu minut. Na jednym ramieniu rozłożyłeś szkicownik, drugą ręką delikatnie trzymałeś cienki ołówek. Spoglądałeś to na mnie, to na papier; Twoje oczy krążyły leniwie niczym motyle unoszące się nad floksami. Powoli odłożyłeś rysunek i podszedłeś do mnie, brodząc w wysokiej trawie, która ocierała Ci się o kolana. Zadrżałam, mimo że łąka skąpana była w złocistym słońcu. Ukląkłeś tuż przy mnie i ująłeś moją twarz w dłoń.

- Panno Sonnenschein, czy mogę panią pocałować? Obróciłam lekko głowę i ucałowałam wnętrze Twojej dłoni, a potem chwyciłam Cię za nadgarstki i zanurzyłam Twoje palce w moich włosach, przyciągając Cię bliżej.

- Naturalnie - odparłam.

MAB

W powietrzu czuło się naciągającą nawałnicę. Zjeżyły mi się włoski na karku. Na porośniętym trawą szczycie naszego wzgórza narysowałam kredą zawiłą runę niezłomności i na każdym z jej ramion ustawiłam po jednej czarnej świecy - ich zadaniem było wytłumienie zawirowań powstałych w wyniku operacji, jaką zamierzałam przeprowadzić. A w samym środku naszkicowałam runę czarnej świecy, identyczną jak ta na plecach Lukasa.

Donna przyglądała się mojej pracy z werandy. Stała z uniesionym podbródkiem i trzymała Lukasa za rękę. Obiecała pomóc, bo wyjaśniłam im obojgu, co zamierzam zrobić, i Lukas się zgodził. Zabieg będzie bolesny, ale po jego zakończeniu ojciec straci nad chłopcem kontrolę. Runa nie zniknie, nadal będzie niebezpieczna, ale przestanie bezpośrednio krzywdzić Lukasa. Miałam na sobie długą białą spódnicę i wybraną przez Lukasa koszulkę w jego ulubionym kolorze: zielonym. Włożyłam ją, żeby mógł się na niej skupić podczas rytuału i jednocześnie wzmocnić więź ze mną. Podczas rytuału, którego celem było zerwanie połączenia runy z ojcem chłopca i przekazanie jej ziemi.

Najpierw we trójkę stanęliśmy na granicy narysowanej przeze mnie trzymetrowej runy. Równocześnie drasnęliśmy się w nadgarstki, żeby uziemić magię krwią.

- Karmimy cię, Ziemi - zaczęłam sama i dokończyłam już razem z Donną: - żeby nasza magia zatoczyła pełne koło.

Szybko wprowadziłam Lukasa do środka rysunku - ostrożnie, żeby nie zniszczyć linii runy. Poprosiłam, żeby stanął na czworakach, i podciągnęłam mu koszulkę.

- Jesteś gotowy?

Jego plecy zadrżały. Palcami wbił się w trawę po obu stronach odwzorowanej przeze mnie runy czarnej świecy, nad którą klęczał.

- Tak.

Delikatnie dotknęłam jego kręgosłupa. Byłam dumna.

Masywnym, ale ostrym sztyletem znowu nacięłam sobie nadgarstek i energicznie narysowałam krwią krąg dookoła szkodliwej runy na skórze chłopca. Pochyliłam się, żeby mieć pewniejsze podparcie, nabrałam głęboko powietrza i skropiłam krew na trawę z wyrysowaną runą niezłomności. Zadrżała ziemia. Wiatr wzmógł się, zdmuchując mi loki na twarz.

- Będę łapać, co ucieknie - powiedziała Donna. Pochyliła się i ponad linią runy podała mi magiczne okulary.

Zaklinając szeptem sztylet, żeby z łatwością wsunął się pomiędzy światy i ciął zarówno ciało, powietrze, jak i magię, rozprowadziłam krew po całym jego ostrzu. Potem ścisnęłam w garści rękojeść i bez ostrzeżenia przesunęłam sztyletem po żebrach Lukasa, po plecionce będącej częścią zaklęcia unieruchamiającego, uwalniając w ten sposób magiczną moc chłopca.

Lukas krzyknął, ale nie upadł.

Kiedy opasująca go plecionka zsunęła się na ziemię, przez magiczne szkła zobaczyłam, jak rozpada się moje zaklęcie. Sztyletem cięłam po falujących, czerwonych mackach magii jego ojca. Udało mi się przeciąć wszystkie odgałęzienia, ale lepiły się do ostrza, które paliło mnie w dłoniach. Zacisnęłam zęby i syknęłam. Oddech miałam ostry jak nóż.

Lukas jęknął i wrył palce w ziemię.

Odrzuciłam sztylet i czym prędzej złączyłam zakrwawione ręce. Uruchomiłam w ten sposób maleńkie runy potrzasku, które narysowałam flamastrem na palcach i wnętrzach dłoni. Potem pospiesznie zebrałam dryfujące w powietrzu wasy magii. Wiedziałam, że jeśli nie zrobimy tego odpowiednio szybko, klątwa znowu odnajdzie drogę do jego ojca.

- Lukas, teraz!

Chłopiec położył się i przewrócił na plecy. Ja też przyskoczyłam do ziemi, wciskając w nią końcówki macek.

Runa niezłomności rozjarzyła się tak intensywną czerwienią, że miałam ochotę zdjąć magiczne okulary. Skrzywiłam się i odwróciłam wzrok.

Lukas zawył. Wyszepiałam jego imię, a następnie wyśpiewałam błogosławieństwo ku ziemi, żeby ich ze sobą powiązać. Chłopiec pół śpiewał, pół recytował ze mną. Nad nami szalała wichura.

Czerwony blask magii osłabł.

Zadygotałam.

- Koniec. Lukas jest związany z magiczną ziemią. Niebo przecięła błyskawica. Lunęło. Uniosłam głowę i rzuciłam na ziemię okulary. Po twarzy i szyi spływała mi ciepła woda, która przylepiła mi do ciała ubranie. we troje bez ruchu; deszcz nas oczyszczał, a niebo błogosławiło naszą magię.

Całowaliśmy się przy każdej sposobności, z wyjątkiem chwil, kiedy dołączał do nas Gabriel - na spacerze lub podczas picia gorącej czekolady po kolacji - wówczas kryliśmy się z rosnącym między nami uczuciem. Cieszył mnie ten stan rzeczy, bo upajałam się atmosferą tajemniczości, a poza tym nie byłam gotowa podzielić się z Gabrielem naszym sekretem. Na pewno zachowywałyby się nieprzyjemnie albo kpiłby, być może nawet byłby zazdrosny. Dlaczego Ty zdecydowałaś się kryć przed Gabrielem - nie wiedziałam.

W moich oczach każdy z nas trojga był szczęśliwy. Cieszyliśmy się swoim towarzystwem, domem, wszystkim, co niosła dla nas przyszłość.

Pod koniec zimy Gabriel pojechał do Waszyngtonu na zaproszenie swojego dawnego kochanka. Zasiedział się tam, bo wodzenie za nos FBI sprawiało mu wielką przyjemność. Ty i ja zostaliśmy sami. Wreszcie mogliśmy otwarcie okazywać sobie uczucia.

Po chwili podeszła do nas Donna. Razem pomogłyśmy Lukasowi usiąść. Chłopiec przytulił się do nas. Siedzieliśmy tak Gabriel przysłał nam liścik wetknięty między strony książki Rok 1984. Potem co parę dni nadchodziły kolejne - pełne przygód i niezgody na to, co dzieje się na świecie. Czytaliśmy je, niewiele jednak obchodziły mnie opisywane w nich wydarzenia. Nie dbałam o zimną wojnę, konflikt w Korei czy trzęsienie ziemi w Ekwadorze, bo sądziłam, że nie mają żadnego wpływu na moje życie. Ani ja, ani Ty niespecjalnie czytaliśmy gazety, bo to zawsze Gabriel zajmował się ich kupowaniem, kiedy byliśmy na zakupach w miasteczku. Dla nas miejsce, w którym żyliśmy, stanowiło niezależną od polityki i całej cywilizacji świątynię.

Było' jak w niebie.

WILL

W nocy miałem wyjątkowo wredny koszmar. Obudziłem się z krzykiem i stanem podgorączkowym. Mama spanikowała. Nie chciała puścić mnie do szkoły, ale przez dziesięć minut przekonywałam ją, że muszę iść, bo w przyszłym tygodniu mam sprawdziany

końcowe, a poza tym na pewno nie zarażam - przecież w domu wszyscy są zdrowi. Zgrabną formułką na temat dzielnego stawiania czoła słabościom udało mi się przekabacić na swoją stronę tatę. Mama zgodziła się, ale pod warunkiem że zwolnię się dwie godziny wcześniej i pójdę do lekarza.

Podczas obiadu było mi tak niedobrze, że ledwie zmusiłem się do przełknięcia nieodłącznej herbatki od Mab, której przezornie zaparzyłem sobie dziś rano. Na zimno miała smak zbliżony do błota. Obok mnie na ławce przysiadł Matt i postawił na stole ogromną papierową torbę z jedzeniem.

- Jesteś na diecie? - zapytał, wskazując brodą herbatę. - Czy to jakiś wspomagacz?

- To zioła. Boli mnie brzuch.

- Napij się imbiru - poradziła Shanti, która dosiadła się do nas wraz z Lacey.

- Skąd ma wytrzasnąć imbir w stołówce? - zapytał Matt. Zaraz potem uśmiechnął się i cmoknął ją w policzek.

Z drugiej, strony stołu Lacey wyciągnęła w moją stronę widelec.

- Kiedy mi niedobrze, lubię possać coś miętowego.

- Tak, Dylan wspominał - wciął się Austin. Usiadł po mojej drugiej stronie i wyszczerzył zęby.

- Jezu. - Shanti przewróciła oczami. - Nie dość, że nieśmieszne, to jeszcze bez sensu!

- Właśnie - dodała Lacey niewinnym tonem. - Dylan wcale nie smakuje mięty.

Nawet ja się roześmiałem. Przez chwilę zapomniałem, że powinienem unikać patrzenia pod pewnym kątem. Lacey zmarszczyła brwi i pochyliła się ku mnie, a jej złoty krzyżyk na łańcuszku stuknął o blat.

- Co ci się stało w oko?

- Nic takiego. - Spuściłem wzrok i skrzywiłem się. - Po prostu... - Wzruszyłem ramionami i rozejrzałem się dookoła po zaciekawionych twarzach. - Siłowaliśmy się z Benem i on niechcący wepchnął mnie na ogrodzenie. To zwykły... yyy... wylew podspójówkowy powstały w wyniku ostrego urazu.

Bogu dzięki za diagnozę przez Internet. Która co prawda zasugerowała też, że plama na oku może być objawem raka. Niespecjalnie cieszyłem się, że idę do lekarza, i trochę się bałem, co powie mamie. Wychodziło na to, że kłątwa błotnego monstrum jest tą lepszą opcją. Miałem nieźle przerażane.

- Stary, zjedz coś normalnego. - Matt podsunął mi połowę swojej kanapki. Była wielka jak jego dłoń.

- Mmm, dzięki, ale nie. - Ledwie zmuszałem się do wypicia ziół.

Austin szturchnął mnie ramieniem.

- Matt powiedział, że zabalowałeś z jakąś dziewczyną i to dlatego nie przychodzisz na treningi.

- Nie to miałem... - Matt przechylił się za moimi plecami i walnął Austina.

- Mab - powiedziałem. To nie była „jakaś dziewczyna”.

Shanti uniosła wysoko swoje ciemne brwi.

- Mab Prowd? Ta, która porwała cię z targu?

Przytaknąłem.

Jedna z brwi Shanti pozostała uniesiona, drugą opuściła.

- Ta, która mieszka na prerii i praktykuje jakieś dziwaczne wierzenia? I nie chodzi do szkoły, bo jej hipisowska rodzina nie uznaje tradycyjnej edukacji?

Nie byłem pewien, czy rzeczywiście tak było, ale znowu skinąłem głową.

Shanti ściągnęła usta. Podskórnie wyczułem, że zapada na mnie wyrok. Skupiłem się na sączeniu herbaty. Jakim cudem Mattowi udało się pocałować dziewczynę, która potrafi tak człowieka usadzić?

Zerknąłem na nią. Shanti przyglądała się stojącej w kolejce Holly, która płaciła swoją kartą obiadową. Ku mojemu zdziwieniu oświadczyła jednak:

- To może nam ją kiedyś przedstawić? Tak oficjalnie.

Jej głos brzmiał przyjaźnie. Rzeczowo, ale przyjaźnie.

- Jasne - odparłem.

Siedząca obok Shanti Lacey wyglądała na równie zdziwioną, co ja.

Matt objął Shanti ramieniem i przycisnął do siebie.

- Moja dziewczynka.

- Twoja dziewczynka? - powtórzyła chłodno.

- Moja kobieta - poprawił się Matt.

Shanti w końcu się uśmiechnęła i pocałowała Matta prosto w usta. Wszyscy odwróciliśmy wzrok. Austin wymamrotał coś niepochlebnego, Lacey rzuciła się na sałatkę, a ja dopiłem herbatę.

Siedząc tak w stołówce z przyjaciółmi, zacząłem przychylić się do opinii, że cała ta magia to jakieś wariactwo. Byłem po prostu na coś chory. Uwierzyłem Mab, bo mnie zaintrygowała. Bo miałem ochotę ją pocałować. No i dlatego, że obiecała mi pomoc.

Nagle zdałem sobie sprawę, że cieszę się na wizytę u lekarza. Nie byłem jednak pewien, czy chciałbym, żeby wiedział, co mi jest, czy raczej żeby nie miał bladego pojęcia.

MAB



Lukas przespał spokojnie całą noc. Nie miał koszmarów i obudził się na tyle wypoczęty, że zjadł z nami pożywne śniadanie. Nawet Donna wyglądała na zadowoloną, że pomogła nam z tak trudnym zaklęciem. Miałam w sobie mnóstwo świeżej, gotowej do działania magii; poczułam pokusę, żeby pojechać po Willa i, ignorując jego szlaban, przywieźć go tutaj na oczyszczenie.

Ale na pewno był teraz w szkole. Zresztą sama miałam spore zaległości w nauce. Żeby dać Lukasowi dobry przykład, kilka godzin spędziłam przy kuchennym stole nad ćwiczeniami z algebry. Nie mogę powiedzieć, żebym uwielbiała matematykę, ale była raczej w porządku, bo zadania na szukanie niewiadomej przypominały odnajdywanie prawidłowości w magii.

Wczesnym popołudniem stwierdziłam, że już dosyć odczekałam, i do płóciennej torby zapakowałam składniki potrzebne do rytuału oczyszczającego. Lepiej byłoby to zrobić na magicznej ziemi, ale po wczorajszej ulewie wszędzie zalegało błoto. Zniosłam, co potrzebne, do stodoły i wróciłam do Różowego Domu po samochód. Zamierzałam pojechać po Willa i uwolnić go z więzienia złej magii.

Wynurzyłam się z cienia w plamę słońca. Z drugiej strony ogrodu pomachała mi Donna, która w grubych rękawicach wygrabiła suche liście z rabaty. Lukas przycupnął obok sterty patyków i na mój widok zerwał się na równe nogi.

- Cześć, Mab!

- Cześć, Lukas.

Miał trochę podkrążone oczy, ale ruszał się tak, jakby nic go już nie bolało. Uśmiechnęłam się, zachwycona, że przerysowanie runy czarnej świecy na ziemię przyniosło tak dobry efekt.

Chłopiec wcisnął ręce w kieszenie.

- Rozpalisz mi ogień?

Ponad jego ramieniem zerknęłam na stosik patyków, potem na Donnę, która uniosła brwi, jakby mówiła „rób, co chcesz”. Wiedziałam, że mały boi się używać własnej magii, a ogień go przeraża. Leciutko westchnęłam.

- Lukas, w kuchni obok szuflady na srebra są zapalki.

Dłonie w kieszeniach zwinął w piastki, ale skinął głową i pobiegł na bosaka do domu.

Donna ruszyła w moją stronę, szurając wysokimi butami w wybujałej trawie. Stanęła przy mnie i dotknęła mojego policzka.- Ostrożnie z nim dzisiaj, Mab - powiedziała poważnym tonem.

- Jestem ostrożna. - Zdałam sobie sprawę, że ma na myśli Willa, nie Lukasa.

Zmarszczyłam czoło.

Delikatnie potrząsnęła moją głową.

- Naprawdę. On nie należy do naszego świata. Jest zupełnie nieopierzony, jeśli o to chodzi. Widać to na kilometr.

- Da sobie radę.

- Na pewno, ale pamiętaj, że nie jest taki jak ty, wróżko. Nie żyje magią od dziecka.

Pochodzi stamtąd... ze świata zewnętrznego.

Odsunęłam się.

- Donna, wiem.

- Magia jest przerażająca.

- Will się nie boi. - We wnętrzach dłoni wzbierał mi gniew. Zwinęłam palce, żeby się nie wymknął.

- A może trochę powinien.

- Bo ty się boisz? - Popatrzyłam Donnie prosto w oczy. Zacisnęłam pięści i zaraz je otworzyłam, by potrzeć dłońmi o sukienkę.

Zamrugnęła, ale nie odwróciła wzroku.

- Tak, boję się.

Zrobiło mi się głupio. Przypomniałam sobie, jak mi wczoraj pomogła. Dotknęłam jej nadgarstka, samego tylko brzegu rękawa.

- Masz powód. Ale ja nie mam. On też nie.

Donna się uśmiechnęła.

- Ty też masz powód do strachu, tylko obrałaś inną strategię. WILL

Doktor Able był moim pierwszym lekarzem, więc przyjął nas bez kolejki. W poczekalni mama gawędziła z wszystkimi pielęgniarkami i suszyła mi głowę, żebym siedział prosto. Przerzucałem kartki kolorowego magazynu dla dzieci, usiłując nie trzeć siniaka na piersi. Nie powiedziałem o nim mamie.

Wywołano mnie. Dzięki Bogu, mama została na korytarzu.

Doktor Able był chyba przyzwyczajony do takich jak ja pacjentów, którzy uważają, że nic im nie jest. Miał pięćdziesiąt parę lat, nosił okulary bez oprawek i małą nalepkę z żabą na ramieniu kitla. Cały czas się uśmiechał i pozwalał mi mówić, tylko kiedy opisywałem objawy. Wbiłem wzrok w żabkę i skupiłem się na dolegliwościach fizycznych.

Zmierzył mnie, zważył, sprawdził mi temperaturę i ciśnienie - to, co zwykle. Wszystko było ze mną w porządku. Siniak trochę go zaniepokoił, ale ponieważ nie bolał

jakoś specjalnie, nie było na nim żadnej rany i nie był gorący, lekarz powiedział, że będę go musiał po prostu obserwować. Zapisał mi jakiś antybiotyk, na wypadek gdyby to jednak było zapalenie tkanki. Kazał pić dużo płynów, pobrał trochę krwi do analizy i oznajmił, że jeśli w ciągu kilku dni mi się nie poprawi, zrobimy prześwietlenie. Gdybym znowu dostał gorączki albo siniak zaczął się rozszerzać, powinienem się do niego zgłosić. Było to najprawdopodobniej zatrucie pokarmowe albo niegroźny wirus. Siniak raczej nie miał związku z gorączką i wymiotami, bo pojawił się trzy dni wcześniej, a od tego czasu czułem się dobrze. Zażartowałem, że mam go z targu.

Za to z okiem powinienem iść do specjalisty. Zdaniem doktora mógł to być efekt urazu albo coś dziedzicznego. Na szczęście widziałem dobrze, więc może to nic takiego, ale lepiej sprawdzić, zwłaszcza że skarżyłem się na bóle głowy. Na pytanie, czy to może być coś poważnego, odpowiedział, że raczej nie. Nie uwierzyłem mu. Potem wyjaśnił to wszystko jeszcze raz - mamie. Popatrzyła na mnie z wyrzutem, że nie powiedziałem jej o siniaku. Pożyczyła od doktora latarkę diagnostyczną i zajrzała mi do oka, kładąc kciuk na moim policzku.

- Boże, Will - westchnęła.

W drodze do domu zdjęła jedną rękę z kierownicy i przeczesła mi włosy.

- Martwię się o ciebie, maluchu.

- Nic mi nie jest, mammo, naprawdę.

Popatrzyłem na nią. Z profilu wyglądała tak jak zawsze: ładna, delikatna, dumna. Jak gdyby minionego roku nie było, a ona nigdy nie potrzebowała opieki psychologa. Włosy związała w kucyk, luźne kosmyki dookoła twarzy podpięła eleganckimi spinkami.

Uśmiechnęła się do mnie uszmiokowanymi ustami. Dopiero niedawno zaczęła się regularnie malować. Pewnie po to, żeby ukryć smutek.

- Mam pomysł. Podrzucę cię do domu, a sama pojedę po lekarstwa i twojego ulubionego kurczaka. Co ty na to? Tata już pewnie wrócił z pracy.

- Dobra. - Uśmiechnąłem się i oparłem skroń o szybę. Trochę bolała mnie głowa, tak jakby między oczami. Ale nie zamierzałem mówić o tym mamie. Potrzebowałem po prostu wody i proszka.

Od razu po przestąpieniu progu zadzwoniłem do Mab. Byłem zdecydowany, że robimy dzisiaj oczyszczanie, choćbym miał wykraść się cichaczem w nocy. Nie chciałem dłużej tego odkładać. Albo dzięki magii wyzdrowieję i mamie spadnie ciężar z serca, albo będę przynajmniej wiedział, że to... co innego.

Pognałem na górę do siebie, żeby porozmawiać na osobności, ale nie odbierała. Telefon dzwonił i dzwonił. Wyglądało na to, że nie mają nawet automatycznej sekretarki. Rozłączyłem się i spróbowałem jeszcze raz. To samo.

Palący ból rozsadzał mi dno oczodołów. Zacisnąłem powieki i oparłem dłoń o ścianę. Oddychając głęboko, zacząłem robić pionowe pompki. Powoli, precyzyjnie. Po dwudziestu oparłem czoło o ścianę. Była chłodna. Co teraz? Nie miałem wyjścia, musiałem dzwonić do skutku. I może pojechać do niej wieczorem, jeżeli uda mi się wymknąć z domu.

Za oknem trzasnęły drzwiczki samochodu. Pewnie mama pojechała do apteki. Obróciłem się na pięcie, wyjąłem z plecaka iPoda, włożyłem do uszu słuchawki i nacisnąłem „play”.

Dwie minuty później siedziałem przy biurku nad książkami do fizyki. Może chociaż się pouczę. W rytm perkusji zastukałem długopisem w papier i zacząłem bazgrolić obok zdjęcia Maksa Plancka.

Muzykę nastawiłem tak głośno, że nie usłyszałem, jak Ben puka do drzwi, a potem wchodzi do pokoju. Zauważyłem go dopiero, kiedy potrząsnął mnie za ramię i wyjął mi z ucha słuchawkę. Dotarła do mnie końcówka zdania:

-...przyszła.

Odróciłem się. Patrzył na mnie, jakby czekając na reakcję. Nie mogłem się skupić. Byłem zmęczony.

- Kto?

- Szczupła, mocna dziewczyna, z burzą blond loków.

- Mab? - Obróciłem krzesło.

- Tak się nazywa. Słodka jest. Nie mam pojęcia, co w tobie widzi.

Słodka. Nigdy nie nazwałbym Mab w ten sposób. Popchnąłem Bena w stronę drzwi.

- Zaraz zejść. - Z ulgą przesunąłem dłońmi po twarzy i wyłączyłem iPoda. - Ale nic się nie stało? - Chyba nie. - Ben wzruszył ramionami i zniknął w swoim pokoju.

Na dole już miałem wyłonić się zza rogu i wejść do jadalni, kiedy usłyszałem głos Mab.

- Poprosiłam, żeby nikomu nie mówił, strasznie przepraszam, że wynikły z tego kłopoty.

Zamarłem. Dotknąłem palcami ściany i przysunąłem się jak najbliżej framugi. Może uda mi się podsłuchać, co mówi rodzicom, żebyśmy przedstawili tę samą wersję wydarzeń. Bo przecież nie mówi im prawdy.

- Rozumiemy, Mab. Ale zawsze musimy wiedzieć, gdzie jest nasz syn. - 'To tata.

- Oczywiście, proszę pana. Gdyby tylko pozwolili mu państwo dzisiaj nam pomóc...  
To naprawdę niedaleko stąd.

Żeby ukoić ból głowy, oparłem czoło o chłodną ścianę. Czyżby Mab tak się niepokoiła klątwą, że aż przyjechała przekonać tatę, żeby mnie puścił?

- Co to za projekt? - zapytała mama. Najwyraźniej jeszcze nie wyszła.

- Uczymy się szczepić drzewa. Mamy w ogrodzie parę starych jabłoni. To w ramach programu nauki biologii, który realizuję w domu. Potem, na obozie w lipcu, będę musiała przedstawić przed komisją prezentację na ten temat. W projekcie uczestniczy też paru uczniów ze szkoły Willa, ma to usprawnić naszą integrację społeczną.

Opadła mi szczeka. Powiedziała to wszystko zupełnie bez wysiłku, aż zastanawiałem się, czy ćwiczyła całą drogę tutaj. Integracja społeczna??

Na schodach za plecami usłyszałem kroki Bena, więc szybko wyłoniłem się zza ściany i wszedłem do jadalni. Rodzice siedzieli na swoich miejscach. Przed tatą stała mrożona kawa, którą lubił pić w letnie popołudnia; ze szklanki ściekały na wzorzysty obrus kropelki wody. Mama przysunęła swoje krzesło tak blisko taty, że pewnie kiedy zjawiała się Mab, właśnie przekazywała mu, co powiedział lekarz.

Mab siedziała na miejscu Aarona. Plecy miała wyprostowane, a dłońmi luźno obejmowała szklankę wody. Włosy zebrała w warkocz, więc nie wyglądało, jakby piorun trafił w tę gmatwaninę loków. Na sukienkę włożyła sweterek na guziki. Gapilem się na nią. Przypomniała mi się historia o pewnym kowboju, który złapał trąbę powietrzną na lasso.

- Dzień dobry, Will. - Mab uśmiechnęła się do mnie; rzeczywiście, jej uśmiech był słodki.

Pasowała do naszej wyłożonej ciemnym drewnem jadalni jak pięść do nosa. Zegar okrętowy wybił cztery szklanki oznaczające czwartą po południu. Przez chwilę nie mogłem nic z siebie wykrztusić.

- Cześć - wymamrotałem w końcu.

- William, dobrze, że jesteś. - Tata spojrzał na mnie stanowczo.

Mama uśmiechnęła się i dyskretnie, porozumiewawczo skinęła głową.

- Właśnie opowiadałam twoim rodzicom o naszym projekcie naukowym. Wczoraj padało i drzewa trzeba koniecznie zaszcześcić teraz, inaczej będzie za późno.

Skinąłem głową i zrobiłem zmartwioną minę, jakbym miał pojęcie o drzewach.

- Bardzo miło z twojej strony, że pomagasz koleżance - odezwała się mama i wstała. -  
Zrobić ci kawę?

- Wystarczy woda.

Mama weszła do kuchni, zdjęła z półki szklankę i nalała wody z filtra. Tata zastukał palcem o stół.

- Synu, szkoda, że nic nam nie powiedziałaś.

- Właśnie, małolacie - dodał Ben rozbawionym tonem. Minął mnie, szturchając lekko ramieniem, i odsunął krzesło obok Mab. - Nie wiem, co w nim widzisz.

Ben właściwie nie oczekiwał odpowiedzi, ale w oczach Mab mignęła niepewność. To było okropne. Potem zerknęła na mnie i uśmiechnęła się.

- Umie mnie rozbawić. I jest taki miły.

Opadłem na krzesło, walcząc ze sobą, żeby nie schować twarzy w dłoniach. Ben roześmiał się i popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Masz, Will. - Mama postawiła przede mną szklankę wody.

- Dzięki - wydukałem.

Tata westchnął.

- Pij szybko, żebyś mógł pojechać.

Uniosłem głowę.

- Mogę?

- Według lekarza to nic poważnego. Skoro czujesz się dobrze, możesz jechać. Nie będziemy przecież karać młodej damy za twoją lekkomyślność.

- Ogromnie przepraszam, panie Sanger. - Mab zacisnęła ręce na szklance i spuściła wzrok. Gdzie ona nauczyła się tak kłamać? - Jak mówiłam, pracowaliśmy w sadzie i zanim się obejrzelśmy, było już bardzo późno.

Tata coś mruknął, ale skinął głową.

Wypiłem duszkiem wodę i pobiegłem na górę, zanim zmienię zdanie.

Tata zastukał palcem o stół.

- Synu, szkoda, że nic nam nie powiedziałaś.

- Właśnie, małolacie - dodał Ben rozbawionym tonem. Minął mnie, szturchając lekko ramieniem, i odsunął krzesło obok Mab. - Nie wiem, co w nim widzisz.

Ben właściwie nie oczekiwał odpowiedzi, ale w oczach Mab mignęła niepewność. To było okropne. Potem zerknęła na mnie i uśmiechnęła się.

- Umie mnie rozbawić. I jest taki miły.

Opadłem na krzesło, walcząc ze sobą, żeby nie schować twarzy w dłoniach. Ben roześmiał się i popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Masz, Will. - Mama postawiła przede mną szklankę wody.

- Dzięki - wydukałem.

Tata westchnął.

- Pij szybko, żebyś mógł pojechać.

Uniosłem głowę.

- Mogę?

- Według lekarza to nic poważnego. Skoro czujesz się dobrze, możesz jechać. Nie będziemy przecież karać młodej damy za twoją lekkomyślność.

- Ogromnie przepraszam, panie Sanger. - Mab zacisnęła ręce na szklance i spuściła wzrok. Gdzie ona nauczyła się tak kłamać? - Jak mówiłam, pracowaliśmy w sadzie i zanim się obejrzelśmy, było już bardzo późno.

Tata coś mruknął, ale skinął głową.

Wypiłem duszkiem wodę i pobiegłem na górę, zanim zmienią zdanie.

MAB

Will pognał do siebie po buty, a ja podałam jego rodzicom numer do Różowego Domu i opowiedziałam trochę o Donnie, jakby była moją oficjalnie przybraną matką. To ona rozczesała moje mokre jeszcze włosy i zaplotła je w warkocz, żeby wyglądały jako tako schludnie. I przypomniała mi, żebym założyła stanik, a także sandały zamiast kaloszy.

Pani Sanger zanotowała numer delikatnymi, kolistymi ruchami dłoni. Paznokcie miała pomalowane na bardzo blady odcień różu. Na palcu obok obrączki nosiła pierścionek wysadzany maleńkimi szmaragdami. Szmaragd to kamień głębokiej miłości i pozytywnej energii. Uśmiechała się równie łatwo jak Will, ale znalazłam w jej sposobie bycia pewne podobieństwo do babci Lyn z jej ostatnich miesięcy. Jak gdyby w środku coś bolało ją tak bardzo, że musiała poruszać się z najwyższą ostrożnością, najlepiej jak najmniej.

Tata Willa stanowił kolumnę, na której wspierał się cały ten dom. Był silny i stabilny jak sam Will. Miał dokładnie takie samo uczesanie, tyle że z ostrzejszymi krawędziami. Utrzymałby w garści każdą burzę. Polubiłam go.

A Ben przypominał mi Sillę. Zmuszał się, żeby żyć, bo w sercu miał wielką dziurę. To on mnie maglował: wypytywał o ziemię, rodzinę, chciał wiedzieć, dlaczego uczę się w domu zamiast w szkole. Odpowiadałam lekkim głosem i starałam się za bardzo nie kłamać.

Will zszedł przebrany. Miał teraz na sobie koszulkę w czarnobiałe pasy, z napisami „Northern rock” z przodu i „S. Taylor 27” na plecach. Wstałam i wzięłam go za rękę.

- Idziemy?

Splótł swoje ciepłe palce z moimi i przytaknął.

- Jeżeli coś się przeciągnie, zadzwonię, słowo - powiedział do rodziców.

- Koniecznie - odparł pan Sanger.

- Miło było cię poznać, Mab - dodała pani Sanger.

Uśmiechnęłam się do nich, a potem do Bena, który wyszczerzył do mnie zęby tak samo jak Will. Mój uśmiech jeszcze się poszerzył.

Wyszliśmy z domu i wsiedliśmy do kombi. Wszystkie szyby zostawiłam w nim opuszczone. Will oparł się wygodnie w fotelu i wystawił łokieć przez okno. Miał zmarszczone czoło, jakby coś go bolało. Obróciłam się do tyłu, żeby lepiej widzieć, i wycofując samochód, powiedziałam:

- Fajną masz rodzinę.

Zaskoczony, wlepił we mnie zdziwione spojrzenie. W jasnym słońcu widziałam piegi na jego policzkach i intensywnie czerwoną plamkę na oku.

- Co? - zapytałam łagodnie, kiedy dojechaliśmy do pierwszej przecznicy.

- A nie... nic. Cieszę się, że ich polubiłaś. Ja też ich lubię. Zazwyczaj. Masz radio?

- Nie działa od osiemdziesiątego siódmego.

Roześmiał się. Uleciały z niego resztki napięcia, które wyniósł z domu.

- A właściwie to skąd wiesz, gdzie mieszkam?

Wskazałam na tylne siedzenie, gdzie leżały mapa i srebrne podręczne lusterko.

- Dzięki zaklęciu umiejscawiającemu. Użyłam ostatniej kropelki twojej krwi.

-1 wszystko jasne.

Nerwowo zacisnęłam palce na wielkiej kierownicy, ale Will uśmiechał się do mnie łobuzersko. W całym ciele poczułam falę ulgi. Położyłam jedną dłoń na udo. Will sięgnął w moją stronę i ostrożnie splótł swoje palce z moimi, głaszcząc mój kciuk. Czułam cudowne mrowienie, bardzo podobne do dreszczu magii.

Jechaliśmy w milczeniu. Popołudnie było upalne, woda rozpryskiwała się spod naszych kół. Po jakimś czasie zjechałam na drogę stanową, a potem przekroczyłam bramę naszej ziemi.

- Teraz też jej nie widziałem - powiedział Will.

Wtoczyliśmy się na wysypaną kamyczkami dróżkę, która pięła się na szczyt wzgórza. Uśmiechnęłam się i zamierzałam odpowiedzieć Willowi, że dojścia do domu pilnuje magia, ale on nagle złapał się za kolana.

- O rany.

Zatrzymałam samochód i wrzuciłam luz.

- Will?



Zacisnął powieki. Przy nasadzie włosów wystąpiły mu kropelki potu. Wygramoliłam się z auta, obiegłam je i szybko otworzyłam drzwi z jego strony. Uklęłam, kładąc dłonie na jego udzie.

- Will!

- Strasznie... kręci mi się w głowie. Chwila. - Oddychał ciężko. Położył rękę na piersi.

- Serce mnie... pali.

Oderwałam jego rękę od serca i przyłożyłam ją sobie do policzka. Była cała rozżarzona.

Nagle - jakby znikąd - nadleciały kruki. Wylądowały na dachu kombi. Ścisnęłam Willa za rękę, zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że moja wewnętrzna siła promienieje i wnika w niego, biegnie w górę jego ramienia aż do serca. Wolną ręką wygrzebałam ze schowka awaryjny scyzoryk. Otworzyłam go zębami i drasnęłam się w wytatuowany nadgarstek ręki, którą przytrzymywałam przy twarzy dłoni Willa. Rzuciłam scyzoryk na ziemię i umaczałam palce wolnej ręki we krwi, a następnie przyłożyłam ją do policzka Willa, zamykając w ten sposób krąg energii. Twarz, dłoń, twarz, dłoń. Magia pulsowała ciepłem.

Will westchnął i zamrugał.

- Już lepiej - wyszeptał. - To było... nie wiem, jakby coś mnie w tym miejscu ugniatało. To na pewno nie rak.

- Co?

Pokręcił głową.

- Cieszę się, że usuniesz tę klątwę.

Mocniej przycisnęłam sobie jego rękę do policzka.

- Tak. Już dzisiaj. Ale musisz mi powiedzieć, czy atak pojawił się nagle, kiedy weszliśmy na moją ziemię, czy może narastał od jakiegoś czasu.

- Pojawił się nagle. - Wyprostował się i ponad moim ramieniem spojrzał na drzewa. - Wcześniej poboлеwał mnie siniak i głowa trochę ćmiła, ale dopiero teraz doszły zawroty głowy i wszystko się nasiliło.

Niechętnie puściłam go i wstałam.

- Chodź.

Wbiegłam do lasu. Znalazłam judaszowiec z gałęziami zawieszonymi na tyle nisko, że mogłam się po nich wspiąć na rosnącą obok topolę. Rozpięłam odporne sprzączki sandałów i wdrapałam się na drzewo. Z konarów, którymi trzęsłam, spadały na mnie kropelki wody. Kiedy przeskoczyłam z judaszowca na szarą gałąź topoli, Will krzyknął przerażony. Znajdowałam się na wysokości zaledwie trzech metrów, ale wystarczyło opuścić poziom

ziemi, żeby las pokazał mi się w nowej odsłonie. Wkoło fruwały ptaki i motyle, a na mój widok wiewiórki chowały się w dziuplach, zamiatając ogonami. Ze szczeliny w wiązcie przyglądał mi się szop pracz. Dookoła roztaczała się ażurowa siateczka drzew, falujących mikroskopijnymi ruchami - nie od wiatru, lecz pod wpływem ruchu planety.

Zamknęłam oczy i przytuliłam policzek do szepczącego niewidzialną mocą pnia topoli. Okolica była poprzetykana wstęgami magii. Wyczułam jednak, że coś się zmieniło w ich ułożeniu, pojawiło się coś nowego. Czy to z powodu rytuału uziemienia runy czarnej świecy, który odprawiłam nad Lukaszem? Czy raczej dlatego, że z Willem działo się coś niedobrego? Czyżby magiczna ziemia zauważyła klątwę róż?

- Mab!

Popatrzyłam w dół. Will stał bezpośrednio pode mną, z pobladłą z przerażenia twarzą.

- Jak się czujesz? - zapytałam.

- Kwitnąco.

- To dobrze. - Uśmiechnęłam się i głęboko nabrałam powietrza. - Łap mnie!

WILL

Ciało Mab rozluźniło się, jak gdyby zemdląca. Potem powoli zsunęła się z gałęzi i zaczęła spadać na mnie. Zakląłem pod nosem i wyciągnąłem ramiona. Z impetem gruchnęła o moją klatkę piersiową i prawe ramię, aż z wysiłku opadłem na kolana. Była zupełnie bezwładna; jej głowa odchyliła się do tyłu, a chmura jasnych włosów unosiła się wokół mnie.

- Mab! - krzyknąłem.

Potrząsnąłem nią, a potem położyłem na błotnistej, pokrytej liśćmi ziemi.

- Mab.

Nic. Zero reakcji.

Oczyrna wyobraźni zobaczyłem rzadką krew na swoich dłoniach. I nieprzytomną twarz Holly.

Z przeszłości wyrwało mnie krakanie.

- Mab! - krzyknąłem znowu. Przyłożyłem ucho do jej ust i pospiesznie odszukałem na szyi tętno. Jest. Oddychała. Powoli, jak we śnie.

- Mab - powiedziałem, jakby błagając ją, żeby się obudziła.

Ona tylko lekko drgnęła. Dotknąłem jej policzka, ust, brody, przesunąłem dłonią po ramieniu. Była ciepła. Żadnej krwi. Tłumaczyłem sobie, że po prostu zasnęła.

Ale wiedziałem, że to nieprawda. Opętanie.

Wyszła ze swojego ciała. Jak przez mgłę przypomniało mi się, że w stodole przestępowałem przez jej leżącą na ziemi postać.

Tuż przed nosem mignęła mi sowa; jej bijące cicho białe skrzydła zniknęły szybko między drzewami. Kruki zaskrzeczały na nią. Połowa rzuciła się w pościg, a reszta usiadła dookoła nas.

Serce mi łomotało.

Zapytała: „Zaufasz mi?”. Przytaknąłem, mimo że nie miałem pojęcia, na co się zgadzam. W dodatku nie zapytałem o to samo. Ale teraz miałem przed sobą jej odpowiedź.

Uniosłem ją do siadu i szybko podparłem jej plecy, bo osunęła się na mnie bezwładnie. Jej loki łaskotały mnie w szyję, a bark wbijał mi się w siniak, ale nie przejmowałem się tym. Przez moje dzinsy przesiąkła wilgoć z ziemi. Kruki siedzące dookoła obserwowały mnie z rozpostartymi skrzydłami. Kiedy nimi poruszyły, poczułem zapach błota i deszczu.

Powiedziała: „Łap mnie”. Ani przez chwilę nie pomyślała, że mogę ją zawieść.

Powiedziałeś mi kiedyś: „Kocham cię, bo jesteś częścią świata”.

MAB

Drzewa coś mi szeptały, ale ja nic nie rozumiałam. Szybowałam na wysokości górnych gałęzi, bezgłośnie bijąc białymi skrzydłami. Nadstawiałam sowych uszu, ale z marnym skutkiem. Przeskoczyłam w ciało jaskółki - teraz odbierałam las jej rozumem. Po chwili napotkałam dwie ćwierkające na mnie modrosójki - i wcieliłam się w obydwie. Wkrótce dołączył do mnie Reese; sunęliśmy nad naszą ziemią stadem czarnych i niebieskich ptaków. Minęliśmy kilka wiewiórek i rodzinę lisów, w nie też się wcieliłam. Raz po raz dołączałam do mojego stada kolejne istoty. W końcu pożegnałam się z ludzką tożsamością i stałam się lasem. Słuchałam, patrzyłam, czułam. Ledwo dawałam radę tak ogromnej dawce informacji.

W drzewach szumiał wiatr. Prześlizgiwałam się po korzeniach, maleńkimi nóżkami biegałam po gałązkach, muskałam skrzydłami les'ne runo, a mimo to nic nie rozumiałam. Nawet kiedy zbliżyłam się do miejsca, skąd wysyłały swoją energię róże, przekaz był trudny do odczytania.

Byłam skórą lasu, nie mogłam sięgnąć jego kości.

Skierowałam się więc w stronę własnego, leżącego u stóp wzgórza ciała. Po kolei uwalniałam stworzenia, w których byłam - najpierw szopa pracza i jaskółkę, potem następne: wiewiórki, sowę, modrosójki, dzikie króliki. Na koniec został mi tylko smyrgający po mokrych od deszczu zaroślach lis. Czułam zapach Willa i wiedziałam, którędy szedł, bo zostawił po sobie na ziemi krwistoczerwony ślad. Zobaczyłam go. Siedział, obejmując mnie. Opuściłam ciało lisa i zanurkowałam z powrotem w swoje.

Bosko było leżeć bez ruchu na ciepłej, wilgotnej ziemi i z zamkniętymi oczami wsłuchiwać się w bicie własnego serca. Oddychałam w sposób, jakiego nauczyła mnie matka - dzięki niemu łatwiej było na nowo scalić się ze wszystkimi tkankami ciała i zrozumieć informacje pochodzące z mnóstwa zwierzęcych umysłów, w których byłam. Potrzebowałam chwili, żeby przenieść je do własnej świadomości. Gdybym zbyt szybko się pospieszyła, zlałyby się wszystkie w trudną do odczytania i przyprawiającą o zawrót głowy masę. Gdybym z kolei chciała siłą wtłoczyć wrażenia do swojej głowy, wiele z nich bym utraciła, w zamian otrzymując tylko puste miejsce na własne myśli i przypuszczenia. Kiedy byłam mała, matka powtarzała mi, że ja też jestem w pewnym sensie zwierzęciem. Uczyła, że najlepiej cierpliwie poczekać, aż magia mojej krwi przetłumaczy wrażenia leśnych stworzeń na zrozumiałą dla mnie wiedzę.

Ramię Willa promieniowało ciepłem. Położył palce na moich żebrach, a kciukiem dotykał mostka. Drugą rękę wplótł mi w loki. Uśmiechnęłam się lekko i umościłam, przysuwając się do niego. - Mab? - wyszeptał.

Podniosłam powieki i napotkałam jego oczy - duże, ciemne, z krwistą obwódką.

- Will.

- Mab. - Jego oddech musnął mój policzek. Dotknęłam go tuż pod okiem.

- Plamka pociemniała - mruknęłam. - W dodatku nie dowiedziałam się, co uaktywniło twoją klątwę.

W zmartwieniu zacisnął usta.

- Ale nic ci nie jest?

- Nic. - Odsunęłam go delikatnie i wstałam. Ubłocona spódnica oblepiała mi uda. - Chodźmy do stodoły.

Najodpowiedniejszym miejscem do usuwania klątwy wydawała się magiczna ziemia, ale doszłam do wniosku, że stodoła też się nada. Po pierwsze, było tam sucho, a po drugie, dzięki magicznym znakom ochronnym wymalowanym na ścianach od zewnątrz nie trzeba było jej specjalnie przygotowywać do pracy nad zaklęciami. Mogłam mieć pewność, że z grubych sosnowych ścian klątwa się nie wymknie.

Will kręcił się pod ścianą z drzewem genealogicznym, a ja spod sterty szmat wyciągnęłam kosz z kamieniami oczyszczającymi i postawiłam go na pylistym klepisku obok niskiego żeliwnego paleniska. Rozłożyłam na ziemi cienką czerwoną tkaninę, na której położyłam Willa, a drugą na moje narzędzia: skalpel, wachlarz z kruczych piór i sześć miseczek z suszonymi ziołami, które pokruszyłam wcześniej. Z dworu przyniosłam szeroką, płytką kamienną misę z zebraną tej nocy deszczówką. Kiedy ostrożnie ustawiłam ją przy palenisku,

zauważyłam, że Will przesuwając palcem po odgałęzieniu drzewa genealogicznego. Zawsze uwielbiałam ten rysunek. Ciemnoczerwony trzon drzewa stanowiła linia Arthura. Od niej odchodziły w górę i na boki kolejne gałęzie, oznaczające dziesiątki jego krewnych wywodzących się od syna, który urodził mu się w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym siódmym. Każdy miał swoje miejsce na drzewie; nasze imiona i daty urodzin były na nim wypisane krwistym tuszem. Po lewej widniała niepołączona z nikim linia Harleighów, której ostatnim ogniwem był Nick, a przedostatnim - Donna. Po drugiej stronie znajdowała się samotna, cienka gałązka podpisana „Josephine Darły”, od której odgałęziałam się ja. Nie wiedziałyśmy, skąd pochodziła nasza odnoga. Teraz, po śmierci matki, nigdy się tego nie dowiem. Może została osierocona przez jakąś zapomnianą rodzinę czarowników. Najwyraźniej Lukas też wywodził się z oddzielnej linii, bo nie słyszeliśmy o żadnych czarownikach w górach Ozark. Najbliżej mieszkali potomkowie samego Arthura, rodzina Silli - w Yaleylah. Pod imieniem Reesea Arthur wypisał jego datę śmierci i narysował lecącego kruka.

To tej gałęzi dotykał Will. Przeciągnął palcami po skrzydłach ptaka.

- Will - powiedziałam miękko. On z uśmiechem odwrócił się w moją stronę. - Potrafisz rozpalić ogień? - Szerokim gestem wskazałam palenisko.

- Jasne.

Obok leżały stare gazety, wiązka polan i długie zapalki. Will podszedł do mnie, przykucnął i przystąpił do zwijania gazet. Ja zajęłam się kamieniami oczyszczającymi. Na każdym widniała runa mocy, namalowana po to, żeby kamień nie pękł pod wpływem ognia, i runa świętego deszczu - dzięki której kamienie mogły przenosić tylko dobre, czyste zaklęcia. Skalpelem nakłułam sobie nadgarstek i kapnęłam na środek run po jednej kropli krwi. Potem unosiłam każdy z dziewięciu kamieni do ust, owiewałam go życiodajnym oddechem i odkładałam na stertę.

Zgniecione gazety zajęły się ogniem; z ułożonych w stożek drew wystrzeliły płomienie. Will otarł sobie brzegiem koszulki zroszone potem czoło.

Kiedy zobaczyłam jego brzuch, wydałam z siebie zduszony okrzyk.

Will zamarł.

- Co się stało? - zapytał zaniepokojony.

Ciągle gapiąc się na jego brzuch, podciągnęłam brzeg pasiastej koszulki.

- Zdejmij ją - wyszeptałam.

Od mostka tuż pod skórą Willa pełzły ku dołowi wściekle czerwone linie bardzo przypominające zakażenie.

- Chryste. - Wstał i ściągnął koszulkę, która z trzepotem opadła na klepisko. Nacisnął skórę na piersi. - Nie miałem tego dwie godziny temu.

- Pewnie pojawiło się, kiedy wszedłeś na magiczną ziemię. To stąd pochodzi klątwa, tutaj jej działanie się wzmacnia. - Musnęłam palcami najdłuższą czerwoną linię odchodzącą od siniaka. Will zadygotał. - Oddychaj głęboko. Wdech, policz do pięciu, wydech, policz do pięciu.

Will oddychał niepewnie, ale w miarę regularnie, a ja wodziłam palcami po czerwonych smugach. Stałam blisko niego i położyłam mu na klatce piersiowej obie dłonie, jedną delikatnie zakrywając środek siniaka. Poczułam dobrze znajome mrowienie magii. Podniosłam na niego wzrok.

- Wszystko będzie dobrze, Will.

- Tak? - zachrypiął i opuścił podbródek. Nasze oczy dzieliło zaledwie kilka, kilkanaście centymetrów. Mimo półmroku, jaki panował w stodole, zauważyłam, że czerwona obwódka rozlała się w jego tęczę, smugami nieomal sięgając źrenic.

- Na pewno. A teraz zdejmuj resztę ciuchów - zażartowałam.

Will lekko drgnął, zaskoczony. Miałam nadzieję, że nie trafiłam kulą w płot.

Roześmiał się dopiero po chwili. I to na krótko. Jednak kiedy przykrył moje dłonie swoimi, zauważyłam, że przestał drżeć. Rozluźnił się; nie starał się już tak rozpaczliwie opanować wewnętrznego huraganu.

WILL

Okazało się, że to nie był do końca żart. Z tekturowego pudła pełnego ubrań Mab wygrzebała ciemnoniebieskie spodnie od dresu. Najwyraźniej dzinsy nie nadawały się do rytuału oczyszczającego.

Lekko zmieszany zanurkowałam za stertę skrzynek, żeby przebrać się w spodnie od Mab. Wyglądały strasznie hipisowsko. Cieszyłam się, że zakłopotaniem mogę zamaskować przerażenie. Strach był gorszy od wstydu. Potarłam siniak. Czulem w tym miejscu nieznośny ucisk. Kiedy rano przyglądałem się sobie w lustrze, czerwonych smug nie było. Przypomniało mi się, jak wjechaliśmy na ziemię Mab: coś mną szarpnęło, zakręciło mi się w głowie, wszystko mnie bolało. Miałem wrażenie, że ktoś wysypał mi na głowę wiadro rozżarzonych węgli. Gdybym podobnie czuł się u lekarza, bez gadania podłączyłby mnie do kroplówki z antybiotykiem. Nie miałbym szans na ucieczkę.

Rytuał musiał zadziałać.

Ułożyłem ubrania na kupce i wynurzyłem się zza skrzynek. Przez chwilę stałem i przyglądałem się, jak Mab na klęczkach wkłada do ognia ostatni kamień. Sprawiała wrażenie spokojnej i pewnej tego, co robi.

- Will. Chodź się położyć. - Poklepała rozłożony na ziemi czerwony materiał.

Zrobiłem, jak kazała. Klepisko było dosyć równe, ale niespecjalnie wygodne. Mab pochyliła się nade mną i ułożyła moje ręce wzdłuż ciała wnętrzem dłoni do dołu. Wcześniej zdjęła sweterek i rozpuściła włosy, które wiły się dookoła jej głowy i spływały na moją twarz i ramiona. Zamknąłem oczy. W palenisku strzelał ogień, a przez belki stropu świszczwał wiatr, ale poza tym było cicho jak makiem zasiał. Zacisnąłem gardło. Powinienem się zrelaksować, ale cisza zupełnie wytrącała mnie z równowagi.

- Mab - odezwałem się z twarzą zanurzoną w jej łaskoczących mnie w usta włosach. Poczułem mrowienie w całym ciele.

- A, przepraszam. - Zebrała loki w dłoń i przerzuciła sobie przez ramię.

- Nie, nie o to chodzi.

- A o co?

Jej opuszczoną twarz ukrywał cień.

- Strasznie tu cicho. Żeby się zrelaksować, potrzebuję dźwięków.

Mab przysiadła na piętach i złożyła ręce na kolanach. Jej odrzucone na plecy włosy wyglądały jak żółta peleryna.

- Zaśpiewam ci coś albo zanucę. Dobrze?

Zacisnąłem powieki. Ona położyła mi dłoń na piersi. Ręka wydała się niezwykle chłodna.

- Will?

Nabrałem powietrza głęboko, żeby wypełnić całe płuca, a potem powoli je wypuściłem. Mab zawiesiła rękę tuż nad moim sercem. - Will, powiedz mi, dlaczego cisza cię denerwuje. - Często powtarzała moje imię, jakby chciała, żebym dzięki temu poczuł się lepiej.

- Mówienie cię zrelaksuje, a poza tym dobrze, jeśli to z siebie wyrzucisz, będzie to częścią oczyszczania.

Ścisnąłem jej dłoń. Nikomu o tym nie mówiłem; z Mattem nie rozmawialiśmy na takie tematy. Jednak ogień na palenisku, dotyk dłoni Mab i ucisk w piersi sprawiały, że miałem ochotę podzielić się z nią tym problemem. Powiedzieć: „Cisza przypomina mi moment, kiedy dowiedzieliśmy się, że mój brat nie żyje”.

Siedzieliśmy wtedy przy kolacji. Tata objeżdżał mnie, że za długo pracuję, mama starała się łagodzić atmosferę.

Odchrząknąłem i zacisnąłem powieki.

- Mój brat... Aaron pojechał samochodem na wycieczkę z kolegami. Dzwonił codziennie tuż przed kolacją, dokładnie o dziewiętnastej. Tamtego wieczora się spóźnił. Kiedy w końcu zadzwonił telefon, miałem ochotę trochę go za to objechać, ale mama kazała mi zostać przy stole. Powiedziała, że nie upiecze mi się tak łatwo. Odebrała, a ja nadstawiłem uszu. Tata też chciał się dowiedzieć, co u niego, więc nic nie mówił. Było bardzo cicho. Tykał tylko zegar okrętowy. Mama powiedziała jak zwykle: „Tu dom Sangerów”, a potem: „Przy telefonie” i „Tak, jestem jego matką”. Boże, Mab, widzę to tak wyraźnie.

Podniosłem powieki. Mab siedziała nade mną zupełnie nieruchomo, pochylona, i patrzyła mi w oczy. Miała neutralny wyraz twarzy, po prostu zamieniła się w słuch.

- Mama upuściła słuchawkę - ciągnąłem. - Plastik trzasnął niesamowicie głośno o podłogę. Zerwaliśmy się z tatą i jednocześnie przecisnęliśmy się przez drzwi kuchenne. On wziął słuchawkę, ja zająłem się mamą, która opadła na jedno z krzeseł przy barku i wbiła wzrok w okno. Wziąłem ją za rękę. Tata mówił cościcho, nie mam pojęcia, ile to trwało. Słyszałem tylko, jak mama oddycha ciężko przez otwarte usta. Tylko to. Jakby to był ostatni dźwięk, jaki usłyszę w życiu. Potem mama nagle wstała i poszła włączyć telewizor. Pogłośniła na cały regulator. Chodziliśmy razem z pokoju do pokoju i włączaliśmy wszystkie telewizory, radio, potem otworzyliśmy okna na oścież, żeby wpadło trochę hałasu z ulicy. Ale to ciągle było za mało.

Łzy skleiły rzęsy Mab. Przesunęła palcem pod okiem, dotknęła mojej piersi i narysowała mokrą runę. Gdyby robił to ktoś inny, pomyślałbym, że mazanie skóry łzami jest obrzydliwe. Tymczasem pomogło mi to.

- Strasznie mi przykro - wyszeptła.

- Zginął w wypadku. - Westchnąłem. - Niefart. Nie prowadził po alkoholu, nic z tych rzeczy. Pogoda była dobra. Z jakiegoś powodu Aaron po prostu stracił panowanie nad kierownicą. Były ślady hamowania, być może wymijał jelenia, ale... - Ścisnęło mnie w gardle. Znow westchnąłem. Przypomniały mi się sny, w których dławiły mnie róże.

Mab pochyliła się i pocałowała mnie w czoło. Miałem gorączkę, więc jej usta wydały mi się chłodne.

- Will, połóż mi głowę na kolanach. Zaśpiewam fci coś i wypędzę twoją klątwę.

Pozwoliłem, żeby przesunęła mnie na swoje udo. W brzuchu poczułem łaskotanie. Mab oparła rękę na mojej piersi, a ja odchyliłem głowę tak daleko, jak mogłem, i zobaczyłem, że sięga po szczypce do grilla, wyjmując z paleniska jeden gorący kamień i kładzie go na klepisku. Potem drugi i trzeci. W końcu wylała na nie wodę z miski. Zasycały i puściły parę.



Z jednej z mniejszych miseczek nabrała szczyptę brązowego proszku i rozsypała go po kamieniach. Para od razu zapachniała ostrzej. Zapiekł mnie nos.- To odrobinę zaboli - ostrzegła.

Pokazała mi mały srebrny nożyk. Nacięła nim sam środek mojego siniaka. Trochę zapiekło, ale poczułem bardziej ulgę niż ból, a ucisk jakby zelżał.

- Teraz dodam do ognia resztę ziół i trochę krwi. Ty nic nie musisz robić. Po prostu się rozluźnij.

Skupiłem wzrok na trójkątnym cieniu na jej szyi tuż pod szczęką i długim loku opadającym przez ramię. Zapamiętałem, co zobaczyłem, i zamknąłem oczy.

W ciemności pojawił się jakiś cichy dźwięk. Nucenie. Mab nuciła! Czułem na karku niosącą się po jej nodze delikatną wibrację. Nie znałem tej melodii, może Mab improwizowała. Śpiewała w kółko to samo, jakby powtarzała sam refren. Kamienie syczały raz po raz, Mab poruszała się, sięgała po coś, zmieniała pozycję; znowu rozsmarowała mi coś na klatce piersiowej. Zacząłem się pocić. Mab nuciła teraz szybciej. Położyła mi dłoń na czole, głaszcząc mnie kolistymi ruchami.

Kości wypełniło mi gorąco, mięśnie się rozluźniły. Moja skóra jakby znikła, stała się mgiełką. Istniał tylko głos Mab i jej dłoń na moim czole.

MAB

Upuściłam krwi na kamienie.

Buchnęła w powietrze parą; rozrzedziłam ją wodą i wzmocniłam śpiewem. Na śliskiej skórze Willa wyrysowałam palcem runy sił witalnych i czystości, wkładając w to całą ufność w powodzenie rytuału. Potem wachlarzem z kruczych piór dmuchnęłam mu parą w twarz i pierś. Kiwając się w rytm bicia naszych serc, wyjęłam z paleniska resztę kamieni i polałam je wodą. Nabrałam do płuc parnego, gęstego powietrza o aromacie szaławii, mlecza, czosnku i ostropestu. Dodałam też uspokajającej lawendy i tarczycy na rozluźnienie. Po twarzy spływał mi pot, a włosy stały się gmatwaniną sprężynujących loków.

Czułam się lekka. Przy ziemi trzymała mnie tylko leżąca na moich kolanach ciężka głowa Willa. Powoli wzięłam kilka wdechów; wypuszczając powietrze, nuciłam.

Ze środka mojego ciała rozplynęła się paląca magia. Kiedy dotknęła Willa, skrzywił się lekko. Zaczęłam śpiewać nieco głośniej. Moja moc niszczyła kłutwę.

Do stodoły wpadł leciutki wietrzyk, który wywiał na zewnątrz ostatnie wstęgi pary.

Pochyliłam się, żeby przyjrzeć się skórze Willa. Wściekle, krwawe smugi wyblakły, a żółty, różokształtny siniak znikł. Odetchnęłam z ulgą. Końcówkami włosów załaskotałam Willa w policzek.

Kiedy otworzył oczy, ujęłam jego twarz w dłonie i poruszyłam nią, badając oczy pod różnymi kątami. Na brązowych tęczęwkach było jeszcze widać czerwone ślady, ale nie martwiłam się, bo wiedziałam, że one także wyblakną, podobnie jak siniak.

- Mab? - wyszeptał.

Przytuliłam go z uśmiechem.

- Ogłaszam, że jesteś oczyszczony.

Gabriel wrócił do domu na początku następnego lata. Pojechałeś odebrać go ze stacji. Kiedy obaj wysiedliście, uśmiechnięci, z zaparkowanego przed domem pontiaca, rzuciłam się Gabrielowi na szyję. Miło było znowu poczuć jego pachnący słońcem płyn po goleniu. Nie przeszkadzały mi nawet ubrylantowane włosy. Gabriel odwzajemnił mój uścisk.

- Nie spodziewałem się takiej radości - zachichotał.

Poprowadziłam go za rękę do domu. Czekał tam placek rabarbarowy z ostatnich przetworów i upieczona specjalnie na cześć Gabriela kaczka. Pamiętasz, jak się cieszyliśmy, że wraca? Nie mogliśmy się doczekać tych długich letnich wieczorów przy kominku, kiedy Gabriel będzie nam czytał i opowiadał, co mu się przydarzyło przez ostatni rok. Cały tydzień sprzątałam dom i przekopywałam ogródek, a Ty odmalowałeś framugi okien i werandę. Pieczołowicie zaplanowaliśmy też chwilę, kiedy powiemy mu, że poprosiłeś mnie o rękę.

Na początku było trochę sztywno, w końcu tyle czasu mieszkaliśmy sami i po swojemu ułożyliśmy sobie domową przestrzeń - co robimy gdzie, jak przemieszczamy się po pokojach, kiedy w przelocie całujemy się albo muskamy dłońmi. I w ten porządek nagle wkroczył Gabriel, zgubiony kawałek układanki. Wszyscy musieliśmy się dostosować. Doskonale pamiętałam, jak to jest czuć się piątym kołem u wozu. Ustawiałam się tak, żeby Gabriel był zawsze pomiędzy nami, i ze wszystkich sił starałam się nie marzyć o tym, by wsunąć Ci ręce za poły marynarki. Jedliśmy kaczkę i się śmialiśmy. Gabriel zabawiał nas opowieściami o waszyngtońskich wieczach, eleganckich rautach i zadzierających nosa damach. Ja z kolei pochwaliłam się, że moje mydła cieszą się niebywałą popularnością, a Ty wspomniałeś o swoim nowym projekcie: u zbiegu Małego i Wielkiego Potoku wyznaczyłeś bezpieczne miejsce do utrwalania magii. Zjedliśmy prawie cały placek, a potem leniwie niczym koty rozsiedliśmy się w salonie. Wzięłeś mnie i Gabriela za ręce, splotłeś swoje palce z moimi i powiedziałeś:

- Gabrielu, Evelyn zgodziła się zostać moją żoną.

Znieruchomiał jak przerażony królik. Potem spojrzał szybko na mnie. Ścisnęłam Twoją dłoń i uśmiechnęłam się, starając się nadać całej swojej postaci tyle radości, ile to tylko możliwe.

- Ale Arthur poprosił, żebyśmy poczekali na ciebie - dodałam.

Gabriel rozluźnił się trochę i usadowił wygodnie w fotelu.

- Świetnie - powiedział ze śmiechem, spoglądając z ulgą w sufit. - A ja się martwiłem, że nie będziecie w stanie wykrztusić do siebie słowa.

- Nie mówieniem się zajmujemy - odparowałam.

Ty zamrugałeś zaskoczony, a Gabriel zagwizdał. Poszedł do spiżarni i wrócił z zakurzoną butelką brandy. Upiliśmy się tamtego wieczora. Śmialiśmy się, tańczyliśmy i śpiewaliśmy wszyscy troje, nawet Ty. Wyobrażałam sobie nas za kilkanaście, kilkadziesiąt lat - rodzinne święta, urodziny, spotkania przy kominku, dookoła piszczące dzieci.

Gabriel miał nam zawsze towarzyszyć, nasz brat, przyjaciel, wujek dla naszych dzieci. Mogliśmy być tacy szczęśliwi.

WILL

Mab pomogła mi usiąść i powiedziała, żebym przez chwilę się nie ruszał. Sama zabrała się do sprzątanania po wszystkim.

- Musisz odpocząć. Twoje ciało potrzebuje czasu, żeby się oswoić.

Obserwowałam, jak Mab gasi ogień. Trochę kręciło mi się w głowie, ale nie od choroby, raczej jak po strzeleniu bramki. Popatrzyłem po sobie. Skóra na klatce piersiowej nadal była lekko przebarwiona, ale smugi zniknęły. Dotknąłem miejsca po nich. Nie było gorętsze niż reszta ciała. Uśmiechnąłem się. Zadziałało. Nawet głowa przestała mnie boleć. Czulem zapach dymu, ziół i świeżego powietrza wpadającego przez otwarte na oścież drzwi stodoły. Roześmiałem się.

Mab uklękła przy mnie z talerzem pełnym ciastek, wędliny i sera. Miała też dużą szklankę wody.

- Powoli - ostrzegła.

Najpierw skupiłem się na picciu drobnymi łyżkami. Zaburczało mi w brzuchu i rzuciłem się w końcu na jedzenie. Mab tylko raz czy dwa dotknęła mojej dłoni, żebym tak nie wsuwał. Ona też jadła i razem szybko spałaszowaliśmy większość zapasów. Nie mogłem się doczekać, kiedy pokażę mamie, że wyzdrowiałem. I udowodnię Benowi, że nic mi nie jest. Ale najpierw, kiedy tylko przyjdę do domu, wyjmę kość o smaku fistaszków i przywitam się wreszcie z moimi pieskami. Najedzony, po szklance wody, poczułem się znowu sobą. Jakbym ożył na nowo. Podparłem się dłońmi i głęboko westchnąłem. Mab podciągnęła kolana pod brodę i przez dłuższą chwilę mi się przyglądała. Nie wiedziałem, jak zareagować, więc uśmiechnąłem się do niej. Odwzajemniła uśmiech.

- Coś ci pokażę - powiedziała.

Wstała, podeszła do przeładowanych półek na jednej ze ścian i wyjęła koszyk z czymś w rodzaju zabawek.

- Wybierz.

- Po co?

- No wybierz. - Uśmiechnęła się tajemniczo.

Pochyliłem się nad koszykiem i pogrzebałem w zabawkach.

Były tam figurki wystrugane z drewna i odlane z metalu, brokatowe ozdoby, kwiaty origami. Wyjąłem małego, plastikowego ludzika - dżokeja na koniu. Z głowy konia wychodziło kółeczko. Mab przewlekła przez nie czerwoną nitkę.

- Super. - W jednej ręce trzymała dżokeja, drugą podała mnie.

Poszliśmy przez łąkę dookoła zachodniego zbocza wzgórza. Oboje byliśmy na bosaka. Uważałem, żeby w trawie po kolana nie nadepnąć czasem na kłujące ostrzeżyny. Mab uczyła mnie dziwnych nazw różnych roślin - takich jak ciemiężyk albo kosmos. Wietrzyk powiewał, a słońce przypiekało mi odkryte ramiona.

Kiedy szliśmy, opowiedziałem Mab dowcip:

- Puk, puk! Kto tam? Sąsiadki. Nie ma siatek!

Mab śmiała się głośno i dźwięcznie, ale ja zdałem sobie sprawę, że to magia wprawiła mnie w taki szampański nastrój. Nic sobie z tego nie robiłem, po prostu trzymałem Mab za rękę, a moja głowa była lekka jak lecący ku niebu balon z helem.

Na południowym zboczu wzgórza weszliśmy w wysokie po pas łodygi z wielkimi liśćmi. Zapytałem Mab, czy to kukurydza, ale ona dziwnie na mnie popatrzyła.

- Słoneczniki! - odparła i zanurzyła się między dwa rzędy tyczkowatych łodyg.

Pobiegłem za nią. Liście uderzały mnie po nogach i brzuchu; przypominało to moment po skończonym meczu, kiedy przebiega się wzdłuż zawodników przeciwnej drużyny, przybijając z nimi piątki, ale bez spoglądania w oczy. Pole było nagrzane słońcem. Zwolniłem; biegłem moim ulubionym tempem treningowym, prawie nie zauważając nierówności pod stopami. Przed nami zamajaczył stary, błyszczący w słońcu na pomarańczowo silos. - Mab wyrwała prosto do niego, depcząc po drodze łączkę małych fioletowych kwiatków.

Kiedy dobiegliśmy do silosu, Mab złapała chwiejnie wyglądającą drabinkę.

- Masz lęk wysokości?

- Z tego co wiem, to nie - odparłem.

Zaczęła się wspinać, a ja za nią. Tu zrobiłem błąd - spojrzałem w górę. Dzięki Bogu, jej sukienka falowała w powietrzu i zakrywała, co trzeba. Zatrzymałem się, ściskając metal, i

ruszyłem dopiero, kiedy Mab doszła na sam szczyt. Drabina trochę dygotała pod moim ciężarem, ale dało się przeżyć. Część stopni niedawno wzmocniono, a rdza była umiarkowana.

Na górze przesadziłem brzeg silosu i stanąłem w rzadkiej trawie. O dziwo, nie było zabudowanego dachu, w dodatku pośrodku rosło spore drzewo, rzucając cień na wszystko dookoła. Było obwieszane wstążkami i figurkami, wyglądało jak jakaś dziwaczna letnia wersja choinki. Mab już na mnie czekała, uśmiechnięta i oparta biodrem o ściankę silosu.

- Witam w mojej wieży. - Rozłożyła szeroko ręce. - Fajnie tu masz. - Odchyliłem głowę i przez konary drzewa popatrzyłem w niebo.

Mab poprosiła, żebym przygiął jej jedną z gałęzi, a sama zawiązała na niej nitkę z dżokejem. Kiedy puściła gałąź, całe drzewo zatrzęsło się, dzwoniąc srebrnymi dzwoneczkami. Ich niesamowitą melodię porwał wiatr. Oboje podeszliśmy do krawędzi silosu.

Znajdowaliśmy się na wysokości co najmniej trzeciego piętra. Widzieliśmy stąd całe kilometry na wschód. Po lewej wznosiło się wzgórze, ale porośnięte tak gęsto, że domu na szczycie nie było widać. Drózkę namierzyłem tylko dzięki przerwie w drzewach. Poza tym dookoła rozciągała się preria i intensywnie zielony las. Podeszedłem do południowej strony silosu. Widok był podobny, tylko więcej pól, które wyglądały jak złotozielona szachownica.

- Nasza ziemia kończy się o tam, za łąką, gdzie widać rząd topoli. - Mab wskazała lewą ręką, opierając się lekko o moje ramię. Gdybym je przesunął, wylądowałaby na mojej pierś. - Co dwa lata zamawiamy koszenie i sprzedajemy potem siano ludziom z zachodniej posesji, której nie widzisz, bo zasłania ją drzewo i Wielki Potok.

Uniosłem ramię. Mab wsunęła się swobodnie i zadarła głowę, żeby sprawdzić, jak zareaguję na jej słowa.

- Super - powiedziałem.

Rękę wsparła na moim boku, jej włosy laskotały mnie w twarz. Chciałem, żeby ta chwila trwała wiecznie.

Niebawem odsunęła się delikatnie i podeszła do drzewa. Ja zostałem. Było mi zimno w miejsce, gdzie wcześniej oparła dłoń.

- Jesteś pierwszą osobą, którą tu przyprowadziłam - odezwała się cicho, jakby ją samą to zaskoczyło. - Mogę stąd pójść, jeśli chcesz... albo możemy razem iść gdzie indziej.

- Nie, nie. - Zrobiła kilka niepewnych kroków w moją stronę. - Nie to miałam... - Westchnęła. - To było stwierdzenie, a nie wyrzut.

Uśmiechnąłem się. Ona też.

Żeby rozładować atmosferę, wskazałem łąkę i zapytałem:

- Myślisz, że mógłbym tu kiedyś przyjść z psami? Byłyby zachwycone.

Wyobraziłem sobie, jak Walkiria szaleje na trawie, a Furia poszczekuje wesoło. Uśmiechnąłem się jeszcze szerzej, aż prawie pękły mi policzki. Nie mogłem się doczekać, kiedy znowu je zobaczę.

Mab na niby spoważniała.

- Pod warunkiem że obiecują nie rzucić się na żadne z moich zaklęć.

- Zaraz, zaraz. - Podeszedłem do niej i popatrzyłem jej w oczy. - To nie była ich wina.

A poza tym... - Zatrzymałem się pół metra przed nią. Nagle poczułem miękkość w kolanach. - W sumie cieszę się, że to się stało.

- Ja też - odparła z uśmiechem.

MAB

Z dodatkową osobą na szczycie mojej wieży powinno być ciaśniej, tymczasem przeciwnie - miałam wrażenie, że miejsce zyskało oddech i świeżość. Usiadłam, opierając się plecami o pień judaszowca i podciągając kolana pod brodę, a Will położył się w słońcu, ze splecionymi pod głową ramionami. Koronę drzewa obsiadły kruki; dzwoneczki rozdzwoniły się, a drżące cienie liści pocętkowały twarz i klatkę piersiową Willa. Widziałam żółtawy, różokształtny ślad po siniaku, który znikł już prawie zupełnie.

Poczułam wszechogarniającą ulgę. Rozluźniłam się. Udało mi się oczyścić Willa z klątwy, która uciekła z róż. Jeżeli zostały jeszcze jakieś bezańskie resztki magii, powinny teraz zaniknąć. Wreszcie będę miała czas, żeby zająć się Lukasem. Wszystko układało się jak należy.

Oparłam policzek na kolanie i obserwowałam poruszające się pod zamkniętymi powiekami oczy Willa.

- Chyba nie będę w stanie stąd zejść - odezwał się nagle.

- Jak to? - Z powodu przyciśniętego do nogi policzka mój głos wydawał się przytłumiony.

- Tu jest zbyt przyjemnie. - Przeciągnął się, wyginając łukowato grzbiet i wysuwając ręce do góry, ku mnie. Rozsunął palce u rąk i stóp, niczym duży pies, który właśnie się zbudził.

Zanurzyłam stopy w trawie. Ja też zawsze się tu tak czułam.

- Po takiej ciężkiej pracy dobrze byłoby się zdrzemnąć.

- To ty pracowałaś. Ja tylko leżałem.

- Od tego jestem. - Uniosłam rękę i musnęłam palcem spód rosnącego nisko liścia. -  
Poza tym potrafię się regenerować, czerpiąc energię z przyrody.

Will otworzył oczy, wygiął szyję i popatrzył na mnie.

- Serio?

- Tak.

- I co jeszcze potrafisz?

Uśmiechnęłam się tajemniczo.

- Mnóstwo rzeczy.

- Potrafisz chodzić po wodzie?

- Hm. - Zacisnęłam usta. - Nie próbowałam, ale Arthur na pewno tak.

Roześmiał się i pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Był twoim tatą?

- Nie. - Mocniej przytuliłam kolana.

- Jak tu trafiłaś?

- Jak to zwykle bywa z magią. Zostałam przyprowadzona. Matka mnie tu przyniosła.

Nie miałam jeszcze dwóch lat, ale ona stwierdziła, że jestem na tyle duża, że nie potrzebuję jej non stop.

Willowi zrzęda mina.

- Słabo.

- Ale to była prawda. Tutaj miałam Arthura i babcię Lyn, no i od czasu do czasu różnych... kuzynów, tak to ujmijmy. Kiedy byłam mała, mieszkał tu chłopiec o imieniu Justin, a później, przez pięć lat, para - Faith i Eli z dwójką dzieci. Matka odwiedzała nas czasami. Zawsze okazywała mi wtedy mnóstwo miłości. - Wzruszyłam ramionami. - To nie tak, że nie byłam kochana. Rodzinę mam tutaj.

- Dosyć niestandardowo, co? Zresztą, w dzisiejszych czasach niewiele rodzin można nazwać „normalnymi”.

Przytaknęłam.

- Teraz mieszkam z Donną. Przyjechała do nas, kiedy miałam dziesięć lat, a dwa lata później umarła moja matka. Dla syna Donny, Nicka, jestem w pewnym sensie przyrodną siostrą. - Pomyślałam o Silli. Nie byłam pewna, kim dla mnie jest. I kim chce być. Chciałabym, żebyśmy były jak siostry. Siostryczarodziejki.

Popatrzyłam w górę, na kruki.

- No i one.

- Kruki?

- Tak. Też są dla mnie rodziną. - Spojrzałam z powrotem na Willa. Wzrok miał zwrócony na mnie, nie na ptaki. - Kiedy przyleciały po raz pierwszy, byłam właśnie tutaj. Przywiązywałam akurat amulet do drzewa. - Pokazałam jedną z rosnących z boku gałęzi. - Tamtego drewnianego niedźwiadka. Stałam na palcach. Wstążka wyslizgiwała mi się z rąk, bo była nowa, sztywna. I nagle na gałęzi wylądował kruk. Przytrzymał mi dziobem supeł, żebym mogła zawiązać kokardkę. Powiedziałam: „Dziękuję panu!”, a on mi się uklonił. Zupełnie mnie to zauroczyło. Wyrwałam sobie z głowy kilka włosów, splotłam je i podałam mu. - Zamknęłam oczy, przypominając sobie tamtą chwilę. - On wziął plecionkę w dziób, delikatnie, jakby była ze złota.

Will westchnął.

- Mówisz o nim, jakby był człowiekiem.

Zamrugałam.

- Bo był.

- Co? - Will usiadł.

- Kruki były kiedyś chłopakiem o imieniu Reese. Mieszkał w Missouri. Tuż przed śmiercią przeniósł się duchem w ciało kruk. Opętał go, żeby całkiem nie umrzeć. I żyje dalej, ze mną. Przyjaźnimy się. Lata, jest wolny i szczęśliwy.

Uśmiechnęłam się do najbliższego siedzącego ptaka, który w odpowiedzi nastroszył pióra na karku.

- Niesamowite. To jakby zyskać nieśmiertelność. I móc latać - powiedział tęsknie Will, chyba śniąc na jawie. Zrozumiał.

Podeszłam kawalek na czworakach i usiadłam obok Willa, a kiedy na mnie popatrzył, dotknęłam jego klatki piersiowej. Powoli rozplaszczyłam dłoń, przesuwając ją trochę w stronę barku, tam, gdzie po raz pierwszy go dotknęłam i zostawiłam odcisk zakrwawionej ręki. Na skroni poczułam poruszający mi włosy oddech Willa. Przysunęłam się jeszcze bliżej, uniosłam głowę i cmoknęłam go w policzek.

On ujął moją twarz w jedną rękę i pogłaskał za uchem. Przez kilka pełnych napięcia sekund żadne z nas ani drgnęło. W końcu Will obrócił głowę i mnie pocałował. Nie poruszał ustami, tylko je przyciskał, tak intensywnie, że wydawało mi się, że za chwilę stopią się z moimi w jedno.

Rozchyliłam wargi. Krew mrowiła mi w żyłach. Przysunęłam twarz jeszcze bliżej; kiedy mrugałam, muskałam rzęsami jego policzek.

- Mab - szepnął.



Uśmiechnęłam się i spojrzałam w jego oczy koloru żółędzia. Na tęczówce niczym potłuczone szkło migotały jeszcze prążki czerwieni. Wytworzyła się między nami magiczna więź. I aż buzowała energią.

Chciałeś przedstawić mnie swoim najdawniejszym znajomym, dlatego postanowiłeś zaprosić ich na nasz ślub. Wielu było nieosiągalnych przez telefon ani nawet listownie, więc musiałeś ich zaprosić osobiście. Byli wśród nich: Twój dawny uczeń Philip Osborn, który po drugiej wojnie światowej przepadł bez wieści w Górach Skalistych, niemieckie bliźniaki i - w szczególności - Earnest Harleigh.

- Jedź, zatroszczę się o twoją księżniczkę - powiedział Ci Gabriel.

Oświadczyłam, że nie potrzebuję niczyjej troski, na co Gabriel pociągnął mnie za warkocz jak mały chłopiec. Byłeś spokojny, że damy sobie radę. Przez pierwszych kilka dni nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Tęskniłam za Twoją obecnością, zwłaszcza rano, po przebudzeniu. Gabriel odnalazł swoje miejsce na farmie. Z energią zabrał się do trochę zaniedbywanych przez Ciebie zajęć, a nawet, muszę przyznać, odnosił się z o wiele większym niż Ty entuzjazmem do moich wypieków.

Wieczorem trzeciego dnia od Twojego wyjazdu przyniósł mi naparu z ziół. Siedziałam akurat na werandzie, podziwiając niebo zmieniające kolor z błękitnego na fioletowy. Powiedział, że herbatka pochodzi z Nowego Jorku; robi się ją z malutkich żółtych kwiatków, które nie rosną na prerii. Wypiłam. Nawet mi smakowało, bo mdlący smak maskowała mięta.

Niestety, była to trucizna, nie herbata.

MAB

Robiło się późno, więc zabrałam Willa z powrotem do stodoły, żeby wziął swoje ubranie, i skierowaliśmy się do samochodu. Marzyłam, żeby został jeszcze trochę, ale wpakowaliśmy się do kombi i pojechaliśmy do miasta. W połowie drogi do domu Will wyjął z kieszeni telefon i wysłał SMS do rodziców. Potem dotknął mojego nadgarstka i powiedział:

- Nie chcę jeszcze wracać. Jedziemy na lody?

Pokierował mnie w okropną alejkę sklepową, na której co krok był fast food albo hipermarket, i zawinęliśmy do budynku z kreskówkowymi krowami na markizach. Dla siebie Will zamówił przez okienko lody truskawkowe i jakiś czas patrzył na mnie pytająco, a potem zamówił drugie, o smaku mięty z czekoladą. Usiłowałam zapłacić pospiesznie przemienionymi w banknoty liśćmi, które wygrzebałam ze schowka, ale Will wytrącił mi papierki z rąk i wyjął portfel z kieszeni dżinsów. Kiedy wyjeżdżaliśmy z plastikowego świata, Will - przytrzymując kolanami styropianowe kubeczki - otworzył schowek i wyrzucił przez

okno wszystkie liście, które tam znalazł. Leciały za nami, a kilka kruków zanurkowało, żeby je złapać.

Jechałam tam, dokąd mnie prowadził. Zatrzymaliśmy się na parkingu pod jego szkołą. O tej porze nie było wielu samochodów; chyba właśnie kończyła się większość zajęć pozalekcyjnych i okolica powoli pustoszała. Stanęliśmy w dalekim narożniku parkingu, przy boisku, i wysiedliśmy. Z zimnym kubeczkiem w dłoni wspięłam się w górę betonowej trybuny. Całość przypominała trochę Koloseum. Składała się z szarej, kamiennej widowni, zielonego boiska ze świeżymi, niemal runicznymi białymi pasami i okalającego je, intensywnie różowego pierścienia bieżni.

- Wielki magiczny krąg - zażartowałam.

- To taki mój odpowiednik silosu - odparł Will z uśmiechem.

Dla tego uśmiechu warto było dać się uwięzić w mieście, z dala od trawy pod nogami.

Chmury zniknęły; niebo było jednolicie błękitne. Usiadłam obok Willa, podwijając nogi pod siebie. Świeciło na nas wystające jeszcze zza drzew zachodzące słońce. Kruki szwendały się w pobliżu w poszukiwaniu okruchów i resztek.

- To nie jest prawdziwe jedzenie. - Wetknęłam plastikową łyżeczkę w zimną masę.

Will podsunął mi swoją łyżeczkę.

- Spróbuj. Truskawkowe.

Przyjrzałam się temu, co mi podał.

- Z rzeczy do jedzenia tylko stek jest różowy.

- Gapisz się na nie, jakbyś chciała wzrokiem przemienić je w żabę - powiedział Will z pełnymi ustami.

Skosztowałam swoich. O dziwo, mięta była orzeźwiająca i dobra. Drobiną rozpuściła mi się na języku, pozostawiając płatek czekolady.

- Wiedziałem, że będzie ci smakować.

Will był już w połowie porcji. Zanurzyłam łyżeczkę w kubku i zabrałam się do pochłaniania lodów. Nieczęsto jedliśmy je w domu, a tego smaku nie próbowałam nigdy. Zjadłam połowę, ale okazało się, że zbyt szybko. Kiedy poczułam lodowate klucie w czole, jęknęłam i odsunęłam kubeczek. Will usiłował ukryć śmiech. Położyłam się i przytknęłam policzek do rozgrzanego betonu. Gorąco wniknęło w całe moje ciało.

Will usiadł stopień niżej. Oparł się plecami o pionową ściankę, tak że jego ramię znalazło się tuż przy moim nosie. Otworzyłam oczy. Piegi rozrzucone na skórze Willa zaczynały się przy linii włosów i chowały za wycięciem jego koszulki.

Musnęłam to miejsce palcami. Will drgnął, zaskoczony, ale zaraz się uspokoił. Położyłam dłoń na jego ramieniu, tam, gdzie zaczynała się szyja. Skórę miał rozgrzaną słońcem. Czułam, jak unosi się i opada w rytm oddechu.

- To tutaj gracie w piłkę?

- Nie. Czasem tu trenujemy. Ale do piłki potrzebne jest szersze boisko. Gramy tam. - Wskazał na południe. - Widzisz bramki?

Nie spojrzałam, ale wymruczałam, że tak. Will przykrył moją rękę swoją. Leżałam, napawając się ciepłem stadionu.

Przyjemnie było obserwować, jak szczęka, biegnące wzdłuż szyi mięśnie i ucho Willa poruszają się, gdy mówi.

Kilka rzędów niżej wylądował niewielki, szarobrazowy wróbel. W dziobku trzymał spory kawał chleba. I zaraz nerwowo odskoczył, żeby znaleźć się z dala od kruków, które rozsiadły się ławą na trybunach. Zamknęłam oczy. Słyszałam hałas z ulicy i czułam zapach miasta w lecie: spalin, błota, gnijących odpadków. Żar palił skórę, a na kręgosłupie pojawiły mi się krople potu. Ale wcale nie chciałam iść do domu. Leżeć w ostrym, jasnym świetle, żeby każdy mógł mnie obejrzeć jak na dłoni i zobaczyć, że trzymamy się z Willem za ręce - było w tym coś bezwstydnego, a jednocześnie naturalnego.

- Mab, czego chcesz? - zapytał cicho Will.

Uniosłam się i popatrzyłam na niego. W słońcu krzywił się i mrużył oczy; na krawędzi jego tęczęwki nadal migotała czerwona plamka.

- Czego chcę?

- No wiesz, od życia.

- Hm. Być tym, kim jestem. Diakonem. Chcę żyć magią i czerpać energię z przyrody. Pomagać ludziom, niszczyć klątwy. Do tego jestem stworzona.

Uśmiech Willa nabrał nieco goryczy.

- To musi być super.

Pokręciłam głową.

- Nie jest łatwo.

- Ale przynajmniej wiesz, czego chcesz.

- A ty nie? - Położyłam sobie jego dłoń na kolanach i ścisnęłam ją oburącz. - Mówiłeś, że marzysz o podróżach. Chcesz przelecieć przez ocean i zobaczyć różne piękne miejsca.

- To żaden plan na życie. Raczej... ucieczka. - Will wstał i potarł oczy rękami. Nie odwracając się, ciągnął: - Wiem tylko, czego na pewno nie chcę. Nie chcę być żołnierzem. Nie zamierzam robić tego samego, co moi bracia i mój tata. Nie chcę... nie chcę układać sobie

życia według ich wyobrażeń. Aaron tak zrobił i zginął. Z głupiego powodu. - Westchnął. - W pewnym sensie mnie to otrzeźwiło. Zdałem sobie sprawę, że istnieją inne możliwości. Ale kiedy przyszło co do czego, otworzyłem oczy i zobaczyłem pustkę.

Podniosłam się i stanęłam na krawędzi stopnia. Will miał głowę na wysokości mojego brzucha.

- Zobaczyłeś mnie - powiedziałam cicho.

Will się obejrzał.

- Tak, ale to w pewnym sensie nawet gorzej. Ty wiesz. Nie masz wątpliwości. Nie mogę tego wytrzymać, ale z drugiej strony sam bym tak chciał.

- Właśnie że mam wątpliwości. I to często! - Roześmiałam się, myśląc, jak niewiele działałam w sprawie Lukasa. - Ciągłe się uczę.

- No tak, ale wiesz, kim jesteś - wyszeptał z rozpaczą.

Zrobiło mi się smutno. Wyciągnęłam rękę i przysunęłam go do siebie, aż wtulił twarz w mój brzuch i objął mnie za biodra.

- Wiem też, kim ty jesteś - odparłam cicho. Przygotowałam zaklęcie, używając jego krwi. Po czymś takim było oczywiste, że znam go na wskroś. Pochyliłam się i objęłam Willa, jakby starając się ochronić go przed całym światem.

Will odsunął się na tyle, żeby podnieść na mnie wzrok, jego ręce jednak nadal tkwiły na moich biodrach. Przez sukienkę czułam ich palący dotyk.

- No to kim jestem?

- Nie mogę ci powiedzieć. To nie takie łatwe. Musisz odkryć to sam. Na tym polega cała magia. - Uśmiechnęłam się zawadiacko. Roześmiał się. Cichym, odrobinę markotnym śmiechem.

- Nie mogę uwierzyć, że o tym rozmawiamy. Przeciętni ludzie mają inne tematy, wiesz?

- Nie wiedziałam.

- I pewnie dlatego cała ta rozmowa.

Will ściągnął mnie na swój stopień. Zsunęłam się, opierając o niego. Nasze ciała znalazły się bardzo blisko. Na chwilę odebrało mi dech.

- Siema, Will! - krzyknął ktoś nagle.

Will odsunął się gwałtownie i odwrócił, zasłaniając słońce ręką.

- Matt!

Zacisnęłam palce na brzegu koszulki Willa. Kruki poderwały się do lotu, szukając odpowiednich, wyżej położonych stanowisk.

Tamten chłopak - Matt - pędem przesadzał kolejne stopnie trybun. Jego plecak podrygiwał, a długa grzywa opadała na oczy, więc co chwila musiał ją strząsać.

- Tak właśnie myślałem, że to ty - powiedział, kiedy stanął przed nami - chociaż podobno masz szlaban.

Will skrzywił się, ale zaraz uśmiechnął.

- Mab mnie odbiła.

- Nieźle. - Matt przyglądał mi się trochę podejrzliwie, a trochę z szacunkiem. Co i rusz odgarniał sobie włosy z oczu. - Chyba znasz się na czarach, skoro unieszkodliwiłaś jego tatę.

Zatkało mnie, Will jednak się roześmiał i zamknął moją bawiącą się jego koszulką dłoń w swojej.

- Jasne, że tak - odparł. Uśmiechnął się do mnie i przedstawił Matta jako kapitana swojej drużyny. - A to oczywiście jest Mab Prowd - dodał.

Bardzo żałowałam, że pod podeszwami sandałów nie mam czegoś bardziej miękkiego i naturalnego niż beton. Wysunęłam rękę z dłoni Willa i podałam ją Mattowi. Staralam się patrzeć na niego śmiało i pewnie. Uświadomiłam sobie, że Will w takiej sytuacji by się uśmiechnął. Spróbowałam więc to zrobić. Matt odwzajemnił uśmiech i pokręcił lekko głową.

- Miło cię wreszcie poznać.

- Wreszcie? - Popatrzyłam na nich pytająco. - Przecież znamy się dosyć krótko.

- Tak, ale - Matt przysunął się do mnie tak blisko, że prawie zetknęliśmy się ramionami, i odwrócił twarzą do Willa - ten wariat już dwa razy wtopił z twojego powodu. A więc może i znacie się krótko, ale za to intensywnie.

- Żebyś wiedział.

Poczułam się trochę onieśmielona w ich towarzystwie, więc tylko przytaknęłam. Byłoby o wiele lepiej, gdybyśmy znajdowali się na łące, a nie na betonowych trybunach.

- Zaraz - rzucił Will. - Jak to dwa razy?

Matt niewinnie otworzył szeroko oczy, ale zdradził go uśmiezek.

- Shanti wspominała, że zdezerterowałeś z ich stoiska na targu.

Will się nachmurzył.

- Nie byłem im potrzebny.

- Co zrobić. - Matt wzruszył ramionami tak samo, jak mój kuzyn Justin, kiedy mówił o kobietach.

- Powinnam wracać do domu - powiedziałam. Nie miałam ochoty na towarzystwo Matta, a poza tym byłam niezadowolona, że nam przerwano.

Will westchnął.

- Ja też. Wciąż mam szlaban.- Fatalnie. - Matt odsunął się na krok od naszej dwójki. - Słuchajcie, a może wpadniecie, pojedziemy po Shanti i zjemy gdzieś' kolację? - Skinął głową na Willa. - Tak jak mówiliśmy. Shanti strasznie chce pogadać z Mab.

Poczułam się nieswojo, jakbym w brzuchu miała gorącą wodę. Przeraziła mnie myśl, że jacyś ludzie w moim wieku w ogóle o mnie myślą, a co dopiero rozmawiają. Ja nie należałam do ich cywilizowanego świata.

Will zauważył moje zmieszanie.

- Teraz nie mogę. - Patrzył to na mnie, to na Matta. - Ale po zakończeniu szkoły, czemu nie - w powietrzu zawisło pytanie, skierowane najwyraźniej do mnie.

Podjęłam męską decyzję. Zgodziłam się.

WILL

Nie kłamałem, kiedy powiedziałem, że wciąż mam szlaban. Wysłałem wcześniej SMS do mamy, ale najwyższa pora wracać. Matt dał nam dobry pretekst.

Pokierowałem Mab do mojego domu. Była skupiona na jeździe. Przez parę minut dało się słyszeć tylko warkot silnika. Wreszcie się odezwałem:

- Dzięki, że zgodziłaś się na wyjście z Mattem.

Na jej twarzy uśmiech pojawił się i zniknął.

- Nie ma sprawy. To przecież twój kolega.

- Nie chcę stawiać cię w niezręcznej sytuacji.

Mab nic nie powiedziała. Dopiero kiedy stanęliśmy na czerwonym, popatrzyła na mnie. I jeżeli mi się nie przywidziało, była trochę speszona.

- Chętnie gdzieś pójde z twoimi znajomymi.

Za oknem za jej głową zachodziło słońce. Pomarańczowa plamka światła odbiła się od szyb i padła akurat na usta Mab.

Nie mogłem oderwać od nich oczu. Udało mi się tylko skinąć głową i wychrypieć:

- Super.

Mab się uśmiechnęła. Rozluźniony, oparłem się wygodnie w fotelu. Przez uchylone okno wpadało ciepłe powietrze.

- Myślałam o tym, co mówiłaś wcześniej, że nie wiesz, kim jesteś. A kim chcesz być?

Głęboko zaczerpnąłem powietrza.

- Nie wiem. Chociaż powinienem. Wszyscy naokoło wiedzą. Lekarze, prawnicy, biolodzy molekularni. Żołnierze, pisarze, księgowi. Każdy ma plan.

- No dobrze. To powiedz, czego nie chcesz.

Nie chcę wysiadać z twojego samochodu i potem nie widzieć cię przez kolejnych kilka dni. Odchrząknąłem.

- Nie chcę wstępować do armii. Nie zamierzam robić czegoś tylko dlatego, że ktoś tego po mnie oczekuje.

- Dobra. To już coś.

- Nieprawda.

Zerknęła na mnie, a potem znowu na drogę.

- Czasami, kiedy muszę podjąć jakąś decyzję, zastanawiam się, co zrobiłaby moja matka, a potem robię coś zupełnie przeciwnego.

Zmarszczyłem czoło.

- Była taka okropna?

- Tak. Zabiła Reesea. I jego rodziców.

Mab powiedziała to lekkim tonem, przez co jej słowa były jeszcze bardziej przerażające.

- Przykro mi.

- O najgorszym dowiedziałam się dopiero, kiedy odeszła. Dla mnie zawsze była piękna, żywiłowa, niezwyciężona. Kochałam ją, mimo że ciągle wyjeżdżała. - Westchnęła i zamrugła.- Kiedyś wydawało mi się, że chcę być taka jak ona. Ale potem zobaczyłam, że niszczyła wszystko, czego się dotykała. Zapomniała, że magia nie istnieje wyłącznie dla nas, tylko jest powiązana z całym światem. Nie można działać egoistycznie. Mam nadzieję, że nigdy o tym nie zapomnę. Moja magia ma pomagać światu.

- Chcesz naprawić to, co ona zniszczyła.

- Tak. Ale nie zamierzam się do tego ograniczać.

- Jestem pewien, że sobie poradzisz.

- A ja wiem, że znajdziesz swoje przeznaczenie. - Mab się uśmiechnęła.

Odwzajemniłem uśmiech. Bez dwóch zdań była to najdziwniejsza rozmowa, jaką kiedykolwiek odbyłem. Ale z Mab wszystko było niestandardowe. Nawet w ten stary gruchot umiała tchnąć nowego ducha.

Kilka minut później zajechała pod mój dom, zatrzymała samochód i obróciła się twarzą do mnie.

- No, to jesteśmy.

Tylko że ja, zamiast wysiąść, siedziałem i gapiłem się na nią. Nigdy nie podziwiałem nikogo w moim wieku. Mab jednak nie tylko była cudowna i niepowtarzalna, ale też pewna tego, co robi. Wiedziała, kim jest. Imponowało mi to.

Pochyliłem się ku niej. Siedzenie zaskrzypiało, kiedy oparłem na nim rękę. Mab też się przechyliła - spotkaliśmy się w pół drogi i pocałowaliśmy. Było tak samo jak poprzednio; pachniała dymem i ziołami, a jej loki załaskotały mnie w rękę, którą ją objąłem.

Pocałunek trwał zaledwie parę sekund, ale to wystarczyło, żeby zadzwoniło mi w uszach. Uśmiechnąłem się, z ustami cały czas na jej ustach. Mab odrobinę cofnęła twarz. Spojrzałem prosto w jej ogromne, intensywnie niebieskie oczy. Płonęłyjej policzki. Marzyłem, żeby znowu ją pocałować. Gdyby nie to, że siedzieliśmy pod moim domem, na pewno bym to zrobił.

Złapała za przód mojej koszulki.

- Zadzwonię, dobra? - wyszeptałem.

Mab tylko przytaknęła. Zaciśnęła usta i znowu skinęła głową. Potem chwyciła kierownicę. Tak mocno, że aż zbieleły jej knykcie. Czyli chciała tego samego, co ja. Uśmiechnąłem się; z wysiłkiem wyszedłem z samochodu i trzasnąłem drzwiami. Stałem rozpromieniony i przyglądałem się, jak Mab wycofuje auto.

Zanim zniknęła mi z pola widzenia, przyłożyła dłoń do szyby. W końcu odjechała, a stado kruków poleciało jej śladem.

Trucizna, którą podał mi Gabriel, wcale nie miała mnie zabić. Działała powoli. Za pomocą magii wsącał w moje ciało krople własnej krwi i z wolna przejmował nade mną władzę.

Dwa dni później ogarnęła mnie gorączka. Dygotałem, zlana potem, ciasno opatulona kocami. Od magii rwały mnie kości, dokuczał mi ból głowy i drżały ręce. Była pewna, że to grypa, zwłaszcza że pod opieką Gabriela najwyraźniej dochodziłam do siebie. Błogosławiłam dobrodzieję, który stał przy moim boku. Do tego stopnia, że pewnego ranka, kiedy w końcu znalazłam dość siły, żeby wstać z łóżka, wzięłamgo za rękę i w podzięcie cmoknęłam w policzek. On niezwykle delikatnie otoczył mnie ramieniem. Ach, Arthurze, skąd mogłam wiedzieć?

Byłam osłabiona, ale już wystarczająco silna, żeby wrócić do swoich zajęć. Pewnej niedzieli ubierałam się przed lustrem, żeby pójść do miasteczka. I kiedy przypinałam kapelusz, zobaczyłam w oczach czerwony pobłysk.

WILL

Nucąc sobie w głowie, z energią otworzyłem drzwi i wmaszerowałem do domu. Była ósma. Przed chwilą wysiadłem z samochodu najpiękniejszej, najbardziej niesamowitej dziewczyny pod słońcem. Podparłem się pod boki, odchyliłem do tyłu i krzyknąłem:

- Tato, mam, Ben, zwołuję rodzinne zebranie!



Pierwsza odpowiedziała mama. W kwiecistym fartuchu i ze ścierką w rękach wychyliła się z kuchni.

- Will? - Uśmiechnęła się, zaciekawiona.

- Cześć, mamó. Masz chwilę?

Skinęła głową.

- Tylko skończę wkładać naczynia do zmywarki. Podeszedłem parę kroków i cmoknąłem ją w policzek.

- Są tata i Ben? Widziałem ich samochody.

- Siedzą w ogrodzie. Podziwiają zachód słońca.

- Super. To potrwa tylko chwilę. Przyjdiesz do ogrodu?- Tak, tylko włączę zmywarkę.

Wyszedłem na zewnątrz przez rozsuwane drzwi. Słońce schowało się już za dach sąsiadów i w ogrodzie zapadał zmrok. Tata z Benem siedzieli na dwóch krzesłach turystycznych z butelkami coli w dłoniach.

- Cześć, mały - odezwał się tata.

Miał na sobie swój ulubiony strój - podróbkę koszulki Hard Rock Café z Bahrajnu, którą z pierwszej wojny w Iraku przysłał mu kumpel.

- Jak tam szczepienie? - zapytał Ben.

- Hm? - Pytanie do mnie nie dotarło, bo szukałem wzrokiem psów.

- Szczepienie drzew. Przecież po to zostałeś zwolniony z aresztu.

Obróciłem się do niego.

- A, jasne. Było super. - Uśmiechnąłem się promiennie, udając niewinność, ale Bena nie udało mi się okpić. - Mama już idzie. Chcę zwołać krótkie zebranie rodzinne.

Tata odsunął butelkę coli od ust i zmarszczył brwi.

- Coś się stało?

- Nie. - Zerknąłem na Bena. - Zdecydowałem, co chcę robić po szkole.

I zanim któryś zdążył odpowiedzieć, pobiegłem w stronę psiej zagrody. Przez deski zauważyłem kształt Furii. Odemknąłem drzwiczki, przykucnąłem i wyciągnąłem rękę do moich psów.

Walkiria z ogonem przy ziemi stała w głębi zagrody, Furia podchodziła do mnie. Zjeżyła sierść, ale szła. Nie warczała, nie szczyrzyła zębów. Starąłem się opanować drżenie ręki i spokojnie oddychać. Pół metra ode mnie przystanęła, wyciągnęła szyję i swoim czarnym, chłodnym nosem dotknęła koniuszka mojego palca.

Drżałem z wysiłku, żeby się nie poruszyć.

- Will! - zawołał Ben.

Furia odskoczyła, ale nie położyła uszu po sobie.

- Już, piesku - powiedziałem uspokajająco. Ona przechyliła łeb. Poczułem tak wielką ulgę, że aż się roześmiałem. Owszem, zachowywała ostrożność, ale była sobą. - Zaraz wrócę z czymś pysznym, dobra? Na przykład boczkim.

Słyszając to słowo, Walkiria zamarła zainteresowana z postawionym na sztorc ogonem.

- Obiecuję! - Roześmiałem się. Zadziałało. Magia Mab zadziałała!

Wycofałem się z kojca, zostawiając otwarte drzwiczki, żeby psy mogły wyjść. Mama dołączyła już do taty i Bena. Zdjęła fartuch i objęła ich obydwu w pasie.

Serce mi załomotało. Potarłem szyję tuż pod szczęką, gdzie moje tętno usiłowało przebić się na powierzchnię za pomocą karabinu maszynowego. I poszedłem powiedzieć rodzicom, że ich plany na moją przyszłość zamierzam wyrzucić do kosza.

**MAB**

Kiedy tylko znalazłam się sama w samochodzie, zrzuciłam sandały. Dalej prowadziłam na bosaka. Wjeżdżając na wiadukt nad autostradą, dodałam gazu. Kombi zaterkotało. Przez okno zaskrzeczały na mnie dwa kruki. Wystawiłam rękę na zewnątrz i poczułam uderzenie gorącego wiatru, który przepłynął przez cały samochód i wywiął ze mnie wzbierający ni stąd, ni zowąd chichot.

Dawno nie było mi tak lekko na sercu. Ostatni raz chyba kiedy tańczyłam z Arthurem i babcią, tuż przed jej śmiercią. Rozpaliliśmy wtedy przy ogrodzie wielkie ognisko, do którego wrzucaliśmy nasze życzenia, żeby poszybowały aż do gwiazd.

Była Donna, a także Faith z Elim i dziećmi. Przyjechali nawet Nick i Silla, bo mieli akurat przerwę w zajęciach. Październikowe powietrze pachniało cydrem i intensywnym dymem drzewnym. Śmiałam się tak bardzo, że następnego dnia gardło odmówiło mi posłuszeństwa i ledwie byłam w stanie mówić. Nauczyłam Hannah odczytywać jej imię ze zmiennych wzorów, w jakie układały się czerwonozłote liście klonu. Kiedy zaszło słońce, Nick puścił w obieg swoją piersiówkę z whisky. Wzniósł toast za zdrowie Reesea, bo przypadała akurat piąta rocznica jego śmierci. Pałący alkohol sprawił, że łzy napłynęły mi do oczu. Po niebie krążyły kruki. Silla splunęła w ogień, a kiedy buchnął mocniej, złapała w ręce jeden z płomieni, wyciągając go z ogniska niczym linę, i rzuciła nim w górę, do swojego uskrzydłonego brata.

Wszystkim było ciężko. Trudno zapomnieć o przeszłości i o tym, że poznaliśmy się z powodu mojej matki. Zresztą kiedy przyjeżdżała Silla, nikt nie wspominał słowem o Josephine.

Kruki złapały koniec ognistej liny i poleciały w różne strony, rozdzielając wstęgę na dwanaście nitek. Potem splotły ją w siateczkę i spuściły na nas. Każdy złapał brzeg tej sieci, nawet mała Hannah, która nauczyła się już, że najpierw trzeba zanurzyć ręce w ziemi. Łączyła nas wszystkich cienka siateczka ognia. Jej żarząca się moc przebiegła przez moje dłonie, serce i stopy, by w końcu wnikać w ziemię.

Byłam wtedy wśród bliskich. Gdybym chciała, mogłabym rzucić się ku niebu i poszybować razem z krukami.

Zdażyłam już minąć połacie magicznej ziemi i dotrzeć do ukrytej furtki, kiedy postanowiłam, że roześlę zaproszenia do wszystkich znanych nam czarowników. Urządzę letnie święto, podczas którego poznają nowego Diakona. Będziemy wylegiwać się na słońcu, grillować, grać w gry i dużo się śmiać. Zaproszę też Willa. I może jego znajomych.

Kombi zatrzymało się na placu pod domem. Wysiadłam, zastanawiając się, jak zapytać Donnę, kiedy powinnam do niego zadzwonić. Gdybym odezwała się za wcześnie, mógłby pomyśleć, że za bardzo mi zależy, z kolei za późno - wyszłoby na to, że go lekceważę. Nie miałam pojęcia, gdzie leży granica.

Weszłam do domu. W przedpokoju stała Donna ze wzrokiem wbitym w wiszący na ścianie telefon. Tarcza do wykręcania numeru była wysłużona wieloletnim użytkowaniem, dziesiątki palców wytarły lakier ze słuchawki. Nie ruszałam się. Czekałam.

Donna puściła ręce luźno wzdłuż boków; lniane rękawy bluzki sięgały niemal do połowy dłoni. Po jej plecach spływał warkocz. Miała na sobie swoje ulubione spodnie: luźne, dziurawe na kolanach dzinsy, a także kalosze. Sięgnęła po telefon, zacisnęła dłoń na słuchawce i zdjęła ją z widełek. Zamarła z ręką w pół drogi między ścianą a uchem. Sznur dyndał, poza tym wszystko tkwiło nieruchomo.

W końcu Donna odwiesiła słuchawkę, odwróciła się i skierowała do kuchni.

Podreptałam za nią. Po drodze rzuciłam gorzkie spojrzenie w stronę telefonu. Zatrzymałam się między przedpokojem a kuchnią, jedną rękę opierając o łukowate przejście.

- Wszystko w porządku? - zapytałam cicho.

Donna obróciła się na pięcie. W dłoni trzymała nóż do masła.

- O, Mab. Tak.

- Gdzie Lukas?

Wskazała nożem sufit.

- W wannie. Spaliliśmy wszystkie liście z małego ogródka. Był cały usmarowany.

- Co chcesz na obiad? - Podeszłam do zlewu i umyłam ręce. Zachodziłam w głowę, jak przejść do jej niedoszłej rozmowy telefonicznej.

- Możemy upiec szaszłyki. Mamy pomidory, zieloną paprykę i resztę mięsa z gulaszu.  
Za oknem ogród niknął w wydłużonych, fioletowych cieniach.

- Rozstawię odstraszacze komarów.

Wytarłam dłonie w zatkniętą za uchwyt piekarnika ściereczkę. Donna stanęła za moimi plecami.

- W niedzielę Silla ma uroczyste zakończenie szkoły.

Dobry nastrój, w jakim tu przyjechałam, powrócił.

- Rzeczywiście! Wybierasz się?

- Mogłabym pojechać jutro i pomóc im w pakowaniu rzeczy do Oregonu - rzuciła Donna lekkim tonem, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Ponad jej ramieniem zerknęłam na telefon.

- Koniecznie do nich zadzwoń. Silla ma parę rzeczy Arthura. Chciałabym je dostać z powrotem, zanim wyjedzie. Aha... - Otworzyłam lodówkę i wyjęłam pudełko pomidorów. - Zamierzam zrobić imprezę. Letnie święto dla wszystkich czarowników, żeby mogli poznać nowego Diakona. - Uniosłam podbródek i uśmiechnęłam się szeroko.

- Mogę przyjechać z Nickiem i Sillą. Byłoby im po drodze z Kansas.

- Świetny pomysł! Nick na pewno chciałby zobaczyć, co u Lukasa.

- Hm. - Donna odsunęła się, popatrując na telefon. W zamyśleniu przekrzywiła głowę.

- Chcę mu dać do zrozumienia, że wiem, dlaczego się przeprowadza. - Podeszła kilka kroków do telefonu. - Może ty i Lukas pojedziecie ze mną, co? Zabębniłam palcami o plastikowe pudełko z pomidorami.

- Chyba nie powinnam wywozić go poza magiczną ziemię tak od razu po zniszczeniu runy. Musi oswoić się z nowym stanem rzeczy. I on, i ziemia potrzebują czasu, żeby odnaleźć wzajemną równowagę. - Uniosłam głowę i popatrzyłam na sufit, jak gdybym po drugiej stronie widziała Lukasa. Z szumu w rurach wywnioskowałam, że wypuścił już wodę z wanny. - Damy sobie radę. Nawet dobrze nam to robi. Będziemy mieli trochę czasu na wgłębienie się w zaklęcia. I zastanowimy się, jak go całkiem uwolnić.

- To jeszcze dziecko. - Donna zmarszczyła czoło. - Może powinnam zostać.

- Nie, nic z tego! - Zaczęłam skakać dookoła niej. - Pomysł jest świetny. Nie będziemy z Lukaszem gotować ani sprzątać. I będziemy spać pod gołym niebem jak dzikusy! - Wycofałam się z kuchni w stronę telefonu. - Mamy w perspektywie cały weekend laby. Zadzwoń do Nicka, jeżeli ty nie chcesz.

Donna roześmiała się i złapała mnie za rękę.

- Nie ma mowy! Potrafię być odważna.

- Wiem! - Stałam na palcach, pocałowałam ją w policzek i popędziłam w stronę drzwi. - To ja rozstawię odstraszacze komarów! - zawołałam jeszcze.

WILL

Słońce schowało się za dom sąsiadów, ale niebo nie było jeszcze całkiem czarne. Rodzice rozmawiali przyciszonym głosem nad stołem pełnym okruszków karmelowego brownie, a Ben za pomocą długiej zapalniczki zapalał bambusowe pochodnie chroniące przed komarami miejsce, gdzie siedzieli. U jego stóp przycupnęła Walkiria ze swoją ulubioną odblaskową piłeczką w pysku i czekała, aż Ben znowu jej ją rzuci. Ja siedziałem na ziemi, opierając się plecami o ścianę domu. Furia leżała metr ode mnie. Odkąd tu przyszedłem, co kilka minut przysuwała się do mnie o parę centymetrów.

Wszystko poszło o wiele łatwiej, niż przypuszczałem. Oświadczyłem rodzicom, że nie chcę zdawać ani do Akademii Marynarki Wojennej, ani w ogóle na żadną uczelnię, bo po skończeniu liceum zamierzam poświęcić rok na pracę i jeżdżenie po świecie. Ben zacisnął szczęki i nic nie mówił. Mama zapytała, dokąd chcę jechać. Zdradziłem, że rozważam wyjazd do Nowej Zelandii, mimo że nie byłem tego na sto procent pewien. Mama zakryła usta, przerażona, że to tak daleko. Tata z najwyższym spokojem odparł, że cieszy się, bo poznał moje plany, ale naprawdę nie uważa przerwy w nauce za najlepszy pomysł. Odpowiedziałem, że nie szukam najlepszego pomysłu, wystarczy mi taki, który się sprawdzi. Nie przełknął tego gładko, ale ja obronnym gestem uniosłem ręce i powiedziałem:

- Tato, nie chcę o tym dyskutować.

- Sam zwołałeś to zebranie - przypomniał mi. - A zebrania rodzinne mamy właśnie po to, żeby dyskutować.

Mama jednak dotknęła nadgarstka taty.

- Dan, powinniśmy się z tym przespać. To wielka zmiana. Musimy w spokoju przetrwać ten pomysł.

Tata rzucił jej trudne do rozszyfrowania spojrzenie, ale kiedy uniosła brwi, skinął głową.

- Dobrze. Umawiamy się na niedzielę po południu. - Uśmiechnął się do mnie ze stanowczą miną, która, jak dobrze wiedziałem, oznaczała, że szykuje argumenty nie do odparcia.

Ścisnęło mnie w żołądku. Nie poddam się tak łatwo. Tata mógł sobie rzucać najbardziej logiczne argumenty na świecie, ale ja byłem pewien, czego nie chcę. To już coś, jak powiedziała Mab. Taki miałem punkt wyjścia. Niedługo skończę osiemnaście lat i rodzice nie będą mogli mnie zmusić do niczego. Oby tylko nie próbowali.

Potem poszedłem z mamą do kuchni pokroić pomidory i sałatę do hamburgerów. Nie nawiązała do rozmowy w ogrodzie; co jakiś czas prosiła tylko półgłosem, żebym podał jej a to ogórki kiszane, a to musztardę. Kiedy ją mijalem, swoim zwyczajem muskała czule moje ramię albo dotykała pleców - przynajmniej ona nie była na mnie zła. W tle szumiało radio z jakimś wieczornym teleturniejem. Udało mi się na tyle rozluźnić, że robiłem to, o co prosiła mnie mama, nie myśląc o przyszłości ani przeszłości. Ani nawet o Mab.

Ale kiedy miałem już za sobą kolację, pogawędkę między innymi o egzaminach końcowych i letnich treningach, kopanie piłki z tatą i Benem, wreszcie - deser, mogłem myśleć o Mab ile wlezie. Furia przysunęła się jeszcze kawałek. Od wilgoci wiszącej w wieczornym powietrzu zachciało mi się spać. Zamknąłem oczy, oparłem się tyłem głowy o ścianę domu i wyobraziłem sobie, że znowu się całujemy.

- No dobra. - Ben klapnął na trawę obok i wyciągnął przed siebie nogi. Zdyszana Walkiria położyła się przy nas. - Mów, co się dzisiaj z tobą stało.

- Co?

Ben założył ramiona na piersi i z uniesionymi brwiami czekał, aż odpowiem.

Furia przeniosła łeb na moje kolano. Zacząłem drapać ją za uchem; przynajmniej miałem się na czym skupić.

- Jesteś inny. Potrafiłeś się wybronić.

Głos Bena był tak pozbawiony wyrzutu, że aż na niego spojrzałem.

- To ta dziewczyna, prawda? Nieswojo wzruszyłem ramionami.

- Zakochałeś się?

- Stary. - Przesunąłem dłońmi po twarzy. - Nie jestem... To... - Na samą myśl o zakochaniu się w Mab traciłem grunt pod nogami. Miałem wrażenie, że siedzę w ciepłej smudze światła. Jakby czekało mnie coś cudownego. Nadzieja tkwiła mi w piersi niczym magnes.

- Uśmiechasz się.

Rzeczywiście. Przybrałem poważną minę, ale uśmiech powrócił.

- Ben, słuchaj. Nie chcę o tym gadać, dobra? Boję się to zniszczyć.

Ben zmarszczył brwi.

- To najgłupsza rzecz, jaką od ciebie słyszałem.

- Założę się, że nie.

Roześmiał się. Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale nie byłem pewien co.

- Dopiero co się poznaliśmy. Dwa tygodnie temu. Tego samego dnia, kiedy wróciliśmy do domu.

- Szybki jesteś.

- To nie tak... Ona jest taka niezwykła i dzika. I piękna. Myśmy nawet nie... -  
Westchnąłem. - Pocałowałem ją dopiero dzisiaj.

- A mimo to udało jej się przekonać cię, żebyś porzucił tradycję, tak?

- Ben! - Zaczynałem się wkurzać. Ale zaraz mi przeszło. - Tak. Właściwie to tak. Mab  
pokazała mi masę niesamowitych rzeczy. Naprawdę dobrych i ważnych.

Marszczył teraz czoło bardziej niepewny niż rozeźlony.

- Opowiedz.

- Nie uwierzyłbyś.- Wierzę teraz w mnóstwo rzeczy, w które kiedyś nie wierzyłem.

Pokręciłem głową.

- Już widzę, jak wierzysz w klątwy i magię.

- Co takiego?

- No właśnie.

- Will, ponosi cię fantazja.

- Nieprawda. - Furia postawiła uszy, reagując na moje wzburzenie. - Mab mówi, że w  
przyrodzie istnieją powiązania, wzory. Ludzie zwykle ich nie zauważają, ale nic nie dzieje się  
bez przyczyny. Możemy nie rozumieć, jaka to przyczyna, ale nie zmienia to stanu rzeczy. Na  
tym polega magia Mab.

Ben rozluźnił ramiona, złączył dłonie na kolanach i popatrzył na nie'.

- To się inaczej nazywa.

- Jak?

- Nie wierzę, że wszystko ma swoją przyczynę. Chyba że boską. W przeciwnym razie  
- odpada.

- Dlaczego?

Skręcił głowę zaledwie na tyle, żeby przyszpilić mnie wzrokiem.

- Bo zabijałem ludzi, Will.

Usiłowałem wytrzymać jego spojrzenie, ale nie dałem rady, odpuściłem. Popatrzyłem  
na rodziców rozmawiających cicho nad stołem ogrodowym. Potem na uszy zaniepokojonej  
Furii. Jak mogłem dyskutować z takim argumentem? Doświadczenie Bena sprawiało, że  
wszystko, co przeżyłem, wydawało się małe i nic nieznaczące.

Ben bębnił palcami po udach.

- To był chwyt poniżej pasa.

- Tak to już jest z zabijaniem. Zawsze jest poniżej pasa.- Co zrobić.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, oparci plecami o ścianę domu. Tylko Walkiria pomrukiwała, bo Ben drapał ją po brzuchu. Przysłuchiwałem się szumowi z głównej ulicy, cykaniu świerszczy i głosom rodziców.

- Mówiłeś mi o tej dziewczynie, pamiętasz? - powiedziałem w końcu. - Twojej reporterce.

- Mhm. Lauren.

- To właśnie jest magia.

Ben przymrużył oczy.

- Powiedziałeś, że z jakiegoś powodu jesteś pewien, że będziecie razem. To się stanie i już.

- Mówiłem coś takiego - wymamrotał.

- Właśnie tak się czuję. W ogóle tego nie rozumiem, ale wiem, że magia Mab istnieje naprawdę. Musisz mi uwierzyć na słowo. - Przypomniało mi się, jak Mab rzuciła się z drzewa, ani przez chwilę nie wątpiąc, że ją złapię. Czegoś podobnego oczekiwałem od Bena.

Przez chwilę studiował mnie uważnie.

- Dobra.

- Poważnie?

- Tak.

Przyjrzałem mu się w poszukiwaniu sygnału, że ściemnia.

- Uwierzysz mi?

Ben odchylił głowę i spojrzał w ciemnoniebieskie niebo.

- Spróbuję.

MAB

Rozstawiłam już połowę odstraszaczy na komary, kiedy kruki zaskrzeczały głośno i szerokim kołem obsiadły trawę wokół mnie. Zrozumiałam, że najwyższy czas rozmówić się z Sillą.

Rzuciłam na ziemię nożyk do upuszczania krwi i przez werandę wbiegłam do domu. Donna stała w przedpokoju oparta o ścianę, ze sznurem od telefonu okręconym dookoła palca wskazującego. Wyprostowała się na mój widok.

- Mab, wszystko dobrze?

Zamarłam, niepewna. Potem bardzo wolno skinęłam głową.

- Kiedy skończysz, chciałabym porozmawiać z Sillą.



Donna popatrzyła na mnie z niepokojem i przekazała moją prośbę. Ja tymczasem schowałam się do kuchni i wstawiłam wodę, ale nie minęła minuta, a już Donna prosiła mnie do telefonu.

Wstałam i zdecydowanym krokiem podeszłam do aparatu. W wyobraźni zobaczyłam zagubienie wymalowane na twarzy Willa, kiedy powiedział, że nie wie, kim jest. Miał zupełną rację: ja doskonale znałam swoje miejsce w świecie. Osoba, którą chciałam być - strażniczka krwi, jak nazwał mnie Lukas - nie powinna mieć problemu z troszczeniem się o kruki i jednocześnie dbaniem o całą rodzinę czarowników. Wzięłam telefon z rąk Donny, która pospiesznie wyplątała palce ze sznura i oddaliła się.

- Silla? - rzuciłam do słuchawki.

Przez chwilę słyszałam trzaski, a potem jej głos:

- Cześć, Mab.

Osunęłam się po ścianie na podłogę i usiadłam z kolanami pod brodą.

- Chciałabym cię przeprosić. - Przypomniałam sobie wyraz twarzy, jaki Silla przybierała za każdym razem, kiedy mowa była o mojej matce: nieruchomy, lodowaty, do tego uniesione brwi. - Żałuję, że powiedziałam o Reesie to, co powiedziałam.

Przez dłuższą chwilę milczała. Ja czekałam. Mój wzrok powędrował do salonu; wodziłam oczami po pomarańczowych paskach wzorach roślinnych zdobiących dywanik przed kominkiem.

- Sam podjął decyzję - odezwała się w końcu.

- Nie żeby cię zranić.

- Chciałam... chcę go odzyskać. To się nigdy nie zmieni. - Głos jej zadrżał. Wyprostowałam plecy. - Ale ma prawo decydować o swoim życiu, nawet jeśli... jeśli to nie ten sam Reese, którego kochałam.

- Każdy się zmienia.

Silla się roześmiała. Krótko, cicho.

Nie miałam pojęcia, jak zdjąć ciężar z jej serca. Według mnie przemienienie było o wiele lepszym wyjściem niż śmierć, ale Silla pewnie nie widziała różnicy.

- Dzięki, Mab - powiedziała po chwili. - Wiem, że jesteś lepsza niż ona. Wychował cię Arthur, nie Josephine.

Mimo że minęło tyle czasu, nie była w stanie wypowiedzieć imienia mojej matki bez złości. Nie winiłam jej za to.

- Po zakończeniu roku zabierzcie się z Donna i przyjedźcie do nas. Chcę zrobić imprezę zapoznawczą. Byłoby mi... bardzo miło cię gościć. - Zabrzmiało to bardzo sztywno, oficjalnie. Zamknęłam oczy.

- Przyjedziemy - odparła Silla od razu. - Nawet gdybym musiała zawlec Nicka za, hm... uszy.

Uśmiechnęłam się na myśl, że Nick i Donna będą na siebie skazani przez kilka dni.

- Donna nie obejdzie się bez morza herbaty.

- Zapakuj jej na drogę. U nas znajdzie tylko kawę i wódkę, które zostały mi po pisaniu pracy. - Było słychać, że się uśmiecha.

Chwila porozumienia połączyła nas przez kabel telefonu co najmniej tak dobrze jak magia krwi.

Wystraszona pobiegłam zapytać Gabriela, czy widział kiedyś podobną przypadłość. On uśmiechnął się lekko i skinął głową.

- Znam pewien sposób. - Wziął mnie za rękę. - Idź do salonu, ja wszystko przyszykuję.

Siedziałam godzinę z zamkniętymi oczyma i czekałam, modląc się w duchu. Nie byłam w stanie się z Tobą skontaktować, pojechałeś na drugi koniec kraju, a ja nie potrafiłam przenikać do Twoich snów tak jak Gabriel. Byłam zdana tylko na niego.

Wyszliśmy razem do ogrodu.

- Tu będzie ci wygodnie - powiedział.

Tuż obok zagonu z różami wyrzył w ziemi okrąg, na tyle duży, że położyłam się w nim, a Gabriel usiadł obok. Zdjął mi buty, kapelusz i pierścione amulet, który zrobiłeś mi dla ochrony przed opętaniem, a także perłowe kolczyki, które założyłam przy niedzieli. Miałam na sobie prostą sukienkę w kolorze wiosennych liści - z krótkimi rękawami, zapinaną na guziki. Gabriel upuścił do miseczki z atramentem parę kropel swojej krwi i wyszeptał nad nią kilka słów. Potem ustawił ją nad maleńkim płomykiem, położył mi rękę na czole i kazał zamknąć oczy. Jak zapewnił, czekało mnie oczyszczenie. Chciał usunąć z mojego ciała całą chorobę.

Rozluźniłam się. Na niebie zbierały się zwiastujące wieczorną burzę chmury. W drzewach szumiał gwałtowny wiatr, jak gdyby sprzeciwiając się zakłębom Gabriela. Ciasno zaciśnięte pączki róż kiwały się na gałązkach. Zamknęłam oczy. Wewnątrz kręgu Gabriela czułam się bezpieczna. Ufałam mu.

Gabriel podwinął mi rękawki i za pomocą pędzelka i wymieszanego z krwią atramentu zaczął malować wzory na moich rękach, od dłoni aż do barków. Potem rozpiął gorę

sukienki, żeby pomalować mi dekolt aż do serca. Atrament przyjemnie mrowił. Uśmiechałam się, a Gabriel niespiesznie łączył linie wzoru i nucił cichutko piosenkę po francusku. Po chwili przysnęłam. Teraz wiem, że to był błąd. Magią i melodią uspił moją czujność, żebym nie wiedziała, co robi.

Tylko raz z wysiłkiem otworzyłam oczy, kiedy przerwał malowanie. Niebo zasnuły ciemne chmury i wyglądało, jakby zapadał zmrok. Uniosłam rękę, żeby odgarnąć kosmyk z ust. I wtedy zauważyłam runy na skórze dłoni i nadgarstka. Wyglądały znajomo. Z trudem zamrugałam. Powoli zdałam sobie sprawę, że sukienkę mam rozpiętą aż po pas, a mrowiące zawijasy pokrywają już piersi, żebra i brzuch.

Były takie same, jak tatuaże Gabriela. Mówiłeś mi, że to one trzymają go w ciele. Gabriel siedział obok bez koszuli i w drewnianej miseczce przygotowywał kolejną porcję krwistego atramentu.

- Co robisz? - wyszeptałam ostatkiem sił.

Popatrzył na mnie. Tatuaże na jego skórze zarzyły się.

- Przemieniam - odparł. - Lubię cię, Evelyn - dodał z żalem.

- Gabrielu. - Usiłowałam usiąść, ale ciało miałam jak z ołowiu. - Gabrielu!

- Przykro mi - powiedział, chyba szczerze. - Zaraz zaśniesz. Bezboleśnie. A ja przejmę twoje ciało.

MAB

Piątek był dniem odpoczynku.

Donna pakowała się, a my z Lukaszem przeczytaliśmy w ogrodzie połowę Fałdki czasu Madeleine L'Engle. Książka trochę mnie nużyła i raz po raz zerkałam na poletko róż, zastanawiając się, jak głęboko muszę się wkopać, żeby się ich pozbyć. Lukas jednak był zupełnie zauroczony Charlesem Wallaceem i nie miałam serca przerywać czytania.

Po południu pojechaliśmy do miasta. Nie robiliśmy tego często, tym razem jednak zjedliśmy obiad w restauracji, a Donna kupiła Silli prezent z okazji licencji - zrobiony przez lokalnego artystę naszyjnik z dmuchanego szkła w kolorze nasyconej czerwieni, żeby pasował do jej ulubionych kowbojek.

Tego dnia po raz pierwszy od miesiący położyłam się spać szczęśliwa.

Ale najpierw ustawiłam na parapecie miskę ze świętą wodą wymieszaną z naparem z anyżu i białej koniczyny, do której włożyłam srebrną bransoletkę od matki. Rano, po leżakowaniu w świetle księżyca, bransoletka będzie pełna mocy i gotowa do użycia.

Tak przygotowany amulet zamierzałam dać Lukasowi, by poczuł się bezpieczny i wiedział, że ojciec na pewno nie odzyska nad nim władzy. Chciałam wręczyć mu go jutro,

kiedy już odwieziemy Donnę na autobus. Wrócimy do domu, dokończymy książkę i urządzimy sobie piknik, a potem razem zaaplikujemy na bransoletce zaklęcie oczyszczające, które będzie wymagało użycia odrobinki ognia.

Położyłam głowę na poduszce. Wsłuchałam się w skrzeczenie żab i szum wiatru za oknem i pomyślałam o śmiechu Willa. Tyle potrafił nim wyrazić. Ludzie przekazywali emocje za pomocą min, gestów, barwy głosu, a Will - odcieniami śmiechu. Zasnęłam, przed oczami mając jego rozpromienioną twarz. Wyobraziłam sobie, że łapię jego radosny śmiech i przeistaczam go w dzwonki.

Niestety, moje sny były mniej przyjemne.

Śniło mi się, że róże wciągają mnie pod ziemię, owijają się dookoła moich nóg tak mocno, że aż gruchoczą mi kości. Wrzasnęłam. Gardło zatkały mi liście, we włosy wplątały się pnącza, strzeliły mi stawy. Moje ciało rozciągały rośliny. Błoto zalewało mnie coraz wyżej, twardniejąc; podchodziło w górę ud, brzucha, żeber. Byłam w pułapce! Nie mogłam nawet oddychać, bo płuca zapchały mi suche liście. Las darł mnie na kawałki. Czułam łamanie w plecach, serce rozerwało mi się na strzępy. Wreszcie w fontannie błota i krwi wystrzeliły na boki moje ramiona, nogi, oczy. Las rzucił się na moje szczątki i pochłonął je.

We śnie umarłam.

WILL

Piątek w szkole przebiegł jak zwykle. Obrywałem po łbie od Matta i chłopaków. Poszedłem do psychologa porozmawiać o tym, że nie idę na studia od razu po liceum, i czy powinienem podejść do egzaminów końcowych jesienią. Ustaliłem z paroma nauczycielami, co zrobić z testami, których nie zaliczyłem. Wziąłem nawet udział w treningu, bo Ben się za mną wstawił. Zresztą zjawił się w połowie meczu i chłopaki namówiły go, żeby się przyłączył. Uważnie obserwował mnie przez kilkanaście minut kopania piłki, aż w końcu stwierdził, że jestem dobry. A nawet bardzo dobry. Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do Mab i się z nią nie umówić, ale doszedłem do wniosku, że lepiej dać jej trochę wolności. I poczekać przynajmniej jeden dzień.

Tego dnia późno poszedłem spać, bo podłączyliśmy z Benem komputer do telewizora i długo oglądaliśmy stare kreskówki. W sobotę o świcie, dokładnie trzydzieści sześć godzin od oczyszczenia, obudziłem się cały obolały.

W klatce piersiowej czułem przeszywający ból. Zacisnąłem szczękę - bolało - i usiadłem. Zamrugąłem, żeby oczy szybciej przyzwyczyły się do ciemności. W słabym świetle latarni zza okna odczytałem bladozielone cyfry na budziku. Piąta rano. Brzask nawigacyjny.

Z mroku zaczęły się wyłaniać kształty: komputer, krzesło na kółkach stojące pośrodku pokoju, torba sportowa. Powoli wygramoliłem się z łóżka. Czułem się, jakbym miał sto lat albo jakby przejechał mnie walec. Klatkę piersiową rozsadzał mi piekący ból; sięgał aż do kręgosłupa. Zacisnąłem zęby jeszcze mocniej i niepewnym krokiem a la zombi ruszyłem korytarzem do łazienki. Miałem wrażenie, że pęka mi skóra, a moje mięśnie zaciskają się i wykręcają na wszystkie strony. Drżały mi kolana. W końcu złapałem drzwi do łazienki. Zatrzasnąłem je za sobą i włączyłem światło.

Krzywiąc się, zasłoniłem oczy przed rażącym blaskiem. Głowa pulsowała mi bólem. Oparłem czoło o chłodne kafelki, a po chwili otworzyłem oczy i spojrzałem w lustro.

Z przerażenia cofnąłem się najdalej, jak mogłem, aż uderzyłem o ścianę. Ze środka klatki piersiowej, tam, gdzie miałem serce, wystrzeliwały czerwonobrazowe smugi. Ciągnęły się po ramionach i schodziły w dół mojego brzucha. Układały się we wzory, które znałem ze snów. Wyglądały jak ozdobny tatuaż, tyle że pod skórą. Przypadłem do lustra i chwyciłem się umywalki. Oczy miałem krwistoczerwone.

Jak narysowane flamastrem.

Zrobiło mi się słabo. Za długo siedziałem na słońcu, pewnie się odwodniłem. Uderzyłem się w głowę. Wstrząs mózgu. Upadek z samolotu. Pod moimi nogami zakołowała podłoga.

Rzuciłem się do szuflady w poszukiwaniu scyzoryka. Trzęsącymi się palcami otworzyłem ostrze. Próbowałem oddychać spokojnie, ale nie byłem w stanie. Krztusiłem się. Przyłożyłem ostrze do jednego z tatuaży na przedramieniu i nacisnąłem.

Natychmiast trysnęła jaskrawa krew. Jednak zamiast skapnąć do umywalki, pociemniała, popłynęła mi po rękach aż do nadgarstków i, rozdzielając się na coraz mniejsze strużki, wsiąkła z powrotem w ornament.

Scyzoryk upadł ze szczękiem na podłogę.

Co miałem zrobić? Najpierw chciałem pobiec do Bena, ale on by mnie zabił. Rodzice... Co bym im powiedział? Nie jestem dziwolągiem, mam po prostu wredne tatuaże. Od razu zawieźliby mnie do szpitala, na operację albo inną chemię, co kosztowałoby tysiące dolców, których nie mamy. Mógłbym wtedy zapomnieć o piłce i egzaminach końcowych, no i pewnie miałbym kompletnie spażone życie, bo ta dziwna choroba na zawsze zostałaby w mojej karcie zdrowia.

Poza tym lekarze na nic by się nie zdali, tak samo drogie badania. Musiałem natychmiast jechać do Mab. Zgiąłem sięwół z okropnego bólu. Wcisnąłem pięści w brzuch.

Mama by tego nie przeżyła. Co by zrobiła, gdybym nagle zniknął bez słowa? Co by pomyślała?

Brakło mi tchu.

- Will? - Z korytarza odezwał się Ben.

- Nie wchodź. - Oparłem się o drewniane drzwi, żeby nie mógł ich otworzyć.

- Will, źle się czujesz?

Podpierając się o ścianę, wyciągnąłem rękę i z wieszaka obok prysznicza zdjąłem szlafrok. Ledwie zdążyłem narzucić go na siebie, kiedy Ben popchnął drzwi i wszedł. Cały czas zginałem się z bólu. Nie mogłem podnieść oczu, bo zobaczyłby, jakie są czerwone.

Ben chwycił mnie za ramiona.

- Boże, Will, co jest grane?

- Nic... porzygałem się. - Głowę miałem spuszczoną, a powieki zaciśnięte. Z klatki piersiowej znowu wystrzelił ból. Zadygotałem.

Ben objął mnie i pomógł wyjść na korytarz. Było ciemno, więc popatrzyłem mu w oczy.

- Ben, nie budź rodziców. Muszę...

- Musisz jechać do szpitala - syknął. - Co z tobą? - Znowu zmarszczył brwi. - Bierzesz coś? Może to reakcja na antybiotyki?

Poczułem nudności. Nogi miałem jak z waty, aż musiałem oprzeć się o Bena.

- Siadaj. Idę po mamę.

- Nie. - Złapałem go za nadgarstek i ściągnąłem na podłogę. Ukłękliśmy naprzeciwko siebie. Korytarz był wąski, pograżony w mroku; jedyne światło padało żółtą smugą z pokoju Bena, prosto na mnie. - Wiem, czego potrzebuję. Nie lekarzy. Mab.- To jej wina? - Przekrzywił głowę, przyglądając się moim oczom. - Myślałem, że wyzdrowiałeś. Przecież...

- Tylko ona może mi pomóc.

- Co ona ci zrobiła? - zapytał głośno Ben.

- Ciszej, błagam. Nie budź ich. Pozwól mi tylko do niej pojechać. To żadna tragedia.

- Pogięło cię? - Wbił palce w moje przedramiona. W miejscu, gdzie mnie dotykał, czułem pulsowanie krwi. Głowa mi łupała. Pomyślałem, że zaraz naprawdę się porzygam.

- Ben, proszę cię.

- Co ci się stało w oczy?

Zamknąłem powieki i nabrałem głęboko powietrza.

- Ben. To magia. Zaufaj mi. Tak jak obiecałeś.

Zapadła cisza. Jego palce wrzynały mi się w rękę. Ja też się go trzymałem, bo kręciło mi się w głowie.

- Mam ci zaufać, tak? - odezwał się wreszcie półgłosem.

- Tak. Puść mnie do Mab.

- Zapomnij, matole. Wstawaj. - Stał na nogi, podciągając mnie ze sobą.

- Ben, nie...

Szarpnął mną do góry i syknął, maksymalnie przybliżając twarz do mojej:

- Ja prowadzę.

Gabriel mąlował dalej. Opowiedział, jak przez ostatnie trzysta lat miał w sumie pięć różnych ciał. Opętywał kolejne osoby wedle swojego upodobania, a czasami - Twojego.

Plakałam. Bałam się, że od początku znałeś jego plan i udawałeś miłość do mnie, gdy tymczasem pragnęłaś tylko zewnętrznej skorupy, ciała, ale z Gabrielem w środku.

Spływające łzy paliły mi skronie, a ziemia pode mną drżała. Musiałam uciec. Nie zamierzałam umrzeć i stać się marionetką Gabriela. Wiedziałam jednak, że mogę spróbować tylko raz. Gabriel miał doświadczenie i dysponował wielką mocą. Moją jedyną szansą było wziąć go z zaskoczenia. Inaczej - koniec ze mną.

Gdy Gabriel zajął się malowaniem ornamentu dookoła kostki i na stopie, zaczęłam przysuwać rękę maleńkimi ruchami coraz bliżej miseczki z atramentem. Oddychałam powoli, zbierając siły. W końcu zacisnęłam palce na miseczce.

- Gabrielu - wyszeptałam.

Kiedy na mnie spojrzał, cisnęłam mu w twarz atramentem. Wrzasnął, a ja odczołgałam się w zagon róż i przywarłam do ich ostrych, kaleczących pnączy. Gabriel puścił nagle moją kostkę. Poleciałam do przodu, raniąc sobie nagą skórę o setki maleńkich kolców. Rzuciłam się do ucieczki, ale Gabriel był silniejszy. Krzyknął coś, a ornamenty pokrywające moje ciało zajęły się ogniem i oplotły mnie jeszcze ciaśniej. Jęknęłam z bólu i zaryłam palcami w glinę, żeby nie dać się złapać, ale nic z tego. Rzucił się na mnie całym ciężarem i wcisnął mi głowę w ziemię, w drapiące gałązki róż.

Uratowała mnie stara saperka, którą zostawiłam tu w zeszłym miesiącu, kiedy zrobiłeś mi niespodziankę i zabrałeś na musical do Kansas.

Złapałam ją, a kiedy Gabriel obrócił mnie na plecy, wbiłam mu ją w szyję.

Zalały mnie strumienie krwi. Gabriel zatoczył się do tyłu, ale ja bez chwili wahania rzuciłam się za nim - przerażenie dodało mi sił. Przyłożył sobie rękę do gardła, a wtedy ja wbiłam mu saperkę w serce. Miał szeroko otwarte oczy i zaplamione krwią usta.

Chwyciłam w garść róże, po których ciekła moja krew. Wyszepiałam do nich kilka słów, na co one zasklepiły się na Gabrielu, przesywając go po stokroć.

MAB

Zawieźliśmy z Lukaszem Donnę na autobus o piątej dwadzieścia siedem, a teraz wracaliśmy do domu. Świtało. Musieliśmy być na nogach o barbarzyńskiej porze, ale nie mieliśmy kłopotów ze wstaniem, bo w nocy krzyczałam przez sen i tym razem to Lukas przybiegł mnie uspokoić i - trzymając za rękę - powoli wybudzić z koszmaru. Żebyśmy nie zasnęli, opowiadałam chłopcu o srebrnej bransoletce od matki, którą teraz zamierzałam podarować jemu. Była to bransoletka na opancerzenie; matka dostała ją od kochanka, którego miała w Paryżu w latach trzydziestych. Stworzył ją za pomocą kropli swojej i kropli jej krwi. Lukas zauważył, że podobną bransoletkę nosi jego ojciec, tyle że wykonaną ze skórzanych i drewnianych kółek. Zatopiliśmy się w rozmowie o podobieństwach między właściwościami srebra i drewna; zupełnie uszło mojej uwagi, że kruki dziwnie się zachowują. Dopiero kiedy ujechaliśmy sto metrów po wysypanej kamykami dróżce, zauważyłam, że coś się dzieje - całe stado przemknęło w poprzek naszej drogi, skrzeczając przeraźliwie.

Gwałtownie zahamowałam. Samochodem szarpnęło; prawie wypadliśmy z trasy.

- Mab? - Lukas pochylił się i wyjrzał przez przednią szybę, a potem do góry, na kołujące jak oszalałe kruki.

Poczułam mrowienie we wnętrzach dłoni. Ścisnęłam kierownicę i zamknęłam oczy, wsłuchując się w szum wiatru w drzewach. Otworzyłam drzwi i stanęłam bosymi stopami na chrzęszczącej dróżce, po czym zatrzasnęłam za sobą samochód. Kruki natychmiast mnie opadły, muskając skrzydłami moją twarz i włosy.

Uklęknęłam i zanurzyłam palce w ziemi, nie poczułam jednak nic niepokojącego. Wszędzie panował spokój.

Lukas obiegł samochód i złapał mnie za ramię.

- Co się dzieje?

- Nie czujesz się dziwnie? - Spojrzałam w jego trawiaste oczy w poszukiwaniu sygnału, że coś jest nie tak.

Pokręcił głową, a jego loki się zakotływały.

- Po prostu jestem zmęczony.

Kruki zamachały na nas skrzydłami, tym razem spokojniej. Połowa stada zanurzyła się między drzewa i poleciała prosto do Różowego Domu.

- Dobrze. Zobaczmy, o co się tak piekła.



Weszliśmy w las w ślad za krukami. Przez podeszwy stóp wyczuwałam znajome mrowienie magicznej ziemi - była zwarta i gotowa, ale nie wołała o pomoc.

Kiedy wynurzyliśmy się spomiędzy drzew, zobaczyłam brata Willa, Bena. Miał na sobie dzinsy i ciemną koszulkę; przez otwarte drzwi od strony pasażera zaglądał do pikapa.

- Ben? - zawołałam.

Odepchnął się od drzwi i szybkim ruchem odwrócił do nas.

- Chodź szybko! - krzyknął spanikowany.

Usłyszałam, jak Will pyta ze środka auta:

- To Mab?

Puściłam rękę Lukasa i popędziłam w ich kierunku. Już otworzyłam usta, żeby zapytać, co się dzieje, ale Ben cofnął się, a z samochodu wytoczył się Will. Upadł na kolana. Ben rzucił się, żeby mu pomóc, ale Will odsunął go i uniósł głowę. Mimo że stałam daleko, zobaczyłam jego oczy.

Były krwistoczerwone.

Serce ścisnął mi skurcz przerażenia. Podbiegłam do nich, zahamowałam gwałtownie, wyrzucając w powietrze fontannę kamyczków, i przykucnęłam przy Willu.

- Boże, Will - westchnęłam. Odsunęłam mu kołnierz szlafroka.

Jego skóra pociemniała i pokryła się czerwonobrazowymi, krwistymi zawijasami.

- Chryste - szepnął Ben.

Skórę znaczyły długie, jętrzące się blizny. Przypominały korzenie drzewa albo pnącza jakiejś rośliny; oplatały bark i spływały w dół, na zasłoniętą szlafrokiem klatkę piersiową.

- Will. - Przeniknęło mnie coś, czego nigdy wcześniej nie czułam - jakby dotkliwa pustka połączona z ogromnym bólem. - Will! - Chwyciłam go za ramię tak mocno, że aż odpadły z jego skóry płatki zaschniętej krwi.

Cofnęłam ręce i znowu wypowiedziałam jego imię.

Poruszył ustami, ale z gardła wydobyło się tylko rżęzenie. Dopiero za drugą próbą udało mu się wydusić:

- Mab.

Jego oczy zasnuły się czerwienią w stu odcieniach.

- Co mu zrobiłaś? Co to jest? - Ben warknął wściekle i szarpnął mnie do tyłu, odciągając od Willa.

- Pomogę mu, tylko przenieśmy go do domu - odparłam ze spokojem właściwym kłamstwu. Nie miałam pojęcia, co działo się z Willem. Dlaczego mdłał z bólu, skoro dopiero co go oczyściłam? Przecież jeszcze wczoraj nic mu nie było!

- Mów! - krzyknął Ben. - Mów natychmiast, czym go naszprycowałaś, skąd ma te rany. Dzwonię po karetkę i na policję.

Przesunęłam dłonią po ramieniu Willa. Pojawiła się świeża krew, która zalśniła mi czerwienią na palcach.

- Zaufaj mi - wykrztusił Will i jedną ręką złapał Bena za koszulkę.

Zza drzew wyszło słońce. Świeciło bardzo mocno, zapowiadając upalny dzień. Lukas trzymał się z boku, jak gdyby niepewnie, ale z jedną ręką wysuniętą ku mnie - wiedziałam, że w razie czego przyjdzie mi z pomocą.

Ben spojrzał gniewnie na brata.

- Przecież ci obiecałem. I proszę, przywiozłem cię tutaj. - A już do mnie dodał: - Po drodze opowiadał jakieś niestworzone historie...Zerkał to na mnie, to na swojego brata. Położyłam płasko dłoń na ramieniu Willa, a kruki otoczyły nas kręgiem.

- Na Willu cięży klątwa. Ani lekarz, ani policja tu nie pomogą.

- Gówno prawda.

Krew Willa na mojej ręce zamrowiła magią. Zetknęłam obie dłonie.

W górę buchnął ogień. Ben odskoczył na pół metra do tyłu i rymnął na ziemię. Will skrzywił się i odwrócił wzrok, Lukas krzyknął, przestraszony, a kruki wystrzeliły w niebo. Uklękałam z półkolem kolorowego ognia rozciągniętym między dłońmi. Tę samą sztuczkę pokazałam wcześniej Willowi, ale teraz efekt wzmagają emocje.

- Zobacz. - Wyciągnęłam w stronę Bena rękę z płomienistym półkolem. - To jest moja moc. Will przyjechał tutaj, bo potrafię mu pomóc. Magia zrobiła mu krzywdę, ale magia może go uzdrowić. Nie powiem więcej, dopóki nie położymy go do łóżka.

Pod wpływem ciepła po szyi spływał mi pot, a skórę na twarzy miałam napiętą od gorąca. Bolały mnie palce; byłam o włos od poważnego oparzenia, bo serce biło mi nieregularnie i nie potrafiłam zapanować nad własną magią. W powietrzu czułam wściekłą klątwę Willa.

Zgasiłam ogień klaśnięciem. Rzuciłam znaczące spojrzenie Benowi, a potem schyliłam się i pomogłam Willowi objąć mnie ramieniem. W nosie i ustach miałam zapach wilgotnych kamieni, liści po deszczu i krwi, a także niewyraźnej, ozonowej woni ognia. Wstaliśmy z trudem. Will podpierał się na mnie i oddychał nierówno, a w miejscu, gdzie trzymałam go w talii, był gorący jak pomarańczowe płyty silosu w słoneczne popołudnie. Po jego drugiej stronie wyrósł nagle Ben.

- Trzymam go - rzucił i dźwignął część ciężaru Willa. Razem pokonaliśmy schody na werandę.

- Lukas, koło studni rosną rudbekie. Wyrwij trzy i jak najszybciej przynieś mi ich korzenie.

Chłopiec coś zamruczał, a po chwili usłyszałam tuptanie po bujnej trawie.

W domu poprosiłam Bena, żeby wniósł Willa na piętro, a potem do pierwszego pokoju po prawej. Sama poszłam do kuchni po dużą miskę i napełniłam ją wodą. Wkruszyłam trochę kory wierzby; żałowałam, że nie mam czasu nazbierać świeżych żołądzi, ale najważniejsze było teraz obniżenie Willowi temperatury. Gorączka trawiła go od środka, atakując kości i serce. Ze spiżarni wzięłam torebkę ze sproszkowanym sadźcem, wsypałam do wody i zamieszałam. Potem drasnęłam się skalpelem w nadgarstek i upuściłam do miski trzy krople krwi, cały czas śpiewając cicho pieśń chłodu, oczyszczenia i spokoju. Wsunęłam skalpel w stanik, wzięłam szmatkę i chwyciłam miskę, przyciskając ją do brzucha.

Wchodziłam po schodach bardzo ostrożnie, żeby woda się nie wylała. Dało mi to trochę czasu na skupienie energii i zewnętrzne wyciszenie, mimo że wewnątrz mnie szalała letnia burza.

W mojej sypialni Ben z zaciśniętą gniewnie szczęką zdejmował z Willa szlafrok. Jego dłonie ruszały się szybko i pewnie. Nie spojrzał na mnie, kiedy weszłam. Ze stolika nocnego strąciłam kupkę suchych motyli; pyłki i kawałeczki ich skrzydeł rozniosły się w powietrzu. Postawiłam miskę i usiadłam na łóżku, odsuwając Bena. Pochylił się nade mną - słyszałam jego nierówny oddech, ale nie zaprotestował.

- Will? - Dotknęłam jego włosów. Na czole błyszczał mu pot. Podniósł powieki.

- Mab.- Jestem. Zaraz będzie lepiej. - Zwilżyłam szmatkę i wykręciłam ją, kapiąc na skórę Willa. On zadygotał, a ja rozpryskałam chłodne krople po jego klatce piersiowej, żebrach, sercu i ramionach. Ciemnoczerwone, podpuchnięte ślady pokrywały całe ciało; nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Przesuwałam po nich palcami, wcierając sadziec.

Z tyłu Ben przechadzał się z jednego końca pokoju na drugi. Moje serce i ruchy dłoni pokrywających Willa chłodną, kojącą magią wstrzeliły się w niespieszny rytm jego kroków.

Kiedy zużyłam już całą wodę z miski, za pomocą skalpela nacięłam sobie skórę na nadgarstku i na nierównej powierzchni klatki piersiowej Willa najdokładniej, jak potrafiłam, narysowałam runę równowagi. Ben stanął nade mną i wydał z siebie zduszony okrzyk.

- Benie Sangerze, wyjdź na korytarz - poleciłam. Miałam nadzieję, że usłucha, kiedy zwrócę się do niego po nazwisku.

Ciemnobrązowe oczy wypełniła bezradność, tak samo jak kiedyś oczy Willa. Serce mi się krajało, kiedy patrzyłam na jego wewnętrzną walkę. Will wysłuchał mojej opowieści o homunkulusie i postanowił mi uwierzyć. Z jego bratem nie będzie tak łatwo. Miał wąskie,

zacięte usta i ostro zarysowane kości policzkowe. Był jednocześnie bardzo podobny do Willa i zupełnie inny. Wytrzymałam jego spojrzenie, nakazując mu w myślach, żeby odszedł i pozwolił mi zająć się Willem. Kiedy uda mi się go ukołysać, będę miała chwilę, żeby w spokoju zastanowić się, co się naprawdę stało.

Ben spojrzał nad moim ramieniem na Willa, który oddychał powoli, ale nareszcie regularnie. Przez chwilę przyglądał się krwistym, nienaturalnym śladom wijącym się po ciele brata. Jego twarz rozluźniła się, nabierając dziwnego, apatycznego - i zupełnie bezradnego - wyrazu. - Masz kwadrans - wyszeptał. - Potem zabieram go do szpitala i kropka.

Skinęłam głową, choć wiedziałam, że to za mało. Później trzeba będzie jakoś przemówić mu do rozumu, tymczasem dobrze, że przynajmniej zyskuję moment sam na sam z Willem.

Ben posłał mi przeciągłe, rozgoryczone spojrzenie i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Nie miałam czasu na odpoczynek. Pochyliłam się nad nakreśloną wcześniej runą i szeptem poprosiłam ciało Willa, żeby pamiętało, czym jest, i nie traciło kontaktu ze swoją mocą.

- Will - szepnęłam.

Jego ręka odnalazła moją. Chwyliłam ją i przycisnęłam do serca.

WILL

Było tak gorąco, że wydawało mi się, że zaraz się roztopię, ale cały czas słyszałem głos Mab.

Kiedy odzyskałem przytomność, leżałem na łóżku z chłodnym okładem na czole. Mab stała nade mną i masowała moją klatkę piersiową. Potem kazała mi wypić wodę o metalicznym posmaku. Z trudem otworzyłem oczy. Powoli wracałem do ciała. Gdzie znajdowałem się wcześniej - nie wiem. Z sufitu zwieszały się długie, kolorowe chusty. Było tu trochę jak w namiocie cyrkowym. Wszystkie ściany pokrywały zastawione szpargałami półki. Czuję się przytłoczony.

Mój bok i lewe ramię załaskotały loki Mab. Uniosłem głowę i zobaczyłem ją. Klęczała na podłodze, opierając o łóżko skrzyżowane ramiona i głowę. Mówiła coś cicho, ale słowa brzmiały znajomo. Rozpoznawałem ich rytm. Otworzyłem usta i odkleiłem język od podniebienia.

- Modlisz się?

Natychmiast podniosła głowę.

- Will. Lepiej ci?

- O wiele. Widzę. I nie boli, jak się ruszam. - Zamknąłem oczy. Czuję się pusty i obolały w środku, jakbym cały dzień wymiotował, a potem zgięty w paragraf zasnął obok muszli klozetowej. Westchnąłem głęboko. Gardło mi opuchło; może miałem tam takie same wzory jak na całym ciele. Uszło ze mnie powietrze. Zakaszlałem.

Mab podniosła się i usiadła na łóżku. Jedną rękę położyła mi na piersi. A raczej na tym, co zostało z mojej piersi. Minę miała smutną, przepraszającą.

Odchrząknąłem. Bolesnie.

- Gdzie Ben?

- Spaceruje po korytarzu.

- Nic mu nie jest?

- Will - uśmiechnęła się przelotnie - nie martw się o niego.

Próbowałem odwzajemnić uśmiech. Okropnie napięła mi się twarz.

Chwilę milczeliśmy. Wnętrznosci miałem twarde jak kamień, a skórę - rozpaloną. Serce mi waliło i nawet słabe światło z okna przeszywało mi oczy jak broń laserowa. Niezle wdepnąłem. W dodatku nie byłem pewien, czy Mab jest w stanie mi pomóc.

Ten niepokój najwyraźniej było widać na mojej twarzy, bo Mab zacisnęła powieki, a z kącików popłynęły łzy.

- Nie płacz. - Złapałem ją za ręce. - Nic mi nie będzie. Dasz sobie radę.

Mab wyrwała ręce i wytarła nimi policzki, a potem dotknęła mojego serca. Wydawało mi się, że dłonie ma jak z lodu.

- Will, nie mam pojęcia, co ci jest, i nie jestem w stanie ci pomóc. Przeziębienie po prostu usunęłabym z twoich płuc. Gdybyś miał złamaną kość, mogłabym ją skleić. Potrafiłabym coś zaradzić, gdyby chodziło o grypę, siniaki czy cokolwiek znajomego. Przypomniabym twojemu ciału, jak powinno się zachowywać. Ale to... - Jej zimne ręce spoczywały ciężko na moim sercu. - Nie rozumiem, co się z tobą dzieje. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Wiem, że problem leży w twojej krwi, ale tak głęboko, że nie pomogło oczyszczenie. A wręcz... - Mab otworzyła szeroko oczy i popatrzyła na parapet. - O, nie.

Z trudem uniosłem się i spojrzałem tam, gdzie ona. Na zalanym światłem parapecie stała miseczka z mieniącą się wodą. Na dnie spoczywało coś srebrnego.

- Co? Co takiego?

Mab delikatnie położyła mnie z powrotem.

- Chyba wiem, dlaczego tak gwałtownie ci się pogorszyło. Ty leż, a ja pójdę po pomoc. Niedługo wrócę.

Z wyczerpania nie byłem w stanie się ruszyć. Złapałem na palec jeden z jej loków i lekko pociągnąłem.

- Obiecujesz?

- Obiecuję - szepnęła.

I poszła.

MAB

Pędziłam tak szybko, że rąbnęłam ramionami o ścianę. Nie zwracając uwagi na wołanie Bena, niemal przefrunęłam nad schodami, przemknęłam przez przedpokój i wypadłam na dwór. Zbiegłam po schodach werandy i zziębnięta opadłam na kolana i dłonie.

To wyłącznie moja wina. Oczyszcziłam Willa, ale klątwa siedziała tak głęboko i zdążyła do tego stopnia wymieszać się z jego krwią, że mój rytuał jedynie ułatwił jej zadanie. Przygotowałam go, podobnie jak bransoletkę matki - którą odstawiłam do oczyszczenia pod księżycem, żeby mieć potem łatwiejszy dostęp do jej mocy.

Zamiast porządnie się zastanowić i sumiennie zgromadzić informacje, zadowoliliłam się pierwszym z brzegu rozwiązaniem. Spieszyłam się, jakbym brała udział w wyścigu. A teraz Willowi groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Gołym okiem widziałam, jak się zmienia. Pochłaniał go las.

Zerwałam się na równe nogi i otrzepałam dłonie i kolana z ziemi. Donna ostrzegała, żebym była z Willem ostrożna. Nie usłuchałam. Sądziłam, że stanowią nierozzerwalną część natury, a moja moc jest wielka, więc na pewno nie popełnię błędu. Nie zasługiwałam na miano Diakona.

Krażące po niebie kruki przymierzały się do lądowania na trawie dookoła mnie. Żałowałam, że nie potrafią mówić. Na pewno by mi pomogły.

Nagle zdałam sobie sprawę, że jest ich dziewięć.

Tylko dziewięć.

WILL

Było podejrzanie cicho. Jak przed świtem. Jak na cmentarzu. Jak wtedy, gdy odbiera się telefon, na chwilę zanim ktoś się odezwie.

Nieprzyjemnie cicho.

I nagle usłyszałem swoje imię.

Will.

Mówiło samo powietrze, wiatr wpadający przez okno.

Will.

MAB

Ruszyłam biegiem, wołając kruki, ale Ben dogonił mnie, ścisnął za łokieć i obrócił twarzą do siebie.

- Dostyc tego. W tej chwili mów, co się dzieje.

Sparaliżowało mnie przerażenie. Rozwarłam dłonie i rozchyliłam usta, żeby coś mu odpowiedzieć - cokolwiek - ale w tej samej chwili rozległ się wysoki, przeraźliwy, przeszywający mnie na wylot wrzask.

To głos Lukasa.

- Co jest? - Ben potrząsnął mną, a ja zasłoniłam sobie uszy dłońmi. On nie słyszał krzyku. Wiatr z prerii gorączkowo, opętańczo trząsł dębami.

Wrzask Lukasa dobiegał spod ziemi.

Wyrwałam się Benowi i popędziłam w stronę studni, okrążając dom od zachodu. Kiedy wybiegłam zza rogu, stanęłam jak wryta.

Pośrodku płataniny róż leżał Lukas. Pnącza ścisnęły go za nadgarstki i kostki, a z ramion i nóg sączyła mu się krew, kapiąc na liście czerwonej magią.

- Lukas! - Rzuciłam się ku chłopcu. Depczący mi po piętach Ben przeklął głośno.

Krzyk nagle ucichł, a ciało Lukasa się rozluźniło.

I wtedy z werandy dobiegło mnie wołanie Willa. Jego głos brzmiał czysto i pewnie. Zamarłam.

- Will? - rzucił Ben.

Will stał na werandzie, wyprostowany i z uniesioną wysoko głową. Jego goła klatka piersiowa była zdrowa, bez śladu ran, za to pokryta ciemnoczerwonymi tatuażami. Spodnie od pizamy wisały mu nisko na biodrach. Szcherzył się tak szeroko, że przyćmiewał cały świat.

- Mab! - zawołał rozbawiony.

Niepewna, co się dzieje, wyszłam mu na spotkanie. Will podparł się na poręczy i przesadził ją jednym susem. Bosymi stopami wylądował na trawie, kucnął, a potem stanął w całej okazałości. Zupełnie się zmienił. Po chorobie, niedomaganiu nie było śladu.

Ani drgnęłam. Ben znowu zaklął, a że stał tuż za mną, poczułam na plecach falę jego energii.

Will podbiegł do nas, ale na Bena w ogóle nie zwrócił uwagi, mnie za to uściskał ze wszystkich sił, unosząc nad ziemią. Krzyknęłam cicho i wczepiłam się w niego; kręciło mi się w głowie, byłam zupełnie skołowana. Postawił mnie na trawie i nie czekając na moją reakcję, przytulił jeszcze mocniej i pocałował.

Pocałunek był dziki i zachłanny. Żeby się nie przewrócić, wbiłam palce w jego umięśnione plecy. Kiedy rozchylił moje usta, odepchnęłam go i potoczyłam się do tyłu, prosto na Bena.

- Zwariowałaś? - rzucił Ben, łapiąc mnie. - Will, co jest? Źle się czujesz?

Will w dalszym ciągu nie zwracał uwagi na swojego brata. Niepokojącym ruchem oblizwał sobie zęby i przekrzywił głowę w namyśle.

- Posmak mięty i krwi. To ty czy ja?

Na sercu poczułam lodowaty ciężar. Odebrało mi dech. Dęby uginały się na wietrze, rzucając na twarz Willa ruchome cienie. Zdałam sobie sprawę, że w jego krwistoczerwonych oczach nie ma odbicia.

- Kim jesteś? - wyszeptałam, przyciskając dłonie do piersi.

Uśmiechnął się inaczej niż zwykle - bo w ciele Willa zamieszkał kto inny.

- Twoim pokornym sługą, Diakonku - odparł głos Willa.

- To ty mieszkałeś w różach.

Dłonie Bena zacisnęły się na moich barkach.

- Koniec tego - oznajmił i wysunął się przede mnie. Will rzucił coś w obcym języku i zwinął dłoń w pięść. Ben zbladł, zgiął się wpół i zaniósł kaszlem.

Przyskoczyłam do niego i ujęłam jego twarz w ręce, powtarzając, żeby oddychał. Gorączkowo zastanawiałam się, jak to coś, co opętało Willa, używa magii bez krwi, i kim właściwie jest. W tej samej chwili jednak potwór oderwał mnie od Bena, a potem bez najmniejszego wysiłku cisnął go na trawę. Spod ziemi wystrzeliły pnącza, które oplotły jego ręce i nogi.

Lukas znowu wrzasnął. Jego ból poczułam w podeszwach stóp.

To stamtąd pochodziła moc intruza - spod ziemi! Przekazałam magię zamkniętą w runie czarnej świecy ziemi, a klątwa tylko na to czekała.

Obróciłam się i rzuciłam pędem w stronę Lukasa. Szarpnęłam jedną z gałązek róż, ale tylko pokaleczyłam sobie ręce, a Lukas jęknął głośno. Zrozumiałam, że nie dam rady go wyswobodzić, - nie robiąc mu przy tym krzywdy i nie raniąc sobie rąk.

Pochyliłam się i zakrwawionym palcem zaczęłam kreślić na ziemi runę wyzwolenia.

- Nic z tego, dziewczynko - odezwał się Will zza moich pleców.

Rysowałam dalej, Will jednak podszedł, złapał mnie za włosy i odciągnął do tyłu.

- Bądź grzeczna. Przecież mnie uwolniłaś i tak wspólnie mi we wszystkim pomogłaś.

Chwyciłam go za rękę, usiłując ją od siebie odczepić. Will wyduł teatralnie usta - coś, czego nigdy nie robił.



- Puść go! - powiedziałam.

Klasnęłam w dłonie i już miałam wykrzyknąć zaklęcie, które odrzuciłoby go na kilka metrów do tyłu, kiedy on zdzielił mnie w twarz.

Upadłam na biodro. W głowie mi dzwoniło, oczy rozsadzało gorąco. Było mi niedobrze. Nie mogłam się ruszyć ani nawet patrzeć. Miałam wrażenie, że wbijają się we mnie ostre sztylety.

- Zły pomysł - powiedziało to coś w Willu.

Skołowana, przeturlałam się na brzuch i odczołgałam kawałek, ale mdłości były tak silne, że nie byłam w stanie jasno myśleć. Skręcony w supeł żołądek przejął kontrolę nad moim ciałem.

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, była szarpiąca mnie za włosy ręka Willa i przeszywający wzgórze krzyk Lukasa.

Gabriel umarł szybko.

Słaba, oszołomiona stanęłam na nogi i pochyliłam się nad jego ciałem. Prerień rozdzierał grzmot.

Róże pomogły mi go pochować; owinęły się wokół niego i wciągnęły go pod ziemię. Dookoła różanego poletka rozsypałam krąg z soli. Potem kapnęłam na kwiaty krwią, pobłogosławiłam je i na zawsze unieruchomiłam go w ich korzeniach.

Kiedy przyszedł deszcz, nie było już śladu ani po Gabrielu, ani po tym, co chciał mi zrobić. Przeczekałam burzę, stojąc pośrodku ogrodu. Pozwoliłam Bogu, żeby dokonał rytuału oczyszczenia.

MAB

Kiedy otworzyłam oczy, już się ściemniało. Głowę rozsadzało mi łupanie, a w uszach dzwoniło tysiąc dzwoneczków. Za każdym oddechem czułam ukłucie w boku; w oczy szczypały mnie łzy. Przez wodnistą mgiełkę widziałam na zachodzie pomarańczoworóżowe niebo, od którego odcinały się czarne, niepokojące sylwety dębów. Zauważyłam błyszczącą jasno gwiazdę - samotne światelko na wieczornym firmamencie. Skupiłam na niej wzrok i uspokoiłam oddech, a ze wzgórze, na którym leżałam, zassałam energię.

Tarmoszący drzewa wiatr owiał moją twarz ciepłym podmuchem. Ostrożnie usiadłam. Byłam sama.

W oknach na parterze świeciło się światło, a w powietrze sączył się lepki niczym syrop jazz fortepianowy. Pewnie tam poszedł intruz w ciele Willa. Ben jednak przepadł bez śladu. Nie było też Lukasa ani jego krzyków.

Tylko róże tkwiły na swoim miejscu. Rwałam się do Willa, żeby uwolnić go spod władzy tego kogoś, najpierw jednak musiałam znaleźć Lukasa. Chłopiec znajdował się pod moją opieką. I potrzebował pomocy.

Wstałam. Z każdym krokiem wdychałam powietrze przez nos, a wydychałam przez usta. Dookoła wały się ślady moich prób uporania się z różami: porzucona niebieska rękawica, zabłocona saperka, kupka wykorzenionych kwiatów. Za to po solnym kręgu, który usypałam dwa tygodnie temu, ani po wyrytych w ziemi runach nie było śladu. Splukał je deszcz.

Klęknęłam przy różach i zaryłam palcami w grunt.

- Lukas - szepnęłam. Ziemia wibrowała magią; zapiekły mnie małe skaleczenia na dłoniach, pozostałe po szamotaninie z różami.

- Lukas - powtórzyłam.

Róże zadrżały.

Z piersi wyrwał mi się szloch. Coś zakłuło mnie między żebrami. Przycisnęłam rękę do boku i zamknęłam oczy. Lewa strona mojej twarzy pulsowała w rytm bicia serca, była gorąca i spuchnięta.

To wszystko moja wina.

Czemu Arthur nie wyjaśnił, dlaczego mam je zniszczyć? Przecież znał mnie doskonale i wiedział, że go nie usłucham, tylko postanowię zbadać tajemnicę. Powinien był wiedzieć!

Podeszłam kawałek na kolanach. Zanurzyłam ramiona w kolczastych gałązkach róż, z całej siły szarpnęłam jedną z nich i wyrwałam ją. Ręce poraził mi ból, moje dłonie i nadgarstki były całe poranione.

Przyjęłam cierpienie i skierowałam je z powrotem do kwiatów. Połączyła mnie z nimi krew. Po chwili ramiona pokrywały mi długie skaleczenia, podobne do szram Donny. Potem, znacząc okolice na czerwono, poszłam po saperkę i wbiłam ją u stóp krzaczka róż; metal zadzwonił o twarde drewno. Dźgałam korzeń, nie zwracając uwagi na kwiaty, które podskakiwały i trzęsły się tym mocniej, im bardziej je atakowałam. Ich kolczaste łodygi szorowały o moje ręce. Każde skaleczenie było jak pocałunek.

Krew z mnóstwa maleńkich ranek wsiąkała w ziemię. Skupiłam wolę i szeptem zaklinałam kwiaty, żeby zgniły i zmarniały.

Niektóre rzeczywiście zaczęły czernieć, a ich płatki wyschły na pył. Wyrwałam je i odrzuciłam na bok.

W samym centrum poletka róż natknęłam się wreszcie na uwity z pnączy i szkarłatnych płatków kokon.

Przez gęstą siatkę gałęzi dostrzegłam miedziany pukiel. I brązową skórę - tu palec, tam skrawek uda. Z pomocą krwi delikatnie rozsunęłam łodygi i odsłoniłam twarz Lukasa. Miał spękane usta, ale oddychał, poruszając wiszące przy twarzy listki.

Róże wiążyły go trzydzieści centymetrów pod ziemią. W dodatku kilka wijących się po jego skórze pnączy nurkowało w runie czarnej świecy. Z niej - z niego - czerpały swoją moc.

- Lukas?

Nie odpowiedział. Nie poruszył nawet zamkniętymi powiekami ani nie zmienił rytmu oddechu, żeby dać mi znać, że mnie słyszy.

Znacząc trawę krwawymi śladami, przeszłam przez ogród, wspięłam się na werandę i wmaszerowałam do Różowego Domu. Ze skaleczeń na moim ciele sączyła się krew, a razem z nią - ból i wściekłość. Została tylko obojętność, jakby moje uczucia zamieniły się w kamień. Kwarc. Zimny, twardy, jeden z najpopularniejszych minerałów na Ziemi. Świetny do wzmacniania magii i wyostrowania wzroku. Cel rysował się jasno: wyrwać intruza z ciała Willa i uratować Lukasa. Dam sobie radę. W końcu byłam Diakonem.

Will stał w kuchni. Robił sobie grzanekę z serem i pomidorem, poruszając łąpatką z wprawą. Obok leżał tasak. Z ledwie dostrzegalnym uśmiechem mruczał do jednej ze starych płyt babci Lyn.

Westchnęłam na tyle głośno, żeby usłyszał mnie przez muzykę i skwierczenie masła. Ciało Willa obróciło się zwinnie i wyszczerzyło w uśmiechu.

- Wiesz, że to była jej ulubiona... - Czerwone oczy otworzyły się szeroko. - Mój Boże, coś ty zrobiła?

Z mojej dłoni na wykafelkowaną podłogę kapłała krew. Nic nie mówiłam, po prostu mu się przyglądałam. Miał na sobie starą koszulę Arthura, niezapiętą, bo ramiona Willa były znacznie szersze, i robocze dresy, podobne do tych, które włożył na rytuał oczyszczania. Ręce, twarz i włosy należały niewątpliwie do Willa, ale w chodzie i ruchach zupełnie Willa nie przypominał. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, jak niepewnie się zachowuje. Ta obca istota podeszła do mnie swobodnym, zrelaksowanym krokiem, z twarzą skrzywioną zmartwieniem.

Intruz zatrzymał się przede mną. Położyłam mu na piersi zakrwawione ręce i z całą zgromadzoną wcześniej wściekłością rzuciłam:

- Wypędzam cię z tego ciała!

Gorąca magia buchnęła jak gejzer. Wniknęła w niego całą mocą, jaką nadało jej moje serce, i rozjarzyła tatuaże, które z czerwonych stały się pomarańczowe niczym rozgrzane żelazo.

Ale Will przymknął powieki i westchnął, jakbym go pocałowała, a nie zaatakowała. Położył mi ręce na ramionach i rzekł:

- Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

Spróbowałam jeszcze raz, tym razem napierając na jego klatkę piersiową. Ale dalej nic. Moje dłonie ślizgały się po jego nagiej piersi. Odebrało mi dech i mowę. Za trzecim razem zdążyłam tylko wysyczeć:

- Wypędzam...

Mój przeciwnik powoli pokręcił głową, złapał mnie za ręce i posadził na kuchennym krześle. Wysmarowane krwią uda mlasnęły, ślizgając się po drewnie. Will ukląkł przy mnie i na kolanach, dłoniach i czole wyrysował mi runy uzdrawiające.

Wymamrotał coś pod nosem, krzywiąc się, jakby miał w ustach wyjątkowo niesmaczną rzecz. Kiedy zapach krwi wypełnił także mój nos i usta, zrozumiałam.

Z czubka głowy spłynął na mnie dreszcz magii. Will poprosił, żebym razem z nim wymówiła zaklęcie uzdrawiające. Zrobiłam to, ledwie ruszając wargami. Fala mocy lecząca moje rany była tak silna i gorąca, że zemdlałam.

Ale po sekundzie się ocknęłam. Nie zdążyłam nawet spaść z krzesła.

- Biedny głuptasku - westchnął Will.

Wyprostowałam się i spojrzałam mu w oczy. Zebra tylko trochę mnie kłuły, a usta mogłam otworzyć bez bólu.

- Zniszczę cię.

- Wybaczysz mi - odparł, siląc się na szczery wyraz twarzy.

Atmosfera stała się tak nedorzecznie sentymentalna, że aż się roześmiałam. Przypomniało mi się, jak śmiał się Arthur, kiedy przez dziurę w dachu stodoły lał się deszcz. Jak Donna śmiała się podczas oglądania filmu w telewizji. Jak matka śmiała się tylko dlatego, że żyje. Jak Will śmiał się beztrąsko na dachu mojego silosu.

Śmiech ich wszystkich tłoczył mi się teraz w gardle. Zakryłam twarz lepkimi od krwi rękami.

- Jesteś szalona jak twoja matka - mruknął, po czym podszedł do pieca. Zagotowałam się z wściekłości, ale on tylko przewrócił na drugą stronę przypaloną grzanekę. Czując jej gryzący zapach, znowu się uśmiechnęłam. Przyglądałam się stanowczym, gniewnym ruchom,

jakimi przygotowywał nową grzankę. Skończyła się piosenka, płyta zaszumiała. Następną też znałam, bo babcia Lyn śpiewała ją często: Our love is here to stay.

- Kim jesteś? - Wyglądziłam na kolanach podartą, zakrwawioną sukienkę. On obrócił się płynnym ruchem i pochylił głowę.

- Nazywam się Gabriel Desmarais. Mieszkam tutaj tak długo, że byś nie uwierzyła. Jeżeli zgodzisz się na mały rozejm i pójdziesz doprowadzić się do porządku, chętnie opowiem ci niezłą historię, Diakonku.

MAB

Usadowiłam się w ulubionym fotelu Arthura, a Gabriel wyciągnął się swobodnie na dywaniku przed kominkiem. Mówił, a herbata w moich dłoniach stygła. Wypatrywałam sygnałów, że Will żyje i widzi mnie własnymi oczyma.

Niestety, nic na to nie wskazywało. Pozostawała mi tylko wiara.

Jednym uchem słuchałam opowieści Gabriela o kolejnych etapach jego życia: dzieciństwie w Paryżu, spotkaniu chłopca imieniem Arthur w miejscu, które dziś leży w obrębie stanu Nowy Jork. Przemierzali z Arthurem Dziki Zachód, przeżyli wojnę secesyjną i otwarcie pierwszej linii kolei. W końcu osiedlili się w Missouri i razem wychowywali dzieci. Nawet przez głos Willa słyszałam, jak szczerą jest miłość Gabriela.

Wspominał też pierwszy, a także ostatni raz, kiedy zobaczył moją matkę. Uprzejmie zauważył, że odziedziczyłam po niej urodę. Słuchałam go nieuważnie, ale kiedy zaczął wyjaśniać, jak wylądował w różach, nadstawiłam uszu. Według Gabriela babcia Lyn nienawidziła go, bo nie mogła znieść miłości, jaką darzył go Arthur. Pewnego razu zaatakowała go z zaskoczenia, z łatwością unieszkodliwiła i rzuciła na niego klątwę. Gabriel, jak mówił, zupełnie się nie domyślał, że zżera ją zazdrość i posunie się tak daleko.

Babcia jakoby zaklęła go w różach i z pomocą magii tak mocno zacisnęła na nim ich korzenie, że nie był w stanie nawet przekazać ostrzeżenia Arthurowi.

Kiedy umarła, jej moc zaczęła słabnąć. Wcześniej Gabriel znajdował się w stanie pół snu, pół jawy; połowicznie zdawał sobie sprawę, gdzie i czym jest. Teraz zaczął się powoli budzić. Nie mógł jednak dotrzeć do pogrążonego w żalu Arthura, a zaraz potem ja zajęłam jego miejsce.

- Ty, Mlb - powiedział z uśmiechem Gabriel, mruczac niczym kot. - Ty mnie wysłuchałaś i pomogłaś mi wydostać się spod ziemi. Swoimi delikatnymi dłońmi i magią Diakona wyrwałaś mnie z róż i przygotowałaś mi ciało tego chłopca.

Położył dłoń na sercu Willa.

- Jego ciało nie jest dla ciebie, Gabrielu. - Odstawiłam zimną herbatę na okrągły stolik. - To straszne, co zrobiła ci Evie, nawet jeśli trochę mijasz się z prawdą. Przykro mi, że zginąłeś i tyle czasu spędziłeś zaklęty w różach. Ale - wstałam - nie możesz mieć Willa. Musisz go opuścić. I uwolnić Lukasa.

Gabriel rozpostarł ramiona.

- To ciało należy teraz do mnie. Nie zamierzam go zwracać. Stało się naczyniem magii. To - wstał i przesunął dłońmi wzdłuż piersi, a potem rozłożył ręce szeroko na boki - jestem ja, Gabriel, a nie Will. Oddał mi ciało zupełnie bez walki. Najwyraźniej nie było mu potrzebne.

Podszedł bliżej i spojrzał na mnie ze współczuciem.

- Przykro mi, Mab, ale to ty nie możesz mieć Willa.

Był w błędzie. Zamierzałam walczyć do upadłego. Musiał istnieć jakiś sposób, żeby uwolnić Willa. Opuściłam oczy i zamrugałam. Modliłam się, żeby Gabriel pomyślał, że jestem na granicy płaczu, a nie wściekłości. To nie mocy Arthura teraz potrzebowałam. Ani cierpliwości babci Lyn, ani zaradności Donny. Potrzebowałam fałszu mojej matki.

Z łatwością sfingowałam drżenie oddechu. Objęłam się ramionami, żeby wyglądać na słabszą niż w rzeczywistości. Matka była w stanie zrobić wszystko, żeby osiągnąć swój cel. Ja też tak potrafiłam.

- Jesteś zmęczona.

To akurat była prawda. Zamknęłam oczy i skinęłam głową. Wiedziałam, że dzisiaj nic nie zdziałam, byłam bardzo osłabiona. Powinnam też wywiedzieć się, co dokładnie zrobił Gabriel. W ciele Willa osadzały go tatuaże. W dodatku dopóki wzmacniał się mocą runy czarnej świecy na ciele Lukasa, nie dałabym mu rady.

- Gabriel - szepnęłam. Wyczułam, że pochyla się nade mną.

- Tak?

- Uwolnij Lukasa. To tylko chłopiec. Całe życie był maltretowany.

Gabriel wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. Popatrzyłam na niego. Był zasmucony.

- Niestety, nie mogę. Ale - dodał szybko, kiedy zobaczył, że zamierzam zaprotestować - później go uwolnię. Chłopiec żyje, tylko że akurat teraz go potrzebuję. - Gabriel wygiął usta Willa w uśmiechu. - Nie jestem głupi, Mab. Znałem moc twojej matki. Wiem, co może Diakon. Gdybym stracił chowańca - Lukasa - może nawet miałabyś ze mną jakieś szanse.

Zwinęłam dłonie w pięści i uderzyłam go w pierś tuż nad sercem, w miejsce, gdzie tatuaże wiły się najgęściej. Gabriel złapał mnie za nadgarstki. Nie wyrывałam się.

Popatrzyłam mu w oczy - w jaskrawoczerwone oczy, które dawniej należały do Willa. Kiedyś uważałam, że są piękne.

- Diakonku, wolałbym cię nie unieruchamiać. Sam wiem, jakie to okropne, gdy ktoś cię uwięzi, zwłaszcza tutaj. To przecież nasz dom.

- Dom. - Cofnęłam się, a kiedy Gabriel puścił luźno ręce wzdłuż boków, z całej siły grzmotnęłam go w twarz. Dłoń mnie zapiekła, głowa Gabriela odskoczyła. Potem przyłożył powoli rękę do czerwonej plamy na policzku.

Staliśmy metr od siebie i mierzyliśmy się wzrokiem. Wiedziałam, że nigdzie się nie wybiera, bo nie mógł oddalić się od Lukasa, a poza tym uważał przecież, że to jego dom. A ja z kolei musiałam tu zostać, bo byłam Diakonem. Tutaj znajdowało się wszystko, co kochałam.

MAB

Obudziło mnie nieregularne dudnienie wibrujące w ramie mojego łóżka. Przyjrzałam się podwieszonym pod sufitem chustom i zauważyłam, że poruszają się delikatnie. Cały dom drżał w posadach.

Odsunęłam kołdrę i ostrożnie wstałam. W uszach szumiała mi krew. Palce u rąk i stóp miałam zimne, ale nie byłam już ani trochę zmęczona. Przez uchylone okno wlewał się błękitny świt i gęsta mgła pachnąca błotem i różami.

Potańczałam dłońmi oczy i przeczeszałam włosy. Skierowałam się do drzwi; przez bosc stopy wyraźnie czułam dudnienie. Niewątpliwie dobiegało z dołu.

Otworzyłam drzwi na korytarz. Po jego przeciwnej stronie z pokoju Arthura wynurzył się Will. Na widok jego ugniecionych z jednej strony włosów i odcisków od poduszki na policzku serce zabiło mi szybciej, ale kiedy tylko Gabriel zmarszczył brwi, chwilowa radość minęła.

- Trzeba było zamienić go w stołek - mruknął na mój widok. -

- Bena? - Zupełnie zapomniałam o jego istnieniu. Obróciłam się i ruszyłam ku schodom, ale powstrzymał mnie gorący uścisk Gabriela na nadgarstku.

- Ja się tym zajmę.

Odciągnął mnie do tyłu, aż dotknęłam go plecami. Pod moim dotknięciem tatuaże na jego skórze rozjarzyły się na czerwono. Przymknęłam oczy, po chwili otworzyłam je i, unosząc głowę, przyjrzałam się jego twarzy. Brązowe tęczęwki Willa były przykryte czerwonymi, świecącymi wściekle plamkami. Ciekawe, czy teraz, kiedy Gabriel coraz pewniej mościł się w tym ciele, zewnętrzne ślady inwazji znikną.

Wolałabym nie sprawdzać.

- Nie, ja do niego pójde - zaprotestowałam. - Mnie zna. Co zamierzasz mu powiedzieć?

Uśmiechnął się półgębkiem.

- Nie zamierzam z nim w ogóle rozmawiać.

- Jest nam potrzebny. Tobie. - W myślach gorączkowo szukałam odpowiedniego wytłumaczenia. - Wystarczy go przekonać, że jesteś jego bratem. Pomoże ci ukryć się w życiu Willa.

Gabriel jeszcze mocniej zacisnął palce na moim nadgarstku i wysyczał mi do ucha:

- Nie wierzę, że tego chcesz. Wymyśl coś lepszego, Mab.

Westchnęłam przez nos.

- Puść mnie do niego. Chciałabym... - Położyłam rękę na piersi Willa i nagle w głowie zaświtał mi genialny pomysł. Walenie na dole przybrało na sile, w dodatku słycać było łoskot przypominający łamanie mebli, ale puściłam to mimo uszu. Najdelikatniej, jak umiałam, przesunęłam dłoń niżej i zaczęłam śledzić palcami zawijasy tatuaży na żebrach.

- Zasadniczo nie chcę, żebyś został w ciele Willa, ale muszę się dowiedzieć, co mu zrobiłeś. Wiesz, że moim chowańcem są kruki? - Zerknęłam na Gabriela, nie unosząc całej głowy.

Jego twarz minimalnie złagodniała. Popatrzył mi w oczy.

- Tak.

- Były kiedyś chłopakiem. W ptasich ciałach uwięziła go klątwa mojej matki.

- Naprawdę?

- Tak. I... zawsze miałam z tego powodu... - Spuściłam wzrok, udając przygnębienie. - Wyrzuty sumienia. Czulałam się winna. Jakbym mogła ją powstrzymać. Oddaj mi Bena, żeby przetestowała na nim to, co zrobiłeś Willowi.

Gabriel puścił mnie, przekrzywił głowę i przez moment przyglądał mi się zmrużonymi oczyma. Powoli uśmiechnął się, a potem roześmiał - głębokim śmiechem kogoś naprawdę rozbawionego. Ręce zwisały mi luźno wzdłuż boków; powstrzymywałam się, żeby się nimi nie objąć. Gabriel był mroczny i szydery, zupełne przeciwieństwo Willa.

- Mab, niezła jesteś - powiedział w końcu. - Ale pamiętaj, że znałam twoją matkę. Z niej to dopiero był numer. Oszukałamność ludzi, ale mnie nigdy jej się nie udało. Nic z tego, próbuj dalej. Podobno do trzech razy sztuka.

W żołądku zabulgotała mi wściekłość. Podparłam się pod boki zwiniętymi w pięści dłońmi.

- Gabriel, po prostu mi go daj. Bo chcę. Bo cię o to proszę.



- Zbliżyłam się o krok i dotknęłam jego twarzy. Ujęłam w rękę policzek - ten sam, który wcześniej uderzyłam, ten sam, na którym odgniotła się poduszka. - Na znak, że mi ufasz - dodałam cicho.

Popatrzył na mnie z namysłem. Staliśmy tak dłuższą chwilę. Z dołu dalej dobiegało łomotanie. Gabriel uniósł dłoń i czule przykrył nią moją.

- No właśnie. Wystarczyło poprosić, od razu bym się zgodził. Cofnęłam rękę i odwróciłam się. Oboje wiedzieliśmy, że to także było kłamstwo.

Ruszyłam do mojego pokoju, żeby się ubrać i umyć zęby.

- Mab, tylko nie zrób jakiegoś głupstwa - rzucił Gabriel.

- Od razu się zorientuję. Dzięki Lukasowi czuję wszystko, co dzieje się na magicznej ziemi. Poznam, że używasz magii. Będę wiedział, jeśli zaczniesz coś kombinować.

Stałam z ręką na framudze, plecami do niego. Chciałam jak najszybciej skończyć rozmowę, żeby pójść do Bena, zanim zrobi sobie krzywdę.

- Muszę mieć kontakt z magią. Nie mogę bez niej żyć.

- Wiem - odparł Gabriel tuż zza moich pleców. Podskoczyłam. Położył ręce na moich gołych ramionach, kciukami przyciskając cienkie ramiączka koszuli nocnej. - Jesteś taka sama jak Arthur.

Zatrzęsłam się. Zawsze chciałam być jak Arthur, ale nie wedle widzimisię kogoś pokroju Gabriela.

- Puść.

Cofnął ręce i odsunął się, ale nadal był tak blisko, że czułam mrowiące magią ciepło jego ciała.

- Cały dzień będę w okolicy, kochana. Zamierzam na własnych nogach odwiedzić stare kąty. Nie wolno ci wołać o pomoc. Nie mów nikomu, co się tu dzieje. Za parę dni przekazemy zmiany reszcie czarowników, ale do tego czasu zabiję każdego, kto postawi stopę na naszej ziemi. A jeżeli uciekniesz, nie będę miał powodu, żeby utrzymywać Lukasa przy życiu.

Nie przestraszył mnie, jedynie rozżłościł.

- Szantażować możesz kogoś, kto się ciebie boi - oświadczyłam.

Weszłam do pokoju i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Na dywanik padała ciepła plama światła. Z rozpostartymi ramionami weszłam w tę jasną smugę; blask zalał mi twarz. Modliłam się, żeby słońce dodało mi sił.

Ben Sanger stał na najwyższym stopniu schodów do piwnicy. Kiedy otworzyłam drzwi, wparował do domu. Ja jednak chwyciłam go za gołe ramię dłonią, na której wcześniej namalowałam krwią runę.

I po chwili byłam w nas obydwójgu.

Skołowana, opadłam na kolana - i w ciele Bena, i w swoim własnym.

Nie ruszaliśmy się. Sterując oboma ciałami naraz, oparłam nas na rękach i przysunęłam moje własne ciało bliżej, aż dotknęłam Bena ramieniem. Kontakt fizyczny ułatwiał docieranie umysłem w jego ciało i kontrolowanie go magią. Poczuliśmy nudności, w dodatku byłam teraz dwa razy słabsza niż zwykle, ale matka ćwiczyła to ze mną. Uczyła, że trzeba zamknąć oczy i objąć świadomością oba ciała: dwie głowy, cztery ręce, cztery nogi, dwa serca.

Kiedy zrównał się rytm naszych serc, skoncentrowałam się na oddechu i otworzyłam oczy Bena. Nie interesowały mnie jego wspomnienia, tylko to, jak staje na nogi. Wdychałam i wydychałam powietrze. Dwoma ciałami wmaszerowałam do domu i podeszłam do telefonu. Bez żadnej trudności sięgnęłam do pamięci Bena i wykręciłam jego domowy numer, a potem oznajmiłam kobiecie, która odebrała - Ben rozpoznał w niej mamę - że postanowiliśmy z Willem pojechać na spontaniczną wycieczkę. Nie czekając, aż zaprotestuje, powiedziałam głosem Bena, że niedługo wrócimy i że ją kocham.

Potem popędziliśmy w dół wzgórza do pracowni.

Tam uwolniłam go i upadłam na ziemię obok jego nieprzytomnego ciała. Byłam tak wyczerpana, że cała dygotałam.

Nie wiem, ile minut minęło, zanim w końcu wstałam i wyszłam na porośłą koniczynami łąkę. Znowu runęłam na ziemię i przewróciłam się na plecy, wypatrując na niebie nadlatujących kruków.

MAB

Nic lepszego nie miałam pod ręką, więc za pomocą krwi wydobyłam spod klepiska korzenie i uformowałam je w kształt klatki, w której zamknęłam Bena Sangera.

Kiedy się ocknął, wpadł w furję. Najpierw próbował połamać pręty siłą, ale żywe, grube gałęzie okazały się nieustępliwe. Stodołę wypełniły ryki, wrzaski i przekleństwa Bena. Jestem pewna, że nigdy nikt tu się tak nie wydzierał. Dotychczas panowały w tym miejscu spokój, magia, piękno i rodzinna atmosfera; teraz trzymałam w nim więźnia.

Po jakimś czasie Ben zrozumiał, że brutalna siła nie zda się na wiele. Zaczął więc dokładnie się wszystkiemu przyglądać, zwłaszcza nasadom korzeni. Podskoczył i złapał dwie gałęzie, a potem przesuwiał się powoli ku środkowi. Konstrukcja ugięła się nieznacznie pod

jego ciężarem, ale się nie załamała. Zresztą, nawet gdyby któreś gałęzie pękły, wystarczyłoby, że stworzę nowe.

Ben nie miał szans. Najwyraźniej była to sytuacja, do jakiej nie przywykł.

Obserwowałam go z dalekiego kąta stodoły. Nie widział mnie, bo było ciemno, poza tym zasłaniał mnie zielony traktor - tak stary, że w życiu nie widziałam, żeby jeździł. Ben zastygł bez ruchu pośrodku klatki, a wtedy ja wynurzyłam się z cienia.

Mój więzień natychmiast przyskoczył do drewnianych prętów i złapał dwa z nich. Gniewnym tonem zapytał, co się, do cholery, dzieje i gdzie jest Will.

Wysunęłam przed siebie otwarte dłonie i obiecałam wszystko mu wyjaśnić, jeżeli tylko usiądzie.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie; potem Ben przykucnął. Nie usiadł, jak go prosiłam, jednak patrząc na jego gniewnie wysunięty podbródek, zrozumiałam, że to największe ustępstwo, na jakie go stać. Cofnęłam się i przysiadłam na ziemi obok stołu, plecami opierając się o jedną z nóg. Objęłam kolana ramionami. Ben złapał szorstkie pręty swojej drewnianej klatki i śledził bacznie każdy mój najmniejszy ruch.

Ben nie mówił nic, ja powiedziałam wszystko. Wyjaśniłam mu, co znaczy magia krwi, Diakon, rodzina czarowników, kim są Eli i Faith, Gabriel, kruki, moja matka i Silla.

Opowiedziałam o Donnie, Nicku, Lukasiu. O tym, jak poznaliśmy się z Willem, i o wszystkim, co mu się przydarzyło.

W końcu zachryłam i byłam w stanie tylko szeptać. Tyłek mi zdrętwiał, a ręce, którymi oplatałam kolana - zeszywniały. Słońce znalazło się w takiej pozycji, że rzucało promienie akurat przez dziurę w południowozachodnim rogu dachu, podświetlając belki pod stropem; w powietrzu widać było złociste drobinki kurzu.

Kiedy skończyłam, na długą chwilę zapadła cisza. Zaczęłam sądzić, że Ben już nigdy się nie odezwie i nie puści żerdzi klatki. Rozprostowałam nogi, westchnęłam głęboko i potarłam oczy nasadami dłoni.

Byłoby łatwiej, gdybym miała przy sobie kruki, pomyślałam. Tęskniłam za znajomym szelestem ich piór i uspokajającym pokrakiwaniem.

Minęła kolejna chwila. Wstałam, podciągając się o brzeg stołu, oparłam biodro o blat i spojrzałam na Bena. Miał posępną minę, a kostki na palcach zbieleły mu od ściskania prętów. W jego oczach wyczytałam determinację. Miałam wrażenie, że stąkam po zawieszonyj nad przepaścią linie, która zaraz się zerwie i Ben albo mi pomoże, albo z satysfakcją będzie patrzył, jak spadam.

Nie miałam pojęcia, co jeszcze mu powiedzieć. Wyjaśniłam wszystko najlepiej, jak umiałam. Wysłuchał mojego wyznania; teraz tylko od niego zależało, czy uwierzy mi tak jak Will.

Niestety, w przeciwieństwie do Willa Ben patrzył na mnie wrogo, nieufnie.

Zamknęłam oczy, żeby nie widzieć jego oskarżycielskiego spojrzenia. Potem z puszkii pod stołem wyciągnęłam skalpel i podeszłam z nim do półek zawałonych buteleczkami, pudełkami i wszelkiego rodzaju rupieciami.

Pogrzebałam w nich w poszukiwaniu kredek świecówek. Wiedziałam, że gdzieś tam są. Odsunęłam stertę starych dokumentów z banku i kupkę rzecznych otoczków. Przewróciłam do góry dnem kosz wypełniony muszelkami i dwudziestoletnimi plastikowymi zabawkami z happy meala. W końcu znalazłam. Stare pudełko świecówek było wciśnięte za porcelanową świnkę skarbonkę. Wyciągnęłam je. Ze stołu wzięłam też parę kartek papieru rysunkowego i uklęknęłam na ziemi pół metra od klatki Bena.

Nie patrząc na niego, na czystej kartce narysowałam kolorowego motyla. Usłyszałam, jak Ben wstrzymuje oddech i przysuwa się, żeby zobaczyć, co robię.

Mój niebieskoróżowozółty motyl miał już czułki i długie, fantazyjne skrzydła. Skaleczyłam się skalpelem w nadgarstek, a na kartkę spadła duża kropla krwi. Pochyliłam się, jakbym oddawała ukłon motylowi, i wyszeptałam ulubione zaklęcie mojej matki:

- Stań się.

Magię z mojego serca skierowałam prosto na motyla.

Papier zatrzepotał; motyl poderwał się do lotu. Chwilę krążył niepewnie, machając wielobarwnymi skrzydłami, a potem podleciał do Bena. Kucnęłam i obserwowałam ich.

Ben rozkurczył palce i sięgnął w stronę motyla, który musnął go skrzydłami w zewnętrzną część ręki; a potem nadstawił wnętrze dłoni, żeby magiczne stworzenie mu tam usiadło.

Zaraz jednak pokręcił głową, cofnął rękę i zwinął ją w pięść.

- Myślę, że to zaklęcie spodobałoby się Willowi. On uwierzył w magię.

Ben popatrzył mi w oczy.

- Dlatego, że byłaś dla niego ważna - powiedział w końcu. - Dla mnie nie jesteś.

Przełknęłam ślinę. O dziwo, było mi przykro.

- Ale to nie dlatego mi uwierzył. Po prostu magia była jedynym sensownym wytłumaczeniem tego, co się działo. Nie dlatego, że... byłam dla niego ważna.

Roześmiał się krótko i kwaśno.

- Sens tu nie ma nic do rzeczy. Widziałem sytuacje, które nie miały sensu, a mimo to działały się naprawdę. Logika i prawda nie mają ze sobą wiele wspólnego. - Mówił ze spokojem i pewnością. - To, że wydaje mi się, że widzę tego motyla czy tamten... ogień, nie znaczy, że one istnieją naprawdę. Samo twoje zapewnienie, że coś rozumiesz, to za mało.

Moje dłonie spoczywały luźno na kolanach. Nigdy wcześniej nie musiałam przekonywać do magii kogoś, kto nie wierzył własnym oczom.

- Ben, ty nie chcesz mi uwierzyć.

- Nie gadaj.

- Dlaczego?

- Żarty sobie robisz? - Ben znowu złapał pręty i zatrzęsł nimi. - Na przykład mam uwierzyć, że są ludzie, którzy dysponują nie wiadomo jak wielką mocą, ale siedzą w Kansas i uprawiają ogródek?

Otworzyłam usta, ale nie wiedziałam, co powiedzieć.

- W dodatku oznaczałoby to - ciągnął Ben - że mój brat nie jest po prostu naćpany, tylko ktoś zamieszkał w jego ciele, tak? Jak mógłbym chcieć uwierzyć w coś takiego?

- Bo ja potrafię go uratować! - Przypadłam do klatki i złapałam pręty tuż pod dłońmi Bena. - Na magię mam wpływ!

Przesunął ręce niżej, na moje, i mocno ścisnął.

- Boli.- Wiem. - Zbliżył do mnie twarz. - Wypuść mnie.

Odsunęłam się, ciągnąc ręce ze wszystkich sił, ale Ben trzymał mocno. Palce piekły jak nie wiem co, w dłoniach czułam gorąco.

- Puszczaj!

- Najpierw ty mnie wypuść. - Twarz Bena była wyprana z emocji. Widziałam tylko zimne zdecydowanie.

- Ben, proszę. Will mi uwierzył. - Cicho krzyknęłam, kiedy wzmocnił uścisk. - Przecież mu ufasz.

- Tak, uwierzył, a potem dał ci w twarz.

- Mówię ci, że to nie był on. - Zaparłam się o klatkę nogami, ale na nic się to nie zdało. Ben był o wiele silniejszy. - Proszę. - Zamknęłam oczy, usiłując się uspokoić. W dłoniach chrupały mi kości.

Nagle do stodoły wpadły kruki. Ich głośne krakanie przypominało petardy. Biły skrzydłami o pręty klatki, muskały moją twarz. Jeden wbił się pazurami w rękę Bena.

Mój więzień mnie puścił.

Gruchnęłam na klepisko, odczołgałam się kawałek i przytuliłam moje nieszczęsne palce do brzucha. Kruki usiadły na ziemi dookoła mnie i klatki. Nadal było ich dziewięć. Na sercu poczułam chłodną falę ulgi.

- Cześć - szepnęłam do nich. Jeden z ptaków dotknął czule skrzydłem mojego policzka. Poczułam wewnętrzne rozdygotanie, w oczy zaszczyły mnie łzy. Miałam kogoś, kto mi sprzyjał.

Skuliłam się na zakurzonym klepisku i leciutko, żeby Gabriel nie zauważył, czerpałam energię z ziemi.

- Mab.

Ben powiedział moje imię tak cicho, że dopiero po chwili to do mnie dotarło. Usiadłam, a jeden z kruków wskoczyłmi na kolana; przez cienką sukienkę czułam jego pazurki. Spojrzałam na Bena, który przyglądał się ptakom. Wszystkie dziewięć lustrowało go i przekrzywiło głowy w tym samym momencie.

- Słuchaj. - Zamknął oczy i zadrżał. - Posłuchaj. - Przycisnął dłonie do klepiska tuż pod ogrodzeniem klatki i podniósł powieki. - Jeżeli mam ci zaufać, to musisz mnie wypuścić. Dopóki mnie tu trzymasz, jestem twoim wrogiem.

Mierzyłam wzrokiem jego twarz. Była nieprzenikniona. Skąd miałam wiedzieć, czy mówi szczerze? Czy nie oszukuje mnie tak samo, jak ja wcześniej Gabriela?

Wtedy jeden z kruków przez pręty wskoczył do klatki i podfrunął na ramię Bena. Wbił mu pazurki w bark, aż na rękawie koszulki pojawiły się maleńkie plamki krwi. Chłopak wzdrygnął się i skrzywił. Gdy obrócił głowę i spojrzał na ptaka, ten odwzajemnił spojrzenie.

Rzeczywiście, zaufanie zawsze musi być obustronne. Ben miał rację: powinnam pierwsza pokazać, że mu ufam.

Sięgnęłam po rzucony na ziemię skalpel, nacięłam sobie dłoń i przycisnęłam ją do prętów klatki. Zamknęłam oczy i oddechem rozprzestrzeniłam przed sobą magię. Dwie źerdzie wygięły się na tyle, żeby Ben mógł wyjść.

Kruk poderwał się z jego ramienia i przeleciał nad moją głową; ruch skrzydeł zwichrzył mi włosy. Ptak siedzący na moich kolanach też pofrunął w powietrze. Pod stropem kołowało teraz wszystkie dziewięć kruków.

Ben wygramolił się z klatki i stanął wyprostowany. Patrzyłam na niego z ziemi i czekałam. Drzwi do stodoły były otwarte. Mógłby teraz wyjść, wsiąść w samochód i odjechać, nie zatrzymywałabym go. Wyjrzał na zewnątrz, na porośniętą koniczyną, skąpaną w słońcu łąkę i na zieloną plamę lasuw głębi. Zmrużył oczy, jakby zobaczył coś, co mu się nie spodobało, i złapał się za kark.

Westchnął głęboko, rozluźniając ramiona, a potem kucnął naprzeciwko mnie.

- Dobra. To jaki jest plan?

Ben wreszcie nastawił się na magię. Słuchał i celnie wskazywał kolejne słabe strony moich pomysłów. A gdyby to? - pytał ciągle. A gdyby tamto? Oparłam głowę o stół. Byłoby wspaniale mieć go przy sobie, kiedy podejmowałam złe decyzje, wskutek których straciłam Lukasa i przygotowałam Willa na magię Gabriela.

Po pewnym czasie słońce zaszło na tyle, że z trudem odróżnialiśmy krtiki od cieni na suficie.

- Muszę coś zrobić, cokolwiek! - jęknęłam sfrustrowana.

Ben zastukał palcem w blat i pokręcił głową.

- Czasami najlepszym atakiem jest cierpliwe czekanie. Musisz zdobyć jak najwięcej informacji o potencjalnym zagrożeniu.

- Im dłużej Gabriel jest w ciele Willa, tym trudniej będzie go stamtąd wyciągnąć.

Ben znowu zmrużył oczy, jakby patrzył pod słońce. Jak zdążyłam się już zorientować, mina ta oznaczała, że zastanawia się, które z dwóch rozwiązań jest mniejszym złem.

- Lepiej, żeby było trudno, niż gdybyśmy mieli skopać sprawę.

To prawda. Poczułam ukłucie wyrzutów sumienia. Przytaknęłam i westchnęłam głęboko.

- Zamierzam walczyć, Mab - powiedział łagodnie. - Z tego, co widzę, ty też jesteś dosyć uparta.

- Powinam zjawić się w domu, zanim Gabriel zacznie mnie szukać.

Ben westchnął przez zęby.

- Czyli wracam do klatki.

- Niestety tak.

Skinął głową.

- Wyjdę na chwilę.

Miałam nadzieję, że teraz nacieszy się wolnością i po nocy spędzonej w klatce nie będzie znowu wściekły.

Kiedy Ben przechadzał się na zewnątrz, ja zdjęłam z półki pojemnik z resztkami homunkulusa i wyrzuciłam je na klepisko. Poświęciłam chwilę na odpowiednie ich ułożenie, a potem rozsypałam na stole stare szkice run na odnowę i notatki z zeszłego miesiąca, z początków pracy nad lalką. Było to moje alibi na wypadek, gdyby Gabriel postanowił tu zajrzeć pod moją nieobecność - dojdzie do wniosku, że robiłam to, co powinnam.

Kruki dreptały obok, raz po raz poszturchując kawałki homunkulusa dziobami i pazurami.

- Zostańcie z Benem. Nawet wasze niezwykle towarzystwo lepsze niż żadne. Nie będzie czuł się samotny.

Dwa kruki popatrzyły na mnie pytająco.

- Nic mi nie będzie. - Uśmiechnęłam się.

- Rozmawiasz z nimi? - zapytał Ben zza moich pleców.

Odwróciłam się i odparłam:

- Jasne. Ty też możesz.

- Hm. - Zmarszczył brwi i niechętnie wszedł z powrotem do klatki.

Na powrót zasklepiłam ją dookoła niego i obiecałam, że rano przyniosę mu jedzenie i wodę. Tak jak wcześniej chwycił pręty, tyle że tym razem nie ścisnął ich tak kurczowo. Oparł czoło o jedną z żerdek.

- Uważaj na siebie - rzucił.

Może i byłam dla niego jedynie gwarancją bezpieczeństwa, ale uśmiechnęłam się lekko.

Las był zanurzony w fioletowym zmierzchu. Wchodząc pod górę, muskałam dłońmi pnie drzew i zawieszane wysoko liście; pozdrawiałam je w ten sposób. Szeptaliśmy do siebie: ja, drzewa i wiatr. Przez chwilę udawałam, że wszystko jest w porządku; oto łączę się z naturą, jestem Diakonem spacerującym po swojej ziemi. Jak własną kieszeń znałam wzory, w jakie układały się rośliny, korzenie - wszystko. Powinnam jednak radośnie wymieniać się z ziemią energią, tymczasem opanowało mnie przygnębienie. Nie mogłam nawet odszukać myśli Lukasa i spróbować go jakoś wesprzeć na odległość, bo Gabriel od razu by się zorientował, że używam magii - wystarczyłoby, że zbliżę się do ogrodu. A nie chciałam, żeby zupełnie odgradził Lukasa od świata.

Zamarłam z cienką gałązką brzozy w dłoni. W jaki sposób Gabriel utrzymywał Lukasa przy życiu, czym go żywił? Będzie musiał odpowiedzieć mi na to pytanie. W przeciwnym razie zamienię jego życie w piekło: zatruję wszystko, co zechce zjeść, po całym domu rozstawię uśpione pułapki, aż w końcu go zniszczę i wyciągnę małego z podziemnego więzienia. Potem albo ucieknę z Lukasem, zostawiając Willa na pastwę Gabriela, albo... sama nie wiedziałam co.

Gałązka brzozy złamała się; jej trzask poczułam w całym ramieniu. Przygryzłam wargę i ruszyłam dalej, przedzierając się przez ciemność. Z każdym uderzeniem serca



utwierdzałam się w przekonaniu, że Will wolałby uratować Lukasa, nawet jeśli sam musiałby zostać w niewoli. Nie chciałyby, żebyśmy wybrała jego kosztem chłopca.

Miałam nadzieję, że w ogóle nie będę musiała wybierać.

Na pewno istniał sposób, żeby przechytrzyć Gabriela i ocalić ich obu. Gabriel zaszachował mnie jednym ruchem. Zamierzałam równie sprytnie przechylić szalę na swoją korzyść. To w końcu moja ziemia, mój obowiązek.

Nabuzowana energią wypadłam z lasu prosto na Gabriela, który w ciele Willa pochylał się nad grobem Arthura.

Ciemność w ogrodzie rozpraszały tylko blade gwiazdy i lampy w salonie, a mimo to na policzkach Gabriela spostrzegłam łzy. Zauważył mnie i wykrzywił się w uśmiešku.

- Śmieszne, co, Mab? - zapytał ponuro.

Stałam obok i popatrzyłam na lipę babci Lyn.

- Tutaj nigdy nie jest mi do śmiechu. Leży tu dwoje ludzi, których kochałam najbardziej na świecie.

- Dwoje? - Nie próbował nawet zetrzeć łez. Stał ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Arthur i oczywiście babcia Lyn.

- Razem nawet po śmierci - skwitował gorzko, nachmurzony.

Zadrzałam w zaskakująco chłodnym wietrze. Złapałam się za łokcie.

- Możesz do nich dołączyć.

Gabriel uśmiechnął się tylko.

- Nie spodobałoby mu się to, co robisz - dodałam. - Skoro tak bardzo go kochasz, czemu zachowujesz się wbrew jego zasadom?

- Niby skąd ten pomysł? Arthur znał mnie w wielu różnych ciałach. I kochał w nich wszystkich.

Myśl o tym zmroziła mi serce.

- Nie wierzę ci.

- To nie wierz. - Wzruszył ramionami; ten obojętny, leniwy gest zupełnie nie pasował do Willa. - Kochałem go, a Evie to zniszczyła.

- Ja kocham Willa, a ty to niszczysz - wyrzuciłam z siebie bez tchu. Wbiłam wzrok w sęk mniej więcej w połowie pnia brzozy. Kiedy uświadomiłam sobie sens moich słów, znów cała zadrzałam, a kolana ugięły się pode mną. Will był tak blisko; jego ramię znajdowało się tuż przy moim gołym ramieniu, tak łatwo byłoby je dotknąć.

Ale przecież w środku tego ciała nie było Willa.

Gabriel westchnął smętnie.

- Płacz za nim, Mab, bo już nie wróci. Nie słyszę nawet jego szeptu. Przepadł od razu. Ofiaruj miłość komuś, kto na to bardziej zasługuje.

- Nie. - Odsunęłam się i skrzyżowałam ramiona na brzuchu. Żałowałam, że na rękach nie mam krwi. Rzuciłabym się na Gabriela i dopóty trzymała mu dłonie na sercu, dopóki nie znalazłabym Willa.

- Jak tam chcesz. - Gabriel ukląkł i dotknął trawy. - Zostało ci coś po nim? Po Arthurze? Czy cały się rozproszył?

Z wysiłkiem odsunęłam żal na dalszy plan i zamknęłam oczy.

- Odpowiem ci, jeśli mi powiesz, jak utrzymujesz Lukasa przy życiu.

- Targujemy się, tak? - Popatrzył na mnie czerwonymi oczami Willa.

Czekałam.

Gabriel przysunął się do mnie i wymruczał:

- Będzie żył, nic się nie martw. Ja przeżyłem. Karmię go energią ze słońca, deszczu, róż. Jego ciało wytrzyma tak całe miesiące.- Jesteś pewien?

- Gwarantuję. Potrzebuję go żywego. Na co mi martwy chowaniec?

Zacisnęłam powieki i przytaknęłam.

- Dam ci, co mam.

Pewnego dnia o świcie, sześć miesięcy po śmierci babci, Arthur wyszedł z Różowego Domu i przyszedł do mnie. Siedziałam akurat pod jej lipą i jadłam z krukami śniadanie złożone z migdałów i suszonych moreli. Arthur miał na sobie tylko bawełniane spodnie od dresu; włosy opadały mu na twarz. Na nadgarstkach delikatne tatuaże - podobne do moich - mieniły się świeżą magią. Ukląkł przy mnie, a ja podzieliłam się z nim garścią migdałów. Jedliśmy w milczeniu.

W ciszy poranka przysłuchiwaliśmy się wiatrowi szumiącemu w drzewach, ćwierkaniu błękitników i sikorek. Rzuciłam krukowi resztkę śniadania. Po chwili Arthur wsunął swoją dłoń pod moją i odezwał się cicho:

- Odchodzę, Mab.

Wiedziałałam, co ma na myśli. Od tygodni zwickstowało to wiele jego gestów. Nie spójrzałam na niego, ale ścisnęłam go za rękę.

- Dlaczego?

Drugą dłonią odgarnął mi z twarzy luźne loki.

- Wykorzystałem już mój przydział błędów i doświadczyłem ich konsekwencji. Zaznałem miłości, utraty i długiego bólu zdrady. I wreszcie mam kogoś, kogo czekają własne błędy i kto uczyni świat lepszym - ciebie.

- Zostań. - Miałam wrażenie, że u moich stóp otworzyła się nagle wielka dziura, na której brzegu siedzimy z Arthurem.

- Zawsze będę częścią tej ziemi. I częścią ciebie.- Ona by chciała, żebyś żył dalej.

- Evelyn, tak? Chciałaby, żebym usłuchał swojego serca.

Wyrwałam rękę.

- I serce mówi ci, żebyś mnie opuścił? Nie wierzę.

- Wszyscy, których kochałem przez te trzysta lat, nie żyją - odparł Arthur bezbarwnym tonem. - Moi bliscy zniknęli, umarli albo pozabijali się nawzajem.

- Masz mnie! Przecież mnie kochasz.

- Kocham.

- Jeszcze nie jestem gotowa. - Uczepiłam się jego dłoni. W reakcji na moje emocje kruki zafurkotały skrzydłami.

- Jesteś.

- Arthur! - Obraz rozmyły mi łzy; Arthur stał się świetlistym punktem w porannym cieniu. Przetarłam oczy.

- Jestem zmęczony, wróżko.

Westchnęłam przeciągle i zamknęłam oczy.

- Już czas, żebym się z nimi wszystkimi połączył. - Wskazał gestem ziemię. - Krew należy teraz do ciebie, Mab. Krew i całe piękno tego świata. Są twoje.

Pocałował mnie lekko w czoło i w usta. Potem wstał, podciągając mnie do góry, i dodał:

- Koniecznie zniszcz róże. Przez wzgląd na babcię.

Bardzo żałowałam, że nie dopytałam dlaczego. Czemu sam się nimi nie zajął? Co miały wspólnego z babcią Lyn? Czy naprawdę nie wiedział, co stało się z Gabrielem? Ale wtedy liczyło się tylko to, że mój ukochany Arthur odchodzi.

Kapnęłam sobie krwią na dłonie, a Arthur położył się pod lipą i pożegnał ze swoim długim życiem. Odcisnęłam mu krwawe ślady na piersi i wyszeptałam jego imię. Od tych dwóch powoli ciemniejących punktów rozprzestrzeniała się śmierć. Jego ciało wyschło i pokruszyło się, kości obróciły się w pył. W miejscu, gdzie leżał, wystrzeliły spod ziemi maleńkie, sięgające ku słońcu fiołki.

Ostatnia iskra jego magii wzbudziła wiatr, który zatrzęsł rosnącymi w kręgu dębami. Poczułam ją w sercu. Pochyliłam się i pocałowałam ziemię. Kiedy się położyłam, zdałam sobie sprawę, że całe wzgórze drży. W środku powstawało trzęsienie ziemi, tak jakby świat oplakiwał odejście Arthura.

Dziewięć dni później fiołki zaczęły marnieć, więc zebrałam je w spódnicę i zaniiosłam do domu. Piętnaście kwiatków upiekłam w piecu - najdelikatniej jak się dało, żeby zachować maksimum ich koloru i zapachu, a później pokruszyć i stosować w zaklęciach. Drugie piętnaście ugotowałam z imbirem i laską wanilii, a wywar dodałam do różnych mikstur, naparów i mydeł.

Kolejne piętnaście włożyłam do koszyka i jeszcze tego samego wieczora zaniiosłam na dach, gdzie obserwowaliśmy z Arthurem gwiazdy. Ściskając koszyk jedną ręką, drugą sięgałam po kwiatki i rozsypywałam na wietrze, który porywał je w wir i roznosił po niebie, aż stawały się niknącymi, bladofioletowymi kropkami.

Ostatnią część fiołków zachowałam.

Zasuszyłam je między stronami ustawionych w salonie książek: Dzieł zebranych Walta Whitmana, Raju utraconego, Umiłowanej i Czarnoksiężnika z Archipelagu. Te Arthur lubił najbardziej. Kiedyś czytał mi je na dobranoc, dopasowując głos do postaci i robiąc czasami przerwy, żeby wyjaśnić na przykład, czym magia Geda różni się od naszej. Ja w tym czasie zwykle odpływałam myślami i szybko zasypiałam, bo sny były ciekawsze, ale nigdy nie chciałam, żeby skończył czytać. Najlepiej zasypiało mi się przy melodii jego głosu, nieważne, co mówił.

Tak więc zaprowadziłam Gabriela do salonu. Ściągnęłam z półki egzemplarz Raju utraconego, bo wydawał mi się najbardziej pasujący do sytuacji, i podałam mu.

Sięgnął po niego rękami Willa i przesunął palcem po wytłoczonym tytule z taką nabożnością, jakiej chyba nikt nigdy nie okazywał książce. Westchnął cicho i otworzył gruby tom. Okładka zaskrzypiała. Na zadrukowanej poematem stronie leżały trzy blade, spłaszczone fiołki. Gabriel przysunął je do twarzy i wciągnął powietrze.

- Nic z niego nie zostało - stwierdził, zamykając książkę. - Nie ma już magii.

„Nie ma już magii”.

Gapiłam się na Gabriela, który przycisnął Raj utracony do piersi niczym najcenniejszy skarb. Wpadłam na pomysł, jak go zniszczyć.

MAB

Rano zaniiosłam do stodoły wodę, kurczaka na zimno i chleb, a także naręczce ubrań dla Bena. Całą noc obmyślałam plan. Sprawdzałam go z każdej strony, pod każdym kątem, aż przez okno wpadły pierwsze promyki słońca. Ale im mocniej utwierdzałam się w przekonaniu, że to właściwy sposób, tym bardziej w głębi ducha miałam nadzieję, że Ben znajdzie jakiś słaby punkt.

Otworzyłam biodrem drzwi do stodoły. Moje oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności.

- Ben?- One czegoś chcą - odpowiedział mi cicho, najwyraźniej zaniepokojony. Stał przy przedniej ścianie klatki, trzymając się prętów.

Położyłam talerz z jedzeniem i ubrania na skrzynce i popatrzyłam tam, gdzie on.

Na blacie roboczym siedziało pięć kruków; obserwowały mnie z przekrzywionymi pod identycznym kątem łebkami. Cztery pozostałe dreptały niecierpliwie przy rozrzuconych przeze mnie resztkach homunkulusa.

- Co robicie? - Ukucnęłam przy nich.

Wszystkie dziewięć zaskrzeczało nerwowo, a jeden z siedzących na stole poskrobał blat pazurem. Podniosłam na niego wzrok. Przycupnął obok puszek z narzędziami do upuszczania krwi. Delikatnie zastukał dziobem w skalpel.

- Krew? Potrzebujecie krwi?

Podniosłam się.

- Całą noc sterczały koło tych kawałków ziemi - odezwał się Ben.

Kruk ostrożnie ujął w dziób skalpel i wyjął go z puszek, a następnie przyfrunął do mnie i z gracją usiadł mi na ramieniu. Jego pazurki wbiły mi się w skórę. Dobrze znałam ten ból. Z maleńkich skaleczeń popłynęły kropelki krwi. Gdy wyciągnęłam dłoń, kruk wrzucił mi w nią skalpel. Był to prosty, ostry nożyk chirurgiczny.

Tymczasem wszystkie dziewięć ptaków zgromadziło się dookoła kupki ziemi, która została po mojej lalce. Ten, który siedział mi na ramieniu, przycupnął teraz pośrodku, zwrócił się do mnie i rozłożył skrzydła, jakby naśladując kruką, którego przyszpiliłam do piersi homunkulusa.

- Mam cię przekłuć skalpelem - wyszeptałam. Przez chwilę wydawało mi się, że moje serce przestało pompować krew, a cały świat się zatrzymał.

Ptaki ani drgnęły. Było ich tylko dziewięć, w dodatku ostatnio przestały uzupełniać stado. Nie mogłabym zabić teraz kolejnego.

Za moimi plecami Ben zatrzęsł klatką.

- Zastanówcie się.

Ale one zapewne już się zastanowiły; miały na to całą noc. Wczoraj pokazałam Benowi, że mu ufam, i wypuściłam go z klatki. To samo zaufanie powinnam okazać krukom. Uklęłam, ściskając w palcach narzędzie. Po chwili krew z mojego barku spłynęła aż do dłoni i na ostrze skalpela.

- Jak chcecie - rzekłam.

Kruk załopotał skrzydłami; w uszach szumiała mi krew. Nie miałam pojęcia, co zamierzają, ale ufałam im. Zdecydowanym ruchem wbiłam skalpel prosto w pierś ptaka.

Całe stado krzyknęło jednym głosem.

Wyciągnęłam skalpel i cofnęłam się. Kruki poderwały się do lotu i w gmatwaniu czarnych piór po kolei nurzały skrzydła i dzioby w zakrwawionym ciałku swojego kompana. Popiskiwały niespokojnie, pokrakiwały, w końcu wszystkie wydały z siebie jeden głośny krzyk. Po moich plecach przebiegł dreszcz, a na rękach zjeżyły mi się włoski.

Zakotłowało się. Przez sekundę niewiele widziałam, a po chwili kruki nie były już dziewięcioma ptakami, tylko jednym dużym kształtem z piór, skrzydeł i dziobów.

Zasłoniłam ręką usta. Ben wydał z siebie zduszony okrzyk. Kruki się przemieniały! Zmoczyłam palce w magicznej krwi z barku i zrosiłam ptaki gestem błogosławienia.

- Weźcie moją krew i przemieńcie się, jak chcecie!

Kula kruczych ciał wirowała, a z tyłu Ben szeptał najbrzydsze słowa, jakie w życiu słyszałam.

Chwilę później na klepisku leżało ludzkie ciało. Ciemne jak ziemia, z piórami zamiast włosów i paznokciamiprzypominającymi szpony kruka. Nie był to do końca człowiek, ale miał ręce i nogi, usta, zaokrąglone uszy, jabłko Adama, klatkę piersiową, ramiona i biodra ze wszystkim pomiędzy.

Uklękałam przy jego głowie i zawiesiłam dłoń tuż nad miękkimi piórkami wyrastającymi ze skroni.

- Reese?

Jego powieki się podniosły. Oczy miał błękitne jak u homunkulusa. Złapał mnie za rękę.

WILL

W mojej głowie przesuwwały się zapętlone obrazy.

Pod skrzydłami szumiało mi rozgrzane letnie powietrze. Jej włosy lśniły jak promyk słońca, który spadł na ziemię. Kruk we mnie zapomniał na chwilę o całym świecie; istniała tylko ta błyszcząca, jasna plama. Szeroką ławą wylądowałem na czubku drzewa w jej wieży. Ona spojrzała w górę i odezwała się do mnie. Odpowiedziałem jej wszystkimi ustami.

Potem podała mi kosmyk tych jasnych włosów. Od tej chwili należałem do niej.

Należę do niej, do niej, do niej.

Wszystko mnie bolało. Jakby potracił mnie samochód i porzucił w rowie koło drogi. Dziwne, że jeszcze nie przyzwyczailem się do bólu.

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętałem wyraźnie, była zaciszna sypialnia Mab. Potem moje ciało znalazło się w kawałkach na podłodze, czekając, aż ktoś wyrzuci mnie do śmieci.

Należę do niej.

Pojawiały się kolejne obrazy: ziemia daleko w dole, cmentarz, Mab patrząca na drzewo, pocałunek - ja się z nią całowałem, a jakby nie ja - biały domek z drzewem od frontu, furgonetka, znowu cmentarz. I tak w kółko. Aż zakręciło mi się w głowie. Dziewczyna z niebieskim eyelinerem, starszy człowiek w czapce z daszkiem, moje ciało, ale pokryte ciemnoczerwonymi tatuażami, które znałem ze snów. Ściągające mnie na ziemię jasne włosy Mab.

- Reese - powiedziała.

Otworzyłem oczy.

Pochyliła się nade mną, zachwycona. Jej włosy jak zwykle były wszędzie. Ostrożnie dotknęła mojego czoła, jakby bała się zrobić mi krzywdę.

- Mab - wykrztusiłem.

Uśmiechnęła się jeszcze słodziej.

- Potrzebujesz paliwa. Przemienienie pewnie strasznie cię wyczerpało.

Ona wstała, a ja spróbowałem usiąść. Sądząc po belkach na suficie, znajdowaliśmy się w stodole. Wzrok mi się rozjechał i zobaczyłem stodołę chyba z dziesięciu różnych punktów widzenia naraz. Ziemia zawirowała. Zamknąłem oczy.

- To mój chowaniec - wyjaśniła komuś Mab. - Teraz będzie łatwiej.

Nie wiedziałem, do kogo mówi. Usiadłem. I wtedy zobaczyłem swoje nogi. Odebrało mi dech. Były czarne. Nie ciemnobrązowe, tak jak czasami u ludzi. Raczej jakbym upiekł się żywcem. Błyszczące i czarne jak smoła. Wyciągnąłem przed siebie ręce. One też były czarne. Zaczęły mi drżeć. Coś tu nie grało. To nie byłem ja. W miejscach, na które padało światło, skóra lśniła mi na fioletowo, niebiesko i złoto, jak rozlana benzyna.

Zdezorientowany, złapałem się za udo. Zamiast włosków na ramionach miałem miękkie piórka. Przyjrzałem im się z fascynacją, ale zaraz zrobiło mi się niedobrze. Ogarnęło mnie przerażenie. Piórka porastały też gdzieś moją klatkę piersiową i brzuch.

Byłem goły.

Tyle że to nie byłem ja. Wszystko stanęło na głowie.

Mab uklękła przy mnie z talerzem jedzenia. Podciągnąłem kolana pod brodę, próbując zamaskować goliznę. Przyglądałem jej się szeroko otwartymi oczami. Dlaczego ona nie była przerażona? Ani przestraszona, ani nawet zaniepokojona? Przeciwnie - uśmiechała się do mnie szeroko. Chciałem zapytać ją o milion rzeczy naraz, ale nie mogłem wykrztusić słowa.

Podsunała mi talerz. Poczułem zapach mięsa. Umierałem z głodu. W brzuchu zaburczało mi głośniejsze niż kiedykolwiek.

- Masz, Reese. Jedz.

Należę do niej.

- Jezu - wydukałem. - Mab.

Z lewej ktoś zawołał:

- To coś mówi!

Znałem ten głos. Odsunąłem talerz i zerwałem się na równe nogi. Zakręciło mi się w głowie, ale odzyskałem równowagę i chwiejnym krokiem podbiegłem do brata.

- Ben! Co ty tu robisz?

Dzieliły nas drewniane pręty klatki. Już chciałem złapać go za rękę, ale Ben się cofnął.

- Ben?

Jego usta wygięły się ku dołowi. Ta mina oznaczała, że jest na granicy gniewu.

- Zaraz, chwila! - warknął.

Złapałem pręty i popatrzyłem na brata. Zalała mnie fala wspomnień: Ben podtrzymujący mnie w korytarzu, Ben unieruchomiony przez pnącza. Pokręciłem głową, jakbym mógł w ten sposób wytrząść z niej wspomnienia.

- Reese? - odezwała się cicho Mab i złapała mnie za ramię.

Spojrzałem na nią.

- Czemu mój brat jest w klatce?

Jej ręka opadła luźno. Mab patrzyła na mnie w osłupieniu. Pod jednym z jej wielkich, niebieskich oczu zobaczyłem smugę błota.

- Will?

- Will - powtórzył Ben.

- No jasne - odparłem.

Mab otworzyła szeroko usta, a w następnej chwili rzuciła mi się na szyję.

Zachwiałem się do tyłu, wymachując rękami, żeby złapać równowagę. Mab ścisnęła mnie ze wszystkich sił; jej włosy łaskotały mnie w szyję i podbródek, a stopy objęły się o moje piszczele - wisiała w powietrzu. Delikatnie objąłem ją ramionami. Byłem podejrzanie silny, bo utrzymywałem Mab z taką łatwością, jakby była papierową torebką.

Odchyliła się i ujęła moją twarz.

- Will.

Przytuliłem ją trochę mocniej.

- Mab, co się ze mną dzieje? - wymamrotałem. - Gdzie jest moje ciało?



Ben zatrząsł prętami klatki i wrzasnął:

- Wypuście mnie!

Oboje z Mab spojrzeliśmy na niego, nie rozluźniłem jednak uścisku.

- Ben.

Mab wykaraskała się z moich objęć. Podeszedłem do klatki i czarną łapą szarpnąłem za jeden z prętów. Ugiął się, ale lekko, jak gruba gałąź. Ben patrzył na mnie, mrużąc oczy. Nie byłem pewien, czy wyglądam jak ja, tyle że z czarną skórą i piórami, czy jestem zupełnie do siebie niepodobny. Ben pokręcił głową i machnął ręką, jakby chciał mnie odpędzić.

Dołączyła do nas Mab. Skaleczyła się w palec czymś małym i metalowym, a potem posmarowała krwią żerdzie i na chwilę zamknęła oczy. Klatka zadygotała, a jeden z prętów się odchylił. Ben wyszedł, starając się pod żadnym pozorem mnie nie dotknąć, i stanął koło Mab, twarzą zwrócony do mnie.

- Co to jest? - chciał wiedzieć.

Ona dotknęła mojego brzucha.

- To Will.

Przypomniałem sobie, że jestem goły. Odskokczyłem.

- Masz jakieś spodnie? - odezwał się idiotycznie wysokim głosem.

W tym samym momencie Ben zapytał:

- To ma być Will?

- Tak - odpowiedziała nam obydwu, a potem odwróciła się na pięcie i pobiegła w stronę skrzyni. Zostaliśmy sami. Spojrzałem na niego.

- Ben.

- Ty przecież... - Pokręcił głową. - Niemożliwe.

Po czole spływał mu pot i błoto. Był wyraźnie spięty, zupełnie jak wtedy, kiedy przyjechał na pogrzeb Aarona.

- Właśnie, że żyję.

- Ale nie jesteś Willem.

Z przyzwyczajenia wytarłem dłonie o uda, mimo że nie były spocone. Pióra pokrywające moją skórę były strasznie dziwne, ale nie mogłem spanikować. Byłem sobą i kropka. Wcisnąłem nasady dłoni w oczy i poszukałem w pamięci czegoś, czym mógłbym go przekonać.

- Właśnie, że jestem. Jestem twoim bratem. - Spojrzałem prosto na niego. - Pamiętasz, jak w szóstej klasie mieliśmy napisać wypracowanie o kimś, kogo podziwiamy? Ja

napisałem ci. Zatytułowałem je „Dzielny Amerykanin”. Mama wysłała ci je mailem, pamiętasz?

Czekałem. W stodole zapadła taka cisza, że słyszałem ryk lecącego gdzieś daleko nad polami samolotu. Mab z ubraniami w garści stanęła za Benem. Naprawdę potrzebowałem tych spodni, ale ani drgnąłem.

Ben przesunął dłońmi po twarzy i ostrzyżonych na rekruta włosach.

- Ciągle je mam.

- Serio?

Wyglądał, jakby połknął skórkę od cytryny, ale już nie patrzył na mnie wrogo.

- Noszę je w bucie - przyznał. - Akurat pasuje.

- Ben. - Przysunąłem się do niego tak blisko, że aż się cofnął. - Przepraszam.

- Za co? Za to, że stałeś się jakimś paskudztwem? Czy za to, że pomyślałem, że ćpasz? Czy za to, że ze mnie robiłeś dupka, chociaż sam naprawdę ostro się wkopałeś?

Wzruszyłem niepewnie ramionami. Niespecjalnie mogłem podważyć te zarzuty, więc powiedziałem z nadzieją, że uda się zmienić temat:

- Jak ty mówisz!

Znowu się nachmurzył.

- Jak ty wyglądasz! - odwarknął.

Popatrzyłem na swoje dłonie. Były zupełnie obce. Otworzyłem usta. Mab cisnęła we mnie spodniami. Złapałem je, przyciskając do piersi, i właściwie bez powodu odwróciłem się, żeby je założyć. Ledwo udało mi się je zawiązać na moim nowym, szerszym ciele. Z rozdrażnieniem pomyślałem: Wreszcie upodobiłem się do Bena.

- Jak to się stało? - zapytał Ben.

Odwróciłem się i zdałem sobie sprawę, że pytanie było skierowane do Mab. W dodatku patrzył na nią z czymś na kształt zaufania. Ona wskazała na talerz z kurczakiem.

- Will, ty jedz, a ja wam wytłumaczę, jaki mam plan.

Siedzieliśmy z Mab i Benem na podłodze stodoły, stykając się kolanami, a ja pożerałem kurczaka.

Mab przedstawiła mi skrót wydarzeń od soboty rano. Potem popatrzyła na mnie trochę w namyśle, a trochę z fascynacją.

- To ciało jest podarunkiem od moich kruków. Były moim chowańcem, takim samym jak Lukas jest dla Gabriela, tyle że one - z własnej woli. Nie łączyły nas żadne runy, tylko sama chęć. - Głęboko nabrała powietrza i przesunęła palcami po piórkach na moim przedramieniu. - Wiedziały, czego mi trzeba. Rozumiały, jak bardzo potrzebuję teraz

chowańca, który zrównoważyłby moc Gabriela. Nie rozproszonego w wielu ptasich ciałach, lecz zebranego w jednego człowieka. - Zamknęła oczy i przyłożyła złączone dłonie do serca. - A więc się przemieniły.

- Myślałem, że Will - Ben popatrzył na mnie ze zmarszczonymi brwiami - został pokonany.

Mab znowu na mnie spojrzała.

- Kiedy Gabriel przejął twoje ciało, złapały cię kruki, prawda? Były tam przecież. Złapały cię i wciągnęły w swoje ciała tak samo, jak w chwili własnej śmierci. Pamiętasz?

Niechętnie pogrzebałem w pamięci. Latanie. Włosy Mab. Strzępy obrazów.

- Chyba tak. - Wspomnienia nie pochodziły tylko z mojego życia. Widziałem też rzeczy z jego przeszłości. Reesea. - Co się z nim stało? - Wbiłem palce w czoło. - Z Reeseem. Jest tutaj?

Mab zamarła z rozchylonymi ustami. Wargi jej pobladły.

- Nie wiem - powiedziała cicho. - Czujesz coś? - To znaczy? Co powinienem czuć?

- Szmermy myśli, zapętlone słowa czy coś w tym stylu. Dziwne i drażniące.

- Wszystko wydaje mi się dziwne. - Rozcapierzyłem palce i popatrzyłem na swoje czarne ciało. Nic nie zdradzało już obecności Reesea. Byłem tylko ja. - Ale raczej nie.

Skinęła głowę. Zauważyłem, że wgniata w uda zaciśnięte pięści. Wziąłem ją za rękę i jeden za drugim odgiąłem jej palce, a potem splotłem nasze dłonie.

Ben prychnął.

- To co robimy? Musimy odzyskać ciało Willa i uratować twojego dzieciaka. I załatwić tego gnojka.

Zdziwiło mnie, do jakiego stopnia Ben oswoił się z magią.

- Widzę, że się przekonałeś.

Rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie i uśmiechnął się kwaśno.

- Postanowiłem na jakiś czas zawiesić niewiarę. To nic osobistego.

Mab ścisnęła mnie za rękę i wstała.

- Chodźcie do stołu. Narysuję, jaki mam plan, a twój brat będzie mógł mi wskazać słabe punkty.

Uśmiechnęła się zawadiacko do Bena, a on wyszczerzył zęby.

Długo mnie nie było.

Kiedy wstawaliśmy, nagle usłyszałem wołający ją z dworu... mój głos.

Mab na ułamek sekundy skamieniała, a potem popchnęła mnie.

- Schowaj się - syknęła. - I pod żadnym pozorem nie wychodź.

Obróciłem się wokół własnej osi. Ben już wskakiwał do klatki. Ledwie zdążyłem zanurkować za starą, odwróconą do góry dnem łódkę, kiedy drzwi do stodoły się otworzyły.

MAB

Targały mną uczucia - na przemian zimne i gorące. Z szalejącą w sercu paniką zamknęłam za Benem klatkę. Spojrzał zdumiony w stronę drzwi, a gdy się odwróciłam - błagając w duchu, by Will zdążył się schować - zobaczyłam wchodzącego Gabriela.

- No, Mab. - Uśmiechnął się nieprzyjemnie. - Tu jesteś. Ze swoją nową zabawką.

Zaczął przechadzać się ze złożonymi z tyłu rękami. Wczoraj, w czasie kiedy rozmawiałam z Benem, Gabriel poprzebijał opony wszystkich naszych samochodów i przeciął linię telefoniczną. Tylko udawał, że mi ufa i chce zostawić mi wolność. Teraz, kiedy nie miałam już śledzących go oczu Reesea, trzeba będzie działać ostrożniej.

- Po co tu przyszedłeś?

- W odwiedziny. Nie mogę? - Rzucił mi zupełnie niepodobny do Willa, sarkastyczny uśmiech.

- Jestem zajęta.

Westchnął teatralnie.

- Wydaje mi się, że jakiś czas temu poczułem tu magię.

- Mówiłam ci, że zamierzam pracować. - Podeszłam do stołu i zaczęłam przesuwać papiery, na których wczoraj szkicowałam Benowi swoje pomysły. - Muszę się skupić.

- No dobrze. Gdzie Arthur trzymał rysunki? - Ujął w palce jeden z ołówków z puszki na stole. - Przeszukałem jego pokój, ale niczego nie znalazłem. Ani w pufie, gdzie kiedyś je chował.

Podszedł bliżej. Przebiegł mnie dreszcz, kiedy wyobraziłam sobie, jak myszkuje po rzeczach Arthura. Rysunki runicznego kręgu zalegające na blacie sprzątnęłam na kupkę.

- Trzymał je w teczce, o, tam. - Skinęłam głową na przeładowane półki. - Weź je i z łaski swojej zostaw mnie samą.

Gabriel niespiesznie podszedł do półek i przesunął ręką po jednej z nich. Jego obecność mnie przytłaczała; dodawałam sobie otuchy, myśląc o swojej nonszalanckiej matce. Ona na pewno szybko oswoiłaby się z Gabrielem, flirtowałaby z nim i przekomarzała się, aż w końcu owinęłaby go sobie wokół palca. Wzięłam głęboki wdech i wyobraziłam sobie, że jestem ubrana w czerwoną, rozkloszowaną i wydekoltowaną sukienkę na cienkich ramiączkach, moje usta są uszminowane, a włosy - starannie ułożone.

Niestety, rozpraszały mnie ciche okrzyki zdziwienia, jakie Gabriel wydawał z siebie za każdym razem, gdy natrafił na coś ciekawego, i westchnienia rozczarowania. Kiedy

zerknął na mnie kątem oka, zaczerwieniłam się i spuściłam głowę. Nie potrafiłam flirtować z nikim, a już na pewno nie z patrzącym na mnie z ciała Willa Gabrielem. Zwłaszcza że obserwował mnie z klatki nachmurzony Ben.

- Mam! - Gabriel odwrócił się gwałtownie. W dłoniach trzymał plik starych kartek, które wyciągnął z teczki. Na wierzchu zobaczyłam portret babci Lyn z czasów, gdy była młodą mężatką. Pozowała Arthurowi na łące werben i floksów; jej nagie ramiona zakrywał tylko szal. Każda kreska była pieszczotą. Jako dziecko lubiłam wodzić palcami po tych doskonale znajomych brwiach i uśmiechu przeznaczonym specjalnie dla Arthura. Opuściła głowę, a z koka wysunęły się kosmyki, które okalały jej twarz miękkimi falami.

Narysował też portret mojej matki. Miała na nim włosy przycięte na pazia i śmiała się pełną piersią. Ukryłam go w szufladzie w moim pokoju. Donnę szkicował podczas pracy w ogrodzie. Kapelusz nasunęła na twarz, żeby ukryć swoją tożsamość; tylko po kształcie ramion dało się ją rozpoznać. Były też portrety Faith w ogrodniczkach i Eliego zawijającegomasło w surowe ciasto francuskie, Justina z nowym kolczykiem w brwi i studium bólu na przykładzie twarzy karmiącej kruki Silli. No i mój. Ja siedziałam w jednym miejscu, tylko kiedy ćwiczyłam runy, więc na wszystkich szkicach miałam zmarszczone brwi i zaciśnięte w skupieniu usta. Arthur kręcił głową i tłumaczył się, że tak naprawdę wyglądam inaczej, ale pomimo stu pięćdziesięciu lat nauki nie potrafi tego dobrze uchwycić.

Ja zawiązywałam na drzewie amulety symbolizujące każdego czarownika, który stawiał stopę na naszej ziemi, Arthur zaś kolekcjonował ich portrety.

Gabriel położył stertę szkiców w rogu stołu. Żeby się uspokoić, nabrałam głęboko powietrza.

- Zabierz je i idź.

Wzruszył ramieniem i zbliżył się do mnie leniwie.

- Proszę. - Podniósł za rogi rysunek z wierzchu. Przedstawiał uśmiechniętego młodzieńca w długim płaszczu. Przez ramię miał przewieszoną strzelbę, a włosy splecione w warkocz i poprzetykane koralikami i amuletami. Stał odprężony, w nonszalanckiej pozie, z jednym biodrem wypchniętym do góry.

Wzięłam od niego rysunek i przyjrzałam się mu. Znałam go, oczywiście, ale nigdy nie zastanawiałam się, kogo przedstawia. Lewy but mężczyzny był zamazany. Zauważyłam, że w ręce trzyma bukiet kwiatów. Chyba fiołków. Szkic był dosyć toporny, najwyraźniej powstał, zanim Arthur zyskał wprawę. Obróciłam kartkę - na drugiej stronie w rogu widniał maleńki napis „Gabriel”. Bez daty, za to opatrzony runą pieczętującą i plamką krwi.

- Mnie chciał pamiętać. Nie można tego powiedzieć o wszystkich - odezwał się cicho Gabriel zza moich pleców. Zadrżałam, czując jego oddech na karku.

- Świetnie. Weź sobie ten rysunek i daj mi dokończyć pracę.- Mab, czemu mnie nienawidzisz? - Gabriel położył mi dłonie na ramionach i przysunął się do moich pleców. - Za jakiś czas sobie wybaczymy. Pomyśl, moglibyśmy stworzyć tu raj.

Zmusiłam się, żeby regularnie oddychać. Pachniał korzenną ziemią, moim lawendowym mydłem i potem. Jak Will, tylko że bardziej tutejszy.

- Może masz rację - skłamałam. Obróciłam się w jego ramionach i stanowczo go odepchnęłam. - Ale jeszcze nie teraz.

Z tyłu coś zaszurało. Gabriel od razu tam popatrzył.

- Co to było?

- Kruki - rzucił Ben. - Awanturują się w tamtym kącie.

Gabriel puścił mnie i pomaszerował w stronę klatki. Ben cofnął się, przerażony, aż rąbnął plecami o tylne pręty.

- Zostaw go. Nie chcę go niepotrzebnie męczyć, to zepsuje efekt mojej pracy.

Gabriel przesunął palcem po jednej z pionowych gałęzi i się uśmiechnął.

- A ja myślę, że zmęczenie wręcz przyspieszy działanie magii-

- Przeszkadzasz mi tutaj! - Podbiegłam do niego, złapałam go za nadgarstek i szarpnęłam. - Potrzebuję miejsca, gdzie mogę być sama, inaczej stracę cierpliwość i będę musiała cię zaatakować.

- Nawet nie próbuj. - Przysunął się do mnie i ścisnął moje dłonie. - Pokonam cię z łatwością, bo dzięki Lukasowi mam do dyspozycji całą moc tej ziemi.

Stałam na palcach i, trzymając usta o kilka centymetrów od jego, wysyczałam:

- Nawet jeśli mnie zniszczysz, skrzywdzę cię tak, że już się nie podniesiesz.

- Cała matka - rzucił i przyszczypał moją wargę zębami.

Próbowałam odskoczyć, a on w tym samym momencie mnie odepchnął, więc gruchnęłam na podłogę. Stał nade mną ze zjadliwym uśmieszkiem.

- Nie znośłem tej suki.

I wyszedł, a ja jeszcze przez jakiś czas miałam przed oczami wykrzywioną odrazą twarz Willa.

WILL

Rzuciłem się ku niej natychmiast, kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi.

- Mab. - Podniosłem ją. - Żyjesz?

Nagle skóra zaczęła mi jakby odchodzić od mięśni. Zamknąłem oczy i zacisnąłem zęby. Nielatwo było spokojnie patrzeć, jak ten koleś chodzi w moim ciele. Miałem wrażenie, że rozsypuję się na kawałki. Nie mogłem oddychać.

- Will? - To Ben. Dotknął mojego ramienia szybko, jakbym go parzył.

- Co się dzieje? - Mab ze zmarszczonymi brwiami patrzyła na moją pierś. Potem przesunęła po niej ręką.

- Rozpadam się - wydusiłem przez zaciśnięte zęby.

Mab ściągnęła mnie na kolana i dotknęła mojej twarzy.

- Will, oddychaj spokojnie. Jesteś zdenerwowany.

Serce łupało mi tak mocno, że aż było je słychać. Chciałem latać. Nie... chciałem być tutaj. Być. Tutaj.

- Co mu jest? - dopytywał się Ben. Klatka zaskrzypiała. Mab ścisnęła mnie za ramiona i pocałowała długo, namiętnie. Wszystko zogniskowało się w jednym punkcie.

Na jej ustach.

- Will - szepnęła. - Trzymaj się tego ciała, choćby nie wiem co. Ująłem jej twarz w dłonie i przysssałem się do jej warg. Nie zwracałem uwagi na brata, właściwie na nic - istniała tylko Mab. Mój oddech wrócił do normy. Okropne fałdowanie się skóry trochę złagodniało. Mab przysunęła się bliżej i objęła mnie za głowę - tak, że policzkiem dotykałem jej szyi i słyszałem bicie jej serca. Wsunęła palce w moje pierzaste włosy.

- Co się działo? - zapytała.

- Chyba... - Zacisnąłem dłonie na końcówkach jej jasnych włosów. Głos odezwał się znowu: Należę do niej. - Chcę odzyskać swoje ciało.

- W porządku - powiedziała uspokajająco.

- Wcale nie w porządku. - Odsunąłem się i wstałem. - To moje ciało. Chcę je z powrotem. - Pochyliłem się i wsparłem o kolana. - Muszę je odzyskać. Jest moje.

Za każdym zamknięciem oczu widziałem, jak moje ciało chodzi za Mab. Łapie ją za ramiona. Przewraca na ziemię. Śmieje się i krzywi moją twarz. Potarłem czarnymi, kruczymi łapami czarne, krucze oczy, jakbym mógł wymazać te obrazy.

Mab też wstała i podparła się pod biodra.

- W porządku, Will. Wiem, jak to zrobić.

**MAB**

Tylko godzinę zajęło mi wtajemniczenie Bena i Willa w mój plan. Zmodyfikowałam go tak, żeby uwzględnić udział ich obydwu. Ben zadał parę pytań, ale na wszystkie potrafiłam odpowiedzieć. W końcu stwierdził, że pomysł jest niebezpieczny, ale wykonalny.

Wszystko opierało się na zaklęciu, którego Arthur i ja użyliśmy do zniszczenia tamtej klątwy czarnej świecy z orzecha. Kiedy to samo zaklęcie zastosuję na Gabrielu, wypali ono całą magię z ciała Willa - razem z intruzem.

Operacja składała się z dwóch etapów. Najpierw należało przygotować Gabriela od środka na działanie naszego zaklęcia. Zamierzałam postąpić podobnie jak on sam z Willem - też zatruć magią jego krew. Potem, dziewięć godzin później, trzeba będzie uruchomić zaklęcie drugą runą, a konkretnie wbić w sam środek jego ciała ozdobioną runą sztylet.

Natura magii jest chwiejna, dlatego istniały również dwie trudności. Po pierwsze, musieliśmy wyrwać Lukasa spod władzy Gabriela. A po drugie, nie mogliśmy pozwolić, żeby zaklęcie uciekło i zniszczyło wszystko dookoła.

Pierwszy problem zamierzałam rozwiązać z pomocą mojej własnej runy czarnej świecy. Przeczynałam, że rozwiązanie drugiego nie wszystkim się spodoba.

Słysząc było tylko trzeszczącą balladę dobiegającą ze starego radia babci. Wezwałam Gabriela, a potem wskoczyłam na blat kuchenny z butelką zaklętego wina na kolanach. Z tej wysokości miałam widok na korytarz i dalej, w głębi - na salon, gdzie rozsiadł się Gabriel z książkami Arthura.

- Już idę! - zawołał.

Skrzyżowałam nogi w kostkach, dotykając obcasami szafek, i splotłam dłonie na szyjce butelki. Pootwierałam okna, żeby wpadło do środka ciepłe, wieczorne powietrze. Bez przekomarzania się kruków cisza aż brzęczała mi w uszach.

Całe moje życie obracało się wokół tej kuchni. Oczywiście wyobraźni zobaczyłam Donnę oplukującą sobie w zlewie ręce z ziemi; babcię Lyn poklepującą stołek w kącie, żebym na nim usiadła i dała przyciąć sobie włosy; matkę tańczącą w korytarzu z niewidzialnym partnerem; Justina złościącego widelcem litery w stole; Faith i Eliego pochylonych nad gazetą, szukających ogłoszeń o wymarzonych przez Hannah kotach do wzięcia.

Naprzeciwko mnie, pod łukowatym wejściem do kuchni, stał Arthur. Nic nie robił, nic nie mówił, po prostu na mnie patrzył. Chciałam się uśmiechnąć i zapewnić, że sobie radzę, że panuję nad ziemią. Powiedział mi: „Krew należy teraz do ciebie, Mab. Krew i całe piękno tego świata. Są twoje”.

Do oczu napłynęły mi łzy. Zamknęłam powieki, a kiedy znowu je otworzyłam, już go nie było.

„Całe piękno tego świata”.

Żeby zaklęcie nie wypaliło całej magicznej ziemi, będę musiała przytwierdzić je i do Gabriela, i do siebie samej. Dzięki temu jego moc zostanie skierowana ode mnie do niego, i



na odwrót. Zaklęcie zniszczy w ten sposób tylko magię w nas i we wszystkim, co znajdzie się między nami.

Ta ziemia była moim domem. Musiałam za wszelką cenę bronić jej przed wyjałowieniem. Nie potrafiłam sterować falą magii tak jak Arthur, kiedy wnikał w przyrodę. To było zbyt ryzykowne. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek został narażony na niebezpieczeństwo. Wystarczy, że ucierpiał Will. Operacja nie mogła mieć słabych stron. Żadnych rozszalałych homunkulusów, trzęsień ziemi czy innych pomyłek. Musiałam być pewna swego planu, nawet jeśli oznaczało to, że przyjdzie mi poświęcić wszystko.

Wypalające zaklęcie rozpocznie się w Gabrielu, a skończy we mnie.

„Całe piękno tego świata”.

Oddychałam szybko i płytko.

Gabrielu, chodź na kolację, błagałam go w myślach. Zanim stracę całą odwagę.

W dzieciństwie, kiedy coś mnie przestraszyło, przybiegałam do Arthura albo matki. Czasami też łapałam babcię Lyn za jeden z jej długich srebrnych warkoczy, a ona pozwalała mi wgramolić się sobie na kolana, przytulała mnie i się modliła.

Teraz nie było przy mnie Arthura. Nie mogłam nawet położyć sobie na języku jednego z zasuszonych płatków jego fiołków, bo Gabriel by to wyczuł. Gdyby była ze mną matka, poradziłaby mi: Złotko, wylej to wino i zgódź się na życie, jakie proponuje ci Gabriel. Oddziel przeszłość grubą kreską.

Dlatego jeszcze mocniej zacisnęłam dłonie na ciemnej butelce.

- Boże, pozwól mi żyć w zgodzie z Tobą - wyszeptałam. Wydawało mi się, że na palcach czuję delikatne dotknięcie, jakby babcia Lyn stanęła za mną i przykryła moje dłonie swoimi. - Wesprzyj mnie swoją mocą i udziel łaski, której potrzebuję.

- Modlisz się? - zapytał Gabriel. Stał przy wejściu do kuchni, leniwie oparty o ścianę.

Will też mnie o to zapytał. I też był zaskoczony.

- Co w tym dziwnego? - Nieco za mocno odstawiłam butelkę na blat.

Gabriel wyszczerzył się i przysunął trochę bliżej.

- Tutaj nie potrzeba nam Boga. Sądziłem, że jesteś ponad to. Najwyraźniej Arthur naopowiadał ci bajek. Ale jesteś jeszcze młoda, wyrośniesz z tego.

Wzruszyłam ramieniem.

- Modlitwa jest jak magia. Układałam słowa i wysyłam je do Boga.- Ale kiedy używasz magii - Gabriel położył mi dłonie na kolanach i rozsunął moje nogi, a sam podszedł tak blisko, że zdołał oprzeć się o blat, po czym z ustami tuż przy moich dokończył: - to wzywasz mnie.

Owionęła mnie moc Gabriela. Miałam wrażenie, że jego magia żyje, ma własne korzenie i oplatające mnie pnącza, a także kwiaty, które rozkwitają przy mojej twarzy. Dotknęłam jego szyi. Pod palcami poczułam tętno. Boże, tak bardzo będzie mi brakować tego rytmu magii.

Gabriel uszczypnął mnie w nos i odsunął się z uśmiechem.

- Wybaczyłaś mi, że rano byłem okrutny?

Z półuśmiechem podałam mu wino.

- Jeżeli ty wybaczyłeś mnie.

Gabriel wziął butelkę i podtrzymał mnie za rękę, kiedy zeskakiwałam z blatu. Razem usiedliśmy przy zastawionym kuchennym stole. Na talerzach dymiła papryka faszerowana wołowiną i grochem, doprawiona słodką papryczką. Tej potrawy nauczyła mnie babcia Lyn. Byłam ciekawa, czy Gabriel ją rozpozna.

Rozpoznał. Zerknął na mnie, rozbawiony. Nalał nam obydwójgu wina i uniósł swój kieliszek.

- Za przyjaźń?

- Za przeszłość i przyszłość. - Ja też wzniosłam toast. - Aha, Gabriel, w winie jest magia.

Zamarł z kieliszkiem przy ustach. Wino pobłyskiwało czerwienią odpowiadającą czerwieni jego oczu.

- Magia?

Uśmiechnęłam się.

- Zwyczajny eliksir połączenia i przebaczenia.

Zwężił podejrzliwie oczy, więc żeby go zachęcić, wypiałam całe wino ze swojego kieliszka. Magia wlała się we mnie, sięgając aż do palców u rąk i stóp i zakorzeniając się w moim sercu.

WILL

Księżyc był małym srebrnym wiórkiem na niebie. Niemal po omacku rysowaliśmy solą i woskiem wzór na ziemi. Ben trzymał kartkę, na której Mab naszkicowała runę, i zaglądał mi przez ramię. Ja kuciałem i starałem się, żeby krąg z soli wyszedł mi równo. A wosk zmiękł, ale nie sparzył mi przy tym palców. I pióra zapaliły się wreszcie.

Mab odwracała uwagę Gabriela i zatruwała jego krew, tymczasem naszym zadaniem było narysować wokół róż wielką runę. Nie domykaliśmy kręgu, ale poza tym wszystko - z wyjątkiem tej ostatniej linii - miało być gotowe na rano. Mab poprosiła, żebyśmy przygotowali spiralę składającą się z dziewięciu jak najrówniejszych okręgów. Dzięki tej

runie zamierzała wyciągnąć Lukasa spod ziemi i zerwać jego połączenie z Gabrielem. Potrzebna do tego moc miała pochodzić z ciała, którego aktualnie używałem, bo tylko tyle zostało z jej chowańca.

Musieliśmy idealnie zgrać się w czasie. Inaczej ja zginę, a ona przegra z Gabrielem.

Ben szturchnął mnie w ramię i pokazał, żebym poprawił dziurę w linii. Prawie w ogóle się nie odzywaliśmy. Z okien kuchennych na fasadzie domu sączył się cichy jazz.

O dziwo, ruszanie tymi rękami było dosyć łatwe. Skupiłem się na pracy, żeby nie umierać z niepokoju o Mab zostawioną sam na sam z psychopatą.

Z lasu zaskrzeczały żaby. Gwiazdy na wschodzie schowały się za chmurami. Ja przesuwałem się kawałek po kawałku i sypałem solą, a Ben, mamrocząc pod nosem, odliczał krokami, w których miejscach najlepiej umieścić dziewięć run.

Wreszcie skończyliśmy.

Patrzyliśmy z Benem na dom. Muzyka grała dalej, ale stąd wyraźniej było słychać wiatr w liściach i te cholerne żaby. I chyba świerszcze.

- Lepiej już idź - odezwał się Ben. - Ja przeczekam tam. - Wskazał na duże drzewo z gałęziami na tyle nisko, że łatwo będzie na nie wejść.

- Mhm. - Nie ruszyłem się.

Dmuchał w nas wiatr i zmierzwił mi piórka na karku i przedramionach. Zadrzałem. Przypomniałem sobie, jak to jest - latać.

- Oby nie padało - rzekł Ben. Ze zmrużonymi oczami popatrzył na chmury. - To by wszystko zepsuło.

Nadal się nie ruszałem i nic nie mówiłem. Jakbym przyrósł do ziemi.

Ben odwrócił się nagle i mnie objął.

- Uważaj na siebie, młotku.

Wbiłem pięści w jego ramiona.

- Gdybym tak mógł cię wyręczyć - wyszeptał ledwie słyszalnie.

- Ale nie możesz - odparłem cicho.

- Wiem. Nie rób głupot... Zachowuj się, jak przystało na Sangera.

„Jak przystało na Sangera”. Pokręciłem głową.

- Od śmierci Aarona nie wiem już, co to znaczy. Mam wrażenie, że świat się skończył.

Ben odsunął się trochę i ujął moją twarz w dłonie. Musiał zadzierać głowę, bo w tym ciele byłem wyższy.

- Ale się nie skończył.

- Skończył się świat, w którym miałem dwóch braci.

Nie spodobało mu się, co powiedziałem, ale tylko zmarszczył brwi.- Może i tak - przyznał po chwili. - Ale świat, w którym masz jednego brata, ciągle trwa.

Zacząłem coś odpowiadać, ale Ben ścisnął mnie za głowę tak mocno, że usłyszałem, jak wrywa mi pióro za uchem.

- Tak samo jak świat, w którym ja mam brata. I w takim świecie przyjdzie nam żyć, bo obaj z tego wyjdziemy.

Odsunąłem się i podniosłem z ziemi torbę, którą przynieśliśmy ze stodoły. Przez plastik widać było kształt noża. Wyjąłem go i, przygryzając wargę, skaleczyłem się w dłoń. Potem przekazałem nóż Benowi.

On wziął go z powagą i też naciął sobie skórę na dłoni. Podał mi rękę; uściśnąłem ją, a nasza krew się wymieszała.

MAB

Gabriel wypił całą butelkę wina, bo ciągle mu dolewałam. Sama sączyłam powoli. Policzki Willa zaróżowiły się, Gabriel chwiał się lekko i dziwił, jak słabą głowę ma jego nowiuteńkie ciało.

Podkreśliłam muzykę tak głośno, jak pozwoliło na to radyjko babci. Gabriel rozpromienił się i porwał mnie do tańca - pełnego obrotów gigue. Splótszy ręce, wparadowaliśmy do salonu. Kopniakami przewracaliśmy sterty książek, rysunki Arthura rozrzučiliśmy po kątach. Butelka potoczyła się po dywanie i wpadła pod kanapę, rozprowadzając w powietrzu cierpki zapach wina. Gabriel śpiewał po francusku jakąś starą piosenkę i uśmiechał się swoim nieWillowym uśmiechem. Zamknęłam oczy i odrzuciłam głowę do tyłu; włosy opadły mi na plecy. Trochę kręciło mi się w głowie i powoli ogarniała mnie magia Gabriela. Pozwoliłam, żeby we mnie wniknęła, żeby nasza krew się połączyła. Wirowaliśmy w tańcu, a w nasze kości wsiąkał eliksir z wina. Nagle doświadczyłam tego samegoucucia jedności co wtedy, gdy latałam nad naszą ziemią i spijałam magię z drzew. Całe moje ciało rozdzwoniło się mocą. Boże, jak bardzo będzie mi brakować magii!

Wylądowałam plecami na ścianie. Gabriel przytrzymał mnie; moje stopy wisiały w powietrzu. Pocałował mnie w szyję i cały do mnie przywarł.

- Gabriel! - Wyswobodziłam się z jego objęć i rzuciłam w stronę korytarza.

On roześmiał się i złapał mnie za rękę, potem szarpnął i porwał z powrotem do tańca.

Sunęłam wśród dźwięków muzyki, a podłoga obracała się przede mną. Parę łyków wina z magią sprawiło, że cały świat zawirował. Tańczyłam z nim, pamiętając, że to ostatnia noc jego życia, a moja - magii. Na tych kilka cudownych chwil zawiesiłam broń i dałam się

ponieść naszej wspólnej energii. Wiedziałam, że ten taniec wyryje mi w pamięci ślad do końca moich dni.

WILL

Pędziłem w dół wzgórza w stronę silosu Mab. Kiedy oddaliłem się od domu, wpadłem między drzewa i ruszyłem z kopyta.

Jeżeli jutro coś się nie uda, zginę. Za wszelką cenę musiałem uczepić się swojego prawdziwego ciała, gdy z tego wyrwie mnie magia. Inaczej - koniec.

Pstryk, i nie ma Willa Sanguera.

A więc pędziłem ile sił w nogach.

Moje bose stopy wiedziały, dokąd prowadzić. Zwinnie uchylałem się przed gałęziami, jakbym biegał tędy całe życie. W tym ciele słyszałem o wiele więcej. W uszach szumiało mi powietrze. Przypomniałem sobie dźwięk latania: wycie wiatru i uderzenia skrzydeł głośniejsze niż najgłośniejsze bicie serca. Nawet teraz widziałem świat inaczej. Nagle zacząłem dostrzegać owady, żaby, nocne ptaki i nieustannie poruszające się liście. Było niesamowicie głośno. Podobało mi się to.

Nie chciałem wracać do ciszy. Do tego ciągłego, bezbarwnego szumu, który stanowił tło dla życia Willa Sanguera.

Nie chcę.

Nie chcę.

Zawsze skupiałem się na tym, czego nie chcę.

A czego chcę?

Potknąłem się, a dłonie i kolana ugrzęzły mi w warstwie śliskich, zimnych liści. Zacisnąłem na nich moje dziwne, czarne palce. Wróciły do mnie słowa Bena. Poczulem na barkach ciężar roku bez Aarona.

Przypomniały mi się też wspomnienia Reesea. Śmierć mamy, taty, wściekłość tak wielka, że aż wybijała dziury w ścianach. Walka o życie. Przegrana. Śmierć. Śmierć. Śmierć.

Potem latanie.

Przewróciłem się na plecy i potarłem oczy. Nade mną pnie drzew spletały się w czarną sieć. Widoczne między liśćmi niebo było jeszcze czarniejsze, nakrapiane maleńkimi gwiazdami.

W marzeniach zawsze frunąłem, uciekając od czegoś lub kogoś. Od śmierci Aarona, od akademii, od milczenia mamy. Od wymagań i poczucia honoru taty. Od Bena, który z jakichś powodów chciał mi zaufać. Ale moim celem zawsze była bliżej nieokreślona ziemia obiecana. Nigdy coś konkretnego. Nie przyszłość ani nawet fajna praca.

Jakbym to ja umarł, nie Aaron, i został odcięty od życia, które było mi przeznaczone.

Ale ja żyłem. Idiocyzmem było stać w miejscu, bo Aaron zatrzymał się na zawsze.

Odzyskam swoje ciało. I będę sobą. Nikim innym, tylko sobą.

Tego chciałem.

MAB

W suficie w pokoju Arthura był świetlik - surowy, z pojedynczą szybą. Obserwowałam przez niego przesuwające się gwiazdy. Leżałam na łóżku w objęciu Gabriela. Najpierw trochę pośpiewał, potem zasnął, przygniatając mnie ramieniem. Ja też powinnam się przespać, ale nie mogłam się zmusić, żeby zamknąć oczy - była to w końcu moja ostatnia noc z magią w żyłach. Na policzku czułam regularny, spokojny oddech Gabriela. Moje serce dopasowało się do tego rytmu.

Ale później, tak późno, że już właściwie rano, wysunęłam się spod jego ręki.

- Dokąd idziesz? - wyszeptał.

- Na cotygodniowe utrwalanie magii. I chcę popatrzeć na wschód słońca. - Musnęłam palcami jego czoło, kość policzkową i miejsce pod krwistoczerwonym okiem. Przypomniały mi się czarne piórka porastające nowe policzki Willa. - Jeżeli poczujesz magię, to dobrze - właśnie po to tam idę. Nie martw się. Wrócę jak najszybciej.

Wygiął usta w słodkim uśmiechu i odpłynął.

Przyglądałam mu się, czując, że mnie samej tężeją rysy. Nadeszła właściwa chwila.

Umyłam się szybko i narzuciłam na siebie bladoliliową sukienkę z głębokim wycięciem na plecach. Uczesałam się i wplotłam we włosy czarne i fioletowe wstążki symbolizujące siłę magii. Na nadgarstku zawiązałam wstążkę koloru czerwonego. Matka zawsze powtarzała, żebym ubierała się stosownie do okazji. Była to jedyna rzecz, co do której zgadzały się z babcią Lyn. Nabrałam na dłonie olejku z krwawnika i ruty i wtarłam go sobie w skórę. Potem wyciągnęłam spod łóżka zapieczętowaną woskiem szkatułkę. Były w niej rzeczy, których potrzebowałam.

Szłam krętą ścieżką w kierunku pola słoneczników. Wyciągnęłam dłoń i przesunęłam po rosnących przy drodze liściach. Było jeszcze ciemno, ale znałam te rośliny, a one mnie. Robiłam to niezliczoną ilość razy, zawsze, kiedy tędy przechodziłam. Jednak to był ostatni raz.

Przystanąłam w cienistym zagajniku wiązowym, nieopodal kępy wiesiołków. W jednej dłoni trzymałam niebezpieczny lśniący sztylet, a drugą wyciągnęłam z rozluźnionymi palcami przed siebie. Wyciszyłam się. Wsłuchałam w bicie serca, które pompowało magię do wszystkich moich naczyń krwionośnych. Przyjrzałam się liniom na dłoni, szorstkim,

różowym opuszkom palców i niebieskawym żyłkom kryjącym się pod delikatną skórą pod nasadą kciuka.

W smukłych liściach wiązków zaszemrał wiatr. Kilka opadło na ziemię. Rozległ się przedranny świergot ptaków i brzęczenie dzwoneczków na szczycie silosu - razem brzmiały jak perlisty śmiech.

Delikatnie zerwałam kwiat wiesiołka. Cztery intensywnie żółte płatki pasowały kolorem do moich włosów. Marzyłam o tym, by drasnąć się w palec końcem sztyletu i sprawić, żeby kwiatek pofrunął do nieba jak motyl; byłoby to pożegnanie z magią, zanim ją całkiem utracę. Nie chciałam jednak ryzykować, że naruszę kruchą równowagę magii zaklętej w ostrzu.

Mogłam jedynie wsłuchiwać się w moc płynącą przez moje ciało i modlić się, żebym nie zapomniała tego uczucia, kiedy już jej nie będzie.

WILL

Czekałem na Mab u stóp silosu.

Najpierw zobaczyłem jej włosy - podskakującą na skraju lasu plamkę. Myślałem o Reesie i obserwowałem, jak Mab brnie przez słoneczniki.

Szła niczym królowa. Fioletowa sukienka do kolan nadymała się na wietrze, który ciskał o jej ramiona i dekolt ciemne wstążki przypominające strużki krwi. W jednej ręce niosła kwiatek, w drugiej - nóż. Wyglądało to absurdalnie, trochę jak tamtego dnia, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, siedzącą na drzewie w gogłach i glanach, z ustami pomazanymi krwią.

Wyglądało to dziwnie i dziko. A jednak jakoś... normalnie.

- Mab. - Wyszedłem z cienia.

Uniosła twarz.

- Will.

Pierwszy wspiąłem się na rozchybotaną drabinę. Po chwili oboje staliśmy na szarawej, rzadkiej trawie. W cieniu liści świat wydawał się jeszcze ciemniejszy. Mab od razu sięgnęła po swoje czekające pod drzewem pudełko z narzędziami i zaczęła rozstawiać potrzebne przedmioty. Wcześniej wyjaśniła mi jedynie, że dzięki temu zaklęciu naprawdę stanę się jej chowańcem i magia będzie swobodnie przepływać między nami.

Ułożyła krąg z czarnej wstążki i ustawiła dwie cienkie świece. Potem na skrawku papieru narysowała niesympatycznie wyglądający znak, który rozchodził się promieniście od środka. Podała mi kartkę. - Dasz radę to przerysować?

Z nerwów poczułem łaskotanie w żołądku, ale przytaknąłem.

- Super. - Wzięła z ziemi nóż, który przyniosła, i też mi go podsunęła, po czym uklękła plecami do mnie. - Wyryj mi to na plecach, dobrze?

Upuściłem nóż.

- Co?!

Wykręcając szyję, popatrzyła na mnie nad nagim ramieniem i powtórzyła prośbę.

Kucnąłem przy niej.

- Mab, nie ma mowy. Jak mógłbym zrobić coś takiego?

- Ostrożnie, ale szybko.

- Nie dam rady cię zranić.

- Inaczej plan nie zadziała.

- Mab!

Zwróciła się do mnie całym ciałem.

- Mówiłam ci, co to magia, Will - fuknęła. - Nic nie jest za darmo. Ofiara, równowaga, pamiętasz? To jest samo sedno wszystkich zaklęć.

Nigdy wcześniej nie była tak wzburzona. Prawie zła. Zaciśnięte usta, zmarszczone brwi. Wziąłem nóż i zerknąłem na rysunek.

- Co to jest?

- Runa czarnej świecy. Zwiąże nas na dobre. Będziesz czerpał ze mnie magię i dzięki temu uruchomisz zaklęcie, kiedy już wbijesz nóż w Gabriela. Za to ja uzyskam dostęp do ciebie, bo staniesz się moim chowańcem.

Mab popatrzyła na wiszące nad nami amulety, które tańczyły w lekkim wietrze. Było jeszcze na tyle ciemno, że przypominały jedynie czarne kształty.

Nabrałem powietrza. Głęboko. Głębiej, niż zwykle, bo to dziwaczne ciało potrzebowało więcej powietrza. Ni stąd, ni zowąd przypomniało mi się, jak Mab powiedziała, że do opętania trzeba się przyzwyczaić. Miałem nadzieję, że nigdy nie będę musiał przyzwyczajać się do tego, co miałem zaraz zrobić.

- Dobra - rzuciłem niepewnie.

- Dziękuję.

Mab odwróciła się i sama westchnęła głęboko; jej barki uniosły się, a potem opadły. Ustawiłem się dokładnie za nią. Dół jej pleców był blady - widziałem to nawet w tej ciemności. Rzadko zaglądało tu słońce. Ścisnąłem nóż i rozsunąłem palce drugiej ręki. Była taka czarna na tle jej jasnej skóry. Jak dziura w kształcie dłoni.



Musiałem sobie tłumaczyć, że to wcale nie jej ciało, tylko kartka papieru. Mab maksymalnie rozsunęła ramiączka sukienki, ale niepotrzebnie. Głębokie wycięcie z tyłu dawało mi wystarczająco dużo miejsca.

Właśnie grałem na zwłokę.

Zacisnąłem zęby, ostatni raz rzuciłem okiem na rysunek i dotknąłem jej pleców końcówką noża.

Zrobiło mi się niedobrze, kiedy ostrze z niesamowitą łatwością przecięło skórę. Mab nie odskoczyła z bólu, nic nawet nie powiedziała. A kiedy znieruchomiałem, szepnęła:

- Dalej, Will.

Żałowałem, że nie mogę zamknąć oczu. Chciałem przesuwać nóż szybciej, ale bałem się, że skopię rysunek. Wyszło mi w ustach. Moja dłoń jednak poruszała się z zaskakującą pewnością. To pewnie efekt szoku.

W ciemności widziałem tylko czerwone linie krwi, które pokazywały, ile już zrobiłem. Zacząłem dyszeć. Mab sięgnęła ręką do tyłu i złapała mnie mocno za kolano.

Zacisnąłem zęby z całych sił, aż zabolęła mnie głowa. Ale ryłem dalej. Ciąłem linie, kąty, ząbkowane pajęczne nogi.

Wreszcie skończyłem. Odsunąłem się i wykrztusiłem:

- Już.

Mab poruszyła ramionami. Cicho syknęła.

- Dobrze - wyszeptała.

Nad nami wiatr znowu poruszył drzewem i amuletami. Odnalazłem wzrokiem mojego dżokeja na koniu, który podskakiwał jak w galopie.

- Teraz ty - oznajmiła Mab. Obróciła się i wstała. - Daj plecy.

Całe moje ciało zalała fala gorąca. Czulem coś pomiędzy ulgą a strachem. Pochyliłem się i podparłem dłońmi o ziemię. Mab położyła kartkę obok i uklękła przy mnie.

- Będę się streszczać, ale zaciśnij zęby - ostrzegła.

I zanurzyła nóż w mojej skórze. Miałem wrażenie, że płoną mi plecy.

Zamknąłem oczy i wryłem się palcami w ziemię. Ból był zogniskowany dokładnie tam, gdzie Mab cięła. Zimny, palący, przemieszczał się za ostrzem w dół moich pleców. Potem w górę, tworząc „V”. Na łopatkach bardziej bolało. Po żebrach ściekała mi gorąca krew. Prawie łaskotała. W jednym miejscu na górze ból osiągnął takie natężenie, że przeskoczył na inny poziom i stał się niemal przyjemny. Parsknąłem śmiechem. Endorfiny.

- Nie ruszaj się, jeszcze trochę. - Na plecach poczułem ciepły oddech Mab, co natychmiast odnowiło ból. Wykrzywiłem się, ale ani drgnąłem. W górę kręgosłupa przebiegł mi wymieszany z bólem ognisty dreszcz, który zatrzymał się u nasady czaszki.

Potem przemienił się w mdłości. Ekstra.

Mab przestała ciąć. Odłożyła nóż. Podniosłem się, czując, jak ciepła krew spływa mi po plecach i wsiąka w pasek spodni.

- A teraz - Mab wzięła mnie za ręce i razem wstaliśmy - wejdziemy w ten krąg, plecami do siebie. Ja będę mówić, a ty powtarzaj. Musisz skupić się na świecy, żeby magia przeszła przez nas oboje. Cała operacja wygląda tak, że z moich pleców wychodzi ogień i wnika w ciebie, w twoje serce. Musisz wydmuchnąć z siebie ten ogień i zapalić nim świecę.

- Mam zapalić świeczkę siłą woli?

- I moją magią. - Mab uśmiechnęła się półgębkiem.

- Spoko, potrafią to pewnie wszyscy fajni czarownicy, nie chcę być w tyle.

Nie zrozumiała mojego żartu, tylko skinęła głową i wprowadziła mnie do środka ułożonego ze wstążki kręgu.

Równocześnie obróciliśmy się do siebie plecami. Mab cofnęła się, aż w końcu mnie dotknęła. W tym cholernym cielsku byłem od niej z piętnaście centymetrów wyższy. Kiedy jej zakrwawiona skóra zetknęła się z moją, przycisnęła nas do siebie moc magii.

Wydałem z siebie cichy okrzyk. Mab ścisnęła mnie za ręce.

- Trzymaj się mocno, Will.

Buchnęło między nami gorąco. Cień pod drzewem, w którym staliśmy, wypełniła woń krwi. Poczułem ją też na języku i zakrztusiłem się na wspomnienie kawałków błotnego monstrum w moich ustach.

**MAB**

Z zewnątrz rytuał czarnej świecy wyglądał niepozornie. Po prostu dwoje ludzi - wystraszona dziewczyna i krukowaty chłopak z opierzonymi kośćmi policzkowymi i karkiem - stojąc odwróconych do siebie plecami i szepcze coś w oczekiwaniu, aż zapalą się świece.

Dla nas jednak rytuał oznaczał palący ból i szalejącą od środka moc. Wewnętrznie przekazywaliśmy sobie tęczę energii. Wygłosiłam formułę, która związała mnie z Willem. On powtórzył moje słowa, a potem powiedzieliśmy je razem.

Twoja moc niech stanie się moją, a twoja krew moją krwią. Niechaj znak mojej mocy odcisnie się na tobie na zawsze. Magia staje się magią jak płomień odbity w czarnym zwierciadle. Niechaj znak mojej mocy odcisnie się na tobie na zawsze.

Nasze głosy recytujące zaklęcie odbijały się po okolicy echem, które oplatało nas po wielokroć niczym powietrzna wstęga. Zadygotałam i cała się zjeżyłam. Z nacięć na moich plecach wypłynęły nitki krwi i wniknęły w skórę Willa, a jego - wsączyły się we mnie. Nasza połączona krew skłębiła się i przypominała teraz szkarłatne gąsienice.

Kolana podcięły mi nagłe mdłości. Ścisnęłam Willa za rękę i skupiłam się na wzmacnianiu przepływu energii między naszymi dłońmi.

Nagle poczułam, że runy napełniły się mocą. Will drgnął. Ja też. Waliło mi serce. Oddychaliśmy równocześnie. Spojrzałam na knot świecy i dmuchnęłam.

Zapaliła się żywym ogniem.

Świeca Willa też. W ich świetle sercokształtne liście judaszowca przeistoczyły się w siateczkę cieni.

WILL

Razem oglądaliśmy wschód słońca. Mab oparła się o moje ramię, a ja - o pień judaszowca.

Nawet nie bolały mnie plecy. Zauważyłem, że rany Mab pociemniały i zaskorupiały. Moje pewnie też zabiły się w ten sposób. Czułem tylko coś w rodzaju zakwasów.

Przerzucony przez ramię warkocz Mab zwisał pomiędzy nami. I łaskotał mnie, kiedy się poruszała. Wreszcie wyszło słońce i rozzłociło jej loki. Tutaj, pod drzewem, z wiatrem poruszającym dzwoneczkami na gałęziach, nie mogłem przestać myśleć o krukach. Wróciłem pamięcią do chwili, kiedy zobaczyły ją tu po raz pierwszy. Miała takie cudowne włosy. Od razu stałem się jej.

Pocałowałem ją w głowę. Jej loki pachniały krwią i liśćmi. Moje plecy rozjarzyły się lekko.

- Babcia mówiła, że we wschodzie słońca widać całą magię świata.

Przez liście popatrzyłem na mieniący się kolorami horyzont. Rzeczywiście, jej babcia chyba miała rację. Było mi w to łatwo uwierzyć teraz, gdy w sercu wibrowało echo magii Mab. Uczucie przypominało uwierającą mnie w piersi klątwę błotnego monstrum - czy raczej Gabriela - tyle że lekkie i miłe, a nie ciężkie i straszne. Trochę łaskotało, jakbym zasnął, a potem obudził się i poczuł w nodze mrówki.

Bardzo chciałbym czuć to mrowienie również we własnym ciele, kiedy je wreszcie odzyskam.

- Chyba nie potrzebuję więcej magii - oznajmiłem. - Ta mi wystarczy.

Uniosłem nasze splecione ręce.

Mab przysunęła sobie moje palce do ust i pocałowała lśniące czarne kostki, a potem przytuliła policzek do porośniętego piórkami wierzchu dłoni.

W sercu wyczułem jej lęk. Nie rozumiałem, skąd się bierze.

- Co się dzieje?- Boję się - wyszeptała.

- Co? - Obróciłem ją ku sobie. - Mab, wszystko się uda. Jesteś silna i wiesz, co robisz.

Plan jest świetny.

- Wiem. - Zamrugła i podciągnęła kolana pod brodę. - Właśnie tego się boję.

Ująłem jej dłonie w swoje i potarłem kciukami jej palce.

- Jak to?

Oparła się czołem o nasze złączone ręce. Potem wzięła niepewny oddech i spojrzała mi w oczy.

- Zakłęcie wypali całą magię, która znajdzie się między mną a Gabrielem.

- Wiem. O to przecież chodzi, nie? Chcesz go wyrzucić z mojego ciała.

- Tak. - Pierwsze promienie słońca odbiły się w jej zażawionych oczach.

Jeszcze raz zastanowiłem się nad jej słowami. I nagle dotarło do mnie, co miała na myśli.

- Will, ja stracę całą magię.

- Nie! - Ścisnąłem jej dłonie. - Mab, nie możesz tego zrobić!

- Nie ma innego wyjścia. Muszę przypieczętować nasze zakłęcie. Inaczej jest ryzyko, że wymknie się spod kontroli i spustoszy cały świat. Moim zadaniem jest je zatrzymać. Po to jestem.

Wzruszyła ramionami i spojrzała w dal ponad moim ramieniem. Między jej brwiami pojawiła się zmarszczka, a usta zacisnęły się stanowczo.

Pokręciłem głową. Spróbowałem wyobrazić sobie Mab jako przeciętną osobę. Zanurzoną w podręcznikach. Może cheerleaderkę. Zero krwi, noży i ognistych kul.

- Musi być jakaś alternatywa.

- Nie ma - wyszeptała. - Nic mi nie przychodzi do głowy. Najważniejsze, żeby Lukasowi i tobie nic się nie stało.

- Chcę zaryzykować!

- Ale ja nie chcę - skwitowała po prostu. - A poza tym jestem też odpowiedzialna za Lukasa. Nie wiem, ile jeszcze wytrzyma. Nie ma czasu na eksperymenty. Mamy tylko jedną szansę. Musimy działać.

Trudno było z tym dyskutować. Otworzyłem usta, ale zaraz je zamknąłem.

Mab dotknęła mojej twarzy.

- Trzeba się z tym pogodzić. Wypowiem ostateczne zaklęcie, a potem... sama nie wiem co. Nie mam pojęcia, kim będę.

Jakiś czas temu sam powiedziałem coś podobnego. Mab tyle razy powtarzała, że magia to dla niej wszystko. Wtedy, na betonowych stopniach trybun, oświadczyła: „Do tego jestem stworzona”.

Podniosłem się, ją też podciągając. Dotknąłem jej twarzy i popatrzyłem prosto w oczy.

- Ja wiem, kim będziesz.

Mab stanęła na placach i pocałowała mnie w usta. Oparłem dłonie na jej biodrach i odwzajemniłem pocałunek. W moich plecach skumulowała się gorąca energia i wystrzeliła przez serce do Mab. Ona westchnęła i oparła swoje czoło o moje.

- Mówiłam ci już, że smakujesz wiatrem? - wyszeptała.

- Mab. - Znowu przyssałem się do jej ust.

Zamknęła oczy i położyła mi dłonie na klatce piersiowej, w tym samym miejscu, gdzie dźgnął mnie róg, gdzie zaczęła się cała magia, która mnie tutaj przywiodła.

- Will - odezwała się stanowczo. Oczy nadal miała zamknięte, jakby sobie coś wyobrażała. - Dopóki będziesz przy mnie, nie zapomnę, że na świecie istnieje magia.

- Będę. - Przyciągnąłem ją za biodra jeszcze bliżej. Przez chwilę nie istniało nic innego.

MAB

Spotkaliśmy się we troje, kiedy słońce zanurzyło Różowy Dom i pobliski krąg dębów w złocistej poświacie. Ben zeskoczył z rosnącego kawałek dalej drzewa i podbiegł do nas.

- W ogóle się nie ruszał - zameldował półgłosem.

Rzuciłam okiem na runę, którą przygotowali. Była całkiem niezła. Pokiwałam głową z aprobatą. Wyciągnęłam z ziemi wetknięty tam nóż i skaleczyłam się w nadgarstek.

- Ben, zdejmij koszulkę.

Zawahał się i zerknął na Willa, nachmurzony, ale zaraz zrobił, o co prosiłam. Krwią namalowałam mu na sercu runę.

- To przeciw opętaniu przez Gabriela - wyjaśniłam.

- Okropność.

- Można się przyzwyczaić. - Will się uśmiechnął.

Ben rozmazał krew na moim nadgarstku.

- Twoje tatuaże też do tego służą?

- Tak. To trwałe, magiczne linie - runy. Och! - Z płuc uszło mi całe powietrze. Przecież zakłęcie wyrwie mi z ciała tatuaże, które Arthur tak pieczołowicie wyrysował, a potem przez wiele słonecznych ranków nanosił na moją skórę.

Zawsze sądziłam, że tę pamiątkę po nim będę nosiła do końca życia.

Oczy zaszyły mi łzami, ale zacisnęłam zęby i wciągnęłam gwałtownie powietrze. Will położył dłoń na moim policzku, MAB

Spotkaliśmy się we troje, kiedy słońce zanurzyło Różowy Dom i pobliski krąg dębów w złocistej poświacie. Ben zeskoczył z rosnącego kawałek dalej drzewa i podbiegł do nas.

- W ogóle się nie ruszał - zameldował półgłosem.

Rzuciłam okiem na runę, którą przygotowali. Była całkiem niezła. Pokiwałam głową z aprobatą. Wyciągnęłam z ziemi wetknięty tam nóż i skaleczyłam się w nadgarstek.

- Ben, zdejmij koszulkę.

Zawahał się i zerknął na Willa, nachmurzony, ale, zaraz zrobił, o co prosiłam. Krwią namalowałam mu na sercu runę.

- To przeciw opętaniu przez Gabriela - wyjaśniłam.

- Okropność.

- Można się przyzwyczaić. - Will się uśmiechnął.

Ben rozmazał krew na moim nadgarstku.

- Twoje tatuaże też do tego służą?

- Tak. To trwałe, magiczne linie - runy. Och! - Z płuc uszło mi całe powietrze. Przecież zakłęcie wyrwie mi z ciała tatuaże, które Arthur tak pieczołowicie wyrysował, a potem przez wiele słonecznych ranków nanosił na moją skórę.

Zawsze sądziłam, że tę pamiątkę po nim będę nosiła do końca życia.

Oczy zaszyły mi łzami, ale zacisnęłam zęby i wciągnęłam gwałtownie powietrze. Will położył dłoń na moim policzku, kciukiem muskając mi usta. Skinęłam głową i westchnęłam głęboko, żeby dodać sobie sił. Ben dotknął mojego ramienia, chociaż widziałam po nim, że nie rozumie, co się dzieje. Nie tracił jednak czasu na zadawanie pytań.

- Will, od razu poczuję, kiedy wbijesz w niego nóż. Zaczerpnę wtedy twojej mocy i zacznę rozrywać więzy między nim a Lukaszem.

- Wiem.

- Ty po prostu skup się na swoim ciele. - Ujęłam go za opierzoną dłoń i popatrzyłam mu w oczy. W słońcu jego skóra błyszczała jak rozlana benzyna: na niebiesko, złoto i fioletowo, a oczy, którymi mnie obserwował, były intensywnie błękitne. Piękny widok. -

Twoje obecne ciało się rozsypie, więc musisz od razu przejść we własne. Chciej go ze wszystkich sił.

Odgarnął mi z twarzy luźne loki, które uciekły z warkocza. Że też moje włosy nigdy się mnie nie słuchały.

- Wiem, co robić, Mab.

- Obaj wiemy. - Ben stanął przy nas, tworząc brakujący wierzchołek trójkąta.

- Pamiętasz telefon i adres Faith? - Zerknęłam na niego. Wszystko po to, żeby opóźnić chwilę pożegnania z magią.

- Tak.

Skinęłam głową. Gdyby coś poszło nie tak - gdybyśmy ja albo Will zostali ranni, gdyby Lukas potrzebował magii uzdrawiającej - zadaniem Bena będzie pobiec po Faith. Ja już nie zdołam pomóc.

Ben ścisnął mnie za ramię i odszedł. Will popatrzył nad swoim masywnym barkiem na dom, potem na mnie. Przez dłuższą chwilę przyglądałam mu się, podziwiając mieniącą się kruczą czerń. Wszystko zostało już powiedziane. Will pociągnął mnie jeszcze lekko za lok i dogonił Bena.

Razem podeszli pod werandę. Potem odwróciłam się i uklękłam na brzegu solnego kręgu.

WILL

Zamarliśmy z Benem na werandzie. Dotknął mojego barku zaciśniętą w pięść dłońią. Skinęłam głową. Nasz plan był prosty. On miał odwrócić uwagę Gabriela; moim zadaniem było podejść go od tyłu i wbić sztylet. Obym tylko nie trafił w jakiś ważny narząd wewnętrzny. W końcu zamierzałem okaleczyć własne ciało.

Lepiej o tym nie myśleć.

Mój brat ścisnął klamkę, gwałtownym ruchem otworzył drzwi i wparował do środka.

Oparłem się czołem o framugę i policzyłem powoli do dwudziestu. Nasłuchiwałem, czy ze środka nie dobiega wołanie o pomoc.

W końcu wszedłem.

Okna pootwierano na oścież, więc było tu tak samo ciepło i wilgotno jak na zewnątrz. Hulał przeciąg. Wszystkie lampy były zgaszone, dom oświetlało tylko blade poranne słońce. Z prawej usłyszałem swój głos. Ostrożnie podkradłem się bliżej.

Moje ciało stało tyłem do mnie, z opartymi na biodrach rękami. Mówiło do Bena:

-...cię raczej nie wypuszczę.

Ben ustawił się pod oknem tak, że między nim a Gabrielem znalazła się kanapa. O jego łokieć załopotala zasłona.

Łatwizna.

Wszedłem do pokoju z korytarza.

Gabriel stał zrelaksowany, z jednym biodrem wypchniętym do przodu. Zupełnie nie tak wyobrażałem sobie siebie. Nawet tyłu byłem niepodobny. Miał na sobie jedynie spodnie, w których najwyraźniej spał. Krwiste tatuaże wyblakły; były rdzawym cieniem swojego dawnego kształtu. Wyglądały jak nierozzerwalna część tego człowieka. Mnie.

- Wezwałem policję - odezwał się Ben i przysunął do okna.

- Dwa dni temu przeciąłem linię. Stój, bo przemienię cię w paprotkę. - Gabriel wcale nie wyglądał na zaniepokojonego.

Nie byłem w stanie się ruszyć. Miałem przed sobą swoje własne ciało. Przebiegł mnie dreszcz. Zacisnąłem w dłoni sztylet, który musiałem w nie wbić. Zakręciło mi się w głowie. W myślach zacząłem recytować słowa zaklęcia, jak gdyby mogły zmusić moje stopy, żeby ruszyły przed siebie.

- Proszę bardzo, jeżeli chcesz mi coś zrobić - Ben mówił do Gabriela, ale zerknął na mnie - to rób to, do cholery.

Skoczyłem do przodu i dźgnąłem swoje własne ramię.

MAB

Zaklęcie Willa buchnęło ogniem w samym środku runy na moich plecach i przebiegło wzdłuż kręgosłupa. Drasnęłam się we wnętrza dłoni i ułożyłam je na obu końcach przerwanej linii z soli. Krąg został zamknięty.

- Jego moc już nie jest twoją, a twoja krew staje się wolna. Znak jego mocy na zawsze znika z twojej skóry. Zwierciadło zostaje rozbite, a obraz płomienia się zaciera. Znak jego mocy na zawsze znika z twojej skóry.

Było to odwrócone zaklęcie runy czarnej świecy.

Zatrzęsła się pode mną ziemia.

WILL

Gabriel szarpnął się, wrzasnął i zatoczył do tyłu; byłby upadł, ale zdążył złapać się fotela. Odwrócił się i sięgnął do tyłu, żebywyjąć sztylet, ale nie dał rady - osunął się na ziemię, a po plecach popłynęła mu świeża krew. Klęcząc, spojrział na mnie, a w jego - moich! - oczach odmalowało się przerażenie.

- Ptasznik - wyszeptał.



Podszedłem bliżej i wyciągnąłem rękę, żeby umoczyć palec w jego krwi - tylko tak mogłem uruchomić zaklęcie. On jednak złapał mnie za nadgarstek.

- Poczekaj. Dam ci o wiele większą władzę niż ona.

W tej samej chwili Ben gruchnął Gabriela łokciem w głowę, ten z wrzaskiem przewrócił się na bok, a ja przyskoczyłem do niego i na klęczkach rozmazałem krew z jego rany w kształt koła.

- Mocą krwi oczyszczam cię z klątwy - wyrecytowałem.

- Mab! - ryknął Gabriel.

Tatuże na jego ciele rozżarzyły się czerwienią. Rzucił się do przodu i popchnął mnie z całej siły. Razem runęliśmy na podłogę. Z szamoczącego się na górze ciała - które kiedyś należało do mnie - kapłała mi na klatkę piersiową gorąca krew.

Runa na moich plecach zagrzmiała energią. Z ust wyrwał mi się zduszony jęk.

Gabriel zgrzytnął zębami i syknął:

- Może zabrać mi Lukasa, ale to ciało zawsze będzie moje.

- Nieprawda, moje! - Miałem wrażenie, że przeglądam się w lustrze i widzę minę, której nigdy bym nie zrobił.

- Williamie. - Roześmiał się szorstko i okropnie. Spychałem go z siebie, ale palce ślizgały mi się po jego umazanej krwią skórze. Był bardzo gorący. Trzęsły mu się mięśnie, usta zsiniały, a twarz zrobiła się cała czerwona.

W końcu spełził ze mnie. Znowu poczułem się, jakby moja klatka piersiowa rozsypywała się w drobny mak. Skóra chyba mi odłaziła, pióra drżały. Odebrało mi dech. Umierałem.

Ben stanął nad nami. Kopniakiem obezwładnił Gabriela, który próbował się podnieść. Gabriel zakaszłał, a ja usiadłem na nim okrakiem.

Podłoga falowała.

Gabriel wykrzywił się, krztusząc własnym krzykiem. Oparłem ręce na jego barkach i przyspiliłem całym ciężarem ciała.

- Przestań! - wydierał się. - Nie! Nie zasłużyłem na to!

- To moje ciało.

- To zaklęcie zniszczy też ciebie!

- Wiem.

Wbiłem mu palce w ramiona. Dłonie ślizgały mi się na mojej własnej krwi. Krucze ciało rozdierał płomień magii, który kumulował się w kulę ognia w moim sercu. Zamknąłem oczy i pomyślałem o sobie. Gabriel wrzeszczał i ja wrzeszczałem.

Ben krzyknął moje imię.

Trzymałem się mocno, nawet gdy tatuże na ciele pode mną wżerały się w skórę jak kwas, nawet gdy ciało na górze rozpadało się na kawałki.

To było moje. Moje. Moje ciało. Moje życie.

Moje.

MAB

Mój chowaniec eksplodował magią tak jasną, że aż mnie oślepiła, i wiele mnie kosztowało ukierunkowanie energii na niszczenie klątwy.

Z runy czarnej świecy wystrzelił ogień. Palił mi gardło i trząśł kośćmi tak mocno, że obawiałam się, czy nie rozpadną się na tysiąc kawałków. Od wewnątrz cała płonęłam, ale zanurzyłam palce głęboko w ziemię.

Piekiło szalało. Wycie rozsadzało mi uszy; wkrótce nie słyszałam już własnych krzyków. Ale po chwili wszystko, co straszne, zniknęło pod ziemią. Solny krąg wytrzymał.

Lukas leżał na kupce spopieliałych róż. Naokoło wszystko zostało zniszczone, jego ciało jednak ocalało.

Podczołgałam się ku niemu i potrząsnęłam go za ramię. Jego skóra parzyła, ale szarpałam dalej.

- Lukas!

Otworzył oczy i usiadł.

- Mab - odezwał się słabo.

Uśmiechnęłam się. Popękane usta zabolęły.

- Uciekaj z kręgu. Szybko!

- Mab... - Miał wymęczoną twarz i podkrążone oczy, ale najważniejsze, że żył.

- Uciekaj. Jeszcze nie skończyłam.

Ziemia drżała nadal.

- Lukas, uciekaj z kręgu!

Potknął się, ale wstał i rzucił się do ucieczki. Ja też stanęłam na nogi. Magia łaskotała mnie w stopy. Teraz moim zadaniem było powstrzymać rozprzestrzenianie się zaklęcia - inaczej rozlałoby się po całym świecie, niszcząc wszystko na swojej drodze. Całą magiczną ziemię. Lukasa. Wszystko.

Ścisnęłam rękojęść noża. Wyciągnęłam rękę, przyłożyłam końcówkę ostrza do nadgarstka i drasnęłam się głęboko. Ból stał się wręcz namacalny. Podeszłam do najbliższego z dziewięciu pierścieni.

- Mocą krwi oczyszczam cię z klątwy!

WILL

Płonąłem.

Istniał tylko ogień. I moje imię. Ciało rozdzierał mi wiatr. Nie miałem na nic wpływu. Nie potrafiłem latać. Spadałem. Byłem...

Willem.

MAB

Upadła pierwsza kropla krwi. Poczułam, jak moja runa budzi się do życia.

Kiedy upuściłam drugą kroplę na drugą z kolei linię, od palców u stóp przebiegł moje ciało dreszcz rozkoszy. Ach, magia! Trzecia kropla rozdarła mi serce.

Ponownie zanurzyłam końcówkę noża w nadgarstku. Po czwartej i piątej kropli poczułam słabość w kolanach. Po szóstej zacisnęło mi się gardło, po siódmej w oczy zaszczypały łzy.

Ósma prawie zgruchotała mi kości.

Kiedy dziewiąta dotknęła runy, na ziemię cisnęła mnie gwałtowna fala magii.

Upadłam na biodro i krwawiący nadgarstek. Ramię przeszył ból. Jęknęłam.

- Oczyszczam cię z klątwy - rozkazałam. - Mocą krwi, prawem krwi oczyszczam cię z klątwy.

Wyjący wiatr szarpał dębami i uderzał o dach Różowego Domu. Lukas coś krzyknął, ale trzymał się na bezpieczną odległość.

Dziewięć kręgów się rozjarzyło. Stałam pośrodku.

Nagle wiatr zamarł. Przed oczami migwały mi plamki słońca. Na wzgórzu zapanowała cisza.

WILL

Otworzyłem oczy. Głowa mi pękała, a serce waliło o żebra. Pochylił się nade mną Ben. Will?

Powoli usiadłem. Dotknąłem mojej - mojej! - klatki piersiowej. Bolało mnie wszystko, nawet kości.

Dookoła fruwały czarne pióra, rozdmuchiwane przez wpadający oknem wściekły wiatr.

- Ben!

Brat złapał mnie za rękę.

- Will?

- Zawsze, kurde, fidelis.

Pomógł mi wstać i razem wyszliśmy chwiejnym krokiem na dwór, w zawieruchę liści i pyłu.

Uniosłem rękę, żeby osłonić twarz, i szedłem przed siebie. Mab stała w miejscu, gdzie kiedyś było poletko róż. A obok pudełka z jakimiś kwiatami siedział Lukas. Był całkiem goły, ale oczy miał żywe i szeroko otwarte.

Mab krzyknęła.

Stała pośrodku żarzącego się kręgu, a dziewięć rozmieszczonych dookoła świec wystrzeliwało srebrnym światłem w górę, ku niebu, a także do środka - prosto w Mab.

Rzuciłem się ku niej.

MAB

Zaczęło się w palcach u rąk i nóg, ale szybko objęło wnętrza dłoni i podeszwy stóp. Paląca fala rozprzestrzeniała się po moim ciele, pochłaniając całą moc. Zacisnęłam zęby, odrzuciłam głowę do tyłu i rozłożyłam szeroko ramiona. Magia przepływała przeze mnie po raz ostatni.

W brzuch trafiła mnie eksplozja ognia. Zgięłam się i krzyknęłam, obejmując się wpół. Opadłam kolanami na ziemię.

Och, ogień! Pożerał moją wątrobę i lizał płuca. Każdy oddech był jak lawina szpilek.

I nagle ktoś znalazł się przy mnie i przytulił, powtarzając bez końca moje imię.

Wielka siła obdzierała magię z moich kości i wygotowywała ją z mojej krwi; on tymczasem obejmował mnie, jakby mógł uchronić przed walącym mi się na głowę niebem.

Arthurze. Przepraszam.

Zabiłam go - mężczyznę, którego tak długo znałeś i kochałeś. Po wszystkim weszłam do domu i przez dwa tygodnie czekałam, aż wrócisz. Chciałam uciec, ale zostałam. Musiałam poznać prawdę: czy o wszystkim wiedziałeś. Czy spodziewałeś się zastać go we mnie, kiedy przyjdiesz do domu.

Było nieprzyjemne, lepkie od upału popołudnie. Z dębów zwisały smętnie liście i nawet jaskółkom było za gorąco, żeby śpiewać. Zajechałeś pod dom starym pontiakiem, a ja stałam na werandzie w mojej ulubionej sukience koloru morelowego, z malutkimi pomarańczami wyhaftowanymi wzdłuż brzegu. Pamiętasz ją?

Wyskoczyłeś z samochodu. Towarzyszyły Ci dwie osoby: Jessica i Dietrich, oboje z maltretowaną temperaturą, do której nie przywykli. Cały w uśmiechach, popędziłeś mi na powitanie. Ja co prawda nic nie mówiłam, nie zrobiłam nawet żadnego gestu, z którego wynikałoby, że się cieszę, ale Ty chwyciłeś mnie za rękę i ucałowałeś. Przytuliłeś się do mnie całym ciałem.- Evelyn - wyszeptaleś mi w ucho.

Tyle mi wystarczyło. Wiedziałam, że nic Ci nie powiedział. Spodziewałeś się zastać mnie w zdrowiu, zamierzałeś się ze mną ożenić i spędzić ze mną całe życie. Wiedziałam, że mnie kochasz.

I wiedziałam, że przenigdy nie będę w stanie powiedzieć Ci, czego dopuścił się Gabriel.

MAB

Nadszedł dzień imprezy.

Siedziałam okrakiem na wysokim konarze płatanu niedaleko północnej ściany Różowego Domu. Przywiązywałam do jego gałęzi długie fioletowe wstążki z kruczymi piórami. Silla stała pod drzewem i przygotowywała zawieszki: do wstążki przyczepiała piórka, srebrne dzwonki i małe błękitne koraliki w kolorze oczu Reesea. Skończyła kolejną i podniosła na mnie wzrok, osłaniając oczy od plamek światła. Na jej palcach błyszczwały pierścionki.

- Gotowa? - zawołała.

- Jak zawsze.

Posłała mi w powietrzu buziaka razem z piórem, za którym ciągnęły się wstążki i brzęczące dzwoneczki. Złapałam zawieszkę ostrożnie i wyciągnęłam się, żeby zawiązać ją na gałęzi nade mną.

Dookoła domu i ogrodu wisiało już ponad trzysta takich amuletów. Piórka pozbiieraliśmy, kiedy było już po wszystkim. Gdzie bym nie spojrzała, widziałam podskakujące na wietrze skrzydła Reesea.

Z wnętrza domu dobiegł śmiech. To Lukas, Nick i nadzorująca ich Faith; chłopcy ostrożnie wynosili na zewnątrz krzesła, żeby ustawić je przy długich stołach na trawie przed domem. Donna przygotowywała mięso, a Eli zajmował się grillem. Hannah i Caleb bazgrali kredą po drzwiach garażu. Narysowali wielkie różowoczerwone drzewo i coś, co z grubsza przypominało psy.

Przez ostatnie dwa tygodnie przewinęła się przez nasz dom większość czarowników. Niektórzy zostawali na dłużej i pomagali unieruchomić klątwy albo wzmocnić magię drzew - czyli robić to, czego ja nie mogłam. Inni wpadali na parę godzin złożyć hołd Arthurowi, a niektórzy również lipie babci Lyn.

Jednak głównie przyjechali do mnie.

Do nowego Diakona.

Nie wiedzieli, że nie mam tej mocy co kiedyś. Nawet ja nie byłam pewna, czy kiedykolwiek odzyskam swoją dawną magię. Silla co prawda przyjrzała się mojemu ramieniu,

a zwłaszcza gładkiej skórze w miejscu, gdzie kiedyś miałam tatuaże, i stwierdziła, że nie wszystko stracone. Z czasem być może odnowi się tak, jak odnawiała się nasza krew.

Silla, Nick i Donna zjawili się dzień po tym, jak wypaliłam z siebie magię i uwolniłam Lukasa. Przyjechali pikapem wyładowanym walizkami i tekturowymi pudełkami. Nick pomógł Donnie zagrabić popiół po różach, a potem pojechał do miasteczka po sterty kamieni wulkanicznych i łupku i usypał z nich wielobarwny skalniak. Razem z Sillą pozbierałyśmy wszystkie krucze pióra i pierwszych parę dni spędziłam, pomagając jej w nanoszeniu na nie zaklęć pieczętujących. Zabrała mnie do miasta i poszłyśmy do manikiurzystki i fryzjera. Po raz pierwszy słyszałam też, jak wspomina Reesea z czasów, kiedy był jej bratem.

Tamtego wieczora wyszłam na dwór przyjrzeć się gwiazdom. Włosy rozwiewał mi ciepły letni wietrzyk. Zaczęłam przysłuchiwać się ciszy. Skrzeczały żaby, miliony cykad śpiewały swoją pieśń pożądania, ale drzewa już do mnie nie szeptały. Wypaliłam z nich magię; straciły głos.

Popatrzyłam na najbliższą rodzinę siedzącą na werandzie. Lukas małym nożykiem wydlubował w poręczy swoje imię, Silla pisała coś powoli w oprawnym w skórę dzienniku, a Nick tasował karty na deskach werandy, starając się przekonać Donnę, że jednak chce z nim zagrać o to, czy przyleci do nich do Oregonu.

Pomyślałam o rodzinie czarowników, która przyjechała tu z różnych zakątków kraju. O Arthurze i jego fiołkach. O Gabrielu, który z równą pasją kochał i nienawidził. O babci składającej moje dłonie do modlitwy. Myślałam o moich dwunastu krukach, które odeszły, i o Willu. Tak bardzo żałowałam, że nie ma go przy mnie. Teraz nareszcie moglibyśmy beztrąsko się śmiać.

Choć straciłam całą moc i byłam raczej średnim Diakonem, postanowiłam jednak zrobić imprezę.

I tak oto czekaliśmy na gości. Większość z nich nigdy nie była na naszej ziemi. Wypucowaliśmy wszystkie kąty i pochowaliśmy najbardziej rzucające się w oczy akcesoria magiczne, aż w końcu Różowy Dom wyglądał jak zwykły wiejski domek, w którym moja rodzina mieszka od pokoleń.

Oficjalnie urządzaliśmy pożegnanie Nicka i Silli, którzy za trzy dni mieli wyjechać do Oregonu. Wiedziałam jednak - i oni też wiedzieli - że ukrytym celem imprezy było tchnięcie w nasz las nowego życia. Chodziło o to, by zaleczyć blizny nowymi gestami przyjaźni i dobrej woli. Zawiesiłam ostatni amulet i zeszałam z drzewa. Razem z Sillą przyglądałyśmy się wirującym na wietrze piórom.

- Żegnaj, wielkie serce. Ta ziemia, na której leżysz nieżywy, nigdy spośród żywych odważniejszego nie nosiła męża - szepnęła Silla.

- Czy to modlitwa? - Wzięłam ją za rękę.

Spojrzała na mnie z ukosa.

- To Szekspir, dzikusko.

Roześmiałam się i poszłam się wykapać.

Długo leżałam w naparze z fiołków. Potem związałam włosy i narzuciłam na siebie zwiewną, krwistoczerwoną sukienkę, którą znaleźliśmy w rzeczach matki. Wszyscy byli zgodni, że wyglądam w niej dorosłej, nawet bez butów, które stanowczo wykluczyłam.

Nie mając na sobie nic więcej - żadnych spinek, makijażu, stanika czy biżuterii - poszłam do kuchni po srebrny pucharek. Napelniłam go zimną wodą z anyżem i miodem i zaniiosłam na werandę.

Na sznurkach rozwiesiliśmy lampiony, ustawiliśmy też pochodnie, gotowe do zapalenia, kiedy zajdzie słońce. Na stołach stały przysadziste wazon-y z białymi i różowymi jeżówkami. Czułam zapach zieleni i palonego drewna.

Kiedy podeszła Donna, poczęstowałam ją naparem.- Upiła troszkę i pocałowała mnie w policzek. Małemu Calebowi płyn pociekł po brodzie, a Lukas zanurzył w pucharku palec i mnie opryskał. Nick zaproponował odrobinę swojej whisky dla poprawy smaku i zwiększenia mocy naparu. Faith i Eli napili się razem.

\* W. Szekspir, Król Henryk IV. Część pierwsza, przeł. R. Brandstaetter, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1962, s. 174.

Gdy skosztowała już cała rodzina, stanęłam przy podjeździe i częstowałam przybywających gości. Rzeźnika, właścicieli sąsiedniej budki na targu, starsze małżeństwo, od którego kupowaliśmy słodkie wino. Zaproszeni byli wszyscy, którzy - świadomie bądź nie - uratowali nas i magię. Wszystkich częstowałam moim pucharkiem. Na ogół byli zaskoczeni, śmiali się, ale nikt nie odmówił. Nie przychodzili z pustymi rękoma; przynosili muzykę, jedzenie na grilla, kolorowe sałatki z makaronem i galaretki owocowe.

Podziwiano naszą ziemię, zachwycano się głośno różowymi ścianami domu. Dzieci tańczyły w skalniaku i bawiły się wśród krzewów azalii. Rozmawialiśmy o Arthurze i babci, o tym, jak było dawniej, o wydarzeniach z szerokiego świata. Szmer głosów był na tyle głośny, że zagłuszał milczenie drzew.

Kiedy zjawili się Will i Ben z rodzicami, już dawno odstawiłam pucharek na werandę. Nawet ich nie zauważyłam, dopiero Silla mnie odnalazła i szepnęła mi coś na ucho. Wzięłam Donnę i przeciągnęłam ją przez tłum nowych i starych znajomych. Sangerowie stali na

drugim jego końcu. Ledwo się powstrzymałam, żeby nie rzucić się Willowi na szyję, ale on i tak uśmiechnął się szeroko na mój widok. Jego rodzice oczywiście mnie znali, ale przedstawiłam im Donnę, a potem oprowadziłam ich, pokazując, gdzie jest woda, gdzie jedzenie i którędy do toalety. Przez cały czas zerkałam ukradkiem na Willa, a gdy nasze spojrzenia się spotykały, czułam, jak oddech mi przyspiesza. Ścisnęło mnie w dołku na samą myśl, że może być między nami dystans.

Ale Will był miły i czarujący, mimo że nie znał wielu osób. Miał na sobie dzinsy i zieloną koszulkę, która ciasno opinała jego barki - gdy na nie spoglądałam, czułam łaskotanie w żołądku. Po chwili podeszła do nas Silla, a on zamilkł, jakby niebył pewien, co powiedzieć. Dopiero gdy uśmiechnęła się do niego smutno, powiedział:

- Widziałem cię w jego wspomnieniach.

Rozładowała atmosferę, pytając o psy, o których wiele słyszała. Potem dołączyli do nas inni goście.

Za jakiś czas zjawił się Lukas i odciągnął Willa na bok. Myślałam, że umrę, ale ponieważ wokół mnie było mnóstwo ludzi, musiałam rozmawiać i się uśmiechać. Powtarzałam sobie, że ta impreza to zakłęcie ważne jak każde inne. Jadłam, piłam i tańczyłam, trzymając Caleba na biodrze.

W pewnej chwili zleciały się komary. Słysząc było płask dłoni i nerwowe śmiechy, aż w końcu zapaliliśmy pochodnie. Nick z pomocą Hannah cichaczem uruchomił zakłęcia przeciw owadom. Gdy zaczęły działać, powietrze zadrżało, a komary jakby zapomniały o krwi naszych gości.

W zapadającym zmierzchu rozglądałam się nerwowo za Willem. Znalazłam go przed werandą - opierał się o balustradę i rozmawiał z Elim, Benem i facetem o nazwisku Winchester, który miał obok nas stragan na targu. Przekomarzali się na temat klubów piłkarskich. Wychyliłam się z werandy i szepnęłam mu do ucha:

- Puk, puk.

Obrócił głowę i zapytał:

- Kto tam?

Eli i Winchester uśmiechali się znacząco.

- Sąsiadki.

Will zaśmiał się, mrużąc oczy i kręcąc głową.

- Boże, nie przypominaj mi tego suchara.

Wyciągnęłam dłoń przed siebie.

- Przepraszam, moi drodzy - powiedziałam - ale muszę na chwilę porwać Willa.



## WILL

Przez ostatnie dwa tygodnie niewiele się działo. Mama i tata wybaczyli nam spontaniczną wycieczkę. Pewnie duża w tym zasługa Bena i jego zręcznych kłamstewek. Pozdawałem wszystkie egzaminy, choć ledwo, ledwo. Co wieczór przemyślałem do swojego pokoju Furię i Walkirię i ustawiałem budzik na wcześnie rano, żeby się ich pozbyć, zanim wstanie mama.

Tata odbył ze mną długą rozmowę o tym, jak konkretnie wyobrażam sobie przerwę w „dalszym kształceniu”, ale miałem jeszcze cały rok, żeby go przekonać. Sprawa nie wyglądała beznadziejnie. Zwłaszcza że Ben mnie poparł. Twierdził, że jak przyjdzie co do czego, dokonam słusznych wyborów, i że tata powinien mi zaufać.

Żeby wynagrodzić mamie stres, wyszukiwałem w Internecie różne wykwintne przepisy i potem godzinami razem gotowaliśmy. Po pysznym obiedzie wyjść z kuchni z eksperymentalnym ciastem cukiniowym i zobaczyć, jak rodzice uśmiechnięci, odprężeni trzymają się za ręce - bezcenne.

Zaproszenie przyszło pocztą dopiero parę dni temu. Mała niebieska koperta, w środku widokówka z polem słoneczników i napisem ZŁOTO KANSAS. Na odwrocie znajdowała się krótka wiadomość: Zapraszamy na grilla z okazji pożegnania Silli i Nicka. Dwudziestego pierwszego o piątej. Zabierzcie rodzinę!

Mama, gdy jej to pokazałem, ściągnęła usta i przez chwilę przyglądała mi się w zamyśleniu, aż w końcu powiedziała:

- Porozmawiam o tym z tatą.

Mab zabrała mnie do lasu, a stamtąd przez wielkie pole słoneczników do swojego silosu. Płyty mieniły się czerwienią w zachodzącym słońcu. Stała przede mną. W sukience, którą miała na sobie, pasowała do ognistego tła. Wprost iskrzyła się magią.

Nie mogłem nic z siebie wykrztusić. Po prostu mnie zatkało.

- Wejdziemy na górę? - zapytała cicho.

Skinąłem głową. Mab zebrała wokół ud sukienkę, żeby ułatwić sobie wspinaczkę po drabinie. Patrząc, jak wspina się z gracją coraz wyżej i wyżej, nie miałem już żadnych wątpliwości, że jestem z powrotem w swoim ciele.

Kiedy dotarła na szczyt, pochyliła się nad krawędzią i gestem zaprosiła mnie na górę.

- Co jest, Will? Nie wchodzisz?

Jej włosy płonęły i przez chwilę wyglądała jak wcielenie słońca. Prawdziwe słońce tymczasem opadało coraz niżej ku zachodowi, rzucając w naszą stronę jaskrawe kolory.

Chwyciłem drabinę i zacząłem się wspinać z zadartą głową, bo nie mogłem oderwać wzroku od Mab. Kiedy wszedłem na samą górę, wzięła mnie za ręce i przyciągnęła do siebie. Zakręciło mi się w głowie, wzgórza zawirowały, ale trzymałem się jej mocno - była moim punktem odniesienia. Uśmiechnęła się i zaczęła coś mówić, ale zamknąłem jej usta pocałunkiem. Smakowała jak te wiśniowe knedle, które ktoś przyniósł na imprezę: cukier, cynamon i eksplozja ciepłych, czerwonych owoców.

Mab się zaśmiała. Objęła mnie za szyję i zawisła w powietrzu. Zamknąłem oczy i przytuliłem ją tak mocno, że aż zachrupotał jej kręgosłup. Pisnęła, ale kiedy chciałem postawić ją na ziemi, potrząsnęła głową i przycisnęła się do mnie mocniej.

- Jeszcze nie - szepnęła.

Tuliłem ją, nie otwierając oczu, oddychając przez jej laskoczące, nagrzane loki, które przeszły zapachem dymu. Czułem ciepło jej skóry pod cienką sukienką, miałem ochotę odwrócić ją, odgarnąć jej włosy i pocałować w miejscu, gdzie wyciąłem kiedyś runę czarnej świecy.

- Coś ci pokażę - powiedziała i delikatnie się odsunęła.

MAB

Stertę kartek przewiązanych żółtą wstążką znalazłam w pokoju Arthura, kiedy sprzątałam bałagan po Gabrielu. Wpadły za stolik nocny. Poznałam charakter pisma babci.

„To list miłosny” - tak się zaczynało. „I wyznanie”. Usiadłam na środku pokoju Arthura i przeczytałam wszystko od razu, a potem przycisnęłam kartki do piersi i pobiegłam do silosu, żeby ukryć ten list przed światem. Przed wszystkimi oprócz Willa.

Teraz wyjęłam list z kryjówki między korzeniami judaszowca, odwiązałam wstążkę i wręczyłam go Willowi. Ukląkł oparty plecami o ściankę silosu i zaczął przerzucać kartki. Oczy otwierały mu się coraz szerzej, a ja mimowolnie szukałam w nich czerwonych plamek. Ale ich nie znalazłam.

Czytał w milczeniu, bez ruchu. A gdy słońce zaszło, przysunął list bliżej oczu. Żałowałam, że nie mogę rozniecić na dłoni płomyka.

Dmuchaający dookoła nas wiatr wydobywał muzykę z dzwoneczków na gałęziach.

Zamknęłam oczy i przypominałam sobie końcówkę listu. Przez ostatnich kilka dni przychodziłam tutaj czytać te słowa tyle razy, że aż wryły mi się w pamięć:

Zawsze byłeś ciekaw, dlaczego nie pozwalałam Ci się zbliżyć do moich róż. Dlaczego kazałam dzieciom trzymać się od nich z daleka i nie chciałam, żeby ktokolwiek pomagał mi je pielęgnować, dopóki nie zjawiała się głucha na magię Donna ze swoimi bliźniami.

Ponieważ śnię o nim, Arthurze. Odwiedza mnie we snach i nie wiem, czy ciągle żyje gdzieś tam pod tymi różami, czy tylko coś sobie uroitam, bo męczy mnie poczucie winy. Pod Twoją nieobecność rozkopywałam grządkę w nadziei, że znajdę jego kości. Ale ziemia wszystko pochłonęła.

Zawsze byłeś też ciekaw, dlaczego przestałam używać magii. Otóż nie tyle przestałam, co wykorzystywałam ją w całości do jednego celu: żeby utrzymać Gabriela uwięzionego w różach. To angażowało całą moją moc. Ale jakoś nie cierpiałam z tego powodu. Miałam Ciebie. I naszą piękną rodzinę.

Niedługo umrę, a nie mogę odejść do Pana z tym sekretem w sercu. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Że spojrzysz wstecz na te wszystkie wspólne lata i przyznasz mi rację: nie miałam wyboru, musiałam się bronić.

I mam nadzieję, że kiedyś, gdy będziesz już zmęczony długim życiem, dołączysz do mnie. Może on też będzie na ciebie czekał. Znowu pośmiejemy się i potańczymy we troje.

Kocham Cię.

WILL

Kiedy odłożyłem list i spojrzałem na Mab, ostatnie słowa Evelyn Sonnenschein wciąż rozbrzmiewały w mojej głowie. Mab klęczała przede mną; złożyła dłonie, a jej wielkie błękitne oczy były smutne i zatroskane.

Niewiele myśląc, podniosłem się, obszedłem ją i ukucnąłem za jej plecami. Odgarnąłem burzę jej loków, wetknąłem palec pod ramię i zsunąłem je trochę. Oddech Mab przyspieszył. Obniżyłem tył sukienki, odsłaniając plecy.

Złapałem Mab powyżej talii i przycisnąłem usta do jej skóry w miejscu, w którym kiedyś była runa. Zamknąłem oczy i nasłuchiwałem, oddychając jak najciszej. Objęła się rękoma, by móc dotknąć moich palców. Potem westchnęła.

Jej serce.

Tuż pod moimi ustami.

Przekrzywiłem głowę na bok i przyłożyłem ucho w tym samym miejscu. W bezruchu słuchałem jej tętna, szeptu płuc, podobnego do szmeru wiatru wśród liści. Potem przytuliłem się całym ciałem do jej pleców.

- Chyba czas się pożegnać.

Przebiegł mnie zimny dreszcz. Aż podskoczyłem.

- Co takiego? - zapytałem, ściskając ją mocniej.

Obróciła lekko głowę i zobaczyłem, że się uśmiecha.

- Przecież nie z tobą.

Puściłem ją. Mab podeszła na czworakach do stóp drzewa i podniosła koszyk pełen paciorków, wstążek i czarnych kruczych piór. Twarz jej złagodniała, przybrała niemal nieśmiały wyraz.

- To amulety - wyjaśniła, podsuwając mi koszyk. - Pomożesz mi je powiesić na drzewie?

Ścisnęło mnie w gardle. Skinąłem głową, a Mab wyjęła jedno pióro. Były do niego przyczepione niebieskie wstążki i srebrne dzwoneczki, w których odbijały się ostatnie promienie słońca.

Pokazała mi, jak je wieszać, i razem przyprawiliśmy drzewu skrzydła.

## Podziękowania

Chcę podziękować następującym osobom, bez których Strażniczka krwi by nie powstała:

Mojej partnerce, Natalie Parker - za każdy dzień i za udawanie, że kocha mnie do szaleństwa.

Czytelniczkom wersji roboczej, Maggie Stiefvater i Brennie Yovanoff - za to, że mobilizowały mnie i potrafiły być złośliwe. Myrze McEntire i Robin Murphy - bez których ta książka nie byłaby tym, czym jest.

Laurze Rennert - za pracę w niedzielę.

Suzy Capozzi - za to, że kazała mi wszystko poprawiać, bo było za mało pocałunków.

Wszystkim redaktorom, mistrzom marketingu, asom PRu i handlu w wydawnictwie Random House, a zwłaszcza Jocelyn Lange i całemu działowi sprzedaży praw - za sprzedanie praw do książki w ośmiu krajach, zanim w ogóle usiadłam do pisania. Żadnej presji! I Nicole de las Heras - za krew na ustach Mab i okładkę, od której nie mogę oderwać wzroku.

Robin McKinley - za książki o różach, potworach i przemienieniach. Nosłam w sobie fragmenty tej powieści, odkąd skończyłam dziesięć lat.

Mojej rodzinie. Tacie - za tłumaczenie, że marines to nie żołnierze, a żołnierze to nie marynarze, i za bycie moim bohaterem. Mamie - za koszulki i za to, że z zewnątrz przypomina Evie, ale kocha intensywnie jak Josephine. Seanowi i Travisowi - za to, że nie do końca rozumiem, co to jest rywalizacja między rodzeństwem, chociaż o niej piszę. I Adamowi - za bycie dowodem na to, że wojenne rany się goją.

Członkom armii USA - tym, których znam i kocham, i tym, których nie znam i nigdy nie poznam. Dziękuję, że jesteście dzielni.

Tessa Gratton - odkąd skończyła siedem lat, chciała zostać paleontologiem lub czarnoksiężnikiem. Niestety, zabrakło jej cierpliwości, by tropić dinozaury; nadal jednak szuka kogoś, kto nauczy ją magii. Objechała cały świat wraz ze swoją wojskową rodziną, zdobyła tytuł licencjata w dziedzinie gender studies, po czym zamieszkała w Kansas. Dni spędza na gapieniu się w niebo i opowieściach o magii.

TESSA GRATTON urodziła się na Okinawie w Japonii. Jej ojciec był wojskowym, dlatego rodzina Grattonów często się przeprowadzała. Odkąd Tessa skończyła siedem lat, marzyła, by zostać paleontologiem lub... czarodziejką. Okazała się zbyt niecierpliwa, by mozolnie odkopywać pozostałości po dinozaurach, lecz nadal czeka na kogoś, kto nauczy ją magii. Obecnie mieszka w Kansas w USA.

Strażniczka krwi to mroczna gotycka powieść dla młodych czytelników. Zarówno ten tom, jak i poprzedni pt. Magia krwi zyskały status bestsellera „New York Timesa”. Autorka pracuje nad kolejnymi powieściami.